



CZASOPISMA

0842
II/05



II/05

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUWC006077

D-5/84 kw 17/2010

R.2:1909. T. 8 z. 22, 23, 61, 24

II/05

STYK 1909
1909-1910-19-61



Jan Karpiński

SFINKS.

okienka R. 2: 1909

T. 8 z. 22, 23,

br. z. 24.



II/05



JÓZEF MEHOFFER:
ARCHANIÓŁ RAFAEL 1909

ELIGJUSZ NIEWIADOMSKI.

JÓZEF MEHOFFER,

JAKO MALARZ - DEKORATOR.

POLICHROMJE.

Samo pojęcie malarstwa dekoracyjnego jest dla ogółu niezupełnie zrozumiałe. Pospolicie — dekorator — to malarz kulis teatralnych, coś podrzędnego w stosunku do „prawdziwej sztuki...“ Ten i ów zresztą przypomni sobie, że Siemiradzki namalował aż dwie kurtyny — i przez to sam wznosił się na poziom malarza dekoracyjnego, albo raczej — malarstwo dekoracyjne podniósł do własnego poziomu...

Otóż tu należy się wyjaśnienie, i to podwójne.

1-o to, że malarstwo dekoracyjne nie tylko nie jest czemś podrzędnym, ale może najwyższą, najbardziej malarzką i czystą formą malarstwa. Wszędzie gdzieindziej przeważa pierwiastek anegdotyczny, literacki — i nie tylko przeważa, ale oczom niewyrobionym zasłania zupełnie *malarzką* treść obrazu. To znaczy, że nikt nie patrzy na linię jego budowę, na sylwetę, na zestawienia barw — ale na to, czy dziewczyna ma piękną buzię, czy „pancerny“ dość ogniście się zaleca, albo czy tułacz bardzo cierpi nad spalonym dworem...

Powtóre, że *Siemiradzki nie był dekoratorem* — w ścisłym znaczeniu tego słowa. Wprawdzie już Witkiewicz zwrócił uwagę na dekoracyjne pierwiastki jego obrazów — ale to określenie dotyczy jedynie charakteru *kompozycji*, i należy je brać, jako przeciwstawienie realizmu. Istotnie, Siemiradzki realista nie jest. Nie odtwarza ży-

cia współczesnego, ale dawne. Nadto w obrazach nie chodzi mu o prawdę sytuacji, giestu, wyrazu, ugrupowania i t. p., prawdę taką, jako widzimy np. w dziełach Meissonier'a. Jego punktem wyjścia było co innego: harmonijny układ linii i plam barwnych. Jest to więc założenie dekoracyjne.

Na kompozycji ogólnej kończy się jednak ta dekoracyjność. Bo *w wykonaniu, w środkach*, jakimi ją wyraża, w technice—jeżeli wolicie ten niestosowny wyraz — jest on zupełnym realistą. Wprawdzie ta technika jest szeroka i przystosowana do oglądania obrazu z dużej odległości — niemniej jednak Siemiradzki—na zewnątrz osiąga zupełnie realistyczne efekty, t. j. oddaje złudzenia perspektywy — oddalenie planów, bryłowatość ciał, efekty takiego lub innego światła, puszystość i miękkość włosów i t. d. Maluje *powierzchnie rzeczy* ludzaco prawdziwie: jest w wykonaniu nawskróś realistą — *stylizacji formy nie przeczuwał nawet*. Bez względu na to, czy maluje obraz historyczny, czy kurtynę, czy apoteozę Kopernika—zawsze jest jednym i tym samym. Dekoracyjność jego polega na tem, że grupuje popiersia, kolumny, gołe lub zardrapowane figury alegoryczne i t. p., aby zapełnić ich barwnymi plamami powierzchnię płótna. Ale tego wszystkiego *nie interpretuje*, nie przetapia na ornament płaski, tylko maluje tak ściśle, jak się maluje *studjum z natury*.

Kto chce to zrozumieć, niech się dobrze przypatrzy np. kurtynie krakowskiej. Niech porówna skrzydlatą figurę *Natchnienia* z Aniołem Mehoffera, przeznaczonym dla katedry plockiej*), a zwłaszcza niech zestawí realistyczne, *gęsie* skrzydła *Natchnienia* z *dekoracyjnie* pomyslanem skrzydłem Anioła...

Jest to aż nadto zrozumiałe. Raz dlatego, że ten wielki skądinąd artysta nie umiał wyjść poza te założenia kompozycyjne, które mu w młodości zaszczerpiła Aka-

*) Wydany na pocztówce w barwnej doskonałej ołbitce przez firmę Czarnecki w Wieliczce.

demja petersburska. Powtóre dlatego, że w jego czasach o sztuce dekoracyjnej nikt nie myślał i nie rozumiał jej zadań, z wyjątkiem jednej może Anglii, gdzie właśnie Morris dokonywał reformy smaku. Na łądzie jednak to zrozumienie przyszło dopiero w 90-ych latach, w miarę rozwoju sztuki wogóle i rozszerzania jej pojęć, a także w miarę tego, jak malarstwo dekoracyjne wyzwalało się z pod naśladownictwa Rafaelów, Veronezów, Tiepolów — a zwróciło pilną uwagę na średniowieczną sztukę północnej Europy.

Bo rzecz osobliwa: oto — we Włoszech, w kraju, gdzie najwięcej na świecie powstało malowideł ściennych — to malarstwo ścienne jest jednak najmniej w założeniach swych dekoracyjne.

Brzmi to, jak paradoks, — w gruncie jednak wcale paradoksem nie jest. A oto motywy.

We Włoszech właściwe malarstwo dekoracyjne prawie nie istnieje. Widzimy tu wprawdzie ogromną ilość kościołów i pałaców, których ściany pokrywają malowidła, ale te malowidła są to *obrazy*, najzupełniej realistycznie pojęte, z wszelkimi złudzeniami perspektywy, światłocieniu i t. p. Różnica ta, że malowane są nie na płótnie, ale na ścianie. Nawet ich rama ornamentowana jest wogóle biedna.

Obrazy same w sobie mistrzowskie, ale zastosowanie ich z punktu widzenia architektonicznego często fatalne. Czasami szeregi takich obrazów *piętrami* wspinają się jedne ponad drugie aż pod sam szczyt kaplicy. Obejrzenie ich niepodobna. Bo każdy *obraz* posiada swój własny poziom i punkt widzenia, i *tylko z tego punktu* można go oglądać. Przy silnem oddaleniu od niego ma się wrażenie takie, jak kiedy się patrzy z paradyżu na kulisy teatralne... Otóż dla obejrzenia owych obrazów włoskich należałoby ustawiać rusztowania, albo wznosić się do odpowiedniej wysokości przy pomocy windy przesuwanej...

Potem należy pamiętać, że malowidła, udające *wnętrza*, sprawiające *złudzenie głębi* — niszczą ścianę, na któ-

rej są malowane... A przecież nie po to budowniczy wznosi mury, aby je malarz niszczył, choćby tylko pozornie...

Otóż ten typ malowideł ściennych, jaki przeważa we Włoszech, nie rachuje się ani z widzem, ani z architekturą. Nawet niszczy efekty architektoniczne. Frazes o zespole sztuki w pomnikach Odrodzenia włoskiego jest fałszem, zresztą powszechnie przyjętym.

To powiązanie pierwiastków malarskich, architektonicznych i rzeźbiarskich niekoniecznie oznacza ich zespół.

Taki zespół widzimy gdzieindziej — w malarstwie ściennym na północy, w wiekach średnich, malarstwie, które można nazwać ściślej polichromją. Rola jego jest pozornie skromniejsza: służy ono architekturze, pomaga efektowi ogólnemu, przeważa w niem pierwiastek ornamentacyjny. Przy całej skromności osiąga jednak efekty poprostu czarodziejskie.

Studja nad sztuką średniowiecza znów dały Mehofferowi — nie wzór — ale punkt wyjścia kompozycji. Ta jest płaska, choć bogata, — czuć tu *mur malowany*, a nie sztuki z panoptikum. Przygotowany przez witraż M. odrazu zrozumiał wymagania *stylowej* polichromji ścian. To nie znaczy, że styl swoich witraży przeniósł żywcem na tynk, bo toby było właśnie zaprzeczeniem *stylu*. Nie. Kompozycja jest wprawdzie równie bogata, równie wyrafinowana i tak samo płaska, jak tamta. Ale jest bardziej szeroka, powierzchnie są większe, ciemne kontury o tyle tylko, o ile są niezbędne, dla ujęcia i podkreślenia kształtu. Gama barw spokojniejsza. Bo ani olejne, ani klejowe, ani freskowe malowidło nie może marzyć o konkurencji ze świetnością szkieł kolorowych. Dlatego ton ogólny jest tu spokojniejszy.

Pierwszemu zastosowaniu takiej polichromji dał pole *skarbiec* na Wawelu.

Sala ta ślicznie nadawała się do tego celu: ściany wielkie, gładkie, u góry przepyszne gotyckie sklepienia na żebrach. Mehoffer wyzyskał je nadzwyczajnie, opracował z niesłychaną miłością i zrozumieniem zadania.

Ton sklepienia bardzo wyszukany: błękit, złamany z ciepłym, szaro-zielonym odcieniem, — na nim przepysznie grają złote gwiazdy i złoty, płomienisty — cudowny w liniach — ornament u wytrysku żeber. Od pierwszej chwili ma się wrażenie pięknej symfonii błękitu i złota, którego blask podnosi sąsiedni ton czarny — dyskretnie użyty — obok paru — zresztą bardzo niewielu — innych.

Niżej — biegnie dokoła fryz: także przesliczna harmonija złamanych jasnych seledynowych tonów ze złotem, uwypuklona przez szafirowo-pawie ciemne plamy.

Ale najpiękniejsze może szczegóły tej polichromji giną. Mehoffer miał nieszczęśliwy pomysł umieszczenia swoich *Aniołów* na ścianie szczytowej, w której przebite są okna. Wskutek tego aniołów obejrzeć niepodobna.

Dwa są — Anioł Wojny i Anioł Pokoju. Nie wiem doprawdy, który piękniejszy... Dla mnie chyba ten — Wojny.

I nie dlatego, że ma na twarzy *ból anioła, któremu miecz do ręki dano...* Choć to rzecz niebanalna i ogromnie głęboko przez artystę odczuta. Ale on jeszcze piękniejszy jest po malarsku — w tej sylwecie wspaniałej, w ruchu rąk, przeslicznie narysowanych, w przepysznej — kwiatobarwnej szacie, w skórzanym, złotem nabijanym pasie, w płomieniu miecza, pojętym jak ornament, w przepięknych liniach stylizowanych włosów i złotej tarczy dokoła głowy!

Przepiękna figura!

Czemże jest wobec tego okrzyczany — i istotnie zdolny — *Mucha* — słynny dekorator paryski, tak znany zwłaszcza ze swoich afiszów? Obok Mehoffera wydaje się on tylko nudnym mańjerystą. Bo — mańjeryczne są jego powyginane i poskręcane bez żadnej potrzeby linie, — i mańjeryczną — gama barw bezcelowo niedokrwestych, i mańjerycznie te długowłose — mniej lub więcej nagie — kobiety — śmiertelnie nudne przy całej poprawności rysunkowej.

W skarbcu nie wiem, co głębsze robi wrażenie. Cudne figury, czy też wolna od wszelkich pierwiastków lite-

rackich—czysto ornamentacyjna całość, działająca poprostu, jak muzyka.

Opisuję te rzeczy, bo ich nikt nie zna. Zwiedzający Skarbiec *nie widzą ich*. Publiczność gapi się na cenne zresztą zabytki Skarbca,—słucha pilnie zakrystjana—ciekawa—na ile guzików zapinała się Anna Jagiellonka—ale nikt nie zwróci uwagi na ten cudowny świat barw ponad głowami.

Skarbiec skończony. Zdawało się, że w „Polskich Atenach“ ocenią dzieło należycie, — rozumieją, że wśród nich, jak z pod ziemi, wyrósł *wielki* artysta...

Broń Boże! Kiedy 1901 r. ukończono polichromję—żadne z pism krakowskich nie zdobyło się na poważny artykuł krytyczny. Zaszczyt pierwszej oceny dzieła przypadł — — — kalendarzowi Czecha!!* *)

Nawiasem mówiąc, malowidła Skarbca nie są właściwie ukończone. To, co M. zrobił, jest tylko tłem — ornamentowaną ramą, dla kompozycji figurowych, które zapewne wykonane nie będą, o ile zarząd katedry nie powierzy ich jakiemu śmieciarzowi, jak to, niestety, bywa udziałem nieszczęsnych katedr polskich.

W tymże Wawelu jest jeszcze jedno cacko polichromji tegoż autora — kaplica Szafranców.

Małeńka, utrzymana w wyszukanych, czerwonych tonach, ze sklepieniem w łuski — na którym, jak wstęga czarnego złota, połyskuje wieniec ślicznie stylizowanych rycerzy.

Całość w nadzwyczajnej harmonii z tonem marmurowych grobowców, zajmujących dwie ściany kaplicy.

Ta kaplica jest malowana nowym, niezmiernie trwałym sposobem — na *kazeinie*, t. j. kleju z sera. Skarbiec był olejny, ale i te olejne farby zupełnie nie przypominają świecących, jak lakier, ścian naszych łazienek. Me-

*) Świeżo wytworny czeski miesięcznik artystyczny *Dilo* poświęcił reprodukcjom dzieł Mehoffera znaczną część zeszytu najnowszego. (Red.).

hoffer mieszał swoje farby z woskiem, co im dało piękny, szlachetny mat, bez utraty siły i bogactwa tonów.

Artysta ten kładzie, podobnie jak mistrze pięknych epok sztuki, ogromny nacisk na *środkie techniczne*, które studjuje teoretycznie i praktycznie, rozumiejąc, że z ich poznania wypływa to, co nazywamy stylem i stylizacją. W pracowni robi ciągle próby z malarstwem klejowym, freskowem etc., dla zbadania ich trwałości, skali barw, wymagań materiału i procedury technicznej. Jest to zupełnie wyjątkowy malarz, który nietylko nie pomija tej dziedziny, ale wnosi do niej to samo głębokie przejęcie się zadaniem, jakie widzimy w jego pracach kompozycyjnych.

Z nazwiskiem Mehoffera łączy się sprawa katedry plockiej, sprawa, po dziś dzień wołająca o pomstę do Boga.

Katedra ta, niedawno restaurowana, przedstawia od wewnątrz wielkie, gładkie powierzchnie, które się proszą o polichromję—a wielkość i starożytność pomnika wymagała, aby wiek XX godnie ją uczcił, powołując do tego dzieła — mistrza.

Kto miał szczęśliwy pomysł zwrócenia się do Mehoffera—nie wiem. Dostyc, że ten zrobił szkice i—co dziwniejsza — szkice podobały się sferom decydującym...

Część tego szkicu reprodukowano w jednym z zeszytów *Polskiej Sztuki Stosowanej*. Kto ciekawy, niech obejrzy. Uprzedzam tylko, że orjentacja jest trudna, i że trzeba mieć duży zasób doświadczenia i poczucia, aby sobie ze szkicu wyrobić choćby przybliżone pojęcie o prawdziwym wyglądzie malowanych ścian. Dość powiedzieć, że nawet autor projektu niezawsze może te rzeczy przewidzieć.

Szkice Mehoffera zapowiada prześliczną, barwną jak kwiat polichromję.

Od dołu piętrzą się filary. Kolumny, do nich przyparte, to ciemny szafir, spowity w barwny i złoty ornament. Czołowe pilastry, spinając się lekko ku górze, jak-

by przepyszne, zielonawe, kwiatami i złotem haftowane wstęgi — przecinają ciepłe, jasne tło ścian. Nad łukami biegnie szereg ślicznie w szkicu skomponowanych obrazów, — powyżej, na sklepieniu, rozpięte chorowody aniołów.

O aniołach owych daje pojęcie doskonała pocztówka Czarneckiego z Wieliczki.

Ten anioł to harmonija złamanych, czerwonych i fioletowych tonów ze złotem, podniecona niebieską wstęgą i pantofelkiem. Harmonija tak śliczna, tak zupełna, że doprawdy nie trzeba być neurastenikiem barw, żeby odczuć tę rozkosz fizyczną, jaka od niej płynie.

A najeudniejsze skrzydła!

Tylko cztery barwy — zharmonizowane i skombinowane linijnie tak, jak nigdy nawet u Mehoffera, — i przytem traktowane z niesłychaną swobodą, z japońskim poczuciem ornamentu — dzięki czemu odrzuciły wreszcie gęsie zaległości...

Ale dziwnym torem idą rzeczy w nadwiślańskiej krainie. Każda sprawa, nawet najlepiej poczęta — musi się w rękach wykonawców zamienić w parodię, albo w skandal — we wrzód gnojący... Tak i w tym wypadku.

Porozumienie z artystą było zupełne. „Obie strony są tak poważne, że obejdzie się chyba bez podpisywania kontraktu“... oświadczył J. E. ks. Szembek, ówczesny biskup płocki. Sprawa zdawała się załatwioną.

I cóż dalej?

Dalej. Rzecz zwykła. Niewiadomo, czy świeżo opublikowana broszura hr. Lanckorońskiego, czy działały tu jakieś brudne zakulisowe intrygi — dosyć, że sfery decydujące uległy podszeptom: Mehoffera zmuszono do ustąpienia, a katedrę płocką maluje... p. Drapieski, malarz, *absolutnie* nieznany w kołach artystycznych.

Tej polichromji p. Drapieskiego należało by poświęcić osobne studjum, nie ze względu na jej wartość artystyczną, ale jako ilustrację poszanowania zabytków w naszym kraju.

Że podobne rzeczy może tolerować, a nawet spra-

wić zarząd katedry, to jest aż nadto zrozumiałe. Ale że upadek głośnej sprawy artystycznej, jaką były projekty Mehoffera — przeszedł bez echa — to wcale nie przynosi zaszczytu ani naszym piśmom, ani naszym sferom artystycznym — ani temu wielkiemu zeru, które lubimy nazywać opińją.

Istnieje u nas od niedawna T-wo Ochrony zabytków przeszłości, — z urzędu zatem powołane do udziału w sprawach podobnych. Czy T-wo nie wie o tem, co się dzieje w Płocku? czy nie chce wiedzieć? Czy może nie uważa za właściwe interwenjować tam, gdzie sprawa przekracza zakres stemplowania starych murów? Nie wiem, Myślę jednak, że gdyby jaki przedsiębiorca zaproponował wyklejenie ścian Wawelu częstochowskiemi bohomazami, a odnośny zarząd wypłacił mu za takie ozdobienie pomnika ze 200,000 reńskich — to sądzę, że nie znalazłby się człowiek myślący, coby nie zaprotestował, choćby tylko platonicznie. Cóżbyśmy tedy powiedzieli o T-wie, zawiązanem dla *opieki* nad zabytkami, gdyby się ono wobec takich rzeczy poczuwało jedynie do milczenia?

Wart Płock Wawelu. Radziłyśmy więc na publiczne nasze pytanie usłyszeć również publiczną odpowiedź T-wa Ochrony Zabytków. Chodzi o to, czy jest mu wiadoma gospodarka w katedrze płockiej i — jeżeli tak — to jakie kroki poczyniło dla zapobieżenia temu, co się dzieje.





WŁADYSŁAW ORKAN.

P O M Ó R.

I.

Było to w czasie, kiedy pomsta przeszła po dworach i ostawiła za sobą powytłukane okna, porozbijane sprzęty, pootwierane stodoły, a gdzieś spaleniska albo i trupy. Strach było patrzeć na to zniszczenie okrutne. Widziało się: jakiś duch zatrąty dmuchnął piekielną siarką po pałacach. I nie było jednego dworu na znacznym obszarze kraju, któryby od tej podmuchoy ocalał. Wszystkie stały, jeśli nie rozwalone, w zniszczeniu i podawały czoła do upadku. Gdzieś mur jeno sterczał albo komin wysoki nad ziemią, a reszta już się rozsypała i zalegała miejsce pokoi dawnych kupą gruzów. Tu i ówdzie jeszcze pałac się odzierał, ale powywalane drzwi i powybijane okna, świadczyły dość wyraźnie, że ludzi w nim niema. I stały te pałace w opuszczeniu smutnem, patrzyły ku wsiołom swoim otworami okien — skąd dawniej szły strach i groza, teraz wiała pustka... Stały, jak te grobowce ludzkiej pychy, po których wojna przeszła i łupieżcy rozwalili je, aby wydobyć bogactwa, na trupach zachowane.

Były tam bogactwa, były — ale nikt ich z ludzi nie widział... I nie wiadomo, gdzie się podziały. Tak jakby w ziemię wsiąkły... Bo i panowie ich nie zdołali unieść — i w chałupach ich nie widać było. Ba! W chałupach sto razy przykrzejsza nędza zagnieżdziła się, niż przedtem.

Nastaly roki złe.

Zaraz w pierwszym lecie po rabunku zboża pohybły na polach, a gdy nadeszły żniwa, to nie było wyraźnie co zbierać. A ludzie wsiadli na wiesnę więcej, niż po insze roki; bo choć niejeden nie miał na tyle w siasieku, to podczas rabunku przybrał z pańskiego gumna i wsiadł sporo. Ale, widać, pańskiemu zbożu nie udało się na chłopskich gruntach, nie chciało nijak urosć, a jeszcze przykładem swoim popsulo to insze, co już było wyczajone do jałowej ziemi. Abo też, kto wie — może taki czas był, taka kara. Bo co się to zboża naosypało podczas rabunku po drogach! Deptano po niem, jak po piasku. Pan Bóg musiał i to widzieć... To też zapłaciło się przy żniwach. Nie było co zbierać. A skoro przyszło do omłocki, to nie było co i widzieć... Mało co ziarnek się dostało, a i te nikły w oczach prawie; w żadnem nie było duszy. Na doplatek ziemniaki poczęły się psuć na zagonach, i gdy nadeszło kopanie — z połowę blisko okazało się zgniłych, reszta drobiazg, nie większy od przepiórczych jaj. To była wszystka żywność, jaką naród na zimę z pól zebrał. Poczęły się też dni przesmutne, po których ludzie, jak po urwisku pochyłym, staczali się w przepaść nędzy, coraz to czarniejszą...

Tak się poczęły złe roki.

Z początku ludzie jeszcze się jakoś krzepili, jeszcze się ratowali wzajem w tej nadziei, że Bóg zwróci na ziemię litościwe oczy, i że ta nędza się skończy. Ale skoro następny rok jeszcze większy przyniósł nieurodzaj, skoro ludzie nic prawie nie zebrali z pól, wtedy już potracili ostatnią nadzieję, i każdy stał się w sercu gor-

szym, na swoją i drugich przyszłość z rozpaczą zobojętniałym.

Wtedy to zdarzało się, iż niejedyn samotny człek ostawił wiatrom ojcowiznę swoją i poszedł we świat daleki, a zdarzyło się znowu, iż paru zasobniejszych, co mieli jeszcze ziarno z roków urodzaju, ponabywało grunta całe za parę korców zboża; ziemi nikto nie cenił, odkąd przestała rodzić. Tak, jakżeby zły urok szatan na nią rzucił. Co kto wsiął—nie urosło, co kto wsadził—zgniło. Przyszło kopanie, to kilkoro cały dzień boży kopało, a na wieczór nie mieli co w koszykach nieść. I różnie ludzie dumali w swoich mętnych głowach. Płatała się nawet bajka o Jezuitach, którzy mieli na złość światu ziemniakom porzeb sprawić, i przez to się ziemniaki psuły. Byli tacy, co temu dawali wiarę, bo się już rozum pomieszał doznaku, i niewiadomo było, kogo winić. Ale też byli i tacy, co się w sumieniach swoich rachowali i pozierali ze skruchą ku niebu; czuli w sercach, za co ta kara przysła, i nie śmieli na głos wołać o zmiłowanie.

Już trzeci rok się zaczął tej pokuty ziemskiej, już—widziało się—nie cięższego przywalić nie może, a tu jeszcze straszniejsze fale się zbliżały, jeszcze gorsze dla ludzi nawały i klęski.

— — — — —
— — — — —

Żywo ich widzę, jak obsiedli miskę i posilają się w milczeniu. Dzieci, które pomniejsze, na ziemi stoją przy stole i na palcach się podnoszą, aby dojrzeć na miskę przez krawędź. Dwoje ich takich niewysokich; niedużo starszy od nich chłopiec już daje sobie radę; siedząc, je podług obyczaju. Czwarte, nieletnie jeszcze, na rękę dzierży matka, choć nie każdyby powiedział, że to matka tych czworga człowiecząt, tak jej postaci jeszcze dziewczęcość się trzyma. Jeny z twarzy przybielałej i oczów ogromnie smutnych widnieją matczyne troski. Dzierży to małe na rękę i karmi je z łyżki, żując mu

w ustach swoich twardawe ziemniaki. Widać wyraźnie walkę, którą toczy w sercu, by nie połknąć pożutej strawy, jak głód radzi. Zdaje się osłabionej, że zdrowie w ustach trzyma, wszystkie włókna jej ciała go pragną, a przecie się przewycięża i zwraca je dziecku. Podobną walkę toczy w sercu swem i ojciec, młody jeszcze gazda, siedzący naprzeciwko, opodał na ławie; umyślnie się tak odsunął, aby oczy ochronić od pokus; onby to wszystko warzywo za jednym połykiem wchłonał i jeszczeby się obejrzał za dalszem — wnętrzości mu, jak psy głodne, wyją o posiłek — a tu spoziera: — dzieci z wytrzeszczonymi oczami nachylają się nad krawędź miski... i, choć go głód popycha, nie daje się znaglić, ale pomału, z rzadka bardzo wyciąga rękę ku stołowi. Po każdej łyżce strawy długo się namyśla i oczami głąska włosy zajętych jedzeniem dzieci, jakby chciał mówić: „Jedzcie, ja wam ta niedużo ujmę“...

Prócz tej młodej rodziny, najdowała się w izbie dziewczyna, wzrostem dobiegająca gospodyni i może lat kilka jeno od niej młodsza. Ta stała przy nalepie w smutnawem zamyśleniu.

Zresztą nikogo więcej w chałupie—i cicho—słychać było jeno rzadka stuk łyżek drewnianych o brzeg miski.

Młody gazda, jak się rzekło, mało się jedzeniem trudił, dumał se różnie w przestankach, abo i zgoła bez myśli oczami po izbie włóczył. Aże się mu wzrok oparł o stojącą przy piecu dziewczynę.

Czemu ty, Salka, nie śniadasz?

Dziewczyna drgnęła, pytaniem niespodziewanem zaskoczona, i, siląc się widocznie na głos swobodny, od-rzekła:

— Ja już po śniadaniu.

— Kiedy? Kto cię widział, jakes śniadała?

— Bratowa widzieli: pieklach ziemniaki...

— Prawda to, Tekla? — zwrócił się do żony.

— Jakże! Ona by też o sobie naprzód myślała!

— Pieklach przecie...

— Dla kogo?

Salka takimi proszącemi oczami spojrzała na Teklę; że ta już nie miała siły dokończyć myśli poczętej.

Gazda, mimo to, zmiarkował już coś poza słowy, bo zagadnął obie razem:

— Co to za tajemnice chowacie przedemną?

Ale ani ciekaw był, ani czekał ich odpowiedzi. Grało mu insze poza uszy. Położył łyżkę, przeżegnał się i począł szukać kapelusza.

— Trza wyjrzeć na świat... czy sie nie robi jaka wiesna... Widziało sie wczora, że sie odciepliło. Może przecie słonko sie zlituje...

Ukręciwszy się po izbie, wyszedł.

Dzieci przyciągnęły miskę na kraj stołu i dochlipywały resztę ostalego mleka; przytem każde starało się ku swojej stronie miskę schylić, o co swar był między niemi i bratnia niezgoda.

Tekla, stawiając na ławce dziecko przy sobie, zwróciła się w stronę pieca i spotkała się wzrokiem z oczyma dziewczyny, której jeszcze dotąd z twarzy rumieniec nie zeszedł.

— Oj. Salka, Salka.—poczęła z uśmiechem, kiwając głową litośnie.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Widzisz, byłoby sie wykryło przed Łukaszem... Choć może on i wie..

— Skądby wiedział? Nie mówcie mu, bo mógłby sie gniewać. Pomyślałby, że i więcej co wynoszę z domu...

— Tegoby zaś nie pomyślał. Ale byłoby mu markotno, bo nie rad na Tomka...

— Mamo! — począł się skarżyć starszy chłopiec — Anielka z Walusiem zabrali przed siebie miskę i nie dadzą mi dośniadać...

— Połóż już łyżkę, Józus. Widzisz, tyś starszy, to im trza ustąpić.

— Ale oni mniejsi, to se mogą prędzej pojeść. A ja

już z tatą na wiesnę będę orał, to muszę dużo jeść, co bych miał siłę...

Usłuchnął jednak i położył łyżkę. Tekla zwróciła się znów do Salki:

— Ja cię też za to nie pochwalę, choć wiem, że to z dobrego serca robisz. Bo i któż widział tak dobrowolnie się przygłodzać. Onby ci zaś nie przyniósł i nie dał, możesz być pewna. Nie wiem, jakie on ma pomyślenie.

— Moiściewy, już też nie gadajcie...

— Jakże, mojaśty, nie mam gadać, kiedy mi o ciebie idzie. Uschniesz do znaku, jak tak bedziesz robić.

— E, co ta o mnie!

— Też to, że siebie zawdy stawiasz na ostatku...

— Abo i wy tak nie robicie? Naprzódy dzieciom, Łukaszowi, a potem dopiero sobie...

— To, widzisz, dzieci co inszego... chłop też... bo akże?... No ale... Ja wiem, że i ty go lubisz... Ale to, przecie nie obowiązek twój tak dbać o niego... i nawet grzech... Kiedyś dałach ci placka, toś nie zjadła, inoś zaniesła Tomkowi. Żeby to jaki żebrak... ale gospodarski syn! I nie wiem, jakie on ma sumienie... Wie przecież, że sobie od ust odejmujesz, i że tu u nas już ostatnia bieda...

Salce lzy stanęły w oczach.

— Moi kochani, już też nie gadajcie.

— I jakże nie mam gadać, skoro mnie to gorzy, jak pomyśle... Taki chłop i, Panie święty, od takiej mizeroty bedzie skrzepienia wzyierał?

Salka broniła się przez chwilę płaczowi, póki go nie przemogła, i wreszcie na obronę postępku swojego rzekła jedyne, ciche słowa.

— Oni tam nie nie mają do jedzenia...

— Przecie pono jeszcze mają ziemniaki w piwnicy.

— Jeżeli mają jaką szczyptę, to ochraniają do sadzenia...

— No, to ono tam nie tak ostatnio, skoro jeszcze ochraniać mogą. U nas gorzej...

I poczęła w zamięszeniu przechodzić myślą gospodarstwo swoje, a Salka, widząc turbację w jej oczach, zamilkła, i równym smutkiem twarz jej się powlekła.

Dzieci tymczasem skończyły śniadanie i teraz z głośną kłótnią spychały się z ławy; każde chciało być najbliżej okna, by móc wyzierać na osiedle. A że matka musiała wmieszać się między nie słowami karcącymi. Poczem znowu zwróciła się do Salki.

— Zapal-że na nalepie i zestrój se jakie śniadanie.

— Ja nie głodna, wierze mi...

Tekla popatrzyła za nią wzrokiem, w którym przez udane zagniewanie przebijała się tkliwość serdeczna.

— No i cóż ja z tobą pocznę?

— Najlepiej wypędźcie z chałupy i będzie.

— Musiałabych takie sumienie mieć, jak Danajka.

Obie się uśmiechnęły.

— U nich tam ciągnęła niezgoda—rzekła, smutniejąc pomału, Salka.

— Dyc się Jantaszek wyskarżyć nie może. I na Tomka sie dość żali...

— Cóż Tomek winien, że taką ma matkę. On sam staje po stronie ojczyma...

Wszedł Łukasz. Przerwały rozmowę, bo z twarzy jego zobaczyły, że go coś niemało zgryzło. Usiadł ciężko na ławie i zgnębionym głosem począł:

— Haw naokole pustki... Słomy niema, jeno na naręcze. Tych parę brzemion barłogu jakby sie nazmiatało... Nie wiem, czem sie ta krowa dożywi do wiesny. Dość, że jedna jeno jest, bo resztę te roki zjadły, to i tę ostatnią trza będzie wywieść z obory. No, ale sprzedać—któż kupi? A zresztą, cóż z tych pieniędzy, choćby sie za nią dostało? Dyc są pieniądze w skrzyni... zabić znowu—cóż zabić? Tych gnatów trochę, skórą obłeczonych? Tak źle — i tak niedobrze. Ta kapka mleka koniecznie

potrzebna, to jedyne zbawienie dla dzieci. A tu naokole pustki... I wiesna sie nijaka nie robi...

Pochylił się, turbacją ciężką przygnieciony, i oczy utkwil w ziemię w tępem zapatrzeniu. A obie niewiasty młode nie śmiały oddychać głośno, by mu nie przybaczyć swoją obecnością jakiegoś nowego strapienia i nie wywołać przez to nowej trwogi. Ocknął się jednak sam i, zwracając oczy, cierpieniem gorzkie, w stronę żony, podniósł głos:

— Powiadalech, że trza ziemniaki ochraniać. Przydałyby sie, jak mleka nie będzie...

— Nie było co ochraniać — szepnęła Tekla.

— Ale wy—ciągnął, nie zważając na jej słowa—na jutro nie patrzycie. Co jest, to zgotować odrazu, a potem niech będzie, co chce—taki wasz rozum. Potrzebno i teraz okrawki psuć, kiedy mąką by się jeszcze odeгнаło.

— Ty sam... — poczęła Tekla, ale nie mogła dokończyć, taka ją żalność po sercu obiegła.

On jednak wiedział, co chciała powiedzieć, i wiedział, że miała słusność. On rzeczywiście sam namawiał, aby choć na smak okrawków zwarzyła, bo się mu zecnąć na owsianem chciało. To też, chcąc niesprawiedliwość swoją pokryć, abo choć złagodzić, dużo wyrozumialej już kończył:

— Bez ziemniaka sie cnie, prawda, bo sie człek przez długie lata wezwyczaił. To jedyne dar boży, co sie nie przyje, choćbyś go i najczęściej pożywał. Nie dziwota, że w tych rokach, kiedy Bóg poskapił, ludzie za ziemniakami strasznie upalują. Chwała Bogu, że my tę szczyptę ugrzebli, bo mogli my nic nie ukopać, jak wielu. I choć na smak, to było. Ale teraz trza mocno o tem dumać, żeby co wsadzić. Okrawków, widzę nie-dużo ostało — jak sie i te zje, cóż będzie? A może na-dejś jeszcze gorszy czas.

— Boże, zachowajże też! — szepnęły obie niewiasty podnosząc oczy ku górze.

— Powiadają, że sie niema czego dobrego spodziewać. Dyć już trzeci rok — miała czas bieda na kość uschnąć, abo sie zabrać kany we świat, a ona sie nie usuwa, ani nie myśli nijak miewać, ale sie panoszy wokół, jak to złe ziele, któremu odetnij korzeń, to mu trzy odrosną. Wszystko ku czemuś straszemu idzie... Ja już nie wiem, czy ludzie tacy źli, czy Bóg taki nielitościwy...

— Nie gadaj-że też tak...

— Rozum sie w głowie przewraca, kiedy człek o tem pomyśli. A tu jak nie myśleć? Powiedz... Wszystko sie naraz gromadzi i robi taki ścisk, że nie sposób znaleźć furtki, którąby dusza mogła uciec w jaki kąt cichy, choć na niedużą chwilę. Żeby to człowiek sam był, to już jakby padło, tak by sie musiało przyjąć. I śmierć samemu nie okrutna. Ale w takim owikłaniu...

Tekla poczęła cicho płakać. I Salka, widząc jej łzy, po licach spadające na głowę dziecka, śpiącego na podolku, również nie mogła łez w oczach zatrzymać. A Łukasz mało i uważał na nie, mówił jakoby do siebie, a raczej jakby z kimś nieobecnym gwarzył i za niego odpowiadał sobie:

— To już teraz tak ciężko, że sie widzi: nijako nie może być ciężej — a jak też przyjdzie czas gorszy? Cóż wtedy człowiek powie o dzisiejszym? Cóż sie dziś mówi o roku łośkim, abo i zaprzeszłym? I wtedy ludzie wzywiali końca jakiego, a nie nadszedł... Nędza nie ma dna, ani skończenia.

I jakby sam myślą począł osuwać się gdzieś w przepaść, jakby już nad czeluścią stanął, wzdrygnął się i szepnął z trwoga:

— Co to będzie?... Jezusie ratuj!...

Niewiasty łzy otarły, patrzyły teraz suchemi oczyma przed się, jakby i one tę otchłań widziały, o której nikt wyraźnie nie mówił, a wszystkim się zdawało przecie, że ktoś mówił.

I wszystkich trwoga ogarnęła. Siedzieli bez poruszeń, w bezradnem zastanowieniu. Dzieci nawet, widząc trwożący ich dusze wyraz w twarzy rodziców, pomilkły i stały w cichości wielkiej, bojąc się ruszyć; oczy im tylko chodziły dokoła, pełne nieśmiałych pytań.

Po izbie przeszło widmo czarne — i na dusze od niego padł cień. Pociemniał świat ich oczom, jak przy zamienieniu słońca, gdy serca ludzkie lęk przeraża, czy to już koniec świata się przybliży. I tak się ta rodzina grażyła w strapienie czarne, jak pogrążyła się w noc ciemną skupiona gromadka drzew na pustem polu. Widziało się: czuwają, bo oczy wszystkie otwarte, a sen ich jakiś ciężki tak na jawie przysiadł.

Było zajrzeć do tej izby przed trzema rokami... Wesołość grzała się w słońcu na środku podłogi, beztroska patrzyła zewsząd uśmiechniętymi oczami, a bogactwo nie chowane rozpierało się po kątach. Łukasz Jamroz miał podostatkiem wszystkiego. W oborze sporo żywny, naokole potrawy po banty, w sąsiekach zboża okopisto, a w skrzyni złote „cwancygiery“, nieruszone od czasu, jak je tam nieboszczykowie ojcowie schowali. I wszystko mu się podarzało. Żonę wziął do swojej woli, i chociaż mu ta wiana dużego nie wniosła, to zaś umiała swoją zapobiegliwością przysporzyć dobra chałupnego. Niemalą też pomocą i wesołością w domu była mu Salka, rodziców jego wychowanka, którą przywykł był uważać za siostrę swoją rodzoną, i ona go też bratem nazywała. Wszystko troje mieli co robić na tem gospodarstwie, bo gruntu było dużo. Łukasz bowiem dzierzył z ojców pół Jamrozowej zagrody: sąsiedzi jego osiedlowi, Gabrys i Jantaszek, mieli drugie pół — po czwarciźnie: ich bieda mogła napastować. Nieraz dało się usłyszeć, jak, uskarżwszy się pomiędzy sobą, gdy gwara zesza na sąsiada, powiada jeden na drugiego: „— Cóż Łukaszowi? Jego sie bieda nie tknie. Nie ma śmiałości przystąpić z żadnej żywej strony“. „— Ba! skądby śmiała? Grunt odpowiedzialny, statku Pan Bóg mu nagadza; przytem chłop mło-

dy, da se radę, babę se też upatrzył do swojej upodoby...“
 „—Dyć już o lepszą trudno, moiściewy, taka już chłopu majątku nie ujmie“. „— Jednemu Bóg nagodzi...“ —
 wzdycha ciężko Jantaszek, myśląc po cichu o swojej Danajce. I tak mu ludzie zazdrościli. Bo oczywiście było widno, że mu niczego nie brak było, jeno chyba dzieci sporo, któreby miały co trwonąć. A i dzieci Bóg przy-
 sporzył właśnie na złe roki.

I teraz oto ta rodzina, jak rodzina sarn wśród zaspów śnieżnych, w tej izbie białej trwogą zaskoczona. — „Uda li sie z pod śniegu dobyć pożywienie?“ —
 Albo „Uda-li sie wykopać na jaką przestrzeń widniejszą?“
 Tak pewnie myśli rogacz, śmiertelną obawą o życie swoich miotany. Tak przedumuje i Łukasz na ławie, szukając w rozumie swoim sposobów ostatnich. I nijak ich nie może znaleźć. A niewiasty, doznaku jak owe siutki lękliwe: to pozierają z otuchą na niego, czy nie dojrzą w jego oczach jakiego ratunku, to znowu spuszczaają głowy i patrzą przed się oczami nieruchomemi, pełne gotowej ofiarności w sercach i bezradnego smutku.

Dzieciom się wnet ucnęło to ciężkie milczenie—nie mogły nijak długo cicho wybyć — poczęły z początku szeptać między sobą, a potem podnosić głosy przy rozgwarze.

— Wnet będzie obiad...

— Ale! wnet! Dopiero śródpołui...

— Słonko już przy nalepie. Jak dojdzie do skrzy-
 ni, to będzie polednie...

— A zaś nie! Jak dojdzie do łóżka, to dopiero
 wtedy będzie polednie...

No, to sie załóżmy!

— No, załóżmy sie... O co?

Długie dumanie.

— Widzisz, nie masz sie o co założyć...

— A ty też nie masz.

Do rozmowy Walka i Anielki wmieszał się najstarszy Józek.

— Coż z tego, że będzie polednie, skoro mama nie
 będą obiadu gotować...

— Juści! Ty wiesz, że nie będą! Myślisz, że ci
 kto uwierzy? Jakżeby my wybyli do wieczora?

A nie wiecie, jak wczora tata powiedzieli, że trza
 obiadu nie gotować...

Anielka głos podniosła w płaczu:

— Mamo! bo Józek gada...

Ale nie dokończyła, jeno płaczem się załknęła, spot-
 kawszy surowe spojrzenie ojca, i umilkła. Za chwilę już
 wesołość była między nimi, gwar się na nowo wszeczywał.

— Co ty najbardziej wolisz?

— Kluski ziemniaczane...

— A ja zaś wolę ziemniaki pieczone...

— A ja zaś wolę placek...

— Ja też placek! ale nie owsiany... — rzekł z dumą
 Józek.

— Jakiż to nie owsiany? — spytała nieśmiało
 Anielka.

— Ty nie pamiętasz, boś ty wtedy jeszcze mała
 była, jak my mieli dużo jęczmienia i orkisz...

— Ja wiem! — zawołał radośnie Walek — mama raz
 przynieśli...

— Bedzicie wy raz cicho! — krzyknął ojciec. — Bo
 jak wstanę...

Dzieci, złękłe gniewem ojca, naraz ucichły. Matka
 popatrzyła na nie, i żal ich się jej zrobiło. A miała jesz-
 cze do Łukasza urazę w sercu za słowa, któremi ją po-
 przednio skrzywdził. Więc się zwróciła do niego z wy-
 rzutem:

— E, o cóż sie ty na nie ciskasz? Cóż one takiego
 robią?

— Tak wiecznie dzwonią poza uszy.

— Zwyczajnie jak dzieci...

Łukasz nic na to nie odrzekł. Patrzył po izbie
 oczami gniewnemi.

— A ty, Salka, co tak siedzisz?

— Znowu cię Salka uraża? Przecie ta ci nie dzwoni poza uszy...

— E! bo tak spuszczaacie głowy, jakby już pod śmierć. Ja sam dość mam strapienia, to co wy jeszcze przydajecie tym niepotrzebnym smutkiem?

— Pociskujesz się, sam nie wiesz, o co i na kogo. Bieda, to darmo, to kto temu winien... Trza Panu Bogu wszystko ofiarować...

— No, już wiem, wiem, co powiesz — przerwał niecierpliwie. Wstał z ławy i przeszedł się po izbie. Wreszcie, podumawszy chwilę, wziął serdaczynę z kołka, zaodział się i wyszedł, nie mówiąc słowa do nikogo.

Tekli po wyjściu Łukasza znów lzy cisnęły się z oczu, i ledwo ją Salka zdołała uprosić, że się ustanowiła w płaczu.

— Jemu się nie macie co dziwić — mówiła w końcu — że się takim urażnym stał i że go tak wszystko gniewa, na czem jeno myśl zeprze... Bo jakże się nie będzie ciskał, skoro go tak strapienie ustawicznie prześladowuje i ani na krok nie opuści. To sam nie wie, co go drażni. I wrywa się, jak dłoniom zmory...

— Ja wiem. W domu wszystko mu przed oczy zachodzi. Chce to stracić choć na chwilę — idzie między ludzi — szuka jakiego rozerwania... Ale tam się gorzej biedzie napatrzy... Czy ja nie wiem?... Wróci taki przygnębiony, że go ani poznać.

— Oj, bo tak. Teraz u ludzi jeden zgrzyt...

— I czemże się rozerwie? Powiedz...

— Ale choć czas zły minie...

— Minie jeden, to nadejdzie drugi. I człek przed czasem się nie schowa, choćby w mysią norę wlaźł, to darmo.

Wzięła polekku dziecko, które jej usnęło na podółku, i zaniosiła je do kołyski. Przebudziło się, gdy je kładła, i zaczęło płakać. Ale je wnet nuceniem głośnym uciszyła — zwolna przy kołysaniu równem usypiało.

I nie nie słyhać było w izbie, prócz oddechów i miarowego toczenia się kolistych odnóż kołyski.

Przez szyby słońce wdzierało się i malowało białe okno na szarej podłodze. To okno pomykało się niepostrzeżenie, aż i doszło na środek podłogi.

Nastało południe białe i uroczyste, jak święto; w izbie też zapanowała teraz święta cisza.

Nagle w tę ciszę wpadły z osiedla dwa głosy:

— Wyga?

— Nie wyga!

Niby hasło krótkie i odzew umówiony, jak przy jakiej straży. Tekla podniosła głowę z nad kołyski, przy której klęczała dotąd, i spojrzała na Salkę:

— Któż to tak?

— Gabryś z Tomkiem. Nie wiecie? Dokończają okół Jantaszкови.

— Nie wiedziałach nic o tem. Choć ich słyhać było. Myślałach, że ta co robią koło chałup... Ale jakże on się Jantaszek odważył na to kończenie? Kiedy on to zaczął stawiać? Przed dwoma rokami! I nijak się nie mógł wspomóc, aż dopiero w tym czasie najgorszym...

— To tak było... Bo mi Tomek opowiadał skraja. Gabryś majstrował u ludzi, dopokąd się dało. Ale teraz nikt nie myśli o budowaniu. Choćby kto chałupę miał niedokończoną, to woli na boisku siedzieć, a majstrów nie pytać, bo im trza dać jeść.

— O dyć o tem wiem.

— I trafiło mu się w paru miejscach, że go ze zrębu zegnali. Bo przyszedł, wylaźł na zrąb i gwałtem parł się do roboty, aby go jeno żywili. A ci nie wiedzieli: czy mu dziękować za jego dobrą ochotę, czy go z djabłami odprawić. Prosili go o przestanie, wreszcie i pokłęli. Widzi... sąsiadów okół stoi nieskończony — wzięł siekierę i chycił się, ani go nikto nie pytał...

I któż go żywi?

— Czy ja wiem. Pewnie sam sie żywi, bo przecie oni nie mają... Tomek wychodzi ku niemu i pomaga mu, jak umie; i tak inszego nie ma do roboty, a czas sie prędzej pomknie...

— Dobrze, że już raz ten okół skończą—zaczęła po chwili Tekla—bo taki ten zrab był nieprzyjemny oczom, że sie ani patrzeć w tamtą stronę nie chciało. Tak na uboczy, za osiedlem—zawdy to miejsce tam było obdziorne. Tak ten zrab wyglądał, jak opuszczona kostnica, przy jakim starym smentarzu, z której wiatr zerwał dach i powywał drzewi. Kiedy mi padło tamtędy iść zmrokiem po wodę, to mi sie zdajęło zawdy—wiesz co?... że tam śmierć skryta siedzi i patrzy łakomemi oczami w osiedle przez czarny otwór boiska.

— Nie gadajcież...

— No, naprawdę, tak mi sie zdajęło.

Umilkły. Niezadługo doleciało z pola:

— Wyga?

— Wyga!

I cisza nastęła znowu.

— Cóż oni tak po cygańsku mówią? — czwęła się Tekla.

— Tak pewnie dla ozrywki, bo sie im ta cnać musi. Dzień coraz to dłuższy.

— A kiedyż będzie obiad?—zbaczyła mała Anielka.

— Mamol — przyłączył się i Walus.

— Bedzie, bedzie wnet, jak ino słonko sie skryje...

— A cóż to słonko wadzi?

— Dużo wadzi, bo nie da wieczorowi nadejść...

— To aże wieczór! O jej! — poczęło się labiedzente i napół płacz, co jednak prędko ustało, bo do izby wszedł człek obcy. Dzieci poczęły mu się przyzierać ciekawie i szły za nim oczami z trwogę, gdy mu matka garść męki z dzieży udzięła, a potem już bezpiecznie spojrzęciami odprowadzaly go do drzewi i przez okno jeszcze, za osiedle.

— Hej! Boże! — westchnęła Salka.

— Mamol! Kto to? Dziadek? — dopytywęła Anielka.

— Taki duży i nie umie robić, ani pacierza nie umie — mówił Józek.

— Proś Boga! — upomniała matka — Bo człowiek nigdy nie wie, na co mu może przyjść, na jaką nędzę...

— Jaby do ludzi poszedł i robiłbych, toby mi jeść dali.

— A jakby też nie dali?

— To... tobych sie wrócił.

— Oj, dziecko, dziecko! — z politowaniem serdecznem poczęła, ale nie miała czasu dalej mu tłumaczyć, bo się poczęły gęste odwiedziny.

Osiedle ich, Jamrozowe, było zdęła od wsi, wyżej — to żebracy, przeszedłszy wieś, dochodzili tu właśnie w południe. Szli różni, różnego wieku; jedni mieli ułożenie istnych od lat dziadów, drugich — widać po nich było — dopiero co bieda z gruntu wyważyła i pohnęła na chałupy; ci nieśmiało wchodzili i oczami, martwemi już z przebytych cierpień, opowiadali historie swoje. Tekli się serce ścisnęło okrutnie — często ujrzęła znajome oblicze gazdy znacznego dawniej lub gaździny — nie śmiała słowem łagodnem zapytać, jak do tej nędzы ostatecznej doszli, bała się nawet, by w oczach jej tego pytania nie dostrzegli. I wstyd ją nieraz obiegał płomieniem, że ona jeszcze ma jakie takie dobro, a ci żebrzą. I często wprost nie śmiała dać tej garści męki, widziało jej się, że to krzywda i niesprawiedliwość, żeby ona całą dzieżkę miała, gdy ci nie mają nic — a tu jak po więcej dawać, kiedyby na dzień nie starczyło? — i wtedy zwręcała się do Salki, niby czemś zajęta:

— Daj ty, mojaśty, bo ja nie mam czasu.

I odwręcała twarz od przychodzących, aby nie spotkać oczów, nieraz tak rozpacznych, że wić się z żalu.

Koło śródwieczera ustała ta procesja przesmutna. I widziało się, że się powęła podniosła, tak się stało wolniej po tej chmurze, która nad duszami przeszła; prostowały się, jak źdźbła po ulewie, jęno im ciężyły jeszcze

krwawe łyzy litości, jak ciężą kłosem krople deszczu, przez wiatr niestrzeżane. Ale dużo złej się stało.

Najsmutniejsze godziny dnia przeszły. Trwożyła się ich zawdy Tekla, bo raz, że ujmowały jej szczupłych ostatków—a wtóre niosły z sobą tyle bolesnych świadectw życia, że mogły duszę, tonącą już w trwodze, na śmierć rozpaczłą beznadzieją otruć...

Przecie minęły. Co zostało z nich obcości w izbie, to czas następny połknął, i dzieci rozgwarem swym czasowi pomogły.

Przyszła im znowu pamięć o obiedzie. Ledwo je matka zdołała ulegować obietnicą świętą, że na wieczerzę dostaną to, co miały dostać na obiad.

Salka poczęła się za niemi wstawiać.

— Ja zapalę, to im się zwarzy co wcześniej.

— Guiewałby się, jak wróci. I tak dziś mąki ubyło sporo. Mnie samej tak ich żal, że powiedziec się nie da, a co bede biedna robić? Darmo. Trza się na gorsze sposobić. Potem dzień dłuższy nastanie — cóż począć, jakby brakło tego ostatka, broń Boże! Już nawet myśleć się boję... Teraz ta jeszcze mogą wytrwać. I w jesieni się zazwyczaj dwa razy na dzień gotuje...

— Ale też dzień dużo mniejszy. I owocem się zawróżą...

— Że też ty o sobie nie wspomnisz nawet przez omyłkę! A za dziećmi się ujmujesz.

— Bo coż ja? Coż mi się haw dzieje? Śmiechby był, żebych się sobą trapiła...

I tak dalej mówiły ze sobą.

Dzieci, uspokojone przyrzeczeniem matki, już się przestały naprzykrzać; to tylko Waluś i Anielka, bo Józek w mniemaniu swem za duży był na to, aby się miał o obiad głośno dopominać. Teraz im obojgu powtarzał z przechwałą:

— Aha! Nie na moje wyszło?

— Nie na twoje!

— Obiadu nie będzie...

— A zaś będzie na wieczerzę.

— To będzie wieczerza, a nie obiad.

— Co ty wiesz! Przecie mama powiedzieli...

I poczęła się kłótnia, w której po jednej stronie stał Józek ze swoją mądrością, po drugiej Walek i Anielka ze swojemi mocnemi głosami, bo się oboje zawdy wspomagali. Józek w końcu, chcąc nie chcąc, musiał im ustąpić. Najzwyczajniej rozstrzygał kłótnię płacz Anielki i ucieczka jej o pomoc do mamy. Tym razem jednak obeszło się bez płaczu i skargi, bo Józek się niedługo upierał przy swoim, jako że sam wolałby jeść obiad na obiad, niż na wieczerzę.

Znowu zaległa cisza, bo i niewiasty urwały rozmowę. I tak się działo doznaku w tej izbie, jak w zachyleniu górskim. Duchnie wiatery zmienacka, porozchwieja drzewa, widzi się: nie ustanie rozgwar zapoczęty—a tu się nagle urywa, rozprasza się w szmerze, i cisza taka nastaje, jak w martwym bezwietrzu. I znowu szum się rodzi...

Salka się podniosła z ławy, oczami zmęczonemi spojrzała na Teklę.

— Dyc mi każcie co robić, bo tak czas uchodzi...

— Weź książkę i czytaj głośno. Usłyszę i ja coś z tego; choć po prawdzie, taki rozum zmacony, że się człek ani w modlitwie nie ucieszy...

— To coż chcecie, bych robiła?

— Skrob ziemniaki... Nie, prawda! jaka ja całkiem zatracona... Cóżby ci tu doradzić... Widać, że już i robić niema co na tem gospodarstwie. Dawniej był len — przedło się... Było ziarna na utarcie... Była żywna jakaś... Człek nie miał czasu i spocząć. I ktoby był pomyślał, że przyjdzie czas, kiedy nie będzie co robić. Wtedy ino dziad nie miał co robić. Niejeden mu pozazdrościł. A patrz, do czego to dziś...

Nie skończyła, bo jej Salka przerwała:

— Ktoś idzie!

— Może Łukasz wraca...

— Nie, insze kroki...

Drzwi się uchyliły i do izby wsunął się nieduży chłopina o załzawionem wejrzeniu. Nie witał się z nie-

wiastami, wchodząc jakby do swojej chałupy, bo też przez lata codziennie z niemi się widywał. Był to sąsiad najbliższy, Jantaszek. Z inszego wprawdzie osiedla był rodem, ale tu się już z młodu przyżenił do gruntu, a skoro żona mu pierwsza pomarła, sierotą na ziemi bez dzieci ostawiony, wziął do chałupy wdowę, po mężu Danajkę, która mu za całe wiano przywiedła pasierba (jak się już wspomniało—Tomka) w takich krzepkich lecjach, że mógł ojczyma we wszystkim wyręczyć.

Ten to sąsiad, Jantaszek, przywłókł się, jak zwyczajnie, w strapieniu swoim poszukując ludzi, którymby się mógł poskarżyć. Właściwie, to Jantoni było jego imię, ale że był nieszczęśliwy zawsze, a przytem śmieszny—gdy biadał ze łzami w oczach, to aż śmiech obalał ludzi—to też nazywali go z prześmiechu Jantaszkim, uważając go potrosze za niecałego gazdę.

Usiadł na ławie i, powłókłszy zażawionemi oczami po izbie, rzekł:

— U was to dużo weselej...

— Tekla uprzejmie przykiwnęła głową:

— Niedawno ściany obielone. Salka skądś takiej białej gliny wydostała...

— Dyć biało... widzę... ale ja nie o tem... zawdy to, zawdy inaczej, jak inszy człowiek jest w chałupie... Mnie haw już do urwania łba przychodzi... Już nie wiem, co se mam począć... Zrobisz co—to niedobrze... Powiesz co—to źle... I na żaden sposób nie wygodzisz, bo złość ma swoje widzimisie. Za jakie grzechy mnie Bóg skarał, to ja nie mogę wymiarkować..

— Cóż wam tak dolega?

— Dy wiecie... Już się mi zecnąć chce na świecie. Taka się teraz stała dokuczliwa, że święte goby zatripiła....

— Jakże wy ta z tą biedą dajecie se radę?—przerwała Tekla narzekanie, bo znała je, jak pacierz.

— Nijakiej rady nie widzę. I nie wiem, jak to dalej będzie... Już ziarna niema ani na lekarstwo, tego

owsa ta jeszcze coś staje... Ale co mnie najbardziej dziwi, to to, że ziemniaków ubywa z piwnicy, choć się ich nie je... Zaohabiło się te szczyptę do sadzenia i to się nie doczeka. Ktoś widać jest, co wynosi. Żeby ja go ino zdyball

Oczy mu się zaszklily, a niktby nie powiedział, że w tym człowieku złość może siadywać.

— No, nie będzie, to darmo—to człek wtedy wie, że niema... Ale teraz jeszcze cośby się uzgarnowało, choćby tego owsa pośledniego... Coż, kie *ta* się tak uwziela, że nie chce nic gotować, żywcemby chciała umorzyć człowieka. A wiem, że ona ta o sobie pamięta. Chcesz, człeku, jeść, to se gotuj, to się przedtem wyklóć, bo pozamyka wszystko, jakby to jej było. Już się mi ani gadać o niej nie chce. Telo wam ino powiem: wolałbych dziadem być ostatnim—szedłbych se, kany bych chciał, między dobrych ludzi... Miałbych co jeść, tobych jadł—a nie, to nie. I milejby mi było...

— O, dyć one wszystkim tak dokuczyły setnie, te złe roki...

Jantaszek ciężko westchnął.

— Dla mnie złe roki nastaly, odkąd Danajka jest u mnie.

Powiedział to tak żałośnie, że obu niewiastom słuchającym mimowoli uśmiech poweselił oczy. Tekla zaraz, chcąc zagadać, by zaś nie myślał, że z jego strapienia się cieszą, spytała:

— Podobno okół stawiacie?

— E dyć... Niech Bóg da zdrowie temu kumotrowi. Wyszedł i robi, i o nic się nie napiera. Widziało się, że to niedobry człek, a patrzcie... Jak się to trudno na kimś poznać.

— Jakże on ta w chałupie?

— O, je tak, jak gdowiec. Nie ma mu kto uczciwie warzywa ustroić. Ta dziopa, ledwo że łachy przez wodę przewlecze, niespore to, jak złaza. Biedny i on już od czasu. Tego syna ma, kalekę we słuchu i wzro-

ku, którego na dodatek Cyprjanem ochrzcieli, jak na śpas, tak że sami ludzie potem musieli przemieniać, wołając na niego Cupryn. Ba, dyć wiecie...

Tekla z Salką przykiwnęły głową, ale Jantaszek z ich twarzy zmiarkował, że czem innem mają obie, nie nie jego gwarą, myśli zaprzątnięte. Przerwał też gwarę dość ochotnie, bo i sam w sobie czuł wyraźnie, iż mu nie to w uszach gra, co gada. Wróciłby do swoich strapięń, ale już nie miał jako; zresztą widział, że i one swojemi zajęte. Więc, milcząc, oczami po izbie włóczył, sprzęty obzierał, ku nalepie patrzył, dobytek ich chałupy po cichu szacował. I naszedł oczami dzieci, zbite w gromadkę na ławie, cicho siedzące, zesmutniałe.

Chcąc przecież uwagę matki zwrócić na się, spytał najbliższej siedzącego Józka:

— Cóż wam mama na obiad uwarzyła?

— My jeszcze nie obiadowali! — odrzekł z dumą Józek.

Tekli na twarzy rumieniec wykwitnął.

— Tak zeszło...—zagadała z udaną swobodą—Łukasz gdzieś poszedł... Nie widać go... A tu czas leci... Dzień krótki... Nie obejrzysz się już południe i śródwieczer za niem...

— Jantaszek zrozumiałe przykiwywał głową.

— Tak, ono, tak... U ludzi haw nie inaczej... Jednako płaci: bogaty, czy biedny—wszystkich te roki porównały... Biedy sie nima co wstydzic, ani też narzekać na nią... Bo bieda jeszcze nie najgorsza. Gorszy zły człowiek, jak sie trafi...

Urwał westchnieniem ciężkiem, aby zaś widziano, iż jego to gorzej nęka, niż wszystkie złe biedy. Po krótkiej chwili poszepnął:

— Śmierć ze wszystkiego byłaby najlepsza, ale... przyjdzie czas i na nią...

Spojrzał znacząco na obie niewiasty, by słowem swoim dodać przez to wagi, a potem chcąc niby chy-

trze zatrzeć jakowąś myśl skrytą, której za słowami nie miał, popatrzał niedbale w okno.

— Ho! To już wieczór sie przybliża...

Salka, mając na uwadze skupione w gromadkę dzieci i korzystając z przypominku, ozwała się z nieśmiałością:

— Trza pomyśleć o jakiej wieczery...

— Żeby nie ta święta noc — ciągnął Jantaszek — to nie wiem, coby człek ze sobą poczał. Dzień widzi się, że krótki, a dowyzierać się jej nie porada. Tela człekowego dobra na ziemi, co prześpi...

— Żeby to można spać... — wtrąciła Tekla.

— Bywają i noce złe, bywają... Ale teraz w tych czasach, to dzień sto razy przykrzejszy. Obstoi za mięsiąc czyścić...

Dzieci przerwały dalszą gwarę płaczem, bo się z cichości wybiły odrazu, skoro im Salka wieczere zbaczyła. Oblazły matkę i poczęły się przykrzyć, dopominać — musiała je słowami legować, jak mogła. Jantaszek też, widząc, że się wśród tych rozplakanych głosów do dłuższego słowa nie dociśnie, poczał się zabierać ku drzwiom.

— E, siedźcież jeszcze, nie chodźcie — poprosiła za gaździnę Salka.

Ale się nie zawrócił, choć nie miał dużej woli iść, i wyszedł.

Ledwo się dzieci uciszyły, już to w kołysce rozpoczęło skomleć; musiała je matka uspokoić karmieniem, a Salka zaś zajęła się strojeniem wieczery.

Mrok już na szybach osiadał i zadymiał je pomału. W izbie robiło sięciemno. Z ciemnością wpelznął strach, nakazujący dzieciom, by się nie ruszały. Zbiły się więc w gromadkę, jak pisklęta na gnieździe, gdy noc zawlóczy niebo, a matki nie widać z pola, i siedziały w szarym mroku pod oknem na ławie. Cisza je gniołła, tak trwożąca, jakby w komorze obok abo w sieni umarły leżał. Poweseliło się dopiero, gdy Salka roznieciła ogień na nalepie. Światło strzeliło na izbę i poczęło z wartkością rozmia-

tać mrok, wyganiać go do sieni — pozostał jeno ukryty pod ławą i z nieśmiałością przyczajony w kątach, a zresztą jasność zapełniła izbę, gubiąc się w dymie, niby we mgle, w górze pod powałą.

Dzieci pokeskakiwały z ławy, bo je tam zimno, pchające się przez uchylone drzwi do izby, kąsało w bose nożęta, i usadowiły się razem w kącie na nalepie, grzejąc stopy, zwinięte przy ogniu, marząc przy ciepłe o wieczery. Salka, porobiwszy, co było do zrobienia, siadła na ławie przy nich. Tekla zaś usypiała dziecko, to najmłodsze, ruszając zlekka kołyską.

Kroki w sieni zadudniły — do izby wszedł Łukasz. Bez słowa przywitania wszedł, czołem o dym skłębiony w górze zawadzając, i usiadł ciężko na ławie. Z kąta wybłysły ku niemu, jak iskry, oczy dzieci, uradowanych zjawieniem się ojca — ale pogasły pomału, podobnie znowu jak iskry.

Tekla podniosła głowę z nad kołyski, przy której pochylona klęczała, i niespokojnie spojrzała na niego, potem na Salkę, jakby jej rzec chciała: „Nie mówiłach ci, że taki wróci“? Salka jednak nie uważała jej spojrzeń, smutnie zapatrzona przed się i myślami z izby wychodząca.

A Łukasz siedział bez ruchu, jak usiadł, oczyma w jedno miejsce patrząc i nie patrząc — powiedziałby kto: „Martwy, czy co...“ — gdyby mu się pierś nie podnosiła.

I długie chwile uszły, a nikt się słowem nie odezwał.

— Cóżżeś ta słyszał? — spytała nareszcie Tekla. Głos jej miękki drżał, jak pierwsza struna, przerywająca ciszę.

— Nie powiesz nam nic? — pytała jeszcze milej, gdy się na pierwsze słowa nie odzywał.

— Cóż bede gadał?... po, co?...

W głosie jego takie zgnębienie było słyhać, jakie się słyszy w głosie ludzi, którzy przeżyli świeżo śmierć najbliższych. Już też go więcej Tekla nie pytała. Ten smutek jego, przyniesiony od ludzi ze życia, i jej się

częścią dostał. Wieczereż jedli w milczeniu. I żadne od miski oczów swych nie oddzierało. Głód przyniewalał. Łukasz jeno marudził, podobnie jak przy śniadaniu, łyżką na miskę sięgał, jak z przymusu, już nie z uwagi na dzieci, łakomie pożywające, jeno że taką ciężkość czuł na sercu, jakby je kamień młyński tłoczył. Wnetki też położył łyżkę.

— Czemu nie jesz? — prosiła żona.

— Ja nie głodny... Tu mam pełno — pokazał dłonią na pierś. — Widzi mi się tak, jakbych był skałą napasiony...

Po wieczery Salka posprzątała na nalepie, pomyła, poukładała wszystko na swoim porządku i wysunęła się nieznacznie z izby.

Dzieci posnęły odrazu, gdzie które sen napadł. Zbierała je matka po jednym i przenosiła do łóżek.

— Kanyż Salka? — ozwał się Łukasz.

— Czy ja wiem... poszła na pole...

Łukasz po chwili znowu:

— Ja jej muszę zapowiedzieć, żeby ona sie z tym Tomkiem nie wdawała...

— Sprawiedliwiebys zrobił... i ja jej już powiadała...

— Ty ją strzeż... bo ona nie wie... a to huncfot!

Słowo ostatnie wyrzekł twardo, nabrzmiałym od gniewu głosem. I znowu cisza, jak poprzód, zaległa izbę.

Łukasz zadumie znowu podał głowę i ani drgnieniem nie zdradzał czuwania. Bo w rzeczywistości myśl go, jak we śnie, odeszła i błąkała się, smutna, ponad przepastne urwiska, od których nawet śmierć sama mniej się wydaje trwożąca. Drogi ratunku upatrywał, a napotykał wszędy przepaść — zawracał myślą i znowu szukał nadaremnie, ciężko od umęczenia wdychając.

Tekli ogromnie dokuczliwie to przygnębienie Łukasza ciążyło. Bo i jej, gdy go widziała takim, strach

stawał przed oczyma. „Cóż będzie, kiedy on już taką bezradę widzi?“ I szukała, czem go wyrwać z tej ciężkiej zadumy, ale nie znalazła w głowie. Co powie — to może jeszcze smutku przydać myślom. Żadne słowo w tej chwili nie widzi się dobre.

Stała dość długo nad dziećmi, które już poukładała, poprawiała im pościel pod głowami, potem przeszła ku nalepie i, nie widząc przed sobą żadnego zajęcia, zwiesiła głowę, wsparła ją na dłoni, oddech nawet zciszyła, by jej nie słyhać było — i żeby mogła mgłą się gdzieś podziąć w tej chwili, toby ochotnem sercem uczyniła. Widziało jej się i tak czuła, że obecnością swoją w izbie przydaje jeno strapienie Łukaszowi. Aby pomóc mu, nie widzi rady... Ktoż tu pomóc potrafi? Chyba jedyny Bóg...

Podeszła cicho do skrzyni, wyjęła matczyną książkę, poczem klękła przy nalepie i poczęła przy doblyskujących główniach czytać po cichu sobie samej; ale jej jakoś nie szło to czytanie. Przystawała co chwila i pozierala na Łukasza, chrząknęła nawet parę razy, by zwrócić jego uwagę, wreszcie nieśmiało się ozwała:

— Przeczytać na głos?... Taka tu jest przesłiczna modlitwa... „Do Pana Jezusa w strapieniu...“

Skoro nie odrzekł na to, rozpoczęła:

„O Stworzycielu nieba i ziemi, Odkupicielu rodzaju ludzkiego...“

Łukasz zdjął kapelusz, nie ruszając się z miejsca. Tekla zaś dalej czytała:

„... Synu Boga żywego, Panie Jezu Chryste, przed Tobą, grzeszny, swoją głowę skłaniam, przed Twojem Bóstwem na kolana upadam, ja grzeszny, dla wielkich grzechów moich nie śmiem wołać ku Tobie, Panu mojemu i Odkupicielowi, któremu wszystkie grzechy moje są wiadome; a gdybyś, Panie, raczej patrzył na przewiny moje, aniżeli na najświętsze miłosierdzie Twoje, zginęłaby w głębokości dusza moja, dla obliczności gniewu Twego,

i wszystka by ziemia zginęła dla grzechów moich. Nie racz-że mnie karać potępieniem duszy mojej, którąś odkupił nie złotem, ani srebrem, ale swoją krwią na krzyżu. Panie. Nie karz mnie za zbrodnie moje aromotę świecką, ale wspomnij na oną sromotę, którąś miał, gdyś na krzyżu obnażony wisiał przed czystą Panną Marją, Matką Twoją miłą; nie karz mnie smutkiem za grzechy, którymi Cię obraziłem, Pana mojego najmiłościwszego, ale wspomnij na owe zasmucenie, jakieś miał, kiedyś na Górze Oliwnej Ojca swego wzywał, wołając: „Jeśliby mogło być, Ojczy najmiłszy, żeby ten kielich odszedł ode mnie — wszakże nie tak, jak ja chcę, ale jako Ty chcesz — niech się stanie“. Przez Twoje, miły Panie, zasmucenie, któreś natenczas miał, kiedyś wszystką mękę swoją widział, iż Twoje święte człowieczeństwo nie byłoby zostało żywe, by Cię było Bóstwo nie spomogło: tak się to święte człowieczeństwo bało śmierci, iżeś, miły Panie, krwawym potem się spocił; a Tyś niewinny był, Baranku, któryś żadnego grzechu nie uczynił, a nasze grzechy wszystkie na się przyjął, choć Pan i Stworzyciel“.

„Proszę Cię, miły Panie, wspomnij wielkie miłosierdzie Twoje, ponieważ ciało i dusza moja bez Ciebie, Pana mego, być nie może. Wszak, Panie, rzekłeś: „Nie chcę śmierci grzesznego człowieka“. Wierzę, Panie, iż mię, jako prawdziwie ukrzyżowany dla zbawienia mojego, nie raczysz odrzucić od miłosierdzia swego; boś słowem swoim wyrzekł: „Człowiecze! kiedykolwiek westchniesz za grzechy swoje, nie chcę onych pamiętać“.

„Wierzę, mój Panie, że mię przyjmiesz do miłosierdzia swego, jakoś marnotrawnego przyjął syna i jakoś przyjął grzeszną niewiastę, Magdalenę; Ty wiesz sam, dobry Panie, jak się masz nademną zmiłować, a miłosierdzie Twoje większe, niż grzechy całego świata; a tak mam ufność w łasce Twojej, Panie, iż mnie też raczysz w strapieniu mojem pocieszyć. O co Cię pokornie pro-

szę przez owo w Ogrójcu Judaszowe zdradzenie i przez one haniebne pojmanie od niewiernych żydów, i przez okrutne i nielitościwe przez rzekę Cedron prowadzenie i o kamień zranienie. Po którym-ś przywiezion do Anasza, a tamesz policzek wziął niewinnie; potemesz wiedzion do Kajfasza, tamesz naigrawan, okrutnie policzkowan; potemesz ku Pilatowi wiedzion, gdzie Twe najszlachetniejsze ciało było zbite i łańcuchem obciążone. Przez one fałszywe świadectwo przeciw Tobie, przez nielitościwe prowadzenie do Heroda, przez sromotne od Heroda do Pilata znowu odwiedzenie, i przez nielitościwe odzienia zdarcie, i u słupa okrutne biczowanie, i przez niewinne na śmierć osądzenie, przez okrutne przybicie rąk i nóg Twoich do krzyża, przez smakowanie żółci z octem, przez siedm słów Twoich najświętszych, przez żalność Matki Twojej, którą miała, pod krzyżem stojąc i patrząc na Ciebie tak zbitego, między lotry zawieszonogo; przez śmierć Twoją najświętszą, przez przebicie boku i serca Twego, i przez Twoje do grobu złożenie, — przez te wszystkie najświętszej męki Twojej wspomnienia, i przez siedem boleści Marji, Matki Twojej, przez to wszystko, com ja grzeszny wspomniał — racz mnie, o Panie, w tej prośbie wysłuchać: wyrwij mnie z tej nędzy ciężkiej, jakoś wybawił Jonasza z brzucha wieloryba, Zuzannę od śmierci, Dańjela z paszczęki lwów, Piotra z głębokości morskiej...

„O Boże! O Adonaj! Wielki i miłosierny! Zmiłuj się nad nami!

„Jakoś cudownie lud izraelski z Egiptu mocą pracy Twojej wyprowadził i przez czterdzieści lat na puszczy karmił, opatrował: tak i nas, sługi Twoje, z tego utrapienia, nędzy i z wszystkiego uciśnienia wyrwij. Prosimy Cię w Imię jednorodzonego syna Twego, Jezusa Chrystusa, który nam to słowem swoim przyobiecał, mówiąc: „O cokolwiek Ojca mego w imię moje prosić będziecie, wszystko wam będzie dane“.

„Tedy w imię to najdroższe Jezusa, Boże Ojczy wszechmogący, proszę Cię...“

W książce następowało:

„Tu trzeba przydać i nadmienić, o co się chce Pana Boga prosić“.

Tekla przerwała czytanie i ułożyła w myślach prośbę, ale jej nie śmiała na głos wypowiedzieć. Pan Bóg i tak wie... i Łukasz też wie... Czytała dalej:

„O to wszystko, Boże wszechmogący, proszę Cię — i wierzę, iż raczysz wejrzeć na zasmucenie serca mego. Bo któż mnie ma inszy cieszyć, któż jest, któryby mi co dobrego uczynił? Tylko Ty, Panie, Boże mój! Nie opuszczajże mnie, ale wspomóż, jedyna moja nadziejo!

„Przez wielką miłość Twoją, którąś umiłował człowieka, żeś zstąpił na ten świat, żeś się sam stał człowiekiem i podjął okrutną śmierć — Stworzyciel — dla swego stworzenia—O Panie Jezu! Najmocniejszy Królu! Raczże mnie w nędzy pocieszyć.

„Polecamy się Twojej najświętszej opiece... O najłaskawszy i najmiłościwszy Odkupicielu nasz, nadziejo nasza i objawienie nasze jedyne, o najdobrotliwszy Jezu, Kochanku nasz najmilszy, o wszystka miłości nasza, słodkości serca naszego, żywocie duszy naszej, o najjaśniejsza światłości nasza, największe wesele nasze, pokoju nasz najwdzięczniejszy, o bogactwo nasze najwyższe, dobroci nasza, doskonałości nasza, o raj wielkiej rozkoszy! pokaż Twą litość nad nami!

„Chryste! Jakaś mocą swoją Bożą cudem nakarmił rzesze niezliczone siedmiu bochenkami chleba—tak, prosimy Cię przez Twoje miłosierdzie, nakarm dzisiejsze sługi Twe niegodne...“

Głos jej złamał się w płaczu. Opanowała się jesz-

cze, i z sercem, wiarą gorzącą, szepnęła słowami swemi:

— Nie daj nam i naszym dzieciom pomrzeć z głodu...

Po tych słowach Łukasz zesunął się z ławy i runął kolanami na podłogę. Z piersi dobywało mu się ciężkie sapanie. Pięści przy oczach trzymał i trząsał się cały w płaczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WALERY GOSTOMSKI.

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

III. Indywidualność Michała Anioła.

Pełnia i siła życia wewnętrznego.

A teraz w górę oczy, w górę serca i myśli! Na wyniosłem sklepieniu Sykstyńskim mamy nie tylko ujrzenie, lecz także odczuć i pojąć najdoskonalszy twór sztuki nowoczesnej, mówiący nam o najwyższych, najdonioślejszych zagadnieniach życia nowoczesnego.

Indywidualność duchowa Michała Anioła, to przedziwny, jedyny może w tym stopniu siły przykład zjednoczenia gienjuszu twórczego z duszą wzniosłą, wielkiego charakteru z wielkim arcyzmem.

„Ci, co znają tylko dzieła Michała Anioła, znają to, co w nim najmniej doskonale“, mówiła o gienjalnym artyście szlachetna i głęboka jego przyjaciółka, Wiktorja Colonna. Wiemy, jak nadzwyczajna, niedościgną jest doskonałość dzieł jego — cóż mamy sądzić o doskonałości jego duszy?... Ale ta ostatnia niełatwa jest do rozpoznania, a trudniej pono jeszcze, aniżeli my obecnie, poznać

i ocenić ją mogli współcześni. Jeżeli z jednej strony podziwiać ją trzeba w jej łączności z najwyższą potęgą gienjuszku artystycznego, to z drugiej strony zdumiewa niekiedy bezprzykładne też pono w tym stopniu połączenie jej z nieunoszoną, gwałtowną, nieomal dziką szorstkością zewnętrznego charakteru artysty.

Bez liku mamy jak najwiarogodniejszych świadectw o różnych dziwacznych jego postępkach, o szorstkiem, odpychającym, niekiedy poprostu grubjańskiem zachowaniu się nawet względem ludzi bliskich, przyjaznych, serdecznie życzliwych. A te ciągle spory późniejsze z papieżem, Medyceuszami, księciem Urbino, ze znajomymi, przyjaciółmi i kolegami, te złośliwe sądy o ludziach, ta niestanna podejrzliwość, to dopatrywanie się wszędzie intryg Bramanta, zawiści Rafaëla, te niewyczerpane żale, skargi i zarzuty z powodu krzywd, od ludzi doznanych, najczęściej pono imaginacyjnych.

Któżby powiedział, że ten pozorny cheiwiec, dopominający się wciąż o pieniądze, uskarżający się wciąż na skąpstwo swych pracodawców i mecenasów, był to jeden z najbezinteresowniejszych ludzi, jakich ziemia święta nosiła, nie prawie dla siebie nie potrzebujący, wszystko innym oddać gotowy, o czym również świadczą listy i wspomnienia współczesne. Któżby się domyślił w tym opryskliwym grubjaninie iście kobiecej, serdecznej, delikatnej czułości — w tym małym, krępyim człowieczku o nieproporcjonalnie dużej głowie i dziwnie szpetnej twarzy, z nosem fatalnie spłaszczonym od uderzenia pięścią w kłótni z kolegą, któżby odgadł największego wśród wszystkich z historii nam znanych gienjuszów sztuki, artystę o najwyższej mocy twórczego natchnienia, człowieka o najpiękniejszej, najczystszej duszy szczeroludzkiej.

Co sądzić o tej zagadce przeciwieństw? Jak ją rozumieć, rozwiązać?

Oczywiście, nie może tu być mowy o rozwiązaniu zasadniczem. Każda prawie dusza ludzka ukrywa w swej

głębi niedostępną nam tajemnicę, a cóż dopiero przepaściasta dusza takiego gienjalnego cudotworu człowieczeństwa! Tutaj potrącam tylko o tajnie jej głębi, o ile zda mi się to potrzebnem dla zrozumienia tej przedziwnej, natchnionej mowy barw i kształtów, jaką przemawia do nas z wyżyn sykstyńskiego sklepienia.

Wybujala indywidualność — oto przedewszystkiem słowo zagadki tych potężnych i burzliwych dusz renesansowych, nienowe, wielokrotnie powtarzane słowo, otwierające wszakże niekiedy nowe widoki na duchowy problemat czasu.

Jakże się nam on przedstawia w duszy Michała Anioła?

Z wielu względów bardzo odmiennie, aniżeli w więk-szości dusz ówczesnych, wyzwalających się w imię swego indywidualizmu szczeroludzkiego z wszelkich więzów i pęt średniowieczny, czasami z koniecznych jej karbów i wyższych harmonji duchowych. Jakże często to wyzwolenie stawało się wyzudaniem rozszalałej w swej wybujalności natury ludzkiej, czasem ludzkiego bestjalstwa, niezdolnego nic uczyć, nic ukochać poza obrębem swego wszechżerczego egoizmu. Michał Anioł, przy całej olbrzymiej, nawet w tej epoce bezprzykładnej potędze swego indywidualizmu, posiadał w najwyższym stopniu znamionującą prawdziwe człowieczeństwo zdolność czci i miłości dla tego, co nadludzkie, podobny w tem do tak głęboko i stale umiłowanego przez siebie twórcy „Boskiej Komedji“, również wielkiego człowieka, indywidualisty w duszy, z nieprzepartą mocą rwącej się w sfery nadludzkie.

Pomimo jednak podobieństwa, zachodziły też między nimi zasadnicze różnice. Dla średniowiecznego piewcy „widzeń anielskich“ wszystko, co nadludzkie, zarazem i nadziemskie być musiało, tylko w symbolicznym znaku, obrazie synom ziemi dostępnem być mogło. Odtwórca plastyczny renesansowej pełni życia ziemskiego w realnych jego kształtach i zjawach ujrzeć pragnął obraz ide-

ału nadludzkiego; cielesnie tu na ziemi urzeczywistnionym w sztuce swej chciał go ukazać. Nie znaczy to, aby nadziemskość, nadprzyrodzoność obcą być miała jego wierze. Nikt od niego głębiej i silniej w nią nie wierzył, ale nikt też nie odczuwał silniej koniecznego z nią związku przyrodzonej rzeczywistości życia ziemskiego.

Wielki człowiek-chrześcijanin i wielki artysta, miłośnik-wizjoner realnego życia ludzkiego, jakże odosobnionym czuć się musiał w epoce, w której nie chrześcijaństwo realizowało się w człowieczeństwie, lecz spogańszczałe człowieczeństwo dążyło do pochłonięcia w sobie chrześcijaństwa. Zapewne, jako człowiek, mógł żyć duchem poza otaczającą rzeczywistością, ale, jako artysta, przez gienjusz swój do odtwarzania jej powołany, czyż mógł uciec, odosobnić się od niej? Chcąc niechcąc, musiał pogrążyć się w burzliwe jej fale, musiał wchłaniać różnorodne jej pierwiastki życiowe, z wielu względów tak obce, czasem zgoła wstrętne duchowej jego naturze. Czy nie stąd pochodzi ta szorstka odporność wobec ludzi i świata, to jakby gniewne zamykanie się w sobie pełnego ludzkości odludka, pełnego miłości mizantropa?

Ta tak odosobniona, samotna w świecie sztuki renesansowej, choć naturą swego gienjuszu twórczego tak ściśle z nim zespolona indywidualność duchowa wewnętrzna swą istotą najbliższą pono, najbardziej była pokrewna reformatorskim i apostołskim dążeniom Hieronima Savonaroli. Wszakże twórca chrześcijańskiej republiki florenckiej czynem dążył do tego, co było pożądaniem, pragnieniem mistrza sztuki florenckiej, do pełnej tu na ziemi realizacji bezwzględного ideału religijno-moralnego. Wszyscy biografowie i komentatorowie Michała Anioła stwierdzają jednoznacznie ogromny w jego życiu i twórczości wpływ Savonaroli. A jednak, dziwna rzecz, nigdy nie widzimy go w bliższych stosunkach z reformatorem, nie widzimy go w gronie tych artystów, co naukę brata

Hieronima całym sercem przyjęli, w życiu swem i twórczości stosować usiłowali.

Tutaj występuje tragizm rozdwojenia w indywidualności duchowej Michała Anioła, fatalny wynik niezmiernego bogactwa szczeroludzkich i artystycznych jej żywiołów. Człowiek w nim całą mocą swej duszy, spragnionej doskonałości, rwał się ku czystemu ideałowi chrześcijańskiemu, artysta całą potęgą swego gienjuszu trzymał się rzeczywistości, w niej tylko mógł żyć i tworzyć. Im wyższy, doskonalszy gienjusz, tem potężniej włada artystą, z tem większą bezwzględnością narzuca mu treść życiową, z której powstał i wyrósł, którą powołany jest w sztuce odtwarzać.

Gienjusz Michała Anioła powstał z owej bezprzykładnej nieomal w dziejach pełni i mocy życiowej, jaką wrzała za dni jego Italja renesansowa, był najdoskonalszym, najpotężniejszym tej pełni i mocy wyrazem. Czyż opanowany nim artysta nie musiał stać się przepotężnym ich rzecznikiem i odtwórcą? czyż mógł choćby na chwilę wyzwolić się z pod wszechwładnego wpływu tej treści życia, której całą swą gienjalność zawdzięczał?

W odpowiedzi na te pytania znajdujemy wyjaśnienie jego stosunku do religijno-moralnych dążeń brata Hieronima. Potraçały one niewątpliwie o najgłębsze struny jego duszy, nie były jednak zdolne wciągnąć go w przyrodzoną swą dziedzinę askezy, negacji życia. Stwierdzenie życia ludzkiego w całej jego mocy bezmiernej: oto było istotne powołanie Michała Anioła, gienjalnego artysty; stwierdzenie w tem życiu władającej nim potęgi nadludzkiego ideału: oto było posłannictwo Michała Anioła, wielkiego człowieka-chrześcijanina.

Spełnić to dwoiste zadanie mógł li tylko w dziedzinie sztuki. Wszelkie wykroczenia poza jej obręb, wszelkie przeniewierzenie się władczyim jej potęgom, stało się istnem niepodobieństwem dla wykwitającego z nich w takiej żywiołowej mocy gienjuszu twórczego. Równem jednak dlań niepodobieństwem było przeniewierzenie się

ideałowi chrześcijańskiemu, który wszechwładnie panował w głęboko religijnej jego duszy i z nieprzepartą siłą dążył do wypowiedzenia się w jego sztuce.

Pełna, artystyczna realizacja tych dążeń niesłychanie nastroczała trudności, olbrzymich wymagała wysiłków. Ideał nadludzki uplastyczyć w realnej pełni ludzkiego życia, duchem chrześcijańskim przeniknąć całą, tak wiele pogańskich żywiołów zawierającą w sobie treść życiową epoki, przeduchowić nim nie tylko twarze ludzkie, lecz także ludzkie ciała, każdy ich organ, każdy mięsień, oto tytaniczne zadanie, jakie sobie mistrz postawił, jakiego w swej sztuce z niesłychanym wyężeniem woli i pracy dokonać usiłował.

Prawdziwy on Tytan, niby Ossy na Peljonach piętrzył w swych twórcach kolosy na kolosach, roznosił istne góry ciał ludzkich, aby wdrzeć się po nich do ucieleśnionego ideału, aby go ukazać ludziom w chwale apoteozy na wyżynach życia—lub w tragicznej grozie okropnego z wyżyn tych upadku.

Najpełniejszą realizację ta dążność twórcza osiągnęła na freskach, na sklepieniu i na ścianach kaplicy Sykstyńskiej.

Już sama historia powstania owych fresków jakże znamienita dla twórczości Michała Anioła. Jest to historia szalonej pracy, niesłychanego wysiłku twórczego, historia męki i przymusu, który artysta przypisywał zewnętrzному naciskowi, a który w istocie rzeczy był skutkiem nacisku, wywieranego nań przez własny jego gienjusz.

Wewnętrzna ornamentacja pałacowej kaplicy papieskiej już za Sykstusa IV całkowicie została ukończona. Sklepienie jej naówczas wyobrażało błękit niebios, zasiany złotymi gwiazdami; ponad wielkim ołtarzem, jak już wspomniano, widniał fresk Perugina, przedstawiający koronację Najświętszej Panny. Niespokojny, żądny nowości duch Juljusza II nie zadowolił się tym jej stanem, zapragnął mieć w niej twory wielkiego artysty, którego całą gienjalność, pomimo częstych z nim sporów, umiał należycie ocenić. „Papież zmusił mnie do malowania skle-

pienia Sykstyny“, pisze Michał Anioł w liście współczesnym*). Ale w tymże samym liście dodaje, że papież żądał od niego tylko dwunastu apostołów w lunetach okien, oraz wypełnienia pozostałej przestrzeni zwykłymi ornamentacjami. „Skoro wziąłem się do pracy, pisze dalej artysta, zdało mi się i powiedziałem to zaraz papieżowi, że biedna to rzecz będzie. Zapytał mnie: dlaczego, odpowiedziałem, że przecież sami apostołowie byli bardzo biedni. Wtedy dał mi nowe zlecenie: miałem malować to, co mi się będzie podobało i odpowiednio do tego mi zapłaci“.

Widzimy tedy, że dość problematyczny był ów przymus, wywierany jakoby przez papieża, że wymagania jego nadzwyczaj były skromne w porównaniu do tego, co mu dał artysta. Całą tę olbrzymią pracę, której w przeciągu lat przeszło czterech (od maja 1508 do października 1512 r.), wszystkie swe siły poświęcił, sam on sobie dobrowolnie nałożył i z własnej nieprzymuszonej woli sam jeden jej dokonał.

Zrazu miał zapewnioną pomoc kilku biegłych w malarstwie freskowem artystów florenckich, z którymi zawarł nawet formalne umowy, wnet jednak po rozpoczęciu pracy zerwał z nimi zupełnie i sam wyłącznie nad swym wiekopomnym dziełem pracował „własnymi, bez żadnej obcej pomocy wykończył je siłami“. Nawet rusztowanie, które na rozkaz papieża Bramante dlań zbudował, uznał za nieodpowiednie i inne, wedle własnego planu, kazał sobie wystawić.

Praca malarska na sklepieniu Sykstyny jest tak olbrzymia i takie ogromne przy wykonaniu nastroczała trudności, iż wielu biegłym znawcom wydało się wprost niepodobieństwem, aby w całości i we wszystkich szczegółach w ciągu czasu stosunkowo niedługiego przez sa-

*) Lettere p. 427, przytoczone u Klaczki „Jules II“. Paris, 1902, str. 75.

mego tylko Michała Anioła miała być wykończona. A jednak liczne i niewątpliwe mamy dowody, że tak było istotnie, że dzieło olbrzymie dokonane zostało bez żadnych współpracowników, przez jednego człowieka, olbrzymia duchem i pracą, kosztem jakich trudów i wysiłków, o tem wymownie świadczą własne jego zeznania. W jednym ze swych sonetów z ponurym komizmem kreśli artysta karykaturę swej postaci, poczwarnie wykoszlawionej przez fatalne warunki pracy.

„Dzięki mej wymuszonej postawie brzuch mój dotyka prawie podbródka. Czuję, że im wyżej brodę podnoszę ku niebu, tem niżej schodzi mój mózg aż w łopatki, gdy równocześnie okapujący wciąż mój pędzel czyni z twarzy mojej wspaniałą posadzkę o barwach rozmaitych“.

Listy jego z tych czasów pełne są skarg bolesnych na trudy i wymęczenie okropne. „Jestem wyczerpany pracą więcej, niż jakikolwiek człowiek“. „Zdaje mi się, że już chyba tysiąc lat tu jestem“ *). Takie, częste bardzo w listach, odgłosy męki, trudu nie zawierają w sobie żadnej przesady. Można sobie wyobrazić, jak się czuł człowiek po czterech i pół latach ciągłej, nadzwyczaj wytężonej pracy w takich ciężkich warunkach, zmuszony malować bądź w leżącej, bądź w najrozmaiciej wykrzywionej postawie, z oczami wzniesionymi wciąż do góry. Długo odczuwał następstwa tych wysiłków, gdy np. nie mógł inaczej nie przeczytać, ani obejrzeć rysunku, jak tylko trzymając papier ponad wzniesionymi ku górze oczami.

Jeśli twarda wola Juljusza II narzuciła mu poniekąd tę ciężką pracę, to stokroć twardszy przymus własnego gienjuszus jeszcze cięższą ją uczynił, zniewalając go do nadania dziełu bezprzykładnie kolosalnych rozmiarów, najeżenia go mnóstwem nadzwyczajnych trudności tech-

*) Listy, 24 czerwca, 21 sierpnia 1512 r.

nicznych i przepełnienia bezmiernie bogatą treścią duchową. Sykstyńskie dzieło Michała Anioła to jedyny, niedościgły na całym obszarze sztuki wszechświatowej wzór zespolenia najdoskonalszych środków techniki malarskiej z najwyższym artyzmem formy i nieprzebranem bogactwem ożywiającego ją ducha.

A jednak, dziwna rzecz, twórca tego tak niezrównanie gienjalnego arcydzieła malarstwa nie przyznawał sobie szczególnego w tej sztuce mistrzostwa i wciąż w rozmowach, listach, nawet w wierszach swoich powtarzał uparcie: „Nie jestem malarzem“. I co dziwniejsza, dużo w tem miał słuszności. Nie znaczy to, aby zbywało mu na gienjuszus w sztuce malarskiej; owszem wątpić nie można, że w jaknajwyższym posiadał go stopniu; ale dążność jego twórcza siłą swej natury wewnętrznej i siłą pobudzających ją natchnień sięgała poza malarstwo, poza świat barw i linii w sferę plastycznych kształtów i gestów, pojętych jako odbicie i uzewnętrznienie całej potęgi wyrazowej ducha ludzkiego.

Nie zatrzymał się on na malowniczej stronie przyrody i życia; nie olśniewały go cuda światłocienia i kolorytu, choć w zakresie swej twórczości po mistrzowsku posługiwać się nimi umiał. Postać ludzka w wyrazistym ruchu, oblicze ludzkie, płonące ogniami duszy, całkowicie pochłaniały jego uwagę, stanowiły główny, istotny, poniekąd jedyny przedmiot jego twórczości. W żadnym artyście renesansowym nie odrodził się z taką, jak w nim, potęgą humanitarny duch sztuki helleńskiej, ale w żadnym też z taką, jak w nim, mocą i bezwzględnością nie przewyciężył swego dawnego pogańskiego stanowiska, nie wznosił się wyżej w sfery ideału chrześcijańskiego.

Kult człowieczeństwa w pełni realnych, cielesnych jego kształtów zwracał twórczość Michała Anioła ku dziedzinie plastyki rzeźbiarskiej; kult bezmiernej mocy ducha chrześcijańskiego, przenikającego ludzką cielesność, unosił go poza wszelkie granice określonej skończoności

plastycznej, pobudzał do tworzenia postaci i kompozycji często nieureczywistnialnych artystycznie, z powodu ogromu swych kształtów, lub nadmiernego bogactwa swej treści duchowej.

Niemożność pełnej realizacji twórczej w dziedzinie rzeźby, pobudzała wszechstronny gienjusz artystyczny Buonarroto do twórczości architektonicznej i malarzkiej. I oto staje przed nami mocarz sztuki, wzniesiony ponad wszystkie ustalone jej kategorie, syntetyczny gienjusz, skupiający w swych natchnieniach twórczych wszelkie pierwiastki plastycznego i obrazowego aryzmu, a równocześnie duch potężny, przepełniony bezmiernem bogactwem szczeroludzkich dążeń, w nadludzkie sięgających strefy.

Czyż nie miał prawa powiedzieć o sobie: „Nie jestem malarzem“? Zaiste szersze, poza malarstwo sięgające moce twórcze żyły w jego jestestwie. Wyżej zaznaczyłem, że sięgały one i poza obręb rzeźbiarstwa.

W jednym z listów współczesnych poleca swej rodzinie we Florencji, aby listy adresowano nie do Michała Anioła rzeźbiarza, lecz poprostu do Michała Anioła Buonarroto „Nigdy — dodaje — nie byłem ani rzeźbiarzem, ani malarzem, jak ci, co sklepy utrzymują“ (*come chi ne fa bottega*)*).

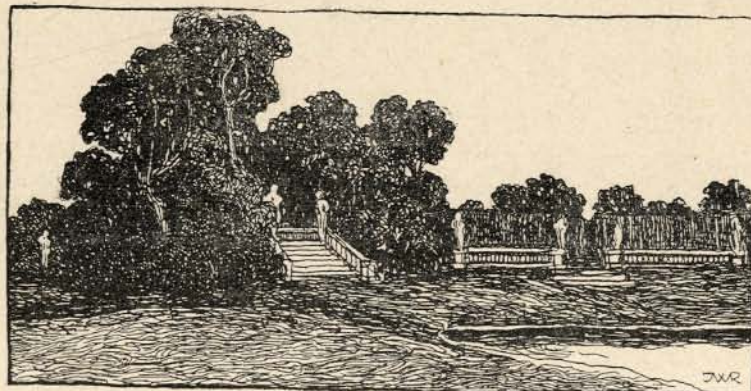
Jest w tem niewątpliwie arystokratyzm rodowy mistrza, który szczyił się pochodzeniem od znamienitych i słynnych w dziejach hrabiów Canossy, ale jest też pewien arystokratyzm artystyczny, wznoszący się ponad wszelkie poszczególne rodzaje sztuki, w poczuciu absolutnej samoistności i doskonałej w sobie skończoności gienjalnego człowieka-twórcy. A nikt zaiste nie miał więcej aniżeli Michał Anioł prawa do tego wewnętrznego samopoczucia, żaden artysta nie był bardziej od niego niezawisły od wszelkich zewnętrznych wpływów i oddzia-

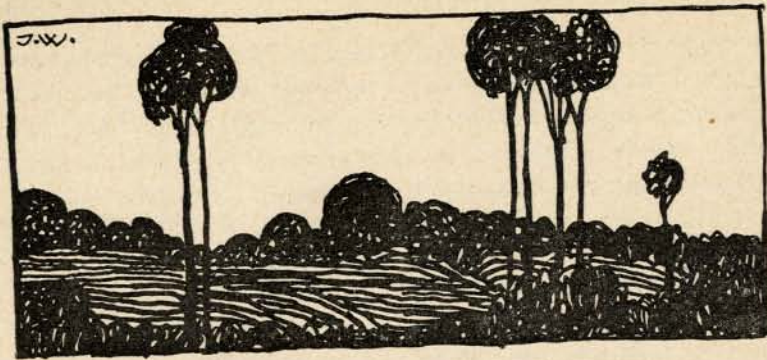
*) „Lettere“ p. 225 przyt. u Klaczki: „Jules II“.

ływać. Nie względy techniczne, ani formalnie artystyczne, ani wymagania pewnego rodzaju, typu, czy kierunku sztuki, lecz jedynie i wyłącznie porywy własnego natchnienia, dążenia własnej duszy powodowały jego twórczością, wyznaczały jej drogi, cele i zadania. Nie krępował się on też wcale zakresem danej sztuki, stawał się nieraz rzeźbiarzem w malarstwie, malarzem w rzeźbie, poetą i myślicielem w obu dziedzinach twórczych. Była to zawsze samodzielność gienjuszu, nigdy samowola fantazji, był to nieprzeparty mus gienjalnych natchnień w ich dążności do uzewnętrznienia, nurtujących w duszy artysty głębokich, zasadniczych prądów ducha wszechludzkiego.

Jakże one się przedstawiają z tego punktu widzenia w obrzymim arcydziele Michała Anioła na sklepieniu Sykstyńskim?

(Ciąg dalszy nastąpi).





ANDRZEJ BAUMFELD.

MIŁOŚĆ MISTYCZNA NOVALISA.

Nie studjum, tylko parę uwag wstępnych.

Czytając bowiem „Hymny do Nocy“, możemy najbłędniejsze wynieść pojęcie o sferze, ku której płynęła mistyczna dusza poety.

Tryumf Nocy nad Dniem — Grobu nad Życiem — nieustające, księżycowym blaskiem rozradowane Gody Śmierci...

Tam, kędy odeszła Umiłowana serca jego, tam się musiało przenieść szczęście i duch wszystkich i cel istnienia.

Zofja uleciała w noc śmierci na to, żeby tam nowe, zmartwychwstałe rozniecić życie — *nowe zapalić słońce*...

Przedziwnym jest ten węzeł, w którym zbiegają się i kojarzą wszystkie *stamtąd* melodie i struny. Na niebie Nocy światło wieczyste, które mu tu, na ziemi, tak nagle zagasło...

Dziewczęca narzeczona...

Od chwili jej śmierci poeta wszystkie swoje marzenia, całe swoje *życie tajemne* z niej snuje, ku niej prowadzi i nią, jako koroną gwiazd, wieńczy. Stąd mistyka jego ma tak odrębny, uczuciem nabrzmiały ton.

„Hymny“ posłał zaraz, w ślad za nią. I tylko dlatego przeważa w nich pragnienie śmierci, a miłość przebrzmiewa w bolesną, życiem zniecierpliwioną żądzę wiecznego snu.

Ale Zofja poszła tam z całą wiecznością kochania i wnet nowe poczyna dzieło. Już, otrząsnawszy się z osłonek dawnej osobistości, staje się owem „Nieznaniem — Świętem“ (jak sam poeta rolę jej w „Henryku von Ofterdingen“ oznacza), niebiańskim szczytem, ku któremu podnoszą się na falach wiekowego rozwoju żywioły wszechświatowe.

Zwycięstwo Nocy — to nie *niebył*, unicestwienie pierwiastków życia. To powrót dawnej, boskiej Nocy, która była matką światła i świata i człowieka. To objęcie władzy na nowo przez wieczną, nieodmienną młodość.

Słońce dnia zagaśnie, jako symbol spiekoty, męki duchowej — i pocznie się nowy świat, w którym „tęsknota spotka się z tęsknotą“...

Fantazja, Baśń, Miłość — oto żywioły nowego świata. I kiedy tym, co „*śpiewają i całują*“, większa przyznana będzie wiedza, niżli uczonym i „gdy nanowo światło i cień w przejaskność się pożenią czystą — a w baśniach i poezji wieczne poznają wszyscy świata dzieje“ — — natedy „*jedno tajemne słowo*“ przemieni wszystko dookoła...

I będzie Zofja wieczną serc kapłanką...

Bywali mistycy, spekulujący metafizyką życia zaświatowego. Novalis może jest pierwszy z tych, którzy mistycznie *kochają* — poza wszelkimi określeniami religijnymi i metafizycznymi; i jest z tych, którzy przez tę miłość czują i tworzą *piękno* — i w miłości i pięknie widzą *przeobrażenie życia*...

Nawet stosunek jego do Chrystusa tylko z tych płynie źródeł. Chrystus — wcielenie miłości tak przeogromnej, że aż zgodził się zginąć dla niej..

Młode serce poety nie znalazło ukojenia miłosnego na ziemi. I wydaje się, jakby w chwilach ekstazy chry-

stusowej cała tak okropnie zawiedziona żądza serdeczna
zrywała się w nim do objęć miłosnych:

„płakać muszę, ciągle płakać:
Gdybyż raz choć mi się zjawił,
Z oddalenia — choćby raz!“

Potrzeba zmysłów: *ujrzeć i dotknąć!*...

To też symbolika miłosna poety jest często plastycz-
nie, zmysłowo wyrazista. Wtedy pragnienia jego duszy
oblekają się w kształt, roześmiany miłosną rozkoszą, upo-
jony mocną, przenikliwą zmysłów — pieśczętą.

Obraz z opowieści w „Henryku von Ofterdingen“:

„Wnet znikły doszczętnie wszystkie przerażenia. Nie-
bo i ziemia spłynęły w słodkiej muzyki melodję. Prze-
cudny kwiat, lśniąc, na łagodnej przepływał fali. Ponad
tonią zawisnął błyszczący łuk, a na nim z obu stron ku
fali na tronach wspaniałych boskie siedziały postaci. Naj-
wyżej siedziała Zofja, z czarą w ręku, obok wspaniałego
mężczyzny, który na włosach miał dębowy wieniec,
a w prawicy, zamiast berła, palmę pokoju. Nad kielichem
płynącego kwiatu pochylał się liść lilji, na którym sie-
działa mała baśń, przy wtórze harfy najśłodsze nucąc
pieśni. W kielichu zaś kwiatowym leżał sam Eros, przy-
krywający sobą piękną, śpiącą dziewczkę, która go
w mocnym trzymała objęciu. Wokoło nich obojga wil
się jeszcze kwiat mniejszy, tak że od bioder zdawali się
przemienieni w jedno kwiecie.

„Eros z zachwytem dziękował Ginnistanie*). Objął
ją czule, a ona oddawała mu pieśczęty.... Poprowadziła
go w oddalone miejsce, do kąpieli, zdjęła z niego zbroję,
a sama włożyła nocną szatę, w której wyglądała dziwnie
kuszaco. Eros zanurzył się w niebezpieczną toń i upojo-
ny wnet się z niej wychylił. Wtedy Ginnistan osuszy-
ła i natarła mocne, siłą młodzieńczą prężące się jego

*) Wyobraźnia.

członki. On zaś, wspomniawszy z rozgorzałą tęsknotą ko-
chanek swoją, objął czarowną Ginnistan, słodkim zdjęty
szalem....“

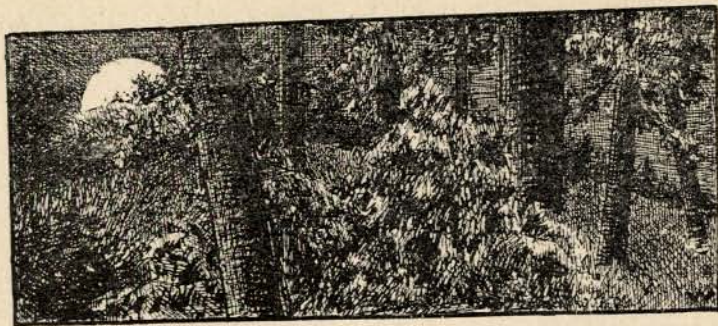
Tak dziwnie odbiega ta obrazowość od głosu, który
wybrzmiewa z „Hymnów“, a który jest *cichy, oddalony
i osłonięty*...

Ale właśnie dopiero dotknięcie się różnych sfer
twórczej duszy Novalisa daje nam odczuć w pełni mi-
łość jej, z zaświatów idącą w kształt, aby przezeń zno-
wu do źródeł podążyc.

Kiedy dawni mistycy religijni dla miłości Boga rzu-
cali ludzi, dla miłości ducha gardzili ciałem, a przez
wzgardę dla ciała wyklinali naturę i jej piękno — to No-
valis jest z rzędu tych, których dusza miłująca ogarnia
wszelki twór i kształt i do serca miłości swojej podnosi:

„Ludzie, zwierzęta, rośliny, kamienie i gwiazdy,
żywyoty, tony i barwy schodzą się jako jedna rodzina,
działają i mówią jako jeden ród“...





NOVALIS.

HYMNY DO NOCY.

1.

Kto z żywych a czujących nie ukochał—nad wszystkie cuda rozpostartych wokół niego przestworzy—siejącego radość światła, barw jego, i promieni, i fal, i jego łagodnie po dniu rozlanej wszechobecności? Jako najwewnętrzniejszą duszą życia, oddycha nim niestrudzony ogrom gwiazdnych światów i, tanecznie kołysząc się, w jego błękitnej płynie toni, oddycha nim lśniący, w wiecznym spoczynku pogrążony kamień i cicho chłonna żywa roślina i dzikie, płomienne, wielokształtne zwierzę— a przed wszystkimi wspaniałymi ów przybysz, z tchnącymi myślami oczyma, lekko posuwającym się chodem i delikatnie zwarciemi wargami, bogatą dźwięków skarbnicą. Jako król ziemskiej przyrody, przyzywa ono każdą siłę na niezliczone przemiany, kojarzy i wyzwala nieskończone związki, a obraz swój niebieski na każdej ziemskiej zawiesza istocie. Jego to obecność objawicielką jest wspaniałych cudów świata.

Ale ja się od niego odwracam — do świętej, niewysłowionej, tajemniczo pełnej Nocy. Gdzieś zdala leży świat zapadły w głęboką czeluść: samotnie w nim i pusto wszę-

dy. Po strunach piersi mej głęboka wionie żalność. W kroplach rosy chcę spłynąć w dół i z popiołami ziemi się pomieszać. Oddale wspomnień, życzenia młodości, dziecięce sny, długiego życia krótkie radości i płonne nadzieje przychodzą oto w szarych sukienkach, jak mgła wieczorna po zachodzie słońca. W innych przestworzach światło radosne rozbiło namioty. Czyżby nie miało powrócić już nigdy do dzieci swoich, z wiarą go niewinności czekających?

Jakież to nagle źródło przecucia tryska z pod serca i miękkie tchnienie żalności pochłania? Żali i ty, Nocy ciemna, upodobałaś nas sobie? Cóż to ukrywasz pod płaszczem swoim, co z niewidzialną siłą przenika mi duszę? Rozkoszny balsam spływa z twojej dłoni, z pęku makowych główek. Ciężkie skrzydła mej duszy unosisz w górę. Niejasne a niewymowne ogarnia mnie wzruszenie: widzę radośnie strwożony, poważnie ku mnie skłoniętej lico i wzrok łagodny a skupiony, i z pod wijących się w nieskończoność splotów, z Matki poczętą, wdzięcznie zjawioną młodość.

Jak biednem, jak dziecinnem zda mi się teraz światło; jak radosnem, błogosławionem odejście dnia! Więc jeno dlatego, że Noc odwraca od ciebie tych, co ci służyła, posiałaś w bezmiar przestworzy świecące kule, aby twą wszechmoc zwiastowały i powrót swój, pókiś ty od nas daleko? Bardziej niebiańskie, niż owe połyskujące gwiazdy, zdają się nam te oczy nieskończone, które na nas rozwarła Noc. Dalej widzą one, niż najbledsze z owych niezliczonych zastępów, i ani potrzebując światła, przenikają głębie miłującej duszy i wyższe jeszcze przestworza niewysłowioną sycą rozkoszą. Sława królowej świata, dostojnej zwiastunce świętszych światów, żywicielce miłości niebiańskiej! Ona mi ciebie zsyła, cicha kochanko, miłosne Nocy słońce! Oto czuвам teraz, gdyż jestem twoim i moim: tyś mi Noc Życiem zjawiała, ty uczyniłaś mię człowiekiem. Pożeraj ducha żarem moje ciało, bym się

powietrzny stał i ściślej zmieszał się z tobą i aby wtedy wieczycie trwała nasza Noc-ślubna.

2.

Zawsze więc musi powracać ranek? Nie skończy się nigdy ziemskich potęg moc? Nieszczęsny wir zatrudnień zżera niebiańskie tchnienie Nocy. Zali nigdy nie będzie płonąć wieczycie tajemna Miłości ofiara? Odmierzona została światłu pora jego, ale panowanie Nocy poza krańcami jest czasu i przestrzeni. Wiecznem jest trwanie Snu. Święty Śnie, jeno nie przybywaj zbyt rzadko uszczęśliwiać poświęconych Nocy w tym wirze dziennych spraw. Tylko głupcy nie znają Ciebie i o innym nie wiedzą śnie, jak o tym cieniu, który ty w zmierzchu istotnej Nocy litośnie na nas rzucasz. Oni Cię nie czują w złotej toni gron winnych, w cudownym oleju migdałowych drzew i w brunatnym soku maków. Oni nie wiedzą, że oto ty uroczej dziewczyny owiewasz pierś i niebem czynisz jej łono, nie przeczuwają, że ty ze starych wychodzisz powieści, rozwierający niebiosy, dzierżący klucze do niebieskich mieszkań, nieskończonych tajemnic zwiastun milejących.

3.

Niegdyś, kiedy gorzkie przelewałem łzy, kiedy się w ciężki ból rozplynęła moja nadzieja i samotny stanąłem na opustoszałym wzgórzu mogilnym, co w wązkim ciemnym zamknięciu kryło życia mego wcielony kształt, samotny tak, jak nikt z samotnych dotąd, niewymownym lękiem spętany, bezsilny, już jako jedna tylko myśl o nędzy—kiedy tak rozglądałem się naokół o pomoc, niezdol-

ny naprzód pójść ani wstecz i z nieskończoną tęsknotą do pierzchającego, zgasłego lgnąłem życia:—wtedy z błękitnych dali, z wyżyn odwiecznej szczęśliwości dreszcz spłynął zmierzchu, i zerwały się naraz więzy urodzenia, prysnęły kajdany światła. Rozpierzchła się wspaniałość ziemską, a z nią i smutek mój, i popłynęła żalność moja w nowy, nieprzenikniony świat; tyś to Nocy-natchnienie, Śnie niebios, zstąpiło na mnie: podniosła się lekko w górę cała okolica, a nad nią rozwiązany, nowozrodzony bujał mój duch. Tumanu mgłą stała się mogiła, a po przez mgłę widziałem świętym rozpromienione blaskiem rysy Ukochanej. W jej oczach spoczęła wieczność, ująłem ją za rękę i w lśniący, nierozzerwalny węzeł zmieniły się na nich moje łzy. Tysiącolecia toczyły się w dal, jak huragan. Na jej piersi płakałem zachwyty łzy—nowemu życiu powitanie.—Był to pierwszy, jedyny sen i odtąd dopiero czuję wieczną, niewzruszoną wiarę w niebo Nocy i jego światło, Ukochaną.

4.

Teraz wiem już, kiedy ostatni będzie poranek, kiedy nie spłoszy już światło Nocy ani Miłości, kiedy sen wiecznym będzie i jako jedno niewyczerpane marzenie senne. Niebiańskie czuję w sobie omdlenie.—Daleką i nużącą stała mi się pielgrzymka do świętego grobu, uciskającym krzyż. Kto zakosztował kryształowej fali, co — pospolitym zmysłem niedostępna — wytryska w ciemnym mogiły łonie, u stóp której ziemską łamie się toń: kto zakosztował jej, kto raz już stanął na tem granicznym wzgórzu świata i spojrzął poza nie w nowy kraj, w przybytek Nocy — prawdziwie, ten już nie wróci w świata wir, w ów kraj, gdzie przemieszkiwa światło w wiecznym niepokoju.

Tam na górze, buduje sobie namioty, przybytki pokoju i w miłości i w tęsknocie ku drugiemu brzegowi pogląda, aż go najpożądaną ze wszech godziną do źró-

deł kryształnej sprowadzi fali. Co ziemskie, wypływa na wierzch i znowu burzą ściągnięte opada, ale co świętem się przez dotknięcie stało Miłości, tajemnem łożyskiem przepływa na tamtą stronę, gdzie mieszka się jak woń z drogimi nam, zgasłymi. Jeszcze mię budzisz, zmęczonego, do pracy, światło ochocze, jeszcze mi wsączasz życie radosne, ale nie zwabisz mnie od pokrytego mchem pomnika wspomnień. Chętnie w ruch wprawię skrętne dłonie, znajdę się wszędzie, gdzie mię zawiesz, sławić będę przepych twego blasku, spokojnie badać piękne powiązanie twego, pełnego kunsztu dzieła, rozważać chętnie zamysłony chód twego potężnego, świecącego zegara, przenikać sił równomierną moc i prawidłą cudownych obrotów w nieskończonej światów przestrzeni—ale wiernem zostanie Nocy utajone serce moje i córce jej, Miłości twórczej. Czy ty mi zdołasz wskazać wiernie na wieki serce? Czy twoje słońce pozna mnie oczyma przyjaznymi? Ujmą-li gwiazdy twoje moją stęsknioną dłoń? Alboż oddadzą mi uścisk czuły i pieśczętliwe słowo? Żaliś to ty je ozdobiło barwami i lekkim zarysem, lub czy nie ona klejnotom twym wyższe i miłsze dała znaczenie? Jakie radości, jakież rozkosze przynosi życie twoje, iżby przeważać mogły zachwyccenia śmierci? Czy wszystko, co nas rozplomienia, nie w barwach się Nocy zjawia? Ona i ciebie jako matka w łonie nosi i jej całą zawdzięczasz wspaniałość. Rozpyliłobyś ty się samo w sobie, rozeszłobyś się w bezkresnej przestrzeni, gdyby cię ona nie piastowała, gdyby cię nie spowiła, abyś rozgrzane, płomieniejące świat mogło zrodzić. Prawdziwie, i jam był, zanimes ty było: matka posłała mię z rodzeństwem, byśmy zamieszkali twój świat, miłością go poświęcili na wiecznotrwały pomnik i niewiędnące posiali nań kwiaty. Jeszcze nam one, te myśli boskie, nie rozkwitły w pełni, nieliczne jeszcze są ślady naszego objawienia. Kiedyś twój zegar wskaże kres czasu, gdy się ty staniesz jako jedno z nas i w żarliwej tęsknocie zgaśniesz i skonasz. Czuję to już w sobie, ten

koniec twej skrzętności, tę wolność niebiańską, błogosławiony powrót. W szalonych bólach przyszedłem ku poznaniu twego oddalenia się od ojczyzny naszej, twego oporu względem starego, wspaniałego nieba. Ale wściekłość twa i szal twój daremny. Niezżarty płomieniem stoi krzyż, zwyciężki sztandar naszego rodu.

Gdy się już skończy
 Męka ma w świecie,
 To cała spłynie
 W rozkoszy kwiecie.
 Maluczko jeszcze,
 A wyzwoloną
 Złożę mą duszę
 W miłości łono.
 Bezkresne życie
 We mnie się burzy,
 Patrę z tych wzgórz
 Na twoje jaśnie:
 Na tem wzniesieniu
 Blask twój już gaśnie.
 O, daj mi, cieniu,
 Twe chłodne wieńce,
 I wyszlij, drogi,
 Krwi mej rumieńce,
 Abym cię kochać
 Mógł w wiecznym śnie.
 Nową mi młodość
 Niesie śmierci toń,
 Krew mi się ulatnia
 W balsamiczną woń,
 We dniu pełen żyję
 Nadziei i wiar,
 A nocą mię chłonie
 Śmierci święty żar.

5.

Dawnemi czasy, nad rozlicznymi plemionami ludów żelazny los z głuchą władał potęgą. Ciemna i ciężka więź pętała trwożną ich duszę; bezkresną była ziemia, bogów przybytek a ich ojczyzna. W odwieczności poczęła się tajemnicza jej budowa. Nad czerwonymi górami wschodu, w świętym łonie morza mieszkało słońce, we wszystkim płonące, żywe światło. Stary olbrzym dźwigał szczęśny świat. Popod górami leżeli przywarci matki ziemicy prasynowie, bezsilni w wścieklej żądzy zniszczenia przeciw nowemu, wspaniałemu pokoleniu bogów i radosnym krewnym ich, ludziom. Ciemna, zielona głęb morska łonem bogini była. W kryształnych grotach ucztował rozkoszom oddany lud. Rzeki, i drzewa, i kwiaty, i zwierzęta człowieczy miały zmysł. Słodszym się zdało wino, rozlewane dłońmi bujnie wcielonej młodości; i w upojnych gronach bóg; i w pełnych, złotych łańcach dojrzewająca bogini-matka kochająca; i w miłości świętem upojeniu słodka służba najprzepiękniejszej z bogiń. Płynęło życie niby wiecznie głośnie święto dzieci nieba i ziemi, płynęło jak wiosna, szumiąc przez stulecia. Wszystkie narody w dziecięcej miały cześć łagodny, tyśiąckrotny płomień, jako Najwyższe w świecie. Jedna tylko była myśl, jedno przerażające widmo senne,

Co wraz płoszyło wesołe biesiady
I powijało dusze w lęk szalony,
A na to żaden bóg już nie miał rady,
Ani pociechy dla piersi stłoczonej.
A potwór kroczył tajemnymi ślady,
Daremna prośba, wszelki dar był płony:
Była to śmierć, co uczt radosne pienia
Nagle we trwogę, i łzy, i ból zmienia.

Bo jeno w śnie zamglonym pokładali
W bezsilnej walce żywot swój po zgonie,
Gdy wszelka rozkosz, co się w sercach pali,
Na wieki spływa w niepamięci tonie;
A ukochanym, którzy tu zostali,
Żał się, tęsknota próżna zrywa w łonie.
Tak się użycia fale rozbijały
O bezbrzeżnego smutku twarde skały.

Wzmaga się człowiek duchem poprzez wieki,
Upiększa śmierci okropne wejrzenie:
Młodzieniec światło gasi na sen lekki,
Cichym się staje skon, jak harfy drzenie,
I pamięć tonie w nurtach chłodnej rzeki.
Tak pieśń śpiewała smutkom ukojenie.
Lecz niezgłębione trwały wiecznej Nocy
Tajnie — milczące znamię obcej mocy.

Ku końcowi chylił się świat stary. Zwiądł ogród rozkoszy młodego rodu ludzkiego i w wolny, pustynny przestwór piał się zbyty dziecięctwa, dorastający człowiek. Bogowie znikli, wraz i ich zastępy. Pusta, bez życia stanęła przyroda. W żelazny łańcuch suchą wiązała cyfrę i ścisłą miarę. Jako w pył powietrzny, w ciemne się rozproszyło słowa niewyczerpane kwiecie życia. Rozpierzchła się wywołująca cudy wiara i wyobraźnia, niebios towarzyszka, sprawczyni wszech przemienień i skojarzeń. Przez zdrętwiałe niwy powiał zimny, nieprzyjazny wiatr północny, a cudów zdrętwiała ojczyzna rozplynęła się w eter. Niebieskie dale zaroili się świecąciami światy. A dusza świata z całą swą potęgą w głębszą cofnęła się świątynię, w wyższe przestworza ducha, by władać tam aż do wznijścia nowego brzasku wspaniałości. Nie było już światło przybytkiem bogów i niebios znakiem: zasłonę Nocy rzucili na się. Noc stała się potężnym łonem objawień; do niego wrócili bogowie, zapadli w sen, by w nowych i wspanialszych kształtach na prze-

mieniony zejść świat. W narodzie, co przed wszystkimi innymi okryty był wzdarda, zawczasie był dojrzał i błogiej niewinności dziecięctwa przekornie stał się obcym, nowy się zjawił świat o nieznanem dotąd wejrzeniu; w ubóstwie poezją owianej chaty, jako syn pierwszej Dziewicy-Matki, tajemnego objęcia owoc bez początku i końca. Wieszcząca, rodzajna mądrość Wschodu pierwsza poznała poczęcie się nowego czasu: do kornej kolebki króla gwiazda wskazała jej drogę. W imieniu dalekiej przyszłości w hold mu złożyli blask i woń, najwyższe cuda natury. Samotnie rozwierało się serce niebiańskie w kwiat wszechwładnej miłości, ku wysokiemu Ojca podnosząc się obliczu, z miłosną powagą piastowane na łonie błogosławionej Matki. I wieszczą żrenicą sięgało rozkwitające dziecię w dni przyszłości, przebóstwiająca żarliwością ogarniało umiłowanych przez się, z jego boskiego pnia poczętych, nie zatroskane o ziemski dni swych los. Rychło się najdzieciętsze dusze, cudownie głęboką porwane miłością, skupiły przy nim. Jak kwiaty zakiełkowało w pobliżu niego nowe, obce dotąd życie. Niewyczerpanej głębi słowa, najradośniejsze zwiastowania padały z jego miłujących warg, jak iskry bożego ducha. Z dalekich pobrzeży, pod jasnym Hellady niebem zrodzony śpiewak przybył do Palestyny i przed cudownym dziecięciem całe serce swoje otworzył:

„Tyś jest młodzieńcem, co zdawna w głębokiej
Na grobach naszych zadumie spoczywa,
Radosnym znakiem, zesłanym na mroki,
Wyższej ludzkości zapowiedź szczęśliwa.
Co dotąd smutkiem nam pętało kroki,
W słodkiej tęsknocie dziś nas stąd porywa.
Śmierć nas w wiecznego życia wiedzie drogę:
Tyś Śmiercią, co nam zdrowie niesie błogie“.

Odszedł pieśniarz, szczęśliwości pełen, do Indostanu, słodką pijany miłością i w płomiennych wylewał ją

śpiewach pod owem łagodnem niebem, tak iż się serc tysiące skłoniło ku niemu a radosna nowina tysiącami gałęzmi rosła wzwyż. Rychło po jego odejściu drogocenne życie ofiarą się stało głębokiego upadku ludzkiego: w młodych leciech umarł, oderwany od ukochanego świata, płaczącej matki i przyjaciół spłoszonych. Niewymownych udręczeń ciemny kielich wypił do dna. W prze-rażającej trwodze nowy się przezeń rodził świat. Twardo się musiał łamać ze strachem starej śmierci, ciężko go stary świat przygniatał. Raz jeszcze przyjaznym wzrokiem poszukał matki, wiecznej Miłości wyzwalająca go dłoń dotknęła i zasnął. Przez niewiele jeno dni głęboka zasłona wisiała nad huczącym morzem, nad lądem drżącym, niezliczone łzy przelali miłujący go — i odjęte zostały pieczęcie tajemnicy: niebieskie duchy dźwignęły z ciemnego grobu prastary głaz. Aniołowie siedzieli przy śpiącym, z jego lekkich marzeń sennych zrodzeni; a on zbudzony w nowej wspaniałości bożej, wyszedł na nowopoczęty świat, w opuszczonej jamie własną ręką starego trupa zagrzebał i na niej wszechpotężną dłonią położył kamień, którego nie dźwignie żadna moc.

Jeszcze, którzy miłują ciebie, łzy leją radosne u twego grobu, bezdennych dziękczyniń łzy, jeszcze, radośnie strwożeni, widzą cię ciągle wstającego z martwych i siebie z tobą wraz, widzą cię słodkim, gorącym płaczem na szczęsnem łonie Matki łkającego i wśród przyjaciół jak krocysz poważnie, mówiący słowa, niby zerwane z drzewa żywota, w ramiona ojca wreszcie jak śpieszysz przepelny utęsknienia, poczętą, młodą niosąc mu ludzkość i przyszłości złotej niewyczerpany puhar. Wrychle za tobą śpieszy matka w niebiańskim tryumfie, pierwsza ona w nowej ojczyźnie była przy tobie. Długie odtąd popłynęły czasy, a nowe twe stworzenie coraz wyższy okrywał blask, a tysiące poszły za tobą, od bólów i mąk, w wierze, tęsknocie i wierności, i dziś już z tobą i Niebios-Dziewicą w państwie Miłości przemieszkują, w świą-

tyni służą niebiańskiej Śmierci i twemi są na wieków wiek.

Odjęty już jest głaz,
Ludzkość powstała z grobu,
Kajdany spadły z nas,
Wszyscyśmy wiecznie z tobą.
Przed złotą czarą twą
Ból wszelki od nas bieży,
Więzy się życia rwą
W ostatniej twej wieczerzy.

Na gody Śmierć nas woła,
Z lamp jasny blask się skrzy,
Panny czujne u stoła,
Już ich nie zmorzą sny.
O niechże już zdaleka
Zabrzmią nam kroki twe,
I głosem niech człowieka
Gwiazdy odezwą się!

Tysiąc dziś serc, Maryjo,
Ku tobie tęsknie drży,
Na piersi twej odżyją,
Gdy je przygarniesz Ty.
Przez życia tego pęta,
Co przeszło im, jak cień,
W tobie składali, Święta,
Nadzieję tęsknych tchnień.

Oto już jest ich wiele,
Co ten rzucili świat,
By w tobie mieć wesele,
Stracić udręczeń ślad;
Co w trudzie nam i biedzie
Pomoc zsyłali wraz;
Dziś śmierć nas ku nim wiedzie,
Na wieczny z nimi czas.

Kto wierzy, ten w żalobie
Krwawych nie leje łez,
Miłości mu i w grobie
Nie wydrze żeden kres.
Tęsknotę mu przesłoni
Nocy natchniony mrok,
A serce jego chroni
Niebieskich braci wzrok.

Przed się idziem, skrzepieni,
W wiecznego życia dnie,
I myśl się nam promieni,
Wnętrzny ją wznosi żar.
Z gwiazd wino złote płynie,
Życia zeń pijem czar,
I sami po tem winie
W gwiazdy przeświecim się.

Znikły rozdziałów dale,
I miłość wolna już,
Wrą pełne życia fale,
Jak toń bezkresnych mórz.
I Noc wieczyście błoga,
I wiecznej Pieśni znicze!
A słońcem naszym Boga
Odwieczne jest oblicze.

6. TĘSKNOTA DO ŚMIERCI.

O byle prędszej w ziemi głąb,
Ze światel precz w kraj cieni!
Boleści, srożej na nas zstąp,
My już odlotu spragnieni.
Niech śpiesznie wążka łódź pobieży,
Aż po niebieskich skraj wybrzeży.

Bądź, Nocy wieczna, pochwalona,
 Pochwalon bądź wieczysty śnie!
 Już nam od smutku zwiędły iona,
 I żarem nas spaliły dnie.
 W tej nas obczyźnie nic nie cieszy,
 Do Ojca domu dusza śpieszy.

Na cóż się miłość nasza zda
 I wieczność tu, wśród tych ludzi?
 Co dawne, za nic dziś się ma,
 A nowe już nas nie złudzi.
 W samotnej żyje poniewierce,
 Komu się w dawny czas rwie serce,

W ów czas, gdy jasnych dusz płomienie
 Wzbijały się w niebieski krąg,
 Gdy blizkiem Ojca im spojrzenie,
 Blizkiem dotknięcie było rąk,
 A ludzie prości i podniosli
 Podobni Przeświątemu rośli,

Kiedy prastarych ludów pień
 W bujne obleka się kwiecie,
 I na męczeńskiej śmierci dzień
 Stroi się każde już dziecię.
 A serca, gardząc tu rozkoszą,
 W wiecznej Miłości Noc się wznoszą, —

W ów czas, kiedy w młodzieńczem ciele
 Na świat sam Bóg pojawił się,
 A ból i trwogę wziął w udziale,
 I na śmierć oddał życie swe.
 I mężnie ścierpiał mąk katuszę,
 Za naszą miłość kładąc duszę.

Dziś Nocy Go skrywają mgły,
 Tęskne doń prężą się ręce,

Lecz ukojenia ziemskie dni
 Nie dadzą w pragnienia męce.
 W ojczyzny musim wrócić stronę,
 Tam ujrzym święte czasy one.

Cóż nas strzymuje od powrotu?
 Najmilsi wszyscy dawno tam,
 Grób ich naszemu kres żywotu,
 Już jeno żal i pustka nam.
 Serce jest syte, czezy i niemy
 Świat ten, nic w nim już nie znajdziemy.

Z bezmiarów tajni wstrząsa mię
 Dreszcz, co nam słodką pociechę,
 Z głębných oddali, zda się, mknie,
 To naszej żałoby echo.
 Drogich to naszych tęskne cienie
 Tęsknoty nam zsyłają tchnienie.

Weź, ziemio, do Jezusa nas,
 Do słodkiej oblubienicy.
 Otuchy! zmierzch drży, dzień już zgasł,
 I smętni my, miłośnicy,
 W sen idziem, co nam więzy rzuci
 I w łono Ojca nas powróci.

Przełożył ANDRZEJ BAUMFELD.





JAN KLECZYŃSKI.

MARZANNA.

(Ciąg dalszy).

Księżę przystanął nagle. Coś sobie przypominał, popatrzał na nich wszystkich... popatrzał na każdego z osobna... W oczach mu zapłonęło zimne, złowrogie światło. Lecz jednocześnie dziwnie się jakoś zawstydził.. Zmieszał się jak dziecko, gdy stanie przed surowym ojcem.

Mętne, lodowate wiry szły mu po krzyżach ku głowie. Nieokreślony lęk wypełzał z czeluści jego duszy — a zarazem budziła się w niej tajona radość, czy wściekłość.

Był jak osaczone zwierzę, co szuka drogi do ucieczki

Patrzył, jak od purpurowego gmachu namiotu szedł długi cień na tłumy w żelazo przybranych żołnierzy i ginał w cieniach lasu pomiędzy namiotami, jak słońce rzucało złote blaski na trawy i drzewa, ale promienie te nie gorzały jeszcze gorącą poświatą zachodu.

— Ach prawda, jeszcze słońce nie zaszło... prawda... prawda...

— Jeszcze czas — szepnął z miękką, bezgraniczną rozkoszą, co spłynęła mu drżącą falą ciepłej krwi do serca.

Tarł czoło, przypominał coś — oh, to było tak święte, tak bezmiernie wielkie, tak straszliwe... To dzisiaj... to już zaraz...

Uniesienie go porywało. Gorące fale krwi buchały do głowy, to znowu zalewały go zimne strumienie potu.

Lecz zarazem dławiały, choć rozkoszny lęk nie uchodził. Błądził po całym ciele mroźnemi, drżącemi mgłami, z najtajniejszych kryjówek jego istoty, niby z dna błot bezdennych, wrywał garście wichrów, zleniwiałych w uspieniu, a one w bezsilności opadały w otchłanie, w nowym wściekłym porywie biegły gdzieś aż pod gardło, zaciskały je lodowymi pierścieniami powiewów, znów zapadały w czarne jak wieczność dno duszy — aż wtem zerwały się, jak stada spłoszonych kruków, uderzyły szumiącą lawiną pod czaszkę — i tam, pod tem olbrzymiem, krwią rozpalonem sklepieniem, zahuczały ponurą wicherą przerażenia.

Zachwiał się, zakołysał.

Ciemność owiała mu głowę.

Ciche, potężne fale porwały go na swe grzbiety. Wznosił się i opadał na ciemnych, rudawych bałwanach. Czuł, jak jego nogi bezwładne wiązały się z temi falami, jak życie zeń uciekało, wsiąkając w te wały olbrzymie.

I wtem z rozszałatego morza tych miedzianych ciemności wypłynęła cichaczem, jak nieme widmo sumienia, cisnęła mu się w oczy, niby pocisk zdradziecki, błada jak cyna twarz, wykrzywiona boleścią, otoczona kłębamii białych dymów świątyni, ta droga twarz w idjotycznym półuśmiechu szaleńca, z oczyma skurczonemi,

wywiniętemi ku górze, z oczami, co na wierzch wyszły w proroczem widzeniu prawd wiecznych...

Cofnął się w siebie, krew zakrzepła mu w żyłach.

Widział, jak z huraganu czarnych jak noc kędziarów, co wisiały bez ruchu po bokach zdrętwiałej twarzy, z całej tej kruczej warty milczących stalaktytów — patrzała w niego biała, jak światło miesiąca, lśniąca matowym blaskiem surowego metalu, ta cudna twarz, skamieniała w dzikim szale rozpaczy, w zapędzie uniesienia, co oddech w piersiach zapiera — i biła mu oniemiałe oczy swą śmiertelną bladością, biła mu oczy i duszę każdym spiżowym rysem, każdą kamienną fałdą bezmyślnego uśmiechu, każdym włosem, stężałym w napięciu niemej boleści.

I widział jak te oczy, te drogie, te święte oczy, te dwa czarne, jak wichry jesienne płomienie, zaszklone teraz lodowatą skorupą cierpienia, sypały ciche iskry milczących wiecznie tajemnic, wpijały mu się lepkiemi żądłami w zmartwiałe serce, wessały mu się w najdzikszą głuszę jego duszy, w jej ciemne dno. gdzie mieszka już tylko strach i sumienie — i patrzyły z straszliwym spokojem przeznaczenia... o bogowie!... patrzyły trupim wzrokiem jadowitego węża. . patrzyły gdzieś poza niego, czy przez niego nawskroś...

Wpadał w otchłań wirowym, wyjąłym wichrem...

Wtem wstrząsnął się — osłupiał. Żelazna siła szła na niego z bezmiaru, zamieniała go w kamień...

Piorun mu przebiegł przez ciało.

— Konia!! — wydarł mu się z piersi dziki krzyk, obcy krzyk — sam wydarł mu się z piersi, bez jego woli, nie jego głosem.

Tłum zakolysał się. Prowadzono mu konia.

Skoczył jak tygrys ku leniwym pacholkom. Obca, straszliwa siła władała jego czynami.

— Prędeż! Prędeż! — syczał z pianą na ustach.

Wpadł w tłum żołnierzy, odrzucał ich stalowymi ramionami — torował sobie drogę do śnieżnego rumaka...

Już chwycił konia za uzdę.... już kładł nogę w strzemię...

Wtem ktoś mu objął silnemi rękami kolana.

— Haa?!... Haa?!... — zacharczał ksiązę jak we śnie. Spojrzał: jakiś starzec przypił mu się do stóp konwulsyjnie, belkotał szybkie, bezładne, błagalne wyrazy. Ksiązę schylił się odruchowo, jakby go chciał porwać za ramiona — i wtem osłepiło mu duszę zimne słońce wściekłości. Szarpnął się całym ciałem, wyrwał nogi z uścisku, chwycił miecz — i w olbrzymim rozmachu uniesienia prawica jego trafiła jak w żelazne kleszcze w czyjeś dłonie.

Krew ścięła mu się w żyłach. Aż osłabł, przymknął oczy.

Kto śmiał?!...

Zastygł w strasznym spokoju. Wypuszczono mu rękę. Zanim to uczyniono przeżył wieki cierpienia, wzbierała w nim spieniona, dzika żądza morderstwa, włóczyły się po mózgu okropne, krwawe postaci, wbijane na pal ciała, rozszarpywane przez konie... Ale ból szaleńczego gniewu zastygł w monarszym majestacie.

A potem podniósł ksiązę ciężkie, zmartwiałe powieki i wpil nabiegłe krwią oczy w nieprzeliczony tłum — i chłostał, siekł ostrzem krwawych piorunów swych oczu te blade, wynędzniałe, przerażone twarze. łamał dusze tych lwich, nieustraszonych żołnierzy. Miecz drżał mu w potężnej, podniesionej dłoni, sam z zaciśniętej pięści wydierał się ku tym ludziom — lecz ksiązę stał, jak wykuty z granitu, stał groźny, jak czarna chmura w ciszy śmiertelnej przed burzą, kiedy wszystko co żyje zatrzymuje dech w piersiach, stał jak posąg szaleństwa i nieugiętej dumy — tygrys i łóg zarazem — bóg zemsty i zniszczenia.

A wtedy jakby z pod ziemi, powstał olbrzymi jęk i rozlał się w niezmierzonej puszczy pomrukiem wzburzonych wód. Jakby wichur powalił tłum żołnierzy na kolana, las rąk wyciągnął się ku księciu błagająco —

i ten jęk pęczniał wkoło nakształt dymnych obłoków, gdy się wznoszą kłębamii na jałowcowych ogniskach, wybuchał w mętnych tumanach ponad wierzchołki drzew, potężniał do krzyku fal, bijących o skały — aż runął w uniesieniem zawarte uszy książęce, otwarł te dumne podwoje, zwałił z trzaskiem wrzeczadze, wdarł się do duszy mocarza i wstrząsnął nią do podziemi.

Zimne dreszcze przebiegły po nerwach książęcych. Groza prześwięta otrzeźwiła mu oczy. Spojrzał w puszcę: ściemniała się chmurą skarg i boleści, odurzała mu serce huczającym wirem rozpaczy — szła od niej moc olbrzymia i kładła mu się pod stopy, wnikała w żyły płomieniem, burzyła krew odrętwiała — chwila jeszcze — zdumienie — rozkoszne przerażenie, że to rzeczywistość... że to jeszcze *tak*... a potem ognie czerwone buchnęły mu do głowy, zaszumiały mu w piersiach orle skrzydła potęgi — i porwały go wrzące fale straszliwego uczucia, fale dzikiej miłości do tych wiernych tysięcy.

Cisnął miecz. Gorzał cały. Zapamiętał się.

— Żołnierze!!!

Grom się potoczył po lesie.

A potem nagle cisza.

Jakby w przepaść padł wielki okrzyk księcia, w białawą, ślepią przepaść...

Kłębią się jeszcze bezgłośnie masy u stóp księcia... pełzają coraz wolniej... zastygły w oczekiwaniu...

Cisza... cisza...

Jak dzwon spiżowy drży księżę od własnego okrzyku... Dźwięczy mu dusza w tej ciszy rozgłośnie, przerażająco...

Chciałby coś wołać — krzyceć — wyrazi więzną w gardle... Mokra pajęczyna owija płonące serce... Strach wypelza z tej ciszy, z białawej, ślepej przepaści... strach czy wstyd, zimny, śmieszny... Cóż im powie — co?! —

Tysiące słów, tysiące huczy w głowie książęcej... Tysiące słów niezawodnych, co ludzi zmieniają w lwów...

To oni, którym króle były pokłony... To oni, co

przekopali góry, obalili lasy, rzeki i morza przebyli... Oni, witezie bez trwogi... wściekle wilki i psy wierne... syny ognia i orkanów... dzieci jego i ojce — piastuny chwały...

Pójdziemy na nowe zdobycze? na drugie pół świata?

Cóż im powie — co?! —

Cisza... cisza...

Tysiące słów — śmiech w sercu. Tysiące słów — jęk w duszy. Tysiące słów, jak pioruny — szaleństwo wyje pod czaszką. Gardło zatrzaśnięte, usta wpółotwarte — świst tylko głuchy wypada z piersi olbrzymiej — świst i rżenie... Cóż im powie — co?! —

Cisza... Cisza...

Dokąd im każe pójść teraz?... Huczy głowa jak dzwon... Tysiące słów, tysiące... Cóż im powie — co?! —

I znowu zrywa się pomruk — jak wichur w olbrzymim lesie:

— Żyj nam! Żyj! Żyj nam! Żyj!!

Huczy huragan, morze spienione:

— Żyj nam! żyj!!

Echo niesie okrzyki, niby grzmoty po górach...

— Wracaj!... Wracaj!... Ratuj!... Wracaj!... Żyj!...

Księżę stoi jak kamień — nie! jak drzewo spróchniałe.

Odnowa ten sam starzec pada do kolan książęcych.

To już nie krzyki, to wycia, wściekle wycia w około:

— Wysłuchaj go, wysłuchaj! Ratuj! Ratuj! Wysłuchaj!

Zimne, przerażające światło roznieca się w głowie księcia... On już wie... on przeczuwa... Musi przejść przez to piekło.

Schylił potężne bary. Mocarne dłonie drżą, gdy podnosi klęczącego za ramiona.

Patrzy w twarz...

To widmo?! Sen?! —

Litawor!... wódz, który strzegł Lwiego Grodu...

Strach i radość zimną strugą przeszły mu po plecach, szlochania pełzły ku gardłu...

Strach — strach — może uciec?!...

— Więc to prawda?—wyszeptał.

— Ty wiesz panie?... — bełkoce Litawor, a brzo-
wa twarz jego szarzeje, blednie...

— Mów, mów...

Książę wpija mu się stalowymi palcami w ramiona...
Coś przypomina... To dziwne, współsennie widmo... Ta
ściana purpurowego namiotu, a na niej cień brodatej, jak
z kamienia wykutej głowy, co na wyciągniętej szyi na-
słuchuje z ojcowską czułością...

Oh, co za straszna tęsknota!...

Litawor znowu chciał pochylić się do nóg pańskich...

— Mów... mów...

— O panie mój! — jęczy starzec — O najpotężniej-
szy z śmiertelnych...

Twarz jego kureczy się z bólu. Umilkł. Nie śmie
patrzeć wprost w oczy.

Straszliwa rozterka szarpie serce książęce. Chciał-
by temu starcowi rzucić się na szyję, jak bratu, lecz
tylko ścisnął ramiona jego jeszcze silniej.

— O panie mój! Zabij mnie! Ale mało nas było,
mało! Nieszczęście! Niech ja już nigdy nie wrócę do
ziemi naszej!

Znowu to zimne, przerażające światło w głowie
księcia. Oparł się całą siłą o ramiona Litawora. Widzi
i słyszy: pęka z trzaskiem tysiąca gromów olbrzymia
brama zamczyska, wypływa strachem wyjąca rzeka jego
ludu, niesie go, niesie...

I budzi się na dnie duszy zimna, leniwa gadzina...
Dlaczego ten człowiek tak go męczy?!...

— Mów!... mów!...—charczał cicho. Pałace oczy wpił
w wodza.

— Trzy miesiące jechałem do ciebie... Błądziłem
po lasach, pustyniach... Dziesięciu nas dojechało... Ba-
gna... dzikie hordy...

Stary wódz drżał—ledwie mówił.

— O panie mój! — O najsprawiedliwszy... Każ wy-
dać moje stare kości na męki!.. Hunnowie... chmury
Hunnów... Lwi Gród... Twój olbrzymi Lwi Gród!... Po-
łowa kraju w popiele...

I dalej coś mówił... Lecz książę już nie słyszał.
Postać siwego starca mieniła się przed nim, kołysała, zni-
kała... Słowa jego brzęczały mu koło uszu bez treści,
ulatowały w przestrzeń. Członki księcia tężały, dusza
lodowaciała. Słyszał gdzieś w sobie, czy poza sobą krzy-
ki, jęki rozpaczne, błagalne... Krwawe widma pływały
nad pachnącemi łąkami... Zaledwie stał na osłabłych no-
gach, pot mu wystąpił na czoło. I patrzył na poruszają-
ce się wargi Litawora, na łzy, spływające po jego suro-
wej twarzy, na siwą, trzęsącą się brodę—i oczy na wierzch
mu wychodziły z przerażenia. Czuł, że to, co mówi ten
człowiek, jest okropne.

— Milcz! — wykrztusił nagle zdyszany, dygocący.
Litawor uginał się pod ciężarem jego ciała.

— Więc tak mówisz?—co?—więc tak?!—a moje woj-
ska?!... twoje pułki!!... czekaj... czekaj... więc i oni... i ona..

Nie!—tego bał się wymówić—ale już wiedział... wie-
dział... a może teraz usłyszał...

Stary wódz przesłonił rękami oczy.

— Księżna pani... i dzieci!...

— Tak?!... A ona... matka?!...

— Ona jedna ocalała... z setką wiernych... błądziła...
na koniu... od chaty do chaty... gdzie jeszcze się bronią...
Święta niewiasta!... Żeby najcichsza skarga...

— Milcz! milcz!...

Jakaś stalowa toń, lśniąca głuchym odbłaskiem, roz-
pościerała się przed nim i ginęła w bezkresie.

— I nic? nic?... — szeptał bezmyślnie.

Litawor odsłonił twarz. Stała się groźną i twardą.
Oczy zabłysły wściekłym ogniem. Patrzył bez trwogi.

— Nie! — odparł ponuro — Kupy czarnych rumo-
wisk, okopcone, obdarte ściany spalonych domów, trupy
niepogrzebane, zaraza!... Na olbrzymim rynku Lwiego

Grodu, co teraz trawą porasta, stoi straszliwa piramida, wyższa, niż wieże twego zburzonego pałacu — piramida nagich czaszek i piszczeli twego wojska, twego ludu. co nie chciał iść w niewolę! Świecą się kości w złowrogiem pałacem słońcu, co od krwi i pożarów stało się czerwonym. Chmury kruków, nieprzejrzane stada wilków mieszkają po wsiach i miastach... a mają żer obfity — na długo... na długo...

Nastała cisza. Po lesie wiatr szumiał, świszczął, leciał gdzieś w dal bezmierną, umierał w głębokich odstępach... Gdzieniegdzie broń szczęknęła w zwartym tłumie żołnierzy...

I nagle syczy gadzina: wbić temu starcowi sztylet w samo serce — po rękęjęść!...

Podnosi głowę leniwie... Senny, złośliwy uśmiech ma na ustach... Widzi starca za mgłą... Powoli zdejmuje ręce z ramion jego...

Ale wódz runął mu do nóg, całuje mu stopy, wznosi ramiona, woła:

— Orle skrzydlaty!—Oh czemuż to ja właśnie wbiłem strzałę zatrutą w twoje serce! O, bogdajby mi język zgnił, bogdajby trąd splugawił moje bezwstydnne wargi! O panie mój! jam cię na rękach nosił, jam ciebie wojny i zemsty uczył — i nie umiałem zginać — i wstyd pożera moją duszę, że żyję jeszcze i patrzę na tę ziemię, co tyle krwi naszej wypila, tyle jęków słyszała, tyle deptania wraźmi stopy przeniosła! — Zabij mnie, zabij! — i niechaj psy rozwlóczą moje ciało po tych błotach przeklętych, i niechaj się mojem truchłem pasą gadziny leśne!—O pastwij się nademną, bo niemasz na mnie kary! Oh nie, nie jestem godzien twojego spojrzenia, nie jestem godzien przemawiać do ciebie—wiem, wiem, panie, ojeze, królu nasz, opieko nasza!.. Oh tak, tyś jest opieką naszą, mocą naszą... usłysz głos twego ludu!—Ratuj nas — ratuj państwo, ratuj Sławę!—Ratuj tę ludu połowę, co jeszcze się obroniła, lecz zginie, kiedy przyjdzie nowa wrogów nawała!—A przyjdzie z drugim latem—hej!—już teraz się

ciśnie!! — Ratuj nasze żony, nasze córki, siostry, dzieci, które jęczą w jasyrze i szarpią powrozami. Ratuj nas, którym tutaj, w tej dzikiej głuszy, miecze rdzewieją, serca w popiół się sypią, zemstą płonące! Ratuj nas — prowadź nas!!—Bo czemuż jesteśmy bez ciebie?—Bo któż jest chmurą straszliwą, co piorunami siecze? Któż jest górską lawiną, która skały wywraca? Któż jest ogniem niebieskim, co wrogom oczy wypala? Któż jest mieczem jarzącym, który nigdy nie chybia? — Orle skrzydlaty! Zemsty błagamy u Ciebie! Królu narodów, bądź teraz Zemsty królem! Uderz z wysoka, wbij w ziemię tę szarańczę! Krwi chcemy, krwi! Rwać żywe ciała! — Prowadź nas, synu bogów!—Wiesz, jak straszne jest twoje imię!—Ukaż się tylko, a pierzchną te dzikie hordy, te stada psów nieczystych, stada tchórzów podstępnych — rozmieścisz je jak wicher, gdy uderzy w garść pierza!!—

Zerwał się Litawor. Wiatr rozwiewa włos siwy, — z oczu idą płomienie — błysnął ostrą szablą.

— Prowadź nas!!—ryknął, a ryk ten zagrzmiął, jak rozkaz.

Zatrząśł się książę, jakby zbudzony ze snu. Dusza skurczyła mu się w zimny kłęb...

Zemsta!—Zemsta!—ogień płynie pod czaszką.—Zemsta! — Zemsta! — krew pęcznieje w żyłach...

Lecz dusza ucieka—zasuwa się sama w siebie — ucieka—ucieka—tężeje w gradowe ziarno—hej! jakże daleko od księcia ten wódz stary...

— Prowadź nas!! — Prowadź nas!! — huczy morze głów... kłębi się, miota, wyje, wybucha płomieniami...

Pęka czaszka od żaru.

Hej—jakże daleko te głosy wiernych żołnierzy...

Rozbłysły w płomienistym słońcu szable, topory, dzid ostrza—hej—jakże daleko rozbłysły te blaski ogniste, co las ubrały w płomieni tysiące...

Hej—samotny książę w tej ciżbie—samotny!... Hej żary głowy tak blisko, a dusza tak daleko!... Sam książę — sam — daleko od świata...

Hej jakże daleko odeń grzmi teraz głos Litawora, co oparł się na szabli ognistej i woła w zdumieniu i grozie:

— Ty wahasz się księżę? Milczysz... Oh... zbudź się z tych snów zatrutych!—O bogowie, zdejmijcie z niego czary piekielne! — Módlmy się, towarzysze, niech go Słońce oświeci, niech przepali mu ogniem piorunów zboleiałe serce, niech uczyni je twardem, jak stalowe panczerel...

— Słysz, księżę — wołają cię rzeki krwi Twego ludu—nie rzeki łez—bo takich moc Zemsty się wstydzi!— Nie łzy, nie płacze, nie jęki, lecz krew cię woła, krew, co wystrzela wulkanami z ziemi pohańbionej i krzyczy pod niebiosą, o gwiazdy się obija! — O niechże ta ludu krew stanie się górą olbrzymią i stoczy ci się na serce i zdławi ciężarem swoim wszystkie inne cierpienia — te straszliwe królewskie cierpienia, ale niegodne królów króla, niegodne orłów, co żywą krwią się żywią... Słysz księżę — to nie owieczek lękających stado cię wzywa, nie łachmany żebrzące, nie lud gęślarzy i niewolników, ale upiórów tumany, co noce burzami czerwienią i zęby zgłodniałe szczerzą i szponami serc bijących szukają!... Patrz w koło siebie—patrz na to plemię wilków i tygrysów — świat z nimi można odrodzić! Każdy z nich stu obali, każdy oczami zabija, zanim ostrem żelazem plugawą kość wroga przeorze!... Ty na ich czele — Królestwa pod nogami! — Ty na ich czele — bogowie się zatrwożą! Idź! — idź! — jeszcze czas — płyną dzieciny gromady... płyną już teraz — teraz — poznałem ich drogi... pójdziemy śladem... gdy przylecimy za nimi, na karki im nadepeczemy... wpędzimy w zasieki... żaden nie wróci do koczowisk...

— Ty się wahasz?! — Księżę... ty się jeszcze wahasz?!... Idziesz ku mnie na chwiejnych nogach... i wracasz... i znowu idziesz... i wracasz...

O jakże okropne na obliczu twojem męczeństwo...

— Zbudź się królu!! — Zbudź się do życia, do sławy..! — O czemuż nie możemy z serc naszych krwi uto-

czyć i przelać je w twoje, święte, schorzałe boleścią.. Zbudź się królu! — Sławę twoją ratuj, w tych puszczech i grząskich bagnach ginącą! — Siebie mścij, jeżeli nasze głosy ci nie mówią! — Bo któż ciebie, królu, zadostyc mścił będzie, jeżeli nie ty sam? — Któż trupami nakarmi twe serce głodne, jeżeli nie ty sam? — Któż część królewską Zemsty rozkoszy zabierze? — Kto się ośmieli?! Któż diałek twoich kosteczki z rumowisk pozbiera i na serce położy i na hełmie postawi, by świeciły nam w zemsty bojach, jak piekielne sztandary? — Zbudź się królu! — Idź, prowadź nas — na rzezie i pożary! — a gdy zgniecimy tę szarańczę, kiedy słuch o niej zaginie... — wtedy zbierzemy wiernych ludów sto tysięcy i powrócimy tu... Tak, powrócimy tu, na te miejsca przeklęte... i rozpoczniemy boje potężne, olbrzymie, od których świat się zatrząsie w posadach... i wytropimy tę Zdradę, co w puszczech czarnych się lęgnie... i wytracimy jej ludy wielkie... i chwycimy ją w żelazne sidła... i przytrocimy ją tobie do zwycięskiego siodła, tę Zdradę szatańskiej Piękności... niech się wlecze za białym koniem twoim na powrozie rzucona!... niech ciało jej pójdzie w strzępy na ostrych kamieniach!... niech błota leśne pochłoną...

— Oh, cóżem wyrzekł...

Milczenie.

Księżę słucha... słucha...

Przestał?!...

Haa... cisza...

Pałace, rude obłoki kłębią się wkoło, dech zapierają...

Zemsta!... Zemsta!... płonie głowa pożarem... szumi krew rozszalała...

A w sercu śmiech.

A na dnie duszy burzy się jakiś wir lodowaty... a wkoło rude obłoki... samotność... cisza...

Sam księżę, sam!

Strach cichy szepece do ucha: uciekać! uciekać!

Lecz serce piorunem przeszyte... ciało znieruchomia-
ło... rdza na oczach... ruszyć się niepodobna...

Ach, co za pustka bezmierna... dusząca, rdzawa pust-
ka... gdzieś w dali tylko ktoś płacze... ha!... czy to ksią-
żę — król królów?!...

Zemsta? Zemsta?... Puszcza piekielna... przekłeta?!...
Zemsta?!... Zdrada?!...

Śmiech lodowaty, straszliwy... bez głosu...

Tss... może kto usłyszy...

Są tajne głosy duszy, co na świat wyjawione, mo-
głyby zabić tysiące istnień... cicho... cicho... Wsłuchać
się w tę ciszę... w niej wielka tajemnica... w niej wielkie
ukojenie... rzeźwiące zapachy niebios...

Drży książę... świetlane chłody weń idą... świetla-
ne, siłę niosące, wnikające w krew, w serce, rozkoszą dy-
szące... Cicha jasność pod czaszką... błogość spływa po
nerwach...

Jakby uśmiechy pierwiosnków, z białego śniegu wy-
kwitłych... jakby łąk śpiewających zapachy szły w du-
szę... jakby mglistej jesieni miękie, złotawe promienie...
nie... to westchnienia jaśminu, białych konwalji sny, akacji
rosa poranna, róż złotych odurzenia... to wiosny świeżej,
zdobyczej nakazy, burzę niosące!... ach nie... to blasków
miesięcznych złotem drgające szeptania — to bezgranicz-
nie cichy powiew jej oczu... uśmiechu promienie...

Zatrząsł się. Ocknął.

Świetlista ciżba wokoło...

A tam koń biały czeka — koń biały — widmo rozko-
szne... różowy od słońca zorzy, kryty złotem, purpurą...
nogą ognistą grzebie, wygina krągłą szyję...

Haa...

Idzie książę... nie!... skrada się skurczony, drapieżny...

Haa...

Śmiech go dławi, śmiech drży w gardle, rozwiera
zęby zaciśnięte...

Haa... wzbierają w nim rozszumiałe, pełne wody ol-

brzymie, wody wiosenne, co miasta ruszają z posad, co
wywracają mosty. co wykopują trumny —

Skoczył na konia.

— Precz!!! — — —

Zarżał rumak straszliwie, szarpnął się wprost w ciż-
bę. Wznosi srebrne kopyta nad głowami rycerzy, staje
dęba, dźwięka podkowami po pancerzach — tratuje w bo-
jowej wściekłości...

I nie tak łódź myśliwska rozsuwa trzciny na jezio-
rze, a te się kładą błyszczące, szumiące na boki, jak roz-
szczepia królewski rumak tłok mieczów, toporów ognistych,
hełmów w słońcu błyszczących i przerażonych twarzy —
i w drogę płomienistą wpada koń-błyskawica — i runął
w cwał — i krzyki za nim przerażone, rozpaczne:

— Chwytajcie go, on szalony!! — chwytajcie go, on
szalony!! —

I wali się lawina śmiechu z piersi księcia — i trysz-
cze książę śmiechem, jak odkopane źródło falami czyste-
mi wybucha, pianą ciska wokoło, pałace piany śmiechu
w twarz ciska wybladłym tłumom.

I pędził koń — już wolne w nim łuki mocy napię-
tych, łuki piorunowe, spętane oczekiwaniem — i pędził
koń — z nozdrzy rozwartych skry leca, pierś rozdęta, roz-
postarł się ponad ziemią, zdobywał szturmem przestrze-
nie, zbierał nogi pod sobą, kopytami bił ziemię, siekł
ziemię kopytami, jak w dzikiej nienawiści, jakby się mścił
nad ziemią, że go tak wiąże, przyciąga, że przeszkadza
mu lecieć ponad drzewa, jak ptaki... i pędził coraz szale-
niej, coraz bardziej wichrowo, dudnił jak bębny wojenne,
szumiał, trzeszczał po lesie, ciskał z pod nóg kamienie
w kłębach czerwonej kurzawy — hej! — już mija, już mija
ostatnie widma żołnierzy, widma jak w ziemię wrosłe
z przestachu i zdumienia — hej! — już nikną ostatnie białe
namioty wśród drzew... hej! — już wolna, olbrzymia, mrocz-
na puszcza przed nimi... już lekko, już swobodnie, znikły

za nimi okrzyki... już szeroko, już pusto... samotnie... brać pełny oddech...

Zdważył koń szalonego pędu, wicher huczy i świszczę, tryska nowa lawina śmiechu z piersi księcia, aż kładzie się książę na ciepły kark konia ze śmiechu, aż skacze mu głowa po karku końskim w konwulsjach śmiechu, a wicher mu wwierca w uszy świszczące, dudniące powietrze, rozdyma płonąca głowę, rozszerza olbrzymią czaszkę, rozpiera sklezione pieczary, olbrzymie pieczary uszu, wdmuchuje w te puste groty szumiące sowy, puchacze, a one się trzepoczą i krzyczą dziko spłoszone, i szurają skrzydłami o chropowate ściany, aż echo tysiącogłosne rozgrzmiewa w mroków ogromach, aż drgają i huczą i tętnią najgłębsze zakątki czeluści, aż księciu te wszystkie grzmienia, łopoty, poświsty, zlewają się w mętną chmurę jednostajnego szumu, w syczący szum górskiego jeziora przy halnym wicherze, w chrzęszczącą chmurę groźnej husarji skrzydlatej, w straszną chmurę co pędzi rykiem zwycięstwa pijana, porywa go z sobą, ponosi, szalem tryumfu zaraża, nawiewa jakieś zdyszane, krwawe wrzaski, majaczące, jak we śnie...

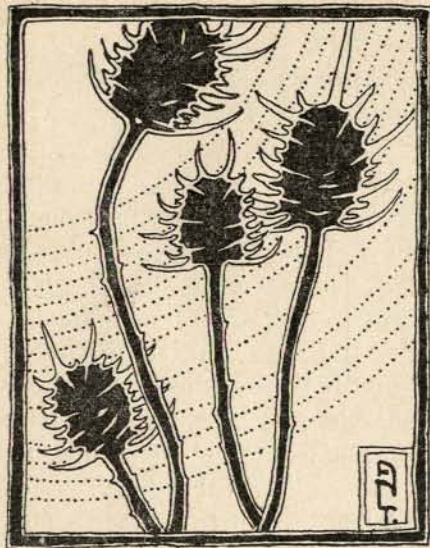
Hej — zwycięstwo! — wicherzy się w głowie księcia krzyk, jak zamglone przeczucie — Zwycięstwo! szepczą mu w uszy świszcząc jakieś senne widziadła — Zwycięstwo! — woła w nim cicho święta, przyczajona trwoga i serce omdlewa radosne i krew mu zadrgała w żyłach i czuje książę, że dzieje się tu coś olbrzymiego, bo oto zwyciężył okropne, tajemnicze wrogi i burzą pędzi na czele nieubłaganej pogoni i w strachu wyją rozpierzchłe nieawistne zgraje, i rozkosz kipiącym warem zalewa mu głowę, i położył się martwo na koniu, i zmrużył zmęczone oczy, i leciał, leciał w dal ciemną, leciał w błogosci niezmierniej, leciał, a piersi jego, szerokie piersi mocharza, pęczniały mu w wicherze tym jakby duszy oddechem, wodza wielkiego oddechem po dokonany czynie, wolnym oddechem męczennicy na stosie, kiedy w ognjach duszących czuje wicher wniebowstąpienia...

I leciał, płynął na falach wściekłych skoków ruma-ka, leciał w boskiem szaleństwie, a gałęzie go siekły po twarzy, a chłodne liście chłostały jego płonące czoło, a nogi jego tonęły w szumiących krzakach leszczyny, kiedy koń rozbiegany przesadzał je w susach straszliwych, leciał, aż go odbiegła wszelka pamięć, wszelkie cierpienia, aż dusza księcia leniwie zadrzemała oszołomiona, syta rozkoszy pędu, co koił jej błędną gorączkę, co był jak kropla przezystej, brylantowej rosy na lawie rozpalonego wulkanu jej krwawych wnętrzności...

I leciał, leciał, leciał, z pustką w sercu i głowie... leciał w zapamiętaniu, bez wiedzy, że leci, leciał bez czucia, że siedzi na koniu szalonym, bo ciało jego wisiało bezwładnie na koniu, trzymało się cudem jakimś, lepko przylgnięte do konia, leciał — ha! — w bezmiar, w ślepa dal rozszalała, w szumy kłębiących się liści, w gwiazdy...

(Ciąg dalszy nastąpi).





MARJA GROSSEK.

D J A L O G I.

„Bóg się rodzi!”

LETUS.

Jak ten Uśmiech Różowy, na zachodzie roześmiany, objął i rozpromienił całe niebo! — niebo seledynowe... bez skazy, oprócz tej nikłej, jak płatek róży herbatniej pokąsany przez gąsienicę, centki księżycy, która jest w myślach Nieba wspomnieniem boskiej Twarzy, czy Jej przeżuciem?

Stado czarnych ptaków z żalonym krzykiem poleciało na zachód — Tam, gdzie stoi kolebka Różowego Uśmiechu, zakrzywionym łagodnie biegunem pozłacanym zaledwie dotykając ziemi.

Nie doleccie! nie dogonicie! — Wieczne złudzenie! one myślą, że to jest kolebka Mesjasza, który się nie urodził.

TYMON.

Edouard Schuré pokazuje nam, jak metoda ezoteryczna unosi potrójny welon symbolu z religji, odsłania-

jąc wspólne ich jądro: kilka wielkich przeczuć naszego gatunku — zaprawdę: Bóg się rodzi!

Ale ty lepiej mów. Lubię słuchać, gdy przy mnie myślisz głośno, zwłaszcza jeżeli idziemy razem, a dusza twoja wnika w otaczające nas formy i nadaje im swój własny gość.

LETUS.

Ona tylko ich gość na nasz język przekłada!

Oto Uśmiech niebiański spuścił się na ziemię. Listki róż sypią się na śniegi Jej lona, które śpi, brzmiejące od soków nasiennych, ciężarne całem morzem, zalęgniętych już płodów.

Po nieprzeliczonych piersiach Śpiącej wiją się dwa rudo-złote warkocze, uplecione z rdzawych topoli, w których igrają płomienne palce Różowego Uśmiechu.

Czy można *nie widzieć*, jak te dwa boskie pierwiastki świata: Męski i Żeński wszędzie i zawsze splatają się ze sobą w uścisku, co płodzi Życie? Któż nie spostrzega wiecznego ich romansu? Bogowie i kwiaty nie kryją się z miłością. W czasie mego pobytu na wyspach greckich przekonałem się, że Morze jest kochanką Nieba.

Patrz! Teatr przenosi się na drugą połowę horyzontu na ostatni akt codziennej Mszy Słońca. Tamte gmachy, ciągnące się połącią wzgórz naprzeciw, apoteoza Zachodu w jakie przeistoczyła symbole bogate i świąteczne?! W kuby kryształowe, nalane miodem i marmazją, jak oliwa gęstą i ciężką, lepka a tłusta, barwy cynamonu, nasyczonego słońcem — w potworne roztruchany kneziów i władków — w Andersenowskie miasto: w pałace z wyzłacanych pierników dla dzieci wieszczek! Miałeś słuszność, zaiste: to są choiny dla nowonarodzonych bożąt. — W każdej szybie zapaliło się tam małe słońce?! Tyle ich, ile szkielew w tych wszystkich oknach! Niesłychane! Nawet tramwaje dlatego tak leniwie wspinają się

tam pod górę, że wiozą ostrożnie po jednym małym słońcu w każdej szybie.

Co za marnotrawstwo, przepych, kwitnienie, żniwo, potop, szal, bachanalja, utopja słońce. Skąd Natura nabrała ich tyle?

TYMON.

Skąd? — a ty nie wiesz?!.. *Ograbila, obdarła* miljardy dni skostniałych i oslepiłych z tego *jednego jedynego*, które było niezbędnem, aby Życie nie obłąkało się w ciemnościach rozpaczy. Miljardy istot pozostawiła na czarnych ementarzach bez księżycy, aby sobie pozwolić na ten wybryk!.. aby zasypać takim bogactwem jeden Dzień, jedną Godzinę!. Aby go spalić w hołdzie króla niewolnika u stóp jednej Istoty, która jest tak głupia, że tego nie zobaczy—albo tak zła, że jeszcze będzie wołała: „mało“.

Natura zawsze tak robi — to jest jej zasada.

LETUS.

Przyjacielu, wydanie Piękna i Potęgi musi być nawet dla Natury wysiłkiem. Aby podołać zadaniu, przewyższającemu snąc o wiele środki, któremi rozporządza, widać, jak się ucieka do oszczędności na wszystkich innych punktach wydatkowania materji i energii. Ogromny kapitał twórczy musi być wyciśnięty boleśnie groszowym haraczem, nałożonym na tłumy maluczkich, których to unicestwia... Trudno! Taki *mus* związany jest zapewne z głęboką naturą „Istności samej w sobie“, gdyż i człowiek, podobnie jak Natura względem swych tworców, sam dla siebie staje się tyranem z chwilą, gdy nieznoszący oporu impuls popchnie go ku stworzeniu Piękna lub Potęgi. Może i Ona cierpi nad ofiarami wysokich swoich aspiracji?—Ale któż cofnie się przed cierpieniem swoim, czy cudzem, skoro się przezeń idzie do wielkich przeznaczeń? Tylko ty, małoduszny, odrodziłeś się od bohater-

skiej matki i za misę soczewicy, za spokojną bezbolesność bydlęcia gotów jesteś oddać wszystko Wielkie — zwłaszcza o ile ono do ciebie nie należy, zawistny! Zburz goetyckie katedry, — radzę ci — zamaluj zieloną farbą niebo!

Gdyby Natura zgasła słońce, księżyc, gwiazdy, meteory, komety, łuny i zorze — dostalibyśmy wszyscy *po jednej równej lojowej świeczce*. — Chcesz tego sprawiedliwego działu za cenę zgaszonych gwiazd i słońca? — powiedz? — wyciągniesz drżąca chciwie rękę po swoją część? Co do mnie ja się skwapliwie wyrzekam *mojej świeczki* na rzecz Skarbu Świata. Do kogo ma on należeć? — to mi jest wszystko jedno. Do kogokolwiek—albo do nikogo — bez żadnego użytku — cel sam dla siebie — w pustym eterze niech promienieje przed oczami Wieczności, jako platońska idea, wzór boskiego bytu. Dla mnie wystarczy ażeby *był*. W samem jego istnieniu jest coś, co mię raduje. Tak wielkiem jest w człowieku pragnienie, aby stawała się piękność, aby ziszczała Potęga. To jest to czysto ludzkie umiłowanie *Dziela*, które jeszcze przed wiekami wydarło okrzyk z bohaterskiej piersi Rzymian: *pereat mundus fiat lux* — tak — *fiat opus*.

Zważ, proszę, że ja to wszystko mówię *przeciwko sobie*. Ja właśnie należę do tych, którym nie nie świeci. Fortuna znieawidziła mię, tak samo jak kobiety, jak gdyby także odstręczona moim garbem. A przecież czułbym się podupadłym magnatem, zrujnowanym miliardem, gdyby miał zniknąć z ziemi jakikolwiek odcień tej miłości i tego bogactwa, których nie posiadam.

Ten sam bicz, poganiający jeszcze semickich niewolników do windowania olbrzymich głazów na niebotyczne głowy piramid, zmieniwszy tylko imię pana, który wczoraj nazywał się „faraon“, a dziś „Głodne Jutro“, ten sam bicz, świszcząc, na moje plecy dziś tak samo spada, zmuszając mię do uczestnictwa w organizowaniu innych nowoczesnych cudów. Praca jest największem udręczeniem

człowieka. Bolesne zginanie pleców czyni go bez wyjątku leniwym i, nie czując nad sobą poganiacza, nie dźwignie on i połowy tego ciężaru, do którego jest zdolny.

Tylko rozdzierający *mus* wydobywa z niego okrwawione skarby wynalazczości i wytrwania. Wszystko to wiem z doświadczenia na sobie samym—i dlatego *Rozum* mój na *to* przyzwala. Męka miliardów, w której morzu mieści się i moja krwawa kropla, buduje *Dzielo*. Byłbym niepokieszony, gdyby za cenę wyzwolenia uciemienionych, ze mną w ich liczbie, możliwym było cofnięcie stania się w przeszłości piramid. „*Il monte!—il va!.. cherchant Dieu et la justice*“ woła Sully Prud'homme ustami robotnika, konającego u stóp piramidy. Ale to nie jest skarga ofiary! To głos całej pierwotnej ludzkości—krzyk nadziei, obawy i woli, witający drogę otwartą w niebiosa ostrym trójkątem piramidy.

To prawda, że ja *jestem Letus*. Ci, co mi nadawali imię, mieli trafną intuicję mej duszy. Ja—parjas—jestem wesół, nie czuję się ani upokorzonym, ani pokrzywdzonym. Bo tylko duch elementarny, nie promieniujący poza ciasną klatkę swego kośćca, potrzebuje rzeczowego władania faktycznych przynależności. Na pewnym stopniu swego wykształcenia *duch posiada wszystko, o czem myśli*.

Astralnych jego emanacji promieniste pióra biorą w posiadanie świat, jak ramiona ośmiornicy—wypełniają go, jak światło i powietrze. On może odwiedzać inne ciała i czuć wtedy to, co one czują. Dlaczego ma w sobie wchłaniać „światowy smutek“? Podaję wam nowy model czucia: współczucie radości. *Ja jestem bogaty i szczęśliwy bogactwem i szczęściem świata*.

To ja schodzę w księżycowe noce letnie i w purpurowe zachody jesienne z tarasów pałacowych po stopniach z białego marmuru nad modry Adrjatyk, gdzie na uwięzi kołysze się, jak wielki łabędź, łódź moja z żaglem białym. W łodzi czekają na mnie dwie moje kochanki: je-

dna, jak Noc czarna, druga ognista, jak Południe. Dwie kochanki Kriszny Sarasvatli i Niszdali. Księżyc brukuje przed nami złoty gościniec. Jedna, oparłszy skroń o moją głowę, śpiewa z oczyma, utkwionemi w niebo, a druga, jak wąż aksamitny, przegiąwszy się przez moje kolana, milcząca wpatruje się we mnie z pod ociężałych sennie powiek—Jedną całuję w oczy, a drugą w usta. *Ja.... nie ten...* który gdzieś tam ten giest wykonywa... nie nie wiedząc, że jest *mojem medjum*. Elementarna jego dusza bierze tysięczny ledwie udział w rozkoszy tych faktów, w których on tkwi całym jestestwem, a ja tylko przelotem Myśli—w nim bawiąc!

Moje są w czyichś parkach aleje czarnych cyprysów, gdzie rymy układam, szepejąc i chodząc tym trybem, jak modlą się mnisi. Cyprysów spytajcie, czy nie ja jestem prawdziwym ich panem?

Ja mieszkam w renesansowych salach o sufitach płaskich z malowanym w pośrodku medaljonem i czterema narożnikami, do których wielkie szklane bramy jedna przy drugiej wpuszczają ogromny dzień, idący od szerokich trawników, obsadzonych wiecznymi lipami. Ucięte kwiaty więdną w sewrskich wazach, lustrzane ściany przedłużają do nieskończoności sal amfilady, budując w głębiach swych perspektywy nieistniejące. Wytryśnięte z serca sklepień zlodowaciałe fontanny kryształowych świeczników ze skamieniałami w żyłach tęczkami nerwo wo drżą na daleki odgłos mych kroków. A za dotknięciem palca zapalają w sobie ogniste kule, związane w wielkie pierścienie, zawisłe w powietrzu, jak systemy słoneczne.

Od światła ich łagodnie złocieję olśniewająca białość stołu, przy którym co wieczór zasiadam do uczyty z sześciu przyjaciółmi: *Siedmiokolorowa Tęcza* — *Siedmiotonowa Gamma*. Wśród deszczu iskier, którym siecze powietrze kryształ rżnięty, polerowana stal i cyzelowane srebro, jak pod skamieniałą rosą ogrodów bajecznych, piętrzą się rozkoszne ciała owoców. Przytulone do siebie kragłe, dzie-

cięce policzki, zaognione rumieńcem, błyszczące napiętą skórą, jak atlas i kość słoniowa, lub spuszone aksamitem cielesnym podane są pod sataniczny pocałunek ust naszych, których ostre perły wgrzęzną w ich twarde, śnieżne mięsa, broczące krwią wonną a słodką. — Złote szyszki ananasów w koronie spiczastych liści, jak dzieci Indjanie, na piramidach głów królują. Słodko się patrzą wielkie śliwy, wypukłemi, zbłękitniałemi od czarności oczami Turczynek. Czarne winogrona zwisają, jak piersi Nubijek. Pomarańcze, ukochane córki Słońca, kule ogniste, powtarzające w sobie obraz ojca!

Margrabina de Noaille, rozcinając melon: „Oto jest — powiada — białe i słodkie wnętrze naszego klasztoru“.

Dymią czarniawe, pozłacane na skórze uda sarnie, pachnące mchem i jedliną, a mięsa rybie lśnią w odłamach muszlą perłową. Bażanty przychodzą na stół upieczone w piórach. I wszystko to schodzi ze stołu za ledwie tknięte, jakby od przesyconych jadem świętych ibisów.

Słychać strojenie skrzypiec i widzę w perspektywie otwartych podwoi rozpoczynający się zwolna rytmiczny lot wielkich kobiecych motyli.

Siedmiotonowa Gamma — Siedmiokolorowa Tęcza zbiera się wtedy w zamkniętym gabinecie, na drzwiach którego twarz Sfinksa o zwartych powiekach z palcem tajemnicy na ustach poleca „Cisza“ i „Miękkosc“.

Wyściełania i tkaniny puszyste piją tu głos wszelki, a każde dotknięcie zapada w otchłań. Przyjmują nas na łona rozłożyste i przepastne sofy tureckie, mające w sobie coś z kobiety wschodniej. Ognistogłowe niewolnice z zieloną tuniką jedwabną na twarzy stoją za naszymi plecami, zginając kolana, lub wspinając się na palce, aby zastosować wzrost do wysokości korby, która drży lekko w przezroczystej ręce Czytającego coś, co jest *nieśmiertelne*, lub *najnowsze*. Słowa są urywane, głosy bezdźwięczne, jak przystało na tych, co wszystko przemyśleli, przeczuli i wypowiedzieli już wszystko.

Gabinetowi temu na imię Cisza i Miękkosc — dla-

tego że u drzwi jego czuwa z dobytym mieczem Siła i Władza. Wytężonym słuchem wodzą one za tętnem mego serca, aby wedle niego wciąż regulować Zegar Świata, i czatują na każdej myśli mojej wylot przez giest niedokończony, urwane słowo i westchnienie, aby natychmiast przyoblekła ciało. — Użycie woli stało mi się już niepotrzebnem.

Taki jest mój porządek dzienny!

Jakże chcesz, abym przystał na zniszczenie Ogrodu, gdzie pasą się wszystkie motyle mojego marzenia? — gdzie snują się moje heroiny o palcach długich i przezroczytych, jak promienie księżycy, których jedynym zajęciem jest otwieranie kwiatów i karmienie świętych ibisów? Czy chcesz, abym marzył o „trzech pokojach z wanną i wygodami“? Żeby heroiny moje mieszkały w falansterach — w tych pudłach geometrycznych, przeraźliwie widnych, niemiłosiernie wymytych i rozpaczliwie higienicznych, jak idealna operatorska sala?

Czarujące — zaiste — otwierasz przed nami perspektywę: *zrównanie wszystkich w powszechnej szarzyźnie*. — Mamy dreptać w jednej zagrodzie, jak domowe zwierzęta, które mogą być spokojne, że z głodu nie poginą.

Ależ dziś każdy człowiek może się stać *mocarzem!* To może jest *nieprawdopodobne* — ono się nie ziszcza prawie nigdy — ale ono *jest możliwe...* a to wystarcza. Nadziei potrzebny tylko włos zaczepienia. I śmierć utraciłaby zaraz połowę grozy, gdyby znanym był jeden wypadek *nie-umarcia*. *Złudzenie* chcesz odjąć człowiekowi, dając mu za to talerz zupy rumfordzkiej i kalosze! Zastanów się: *złudzenie* to nieskończoność — nad pewnością jednostajnego jutra, jak deszcz jesienny, wolę już ostry ból nędzy. Gdy Głodny ukradnie bochen chleba jest w pewien sposób bardzo szczęśliwy.

A ty chcesz odjąć człowiekowi nawet tę ostatnią radość!

Nie! — ja uwielbiam ślepy, niesprawiedliwy Los, który na koszt wydziedziczonych stwarza od czasu do czasu Życie doskonałe, jak czara, zbyt pełna, przelewająca się za brzegi rozkoszą! — Wdzięczny mu jestem, że nadmiarem łask rozkochanego króla, ze wszystkimi szaleństwami zaślepionej matki, wychowuje Ulubieńców swych na Pół-bogów, co rozpuszczają w napoju jedyne perły i depczą po sercach z uśmiechem dziecka, które nie rozumie. Kocham go — za niewzruszoną pogodę ich twarzy, pod którą, jak wąż pod kwiatami, tai się to cierpienie wyrafinowane, przenikliwe i najsroźsze, które jest piętnem duchowej arystokracji i najwyższą aspiracją człowieka: bezbrzeżna nuda pogardliwego przesytu, zaklęta w ust zagadkowym uśmiechu, a w oczach, utopionych w sobie: Sen zamarzyły o Niemożliwym.

Niech choć ktokolwiek z naszej rodziny ludzkiej taką twarz nosi i przeżywa takie piękne życie. Reszcie przynajmniej przypada rozkosz widza — na krewnych spływa splendor i nieco korzyści. — Mylisz się bowiem, że ulubieńcem losu bywa koniecznie istota zła lub głupia. Ślepy Los właśnie dlatego, że *nie wybiera*, wywyższa bez różnicy godnych i niegodnych. Jeżeli zaś pierwsi tak niezmiernie rzadko trafiają się na wysokościach — to dlatego tylko, że równie rzadko zdarzają się na dole. Szczęśliwy przypadek od czasu do czasu składa jednak w pałacu Mocarza w kolebkę złotą pod zasłonę z bisioru duszę Mędrca albo Anioła. — A wtenczas w szczęściu jednego człowieka bierze udział cała ludzkość. *Duch*, przyszedłszy do władzy, urzeczywistnia choć na krótko i choć cząstkowo którykolwiek z naszych wielkich, ludzkich snów.

A może tą modalnością czucia rządzi jakiś ukryty metafizyczny nerw?..

Może przemawia we mnie doświadczenie rasy?.. Pamięć pokoleń, w podświadomości mej ukryta, pamięta,

ieżem tu już mieszkał w tych pałacach królewskich *przed życiem*, jak zalążek w kwiecie, tkwiący w przodkach moich. Aż Sprawiedliwość dziejowa kazała rodowi memu *odejść od stołu*, aby dać miejsce szczepom świeżym! —

Czy mię — naodwrot — pociesza *przecucie* świetnych losów, oczekujących mię w zamglonej przyszłości, kiedy żyć będę w tych latoroślach, co wyjdą z najdalszych odgałęzień pnia mego, a które dziś już żyją w paru drobnych komórkach mego rdzenia?

Może się odbywa jakaś taka przemiana materji, obieg krwi w organizmie ludzkości, w którym po hierarchicznej drabinie wstępują i zstępują pokolenia, jak krew, potrzebująca odnowy od serca ku periferium i na odwrot? — Surowe Niziny Życia — twarda szkoła walki i cierpienia wykształca rody zdobywcze o krwi bogatej i młodej energii, wspinające się na Wysokości po czyn twórczy — a gdy w następnych pokoleniach zniedołężniają w przedłużanym spokoju i zwyrodniewają od zbytku rozkoszy — zostaną zepchnięte przez nowych Wychowawców Cierpienia napowrót w Czyściciel Życia po odrodzenie się w potomkach i po nowe w nich excelsior!

Czy może gamma bytu zawiera w sobie wszystkie losy — i każda dusza po szczeblach niepoliczonych wcieleń musi ją całą przebiec z dołu do góry?

I nie mamy sobie czego zazdrościć!

TYMON.

O, piramido sofizmatów!

Przyjacielu, gdybyś kiedykolwiek powziął zamiar wypowiedzenia tych myśli publicznie, uprzedź mię, abym cię ocalił, pośrednicząc pomiędzy tobą, a twymi słuchaczami. Bo oni cię wezmą za niezdarnego głuptasa, który wypowiada niebezpieczne dla siebie brednie. Z tego powodu nie uciekną się do lynhu, ale potłuką na tobie brzydkie garnki i zgniłe jaja. Ja zaś tak do nich prze-

mówię: Panowie -- przysięgam wam, że to jest *szczerzy* szalenciec, prawdomówny, jak dziecko -- czyżby inaczej miał bowiem odwagę wypowiadać to, co mówi? -- Biorę go na swoją odpowiedzialność -- on jest nieszkodliwy i dobroduszny. Gdyby był stwórca, napewno uczyniłby ludzkość równą. Tylko jego język jest szalonym koniem jego fantazji, która opanowała zupełnie umysł, przytępiiony nadużyciem alkoholu marzenia i nosi go po dzikich wydmach paradoksu. Znam go oddawna -- jest to pijak -- panowie -- to jest poeta. A oni wszyscy *tak* myślą. Jeżeli zaś mówi kto inaczej -- to tylko dlatego, że jest *mniej* od niego -- mniej *naprawdę* poetą. Z racji tej więc zachował taką dozę zdrowego rozsądku, która człowiekowi służy do orjentowania się: *skąd wieje wiatr*.

„Socjalizm -- powiada Mauclair -- wiele stracił w mych oczach, odkąd się stał dla pisarzy pewnego rodzaju *manière d'arriver*.“

Zdrowy rozsądek tak do poety przemawia: „Mój kochany, wiesz przecie, że za czasów Szyllera Pegaz potłukł wszystkie zaprzęgi i uciekł na pola niebieskie, a od tego czasu nikt nie jest takim warjatem, aby się po nich uganiać za tą niesforną bestją. Mamy dziś nowożytnie lokomocje na Parnas: jest Socjalizm, szkapa meklemburska, brzydka i ciężka, ale duża i silna -- jest Rossynant Patriotyzmu, konisko stare, ale z fantazją i na dobrym owsie utrzymane, a obok zawzięcie wymachuje kłykciami skrzydeł i żyga płonąca siarką Chimera (nie bój się! potwór nie straszny: to jest zegarowy mechanizm). Siadaj na dwa -- albo wiesz co? siadaj najlepiej na wszystkie trzy razem! -- galopem wyjedziesz na Parnas.

I tak się robi....

Moi panowie, wdróżcie to sobie w przekonanie, że pomiędzy poetą „cierpienia ludzkiego“ a pomiędzy wszelkim innym zachodzi tylko taka akurat różnica, jaka jest pomiędzy malarzem historycznym, a pejzażyką i wszelkim innym. -- Jego altruizm jest, że tak powiem, *merkan-*

tylny -- należący do jego *genre'u* -- coś w rodzaju grzechocności kupca.

Co zaś do głębokiej natury dusz... to pomiędzy altruistą a poetą leży antinomja!

Te właściwości organiczne, *przez które się jest* poeta, są temi właśnie, które umarzają altruizm.

Poetę stanowi Potęga zmysłowego czucia, która, doprowadzona aż do chorobliwości, tworzy fikcje. Altruistę zaś stanowi Potęga Fikcji, która paraliżuje zmysłowe czucie, aby tworzyć czyny.

Jeśli są natury tak złożone, że mieszczą w sobie wielość dusz potencjalnych, w których współistnieją dusza altruisty i dusza poety: to jedna nie omieszka zabić drugiej. Jeżeli zaś w najrzadszym wypadku, równosilne, utrzymają się przy życiu obie -- to mieszkają w jednym człowieku, jak w jednym domu dwaj obok lokatorowie, oddzieleni głuchą ścianą, tworząc dwie paralele dzieł *czy-
nu* i *sztuki*, rozgraniczone ze sobą absolutnie.

Czułe serce poety musi miewać porywy anielskie (na przemian z szatańskimi) -- ale altruizm posunięty do wysokości *zasady życia* -- to bohaterstwo. A bohaterstwo wymaga duszy zupełnie innego modelu, *wykutej z żelaza*, bo fachem jego *czyn*, który operuje nad bryłą. Poeta -- stare zmysłowe dziecko, chciwe wrażeń, któremi się opycha aż do niestrawności, a wtedy wielkim głosem woła: śmierci, śmierci! Wyzywa bogów na bój tytaniczny, a gorzkimi łzami oplakuje stłuczone kolano.

Nie śmiecie się z niego! --

Uklócia szpilki są dla niego śmiertelnymi pchnięciami sztyletu! Sen twój o nim może go zabić! -- Uśmiech kobiety otwiera mu raje... Każda wiosna młodość mu powraca.

Czucie jego tak nieustanne jest i tak napięte, że mu o niczem innym myśleć nie pozwala -- ono pochłania jego inteligencję, pożera życie.

Czy mu z tego uczynić zarzut? --

Ależ, gdyby jego zmysły nie były tem wiecznie bi-

jącem źródłem rozkoszy i boleści, gdyby lada iskra nie wywoływała w nim takiej reakcji, jak padając na składy dynamitowe, gdyby nerwy jego nie drżały wciąż, jak ta w najcichszym powietrzu osika, a potracone lada prądem nie szalały, jak orkan morski, którego ryk zdolne ogłuszyć bogów — *to on by nie był poetą.*

Ale to, co jest warunkiem arcyzmu, sekretem talentu, skarbem w sztukmistrzu — to samo jest kalectwem w człowieku, kulą u nogi w życiu.

Nadczułe nerwy wymagają ochron sztucznych, aby mogły *wytrzymać życie.* Potrzeba je osłaniać puchem i watą i powlekać białkiem, bo zetknięcie z atmosferą przyczynia im ostre bole. Waga powietrza i nieuchwytne wahania temperatury są męką całego ich trwania.

Poeta jest człowiekiem chorym na przerost, na przepych nerwowego organu, którego nadmierną jest gałęzistość przemisternych a stalowych nici... a pudło ma rezonans przerażający.

Fizjologiczna jego „gorączka nerwowa“ wprowadza go w fizjologiczną halucynację.

Wyobrażenie bierze górę nad postrzeganiem. On nawet obserwacje najdelikatniejsze czyni w wyobraźni, nad chwilą już przeminiętą, utrwaloną w przedziwnie wiernej pamięci. Z trudem i przemocą tylko wydzierać się musi swoim fantomom, które są tak żywe, że rywalizują z prawdą. A jeżeli nie wierzy w nie jego rozum — *czucie w nie wierzy.*

Przynajmniej przez niewymiernie krótką chwilę on w nie wierzy. W umyśle jego zaciera się też chorobliwie różnica pomiędzy *tem co jest*, a *tem co sobie wyobraził.* Stanowisko ryzykowne... psychologia niebezpieczna. Oko jego fałszuje mu perspektywy świata, bo tej przepaści, która rozdziela *możliwe* od *istniejącego* — nie widził

On jeszcze posiada zdolność dowolnego powracania *na tę stronę* — i dlatego poeta nie jest szaleńcem — Ale poeta stoi wciąż u wrót obłądu... wystarczy bowiem, aby sprężystość tego przyrzędu akomodacyjnego osłabła i on znajdzie się raz na zawsze *na tamtej stronie.*

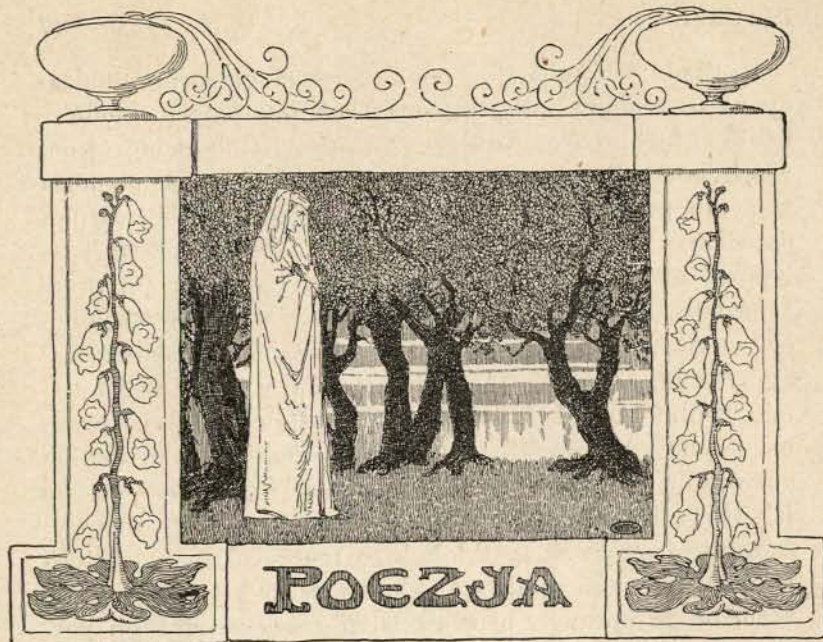
Biedny akrobata! — po wążutkim gziemie chodzący na ostatniej granicy zdrowia nad przepaścią obłądu — istota głęboko nieszczęśliwa wskutek fatalnej nierównowagi pomiędzy potęgą swą w wyobraźni, a niemocą w życiu przy ciągle zacierającej się granicy tych dwóch dziedzin. W wyobraźni On wszakże stwarza światy! — wyprowadza legjony dusz z niczego i rozdaje im przeznaczenia. Czy to nie może wciągnąć w illuzję wszechmocny? — A czemuż jest na ziemi? — Niedołężnie powłóczący po niej skrzydła „Albatros“. — Patetyczny w komizmie swoim Michał Anioł, kiedy, zstąpiwszy z rusztowania kaplicy Sykstyńskiej, nie mógł opuścić nadół ramion ani oczów: *Trois grands mois il garda cette attitude austère* (Gautier: Terza rima). Ale *Czerwona Hyperestezja* nie wyczerpuje jeszcze wszystkich jego męczarni — to dopiero połowa drogi: szczęśliwsza. Czucie w tem tempie, w jakim on je uprawia, marnotrawienie szalone energii nerwowej z żelazną koniecznością prowadzi do chorobliwego znieczulenia lodowatej *Białej Anestezji.*

Dramat się zaostrza. Istota, co się urodziła z nienasyconym głodem wrażeń — istota, dla której „czucie jest wszystkim“ — czuć przestaje. Ogarnia ją rozpacz próżni. Czyni nadludzkie usiłowania, aby sobie zdobyć to niemożliwe już dla niej *wrażenie.* Stwarza sobie niebezpieczeństwa sztuczne, wywołuje cierpienia i walki naukowe, by cucić niemi zdrętwiałe nerwy, jak szpilkowaniem elektrycznym, które do nich stosuje lekarz. *Poeta biały* rzuca się w dziką i wyrafinowaną rozpustę, ucieka się do alkoholu, morfiny, opjum i haszyszu, uprawia sadyzm, lubuje się w potworności, cynizmie i zbrodni. Od kombinacji najszaleńszych i najwyszukańszych — oczekuje tego dreszczu, do którego stał się już niezdolnym: *nerwy jego za życia ścięła śmierć.*

Ach, być poetą: jest to boskie nieszczęście!

Nieszczęśliwi nie mogą zajmować się losami innych: ich po świecie prowadzą Antygony.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)



NA BRZEGU LASU.

Na cichym brzegu cienistego lasku
 Liljowe dzwonki toną w słońca blasku.
 Srebrne motyle, ich zwabione wonią,
 Za upojeniem z kwiatu na kwiat gonia.
 Dojrzewające żyto gnie swe kłosa,
 Marzące w słońcu o djamentach rosy.

Po szmaragdowej, pełnej kwiatów drodze,
 Samotny błaząc, w wonnej trawie brodząc.
 Liljowych dzwonków snop zerwałem spory.
 Miłosne lecą ptaków rozhowory...
 Nad wszystkim — otęcz uniosła się złota,
 Jak nad mą duszą — ta wieczna tęsknota.

WŁ. BUKOWIŃSKI.

ŻYCIE.

W cieplarni mojej duszy hodowałem kwiaty,
 Żądając od nich jednej za troskę zapłaty,
 Żądając od nich tylko barw pięknych i woni,
 A one rosły rażno, pieśczętą mej dłoni
 I pragnieniem żrenicy zachęcane codzień...
 Aż oto, gdy rozkwitły, Życie, jak przechodzień,
 Zwabiony wdziękiem kwiatów za szybą wystawy,
 Wdarło się do mej duszy i plon wzięło krwawy,
 Łamiąc róż mych purpurę i wysmukłość lilji,
 Bielejących, jak żagle mych marzeń flotylli,
 I niweczając storczyków moich gąszcz wspaniały.
 A kwiaty bezobronne same się oddały,
 Łodygi gnąc soczyste i pod nożyc ostrze
 Idąc, bez wiedzy o tem, że się wnet rozpostrze
 Po ich śmierci — w mej duszy — smutek bez granicy...
 O kwiaty! Nieświadome życia tajemnicy...

ZDZISŁAW DĘBICKI.

RES SACRA MISER.

Po łacinie okrzyknięto,
 Że jest biedny rzeczą świętą.

Co w języku polskim znaczy:
 Świętość to nie rzecz bogaczy.

Albo, mówiąc jeszcze prościej:
 Bogacz niema nic świętości.

Rzecz prawdziwa by się rzekła,
 Mówiąc: bogacz — rodem z piekła.

Nieomylnie stąd wywiodę,
 Że jest biedny — z nieba rodem.

Bogacz, biedny w jednym słowie
Znaczą: djabli i bogowie.

Tak, bogactwo i ubóstwo
To tak jakby czart i bóstwo.

Prawdą jest niezaprzeczenie,
Że Bóg puste ma kieszenie.

Że bogata djabla scheda,
Również się zaprzeczyć nie da.

Tak, powiedzmy to otwarcie:
Dobrze idą sprawy czarcie.

A natomiast żywot boski
Pełen biedy jest i troski.

Bo to życie z dóbr wyzute
Pan Bóg znosi za pokutę.

Boska twórczość kary warta:
Bo dlaczego stworzył czarta?

JAN LEMAŃSKI

M R Ó Z.

Otulona w mrok i ciszę,
Ducha swego wykołyszę
Ponad białe, mroźne pola,
Kędy ludzka łka niedola —
I na skrzydłach swych anioła
Płynie ponad senne sioła,
Na srebrzyste pola sieje
Serca wiarę i nadzieję
W ciszę białych pól.

Niespełnione ideały,
Bohaterskich serc zapąły,

Tytaniczną moc podboju,
Wykąpaną we krwi zdroju —
I rozpacze snów bezbrzeżne
Niesie w białe pola śnieżne...
Niechaj wszystko mróz wyziębi,
Niechaj zmrozi aż do głębi,
A zostanie ból.

Tam poniosę obietnicę,
Z ducha świętą tajemnicę,
Która jest pokojem w burzy,
Która wichrom ciszę wróży,
Która dla pożarów — wodą,
A dla spiekłych ust — ochłodą.
A ta wiara jest niezmienna,
Że się zbudzi ziemia senna
Na wiośniany siew.

Kto zwycięży w walce, jeśli
Aniołowieby zanieśli
Wiarę w zamrożone serca,
Że — zaginie mróz - morderca?...
Niech się tylko słońce zbudzi
I ogrzeje ziemię, ludzi...
Że nieszczęsne rzesze głodne
Będą miały łany płodne,
Żyzne przez ich krew.

JADWIGA LIPIŃSKA.

NA NOWE ŻYCIE.

Trzeba mi wiele, wiele wspomnień zatrzcę
i wiele nowych, jasnych zażec łun,
bym mógł przechodnia chłodnym okiem patrzeć
na pochód życia—i z starganych strun

zakłete wyrwać dźwięki Mocy-lutni — —
bo dzisiaj jestem, jak wy wszyscy, smutni...

Trzeba mi wiele, wiele snów porzucić
i nieplakanych wiele zdławić łez,
bym mógł pójść drogą, z której mi nie wrócić
zebrakiem Szczęścia, zapatrzonym w kres
wędrowni długiej, z duszy snem o cudzie — —
bo dzisiaj jestem, jak wy wszyscy, ludzie...

O, JASNA MOJA!...

O, jasna moja!...

Dal bez granic
twój obraz kryje w mgłach przedemną...
Czerpałem kiedyś z szczęścia szklanic
upojną słodycz — szczęśliw — codzień — —
A dzisiaj tak mi pusto, ciemno...
Zmęczony-m życia jest przechodzić —

O, jasna moja!...

Los — zły zbrodzień —
opętał rojem złud - kochanic
myśl moją smutną... Patrę codzień,
jak cicho płyną w przestrzeń ciemną
sny cudne, poszarpane na nic...

.
.

O, jasna moja!...

Przyjdź! Bądź ze mną!...
— — Bez ciebie zbędny-m jest przechodzić...

W UŚCISKU BIAŁYCH TWOICH RAMION...

W uścisku białych twoich ramion
zapomnieć chciałbym, że człowiekiem,
że złudą życia jest omamion...

W uścisku białych twoich ramion
chciałbym się wyzbyć bytu znamion,
by chwila szczęścia była wiekiem...

W uścisku białych twoich ramion
zapomnieć chciałbym, że człowiekiem...

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI.

MÓJ ŻAGIEL.

Mój żagiel pęknięty, złamane me wiosła,
a przystań daleka, daleka...
Lecz brzegu nie pragnę i chcę, by mnie niosła
burzliwa, pieniaća się rzeka.

Niech fala drapieźna zaleje me oczy,
i czołno, i żagiel zachluśnie,
niech myśl mą odurzy, niech pamięć zamroczy,
lecz serce me w burzy nie uśnie.

Luń w usta me, falo! Nie stawiam oporu
na czołnie mem wątem, zbłąkanem...
Przyjmuję całunek groźnego przestworu,
dziś jestem mu jeńcem i panem.

Zalewaj, o falo, me oczy - pochodnie,
co śmiało zgłębiają odmęty.
Wyniosę nad burzę zwycięsko i godnie
mój żagiel, mój żagiel pęknięty.

SAVITRI.

RONDA MIŁOSNE.

(Z IV-ej SERJI POEZJI).

...Wschodnią, wonną, złocistą baśń twojego ciała
Opłynęła tajemnie czarna, lekka krepa...

I idziesz z lampą w dłoni, lunatyzmem ślepa,
 Odaliska Astarty, z żądy oszalała!..
 Zaczajony za czarną, pluszową oponą,
 Zazdroścę czarnym mrokom, co żarłocznie chłoną
 Wschodnią, wonną, złocistą baśń twojego ciała,

Wschodnią, wonną, złocistą baśń twojego ciała,
 Astartową, wcieloną żądy tajemnicę,
 W głodne pieśczoł, stęsknione ramiona pochwycę,
 Stłukłszy lampę, co w dłoni Twojej tajemnie pała!..
 Jak złoty łabędź w czarnym, krepowym obłoku,
 Płyniesz cicho... Ja chłonę, zaczajony w mroku,
 Wschodnią, wonną, złocistą baśń twojego ciała!..

Wschodnią, wonną, złocistą baśń twojego ciała,
 Tajemniczy, kobiecy kwiat, żądzą płomienny,
 Pieścę wzrokiem, jak boa przyczajony, senny,
 Żądny, byś się w objęciach moich przeginała!..
 Płomieniem oczu paląc twe czarne woale,
 Z poza czarnej opony chłonę w żądy szale
 Wschodnią, wonną, złocistą baśń twojego ciała!..

WACŁAW WOLSKI.

Z CYKLU: PRAGNIENIA.

WODA CUDOWNA.

U wejścia grot, która tchnie cichością mroków,
 Dziewczątka w przezroczystej muślinów osłonie
 Wyciąga swoje ciche, wyskrzydłone dłonie
 Ku wodzie, co, ze skalnych wyzwolona oków,

Jedwabistą się nicią sączy, a w tym locie,
 O ustach śni różanych — a na piersi, które
 Rwą się w lazury — cudne ptaki śnieżnopióre,
 Rzuca bryzgów perlistych tęczujące krocie...

O wodo jasna! Wodo cudownych ruczajów,
 W której tonie łyły duchy górne, boże —
 Swe melodje, poczęte w szumie świętych gajów:

Ustom — spiekłym od żaru — bądź zbawczą oazą!
 Sącz się w piersi nieczułe granitowym głazom!
 Wodo, śpiewie pragnienia, lecający w przestworze!

W KLASZTORNYM WIRYDARZU.

Jeszcze szept modlitewny, gorący, żarliwy,
 Tuła się po ścieżynach białych wirydarza,
 Jak widmo senne... Słodycz wieczorna rozmarza,
 Jakby chorał — z anielskiej zabłąkany niwy...

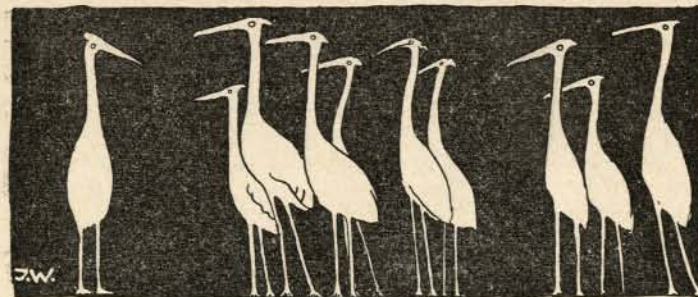
A na ganku — w oplotach słodkich winogrodu —
 Mnich duma, tęskne oczy po błękitie wodzi — —
 I znagła — w ciszy, która przewiewa najśłodziej,
 Z głębi rozkwieconego tajemniczo sadu —

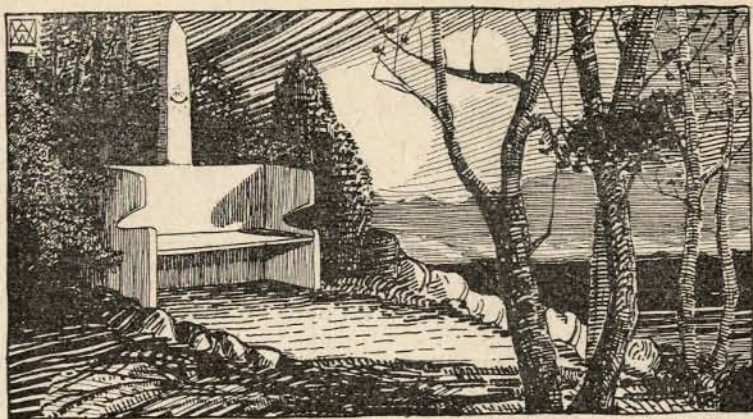
Dziewa z turkusowemi jak niebo oczyma
 Idzie biała — skrzypeczki w śnieżnych rączkach trzyma
 I gra...

Patrzę w nią mnisze rozkochane oczy,

Jak w wizerunek święty — rozkosz piją żywą
 Pieśni, co niewysłowną melodją uoczy
 I duszę odda w lenno płomiennym porywom!

WŁADYSŁAW ZALEWSKI.





BRONISŁAW PIŁSUDZKI.

NA NIEDŹWIEDZIEM ŚWIĘCIE U AJNÓW

Z WYSPY SACHALINU.

(Ciąg dalszy).

W Otasanie następnego dnia roilo się, jak w ulu. Dzieci, jak stado rozbrykanych cielaków, przebiegały to na jeden koniec wsi, to na drugi, by przypatrzeć się ciągnącym z południa i z północy gościom. Szli oni zwykle jeden za drugim, powolnym krokiem, bo były między nimi kobiety, niosące małe dzieci na plecach. Każdy, nie wyłączając podrostków, miał nieduży tłumoczek na plecach. Wiedziano, że dla wszystkich nie wystarczy we wsi pościeli, i brano z domu zapasowe odzienie, aby się okryć podczas chłodnych nocy. Niektórzy z mężczyzn niesli pozawijane stare szable i kołczany. Goście rozchodzili się po różnych jurtach i wkrótce przyłączyli się do tłumu, który się poruszał bez określonego celu na ulicy osady.

Można jednak było rozróżnić i tych, co brali udział w przygotowaniach gospodarskich. Kroki takich były prędkie, pewne, zdążali oni najczęściej z naczyniami

to do składów, to do tej lub owej jurty, do lasu, lub rzezułki, lecz najczęściej do głównego centralnego punktu uroczystości.

Jurta, gdzie ona miała się odbyć, niczem jednak z zewnątrz nie różniła się od innych. Wewnątrz jej popołudniu rozpoczęto oczyszczanie i uprzątanie bardzo staranne, które się nie odbywa nigdy bez tego ważnego powodu. Pościel i odzienie składano w kąty, nary i półki poobcierano z kurzu. Podmieciono skrzętnie podłogę. Potem w dużych naczyniach lakowanych ustawiono saki na półkach nad narami i u tylnej ściany. W rozmaitych naczyniach przynoszono potrawy, przeważnie z ryżu, jagód i z korzeni dzikich traw złożone. Na białych matach u ściany porozwieszano stare szable i kołczany gospodarzy i gości, którzy swoje skarby, u Ajnów najdroższe, pożyczali na czas uroczystości. W kącie kobiecym na ścianie powieszono korale rozmaitych kolorów i wielkości, jedwabne ubiory i złotem szyte mandżurskie i japońskie, nawpół zbutwiałe szaty, w które miano potem ubrać dzieci. Łuk i kilka strzał, nosze z prowizją dla niedźwiedzia, koleczyki z wiórów poskręcanych i pas czworogranny, z trawy upleciony, którymi miano go upiększyć, wisiały na belce tylnej ściany.

Zbliżał się zachód. Kilkudziesięciu dorosłych i młodych wyruszyło na niedużą polanę, co zaraz za jurtami przylegała do lasu, zaczęło urządzać miejsce, gdzie miało się odbyć zabijanie niedźwiedzia. Sześćdziesiąt młodych jodełek z ociosanemi u dołu gałązkami i zostawionymi zielonymi wierzchołkami, ustawiono rzędem jedna obok drugiej, tworząc gęsty płot. Tuż przed nim wbito w ziemię 6 wyższych od wzrostu człowieka kołów, które u góry były zawiórowane; wióry te robiły wrażenie długich, wiszących i lśniących warkoczy. Te 6 „inau“ (tak nazywają u Ajnów pałki i pałeczki wiórowane u jednego końca), były połączone cienkimi żerdziami, a na nie wsadzono 60 krótkich „inau“. Wzdłuż tego płotu usta-

wiono maty, które zakrywały dół tej upiększonej ściany. Przed nią o kilka kroków wbito do ziemi wysoki 10-metrowy słup z drzewa rozwidlonego. Obydwa wierzchołki jego były ozdobione kędzierzawymi „inau“. Obok stało parę takich samych starych słupów, resztki poprzednich uroczystości.

Jednocześnie dzieciaki deptały zewsząd wysoką trawę na całej przestrzeni od jurty do urządzonego płotu.

Gdy wróciłem do jurty, trzech starców otrzymywało „sachie“ dla złożenia jej w ofierze bogom. Jeden poszedł do stosu „inau“, ustawionych z tyłu domu na ofiarę bogu, chroniącemu wioski. Drugi wyruszył aż na brzeg morza, gdzie też stały „inau“, wzniesione na cześć boga morza. Trzeci, najstarszy, został w jurcie i tutaj, usiadłszy na małej macie przed ogniem, trzymał w lewej ręce miseczkę z sachie, a prawą przesuwając wciąż nad nią palcówką, którą Ajnowie podtrzymują sobie wąsy podczas picia; od czasu do czasu zanurzał koniuszek jej w białym płynie i wpuszczał kropelki jego w ogień. Jednocześnie zaś wypowiadał modlitwę do bogini ognia, dopóki się nie spaliło małe „inau“, wetknięte tylko co przedtem do środka ogniska. Po ukończonych modłach, stary wypił połowę sachie, a resztę dał gospodyni domu, której obowiązkiem jest troszczyć się o ognisko.

Zaraz po tych ofiarach rozpoczęto tańce. Z prawej strony jurty utworzyły się dwa kółka, po osiem osób w każdym: męskie stanęło głębiej przy tylnej ścianie, a kobiece bliżej drzwi. Wszyscy stali jeden koło drugiego tak blisko, iż ocierali się rękawami, bo ciasnota przestrzeni nie dopuszczała swobody. Tancerze klaskali dłońmi i jednocześnie zlekka przysiadali, a potem, podskoczywszy, przesuwali lewą nogę, a gdy się wyprostowali, to i prawą nogę stawiali obok lewej. Twarze u wszystkich były zwrócone do sąsiada, niektórzy mieli oczy zamknięte, bo były one podczas tańca prawie niepotrzebne. Poruszano się na lewo i czasami tylko zmieniano kierunek, kółko szło na prawo. Każdy z tancerzy

wykrzykiwał jakieś dźwięki gardłowe, i wydawało mi się, że słyszę mruczenie zwierząt w menażerji. objaśniono mi, że koło jest podzielone na dwie czwórki, na czele każdej znajduje się jedna osoba, która pierwsza podaje głos, dźwięk ten powtarza potem jego sąsiad, a dalej i dwaj następni; lecz w tym czasie trzymający prym krzyczy już coś innego. W każdej więc chwili wszyscy czterej wykrzykują coś innego, a ponieważ często jedna czwórka nie trzyma się tego samego, co druga, a kobiety i mężczyźni mają osobne wykrzyki, więc otrzymuje się stała i męcząca ucho nasze mieszanina głosów, z zachowaniem jednak zgodnego rytmu.

Oto są niektóre z zapisanych potem dźwięków, niemające żadnego znaczenia:

Krzyki mężczyzn: 1) Nao, hecieu mm
Weo hopo mm
Weja hopo mm
Weo hepeu mm

2) Oniwe aro ehm
" arahe "
" araho "
" heeche "
" hioha "
" araho "

Kobiece krzyki: 1) indiri kokote mm
indiriwa " "
indiryjo " "
indiryja " "
indiriwa " "

2) Rahaa haa uwoha, rahaa
uwoa rahaa uwoho "
ijee " ijoha "
uwoha " iche "

Kobiety robiły co 10 sekund po 15 skoków, a mężczyźni w tym samym czasie za ledwie 10; podskakiwali bowiem wyżej, przysiadali głębiej i krzyki też były rzadsze i głośniejsze.

Rozpoczęty taniec przerwano po kwadransie, i wszyscy tancerze wyszli na dziedziniec, gdzie się uszykowały tak samo 2 kółka przed niedźwiedzią klatką; po półgodzinie wszyscy utworzyli jedno duże koło, które, nie zmieniając ruchów i krzyków, krążyło dookoła klatki, wywołując wśród skupionej dziatwy wielką wesołość, a zdumienie w niedźwiedziu, kręcącym się po swem przymusowem mieszkaniu i obserwującym nieznanne zjawisko. Po kilku obrotach tancerze znowu powrócili do jurty, i tu już na poprzednich miejscach taniec trwał przez całą noc.

Goście zaczęli się schodzić, wszyscy prawie byli w swych kostjumach, utkanych z pokrzywy lub łyka ilmu, kobiety jednak miały na sobie ubiór, uszyty z japońskiej ciemno-niebieskiej materji. Mężczyźni przychodzili albo bosi, albo zostawiali obuwie w sieni, ponieważ pić sakie nie można w obuwiu, a siadać na nary obute mu byłoby nieprzyzwoicie. Starsi ludzie siadali koło ognia, a młodzi za nimi, niektórzy szukali miejsc dalszych, w cieniu. Kobiety nie przekraczały ogniska i zajmowały miejsca między dwoma ogniskami i przednią ścianą jurty. Wkrótce była ona tak pełna, że zdawało się, iż braknie miejsca innym, lecz przychodzący bez krzyków i próśb odnajdywali sobie kącik i usiadali, prowadząc cichą rozmowę z najbliższymi sąsiadami.

Wreszcie gospodarz jurty, stojąc w jej rogu, zaczął wywoływać gości, wskazując im miejsce, dla każdego z nich wyznaczone. Na narze pośrodku byli sadzani najwięcej szanowani goście i przeważnie przybyli zdaleka; od nich ku węglowi kobiecemu usiadła starszyzna, z bliższych krewnych gospodarza złożona. Potem sadzono rzędami na ziemi i resztę na narach lewych koło tańczących. Młodzież, kobiety i dzieci siedzieli, jak chcieli. Każdy z gości, przed zajęciem wskazanego mu miejsca

dokonywał stojąc, lecz trochę przysiadając, przywitania, które się składało z pocierania dłońmi i gładzenia potem brody, przed ogniem, przed kątem, gdzie stały „inau“ dla boga domu, i wreszcie przed tym, który zajmował sąsiednie miejsce. W trakcie rozmieszczania gości, każdy z nich siedział milcząc, z opuszczonemi oczyma, jak by nie zważając na to, co się dzieje wokoło. Starano się nie okazać, że się czeka zaproszenia; skrywa każdy, chociażby i czuł, swą myśl, że już czas na jego kolej. Gdy większość siedziała już prawidłowymi rzędami, zaczęły się wzajemne przywitania. Zdaleka pocierali dłońmi jeden w kierunku drugiego i potem jednocześnie gładzili po dwa razy swe brody i piersi. Często jednak wskakiwał jeden młodszy z miejsca, podchodził do drugiego i, klęcząc przed siedzącym, witał się innymi dłuższymi ruchami, przepisanymi dla osób, które z sobą się nie widziały dłużej niż rok. To przywitanie wyrażało się w potrząsaniu sobie wzajemnie od 8—10 razy złożonych razem dłoni, wysuwaniu ich i powtarzaniu tego trzy razy, poczem następował zwykły ukłon. Z zadziwieniem patrzyłem, jak goście, milcząc, obrzucali się wzajemnie wzrokiem i jak zbiegał się zawsze początek przywitania z obu stron. Młodszy szukał spotkania z oczami starszych i, złowiwszy je, robili pierwszy giest przywitania — wyciągali ręce naprzód, dotykając się nawzajem końcami palców.

Po ukończeniu przywitań zaczęto rozlewanie sakie. Kilku młodych chodziło między siedzącymi, zaczerpywało sakie z większych naczyń, które stały w kilku miejscach przed gośćmi, i rozlewało ją do misek, z których każda stała na drewnianej tacy obok dwóch ludzi. Jeden z każdej pary podnosił czaszę, gdy mu ją nalewano, i podawał swemu sąsiadowi, a gdy ten na znak podziękowania podnosił ją do góry, podający odpowiadał grzecznością i gładził dłońmi brodę i pierś. Podczaszy obchodził wszystkich gości, dbając, by nikt nie był zapomniany. Nalewano i tancerzom, lecz już z jednej czaszy, którą brał każdy z nich po kolei. Kobiety i pod-

rostki otrzymywały też sake, lecz znacznie mniej i specjalnie dla nich przygotowaną, słabą, rozproszoną wodą. Gdy wszyscy wypili po jednej miseczce, i duże naczynia, stojące tu i owdzie koło gościa, były próżne, jeden ze starych ludzi, posadzony koło jednego łuba, opróżnionego już w parze z młodym przedstawicielem gospodarzy, powiedział następującą mowę:

„Starych przodków, dziadków waszych „inau“ już postarzały i zgniły, lecz w rodzinnej wiosce waszej one dziś odmłodziły, odnowiły się, świeżo przyniesione zostały z lasu, rosnącego na górach. Na waszej ziemi dziś bawić się będziemy. Niedźwiadek został związany, przyniesiony do waszej wsi i umieszczony z tyłu jurty, i już dwie zimy z wami przepędził. W tym roku zebraliśmy się, by odprowadzać go, odchodzącego do swego domu w góry. Jeżeli tak będziecie robili, to na drugą wiosnę jakikolwiek mężczyzna, chodząc po górskich spadach, dotykających doliny rzeki waszej, natrafi na niedźwiadka i znowu u was w domu weselić się będziemy. Więcej ponadto mówić się wstydzę, więc, odrzucając resztę, swą mowę kończę.“

Jednocześnie stary, mówiący w imieniu gości, uklonił się (t. j. pogładził brodę) siedzącemu naprzeciwko niego młodemu gospodarzowi, potem wziął do rąk dwa lakowane japońskie naczynia, zwane „sindogo“, i, pocierając je rękami, mówił monotonnym głosem, robiąc krótkie paury co parę słów, co wogóle jest zwyczajem starych Ajnów w poważnych chwilach życia:

„To sindogo przywieźli tu z japońskiej ziemi, przepłynawszy dwa — trzy morza, i w tym domu, ludzkim mieszkaniu, postawili przy tylnej ścianie. Patrząc na nie, myślę, że to babunia jest z nami w tym domu. Z poza morza przywieziony ryż w tobie się fermentuje. Wasz wnuk, boski wnuk, wstanie o świcie ze swego mieszkania i przez las i góry pójdzie na ich szczyty. W tobie wewnątrz fermentuje się ta sake, przygotowujesz dla swego

wnuka dobry traktament, zapas na drogę mu dajesz. Te słowa niedokończonej mej mowy ja na ciebie spuszczam.“

Cały czas stary tarł rękami o naczynie, a gdy skończył mówić, podniósł je do góry i postawił na podłodze. Ceremoniał się skończył. Zawezwano gospodynię, która musiała palcami wyczyścić naczynie do sucha. A przerywana na chwilę uczta znowu przyjęła poprzednie formy.

Zaczęto przesadzać gości, by nie ubliżyć nikomu, więc starano się, by na kilku honorowych miejscach siedzieli po trochu w ciągu wieczora wszyscy wpływowi goście. I ci, których posadzono z początku daleko, teraz byli proszeni o zajęcie miejsc bliższych starszyny. Gdy już usadowiono wszystkich, rozpoczęto rozlewanie sake. Tym razem żaden prawie z gości po otrzymaniu czaszy nie wypijał jej do dna, lecz zapraszał jedną z kobiet w celu poczęstowania jej „pakieś“, t. j. resztkami. Jest to sposób wyrażenia kobietom swego uszanowania lub sympatji, pozwala to również przywitać się z kobietą krewną, lub żoną przyjaciela, której się dawno nie widziało. Zaproszona ociągała się zwykle, jakby się wstydząc, potem zrzucała z siebie obuwie i okrągłą czapeczkę i, wsunawszy sobie w zanadrze czaszę, nawpół schylona, z wysuniętymi naprzód rękami, wyrażając uszanowanie, przesuwiała się powoli między gęste rzędy ciał ludzkich aż do tego, który ją wołał. Przed nim klękała i, otrzymawszy czarękę, najczęściej wypijała tylko trochę, a resztę zlewała do swojej czaszy. Te resztki każda z kobiet zbierała do swoich naczynek, ustawionych na półkach.

— Nasze kobiety chytne, objaśniał mi jeden młodzieniec, one zbierają takim sposobem sake i potem będą dawały swym krewnym, gdy zabraknie już napoju, a nawet odprzedadzą każdemu po 20—30 kop. czarękę. Są i takie, co poniosą do domu dla tych, którzy nie mogli przyjść na święto.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



TADEUSZ KONCZYŃSKI: PIELGRZYMI.

DRAMAT W TRZECH AKTACH.

(Ciąg dalszy aktu II).

SCENA VI.

UPIÓR I.

Kto ich budził? kto?

UPIÓR II.

Spali twardym snem.

UPIÓR III.

I szli już na dno
Wszyscy jednym tchem —

PIELGRZYMI.

115

UPIÓR I.

Rośnie rozpęd wód.

UPIÓR II.

Pęka mur i wał —

UPIÓR III.

Kto uczynił cud?
kto ich budzić śmiał?

UPIÓR I.

Przeklęty! przeklęty!

UPIÓR II.

Słyszałem krzyk, wszczęty
na ulicach —

UPIÓR IV.

Król-Duch jest w granicach
Polski!

UPIÓR I.

On?

UPIORY.

Przeklęty!

UPIÓR I.

Toczmy więcej wód —!

UPIÓR II.

Rzućmy ognia żar!

UPIÓR III.

Zatopimy cud
i spalimy czar —!

UPIORY.

Przeklęty! przeklęty! (rozbiegają się).

SCENA VII.

MŁODZIENIEC (wchodzi).

Precz odemnie, maro głupia,
słyszę chichot twój co krok —
nie przerazi mnie twa trupia
głowa, ani śmieszny skok —

(czarna postać znika)

precz, precz, znikła, już przepadła,
lecz mi z oczu sen ukradła.
Ha, rzecz dziwna — tak się śmiała,
ale we łzach była cała.
Plotła coś o polskiej doli,
o mogiłach, o kurhanach,
a tu każde słowo boli
i pierś staje w krwawych ranach.
Zapomniałem, zapomniałem
o tych grobach, o tej męce,
co poiły sny chłopięce
łzami. Żyłem duszą, ciałem
pośród innych obcych światów,
bo mi zbrzydła służba czatów.
Ha, czyż dzisiaj sny dziecinne
powracają, jeno inne??

A może to obraz złud,
wywołanych rykiem wód?
(wchodzi Ojciec ze Synkiem, z latarką w ręce).

SYNEK.

Tatko, tatko, gdzie idziemy?

OJCIEC.

Moje dziecię, nic nie wiemy.
Ten duch dobry, co nas wiódł,
nagle zniknął mi z przed oczu.

SYNEK.

On coś szeptał, on coś plótt.

OJCIEC.

Ktoś tu stoi na uboczu.
Czekaj, Jasiu — kto tu stoi?

MŁODZIENIEC.

Swój, a witam — kogo widzę?
Pana z synkiem u podwoi
katedralnych?

OJCIEC.

Ot się wstydzę
nawet przyznać, że ja z synem
o północy tu się tłukę,
jakbym głowę zalał winem
i Bakchusa wspierał sztukę.
Proszę pana — sen nas zmorzył,
gdy wtem okno ktoś otworzył
i zakrzyknął; „uciekajcie!

życie tylko zabierajcie“ !
 Patrzę, w sieni napór wód —
 trzeba było uciec w bród —
 Ledwiem ubrał syna, siebie —
 i wybiegłem na ulicę,
 a tu pośród chmur na niebie
 widzę księżyc, jak gromnicę,
 gorejący, żółto, mdławo —
 Wtem za rękę ktoś nas bierze
 i prowadzi — duch, w to wierzę,
 duch, co snem był, a pół jawą.

SYNEK.

Oczy miał świecące, duże — —

OJCIEC.

Rzekł mi cicho: „idą burze“ —
 a ja, stary żołnierz, panie,
 na żołnierza pasowanie
 brałem, pełne krwi, w Miechowie.
 Haha — pana przeszło mrowie — —
 Jak mi kto powiada „burze“,
 to ja walki z tego wróżę —
 gotów jestem z moim synkiem
 partyzantom być przyczynkiem.

MŁODZIENIEC.

Przykre rzeczy pan powiada.

OJCIEC.

Szukać burzy polska wada.
 Lecz żart żartem — jakieś dziwy
 kraj nasz naszły nieszczęśliwy.

MŁODZIENIEC.

Noc okropna — wszędzie smutno —

OJCIEC (świeci latarką).

Pan coś blady mi, jak płótno.
 — — — — —

WDOWA.

Na ulicach tłumno, rojnie —
 tu najciszej, tu spokojnie.
 Dobrzy ludzie, gdzie ja jestem?
 ktoś mi tutaj wskazał drogę
 i znikł z takim smutnym gościem,
 że przeraził mnie niebogę.

OJCIEC.

Ano Wawel nas ugaszczą.

WDOWA.

Przed pół wiekiem byłam z mężem
 na tych progach —

OJCIEC.

Czas upraszcza
 dawne lata.

WDOWA.

Nad orężem
 ksiądz się modlił, błogostawił —
 Mąż odjechał, mnie zostawił —
 i nie wrócił —

SYNEK.

Czemu, pani?

OJCIEC.

Cicho Jasiu, bo to rani.

WDOWA.

Dzisiaj duch mojego męża
Przyszedł krwawy do mnie w nocy
i wołał mnie ku pomocy.

OJCIEC.

Ból mi w sercu się rozpręża,
dusi w gardle —

SYNEK.

Cicho, tato —

WDOWA.

Więc go szukam pośród nocy,
bo mnie wołał ku pomocy.

(Wybucha płaczem — klęka na najniższym stopniu,
modli się).

OJCIEC.

Jak nie płakać, patrząc na to?

MŁODZIENIEC.

Nigdy dobrze, coraz gorzej.
Ten szczęśliwy, co położy
Wcześniej głowę.

OJCIEC.

Pan tu bluźni.

MŁODZIENIEC.

Śmierć jest panią w polskiej kuźni...
— — — — —

CHŁOP.

Pochwalony niechaj będzie —

OJCIEC.

Snać szukacie?

CHŁOP.

Juści, dzieci
Kajś mi się podziały w pędzie —
Wołam dziecka, a to leci
Strzygoń jakiś i zawyje
i coś chytkiem w ziemi ryje!
Nigdzie niéma moich dziecek!

OJCIEC.

Toście biedni.

CHŁOP.

Moja dola!
Woda w izbę wlała z pola,
Myśmy przed nią na przypiecek,
ale ona rosła, rosła,
aż żołnierze wzieni wiosła
i nas bez gwałt ratowali.
Teraz dziecka się zgubiły,
bogdaj mnie pioruny biły,
przyjdzie rzucić się do fali — —

OJCIEC.

Poczekajcie tu, a może
dzieci przyjdą zdrowe, hoże

CHŁOP.

Czekać, czekać? na co? po co?
 Niech się pany nie kłopotą.
 Mają zdychać, niech jo zdychom —
 Pójdę — ludzi porozpychom —
 Pan Bóg dał — Pan Bóg wzioł,
 Będę kłął, o będę kłół.

— — — — —
 (Wpada kilka bab miejskich i wiejskich).

STARA KOBIETA.

Panienko nasza najświętsza,
 O bądźże w ratunku prędsza —

DRUGA KOBIETA.

O moja stara zagroda!

INNA KOBIETA.

Męża zabrała mi woda!

WYROBNIK.

Na Wawel pędzą nas strażę,
 bo w mieście pełno, jak w garze —

INNA KOBIETA.

Zalane całe Podwale —

PRZEKUPKA.

Stragan porwały mi fale —
 Oj dolo!

— — — — —
 (Wchodzi mąż z żoną).

MĄŻ.

Tu pewnie będzie bezpiecznie:
 Wawel na wzgórzu wysokiem.

ŻONA.

Obyś był dobrym prorokiem —
 jak tutaj cicho, powietrznie.
 Lecz jeśli umrzeć wypadnie,
 Zabierz mnie z sobą do grobu.

MĄŻ.

Precz z myślą, co spokój kradnie!
 Czyżby nie było sposobu,
 by uciec z życiem z Krakowa —?

ŻONA.

Nikt nie wie, co noc ta chowa
 w sobie — więc bacz, razem w grób
 gdy przyjdzie czas, śmierć mi zrób —
 nie chcę cierpieć — nie chcę mąk —
 wolę umrzeć z twoich rąk.

(Pada mu w ramiona).

— — — — —
 (wchodzi PISARZ, MARCIN, MARCINOWA, kilku ludzi
 wiejskich).

PISARZ.

Spocznijta sobie pod murem.

MŁODZIENIEC.

Jakiem ci ludzie ponurem
 Okiem spojrzeli na braci.

MARCIN.

Bodaj raz wszystko porwali kaci!
Panie pisarzu, przyjdzie nam chyba
szukać gałęzi tej, co się giba.

MARCINOWA.

Cicho, Marcinie, oj cicho —
Jeszcze przybłąka się licho
jakie.

MARCIN.

Bogdajby pieruny!!

— — — — —

(nowy tłum przerażony — siwy staruszek przeciska
się i staje na stopniach).

STARZEC.

Widzicie?! nad miastem łuny!!
Płoną wsie, co nie spłynęły
z wodą — ha! ognie się wzdeły,
jak balon, i wałą chmurą
na miasto —

WDOWA.

Święć się Imię Twoje —

MARCIN.

Niech spłonie wszystko wskrós, jak wióro!!
co mi po cudzem, kiedy moje
zczezło na nic!!
Bogu to radość ludzi strzyc,
jak białe owce!!

MARCINOWA.

Milcz, Marcinie!

MARCIN.

Co zginać ma, niech raz już zginie!!

— — — — —

(zdaleka dolatuje śpiew tłumu: „Kto się w opiekę“ —
śpiew zbliża się — wpada OBLAKANA).

OBLAKANA.

Ratunku — — ludzie —! o moje dziecię!!
Heluniu, Helu —! uciekaj, woda!!

(biegnie po stopniach do drzwi katedry).

KOBIETA Z TŁUMU.

Szału dostała ta pani młoda —
jedyne dziecko miała na świecie,
dziecko pod wodą — teraz go szuka,
przed każdą bramą staje i puka.

OBLAKANA (uderza pięścią w drzwi świątyni).

Oddajcie Dziecko mi — moją Helę —
Będę modliła się co niedzielę —
(zbiega ze stopni).

Helu, uważaj! dziecko jedyne!!
Woda — ratujcie moją ptaszynę!!

— — — — —

(Wchodzi tłum z chorągwią i dwoma księżmi
z ostatnimi słowami hymnu).

KSIĄDZ.

Tu na stopniach katedralnych
Popadajcie w łzach i męce.
Ja się z ksiąg pomodłę mszalnych
Bogu Ojcu i Panience.
(klękają).

Panie wysłuchaj nas —

TLUM.

Wysłuchaj nas —

KSIĄDZ.

Panie, ulituj się —

TLUM.

Ulituj się —
— — — — —

(Wchodzi RAFAL i SALOMEA z katedry).

RAFAL.

Dość, ani chwili dłużej —
w oczach mi mroczno —
niech cały świat się wynaturzy,
aie łzy moje niech odpoczną — —
Ten sąd okropny, te królewskie zbrodnie,
ten brud, ten czerep Polski — te wyrodnie
gwałty i bezwstyd — gdyby dłużej patrzeć
w ten męt — to trzeba ducha zabić, zatrzeć,
byle raz znikła z oczu ta ohyda —
albo się wściec i być jak Eumenida,
i przez świat cały gnąć i wyć,
i siec, i gryźć, i mogiły ryć,
i zmarłym w oczy pluć — skoro są winni — !
— — — — —

(Słychać zdaleka śpiew „Lecą liście z drzewa“ —
wchodzi ŻEBRAK).

ŻEBRAK o kuli.

Idą kompanije
Dziwacne, dziwacne,
niby procesyje,
niby bractwa znaczne,
ale cosik zmienne —

w imię Ojca, Syna, Ducha,
Pan Jezus wysłucha —
odmówię nowennę —

PAN STARSZY.

O, znam ten śpiew — to śpiew jest powstańców —
Szliśmy na boje z tą pieśnią na wargach
i padaliśmy martwo pośród szanćów,
krew przelewając na gruzach, na piargach.

STUDENT (wpada).

Niosą chorągiew, podartą na strzepy —
chłód wieje od nich cmentarny,
widma, nie ludzie — a patrzą, jak sępy,
a od krwi każdy i od kurzu czarny — — —
Coś ja czytałem, coś ja sniłem o tem,
a serce młode bije mi, jak młotem.

SALOMEA.

Zejdźmy pomiędzy lud,
który się schronił na wawelski gród,
bo oto tu mężowie idą słynni,
co ci są znani.

RAFAL.

Ha — każda z twarzy tych oczy mi rani!
(ze śpiewem „Lecą liście z drzewa, co wyrosło
wolne“ — wchodzi długi szereg powstańców z potar-
ganymi sztandarami, z odkrytymi głowami — wielu
skutych kajdanami — między nimi kobiety i mały
chłopiec ciągnie za sobą łańcuch — dobosz uderza
w bęben, okryty czarną krepą — — powoli wcho-
dzą na stopnie).

RAFAL.

Stójcie, o polscy żołnierze!
Mówcie, z jakich krajów
idziecie!!!
czyście ze śmiercią zawarli przymierze?
czy was przygnały srogich burz zamiecie,
lub powracacie z dalekich wyrajów??
Stójcie!! nie milczcie, jak zakłęci —
Stójcie —!! ha — dobosz na pogrzeb uderza —

SALOMEA.

Idą na sąd — króla, nie żołnierza.

WDOWA.

Niech się Twoje święte Imię świeci — — —
(drzwi z łoskotem otwierają się — w głębi katedry
płoną mnogie światła).

RAFAL.

Zaklinam!! stójcie!! mówcie o swym trudzie!!
ktoście za jedni?! widma, czyli ludzie?!
Wyście to w boju Leonidasowym
stawali piersią przy piersi w wylomie,
a honor był wam puklerzem stalowym,
a duch zapalał się ogniami w gromie??
Wyście to legli trup przy trupie zwarci,
z okrzykiem „Polska“, bagnetami parci?!
Stójcie! niech jedna pierś tu błysnie krwawo
ludziom na oczach, jak świadectwo czynu —
a może w kartach szaleństwa kurzawą
duch się okryje i po liść wawrzynu
sięgnie!!

(słysząc dalekie bicie wielu dzwonów).

ŻOŁNIERZ (na najwyższym stopniu odkrywa pierś
i ukazuje wielką ranę krwawą).

WDOWA.

Mężu mój!! mężu!! szukałam cię wszędzie — —
ŻOŁNIERZ (ręką daje jej znak pożegnania).

WDOWA.

Bądź zdrow —!
(powstańcy i żołnierze znikają — drzwi świątyni
zamykają się).

WDOWA pada trupem.

GŁOS Z TLUMU.

Umarła —

INNY GŁOS.

i pogrzeb mieć będzie.

RAFAL.

Żaliż co polskie, wszystko się rozpręganie?
Gdzie jest ten naród, co znał takie rany?
w kim tu zabiło serce polskie? w kim?
Mówcie! milczycie wszyscy? jak zrąbany
w pień bór?!
żaliż tu pustka śmierci? pogorzelnny dym
i tylko mór??

(biegnie od jednej postaci do drugiej i dalej).

w piersiach przestały serca bić — —
w oczach strach lata —
dusza przy duszy zda się gnić
i brat się zaparł brata —
O — o!

(kryje głowę na ramieniu Salomei).

(kilku ludzi wynosi trupa staruszki na podwórze
zankowe).

MATKA (wpada z dzieckiem na ręce, przerażona).

Huczą dzwony — huczą dzwony,
w mieście ogień, żar czerwony —
huczą dzwony — !!

(kilku ludzi przylatuje na podwórze w przerażeniu).

Wpada KSIĄDZ-ASCETA.

Od ognia, wody i pomoru
ratuj nas, Jezu Zbawicielu —

TLUM (pada na kolana).

Ratuj nas, Jezu Zbawicielu —

KSIĄDZ.

Byliśmy jako marnotrawne syny,
ale nam odpuść nasze winy,
ulituj się — !

TLUM.

Ulituj się —

KSIĄDZ.

Będziemy ciała katowali,
od ran i bólu będziemy sini cali —
ulituj się —

TLUM.

Ulituj się —

KSIĄDZ.

Na pustkach ołtarz pobuduję Tobie,
i żyć będziemy zakochani w grobie,
wysłuchaj nas —

TLUM.

Wysłuchaj nas.

RAFAL (do Salomei).

Słyszysz, jak modli się ten ksiądz?
On chce, by naród żyw był, mrać — — — !

KSIĄDZ.

I jedną tylko ojczyznę mieć chcemy
Twoje królestwo w niebie —
Na ziemskie głosy wzrok i słuch nasz niemy
i wypieramy się wszego prócz ciebie —
ulituj się —

TLUM.

Ulituj się —

KSIĄDZ.

I przeszłość naszą, chorągwie i bronie,
w całopaleniu złożym Tobie —
Wybaw nas, wybaw —

TLUM.

Wybaw nas, wybaw —

KSIĄDZ.

A naszą Polską będzie myśl o zgonie,
O łzach i grobie —
wybaw nas, wybaw —

TLUM.

Wybaw nas, wybaw —

(Wielu wybucha płaczem).

RAFAL.

Księżo!! od progu tego tobie wara!

idź i głoś twoje modlitwy kamieniom,
co serc nie mają!

KSIĄDZ.

Idę ku zbawieniom!
bo wiem, powiedział Bóg: „na Polskę kara“!!

KSIĄDZ DRUGI.

Żegnałem krzyżem kule pod Grochowiskami —
niech mnie Bóg przeklnie za to, lecz ja łzami
uproszę łaskę dla tych, co tam byli.
Księżu, tyś młody — inni cię ubiegli
w wieku i w wierze!

KSIĄDZ.

Za mną lud!!
Jeśliście tacy wielcy, śmiali,
Wydrzycie lud ten ogniom, burzom, fali —
ocalcie go —! uczynicie ten cud
w imieniu Polski!!

RAFAL.

Księżu — tyś jest biały
od lęku — twoja dusza mała drży
w obliczu śmierci i dlatego lży
przeszłość —

KSIĄDZ.

Albowiem Bóg, co siadł wśród chwały
na tronie niebios — rzekł — „stworzyłem człeka,
aby się korzył przedemną, jak pył —
by na mój widok drżała mu powieka
i aby w mękach i trwodze się wił“.
A zaś ojczyznę wyście zbudowali
i bałwochwalczą cześć składacie bóstwu,

zatem Bóg czyni gwałt temu porubstwu
i rzuca ogień na was — niechaj pali!
i rzuca wody na was — niechaj topią!
i pierś rozedrze wam piorunu kopją!
Tak chce Bóg — oto się epoka druga
poczyna świata — jam jest jeno sługa.

(Pada na kolana).

Panie, wysłuchaj nas —

CZEŚĆ TLUMU.

Wysłuchaj nas —

KSIĄDZ.

A blaskiem swoim poraż nędznych synów,
jako raziłeś ongi Filistynów —
Wysłuchaj nas —

CZEŚĆ TLUMU.

Wysłuchaj nas —

RAFAL (staje na wyższych stopniach).

Rodacy!
chcę się spowiadać wam, jak dziecko bratu —!

KSIĄDZ.

Precz z nim!

CZEŚĆ TLUMU.

Precz! precz!!

KSIĄDZ.

W piekło idą tacy
i głowy dają pod topory katu —!

RAFAL.

Wy mi czynicie gwałt!

KSIĄDZ.

Precz z nim!

CZEŚĆ TŁUMU.

Precz! precz!!

MŁODZIENIEC.

Ja chcę, by mówił! To bezwstydną rzecz
nie dać mu mówić!

CZEŚĆ TŁUMU.

Niech mówi!

KSIĄDZ.

Precz na stos!

CZEŚĆ TŁUMU.

chcemy, by mówił —!

KSIĄDZ.

Tchórzeli!

ROBOTNIK.

Dać mu głos!

CZEŚĆ TŁUMU.

Chcemy, by mówił —!

WÓJT.

Mów, panie Rafał —

RAFAŁ.

Bracia — słuchajcie — ten ksiądz w szale
zapał się Polski, jak Judasz Chrystusa!

Wiem ja! sam jestem pełen winy,
lecz dziś w mej piersi jakiś krzyk jedyny
we łzach się zrywa i bije, jak dzwony
na pożar — oto przejrzałem i płaczę
te wszystkie klęski, te drogi tułacze,
te bohaterskie boje, krwie i zgony!
W obliczu śmierci nieraz Polska stała,
jak dziś stoimy my —
ależ czy kiedy była tak skarłała
i pozbawiona honoru do krzty,
by aż paść w kurz — czołgać się, jak płaz,
i knut całować, zanim spadnie raz?!
Jeśli Bóg słyszał modły tego księdza,
jeżeli człowiek dlań podłość i nędza,
okaleczony mózg, głodna hjena —
zaiste, aby żyć, zamała cena,
którą ten ksiądz — przyrzekł swemu Bogu —!
Ja wolę jednak śmierć na polskim progu
i mój wstyd!

GŁOS Z TŁUMU.

Ślepy wid — —

KSIĄDZ.

Wierni! on Boga wyzywa i kusi!

CZEŚĆ TŁUMU.

Precz z nim! precz! precz!

KSIĄDZ.

Kto sługą Marji jest, niech głos ten zdusi!

CZEŚĆ TŁUMU.

Śmierć! śmierć mu! śmierć!

STARY CHŁOP (porywa drąg i ciśnie się ku Rafałowi).

MŁODZIENIEC.

Kto wzniesie rękę, padnie trupem!!
(mierzy z rewolweru).

KSIĄDZ.

Za mną!

ROBOTNIK.

Precz z księdzem!

MŁODZIENIEC (do starego chłopca).

Rzuć tę żerdź,
bo cię na tamten świat wyślę z okupem
żelaznym w głowie!!

KSIĄDZ.

Za mną w imię Chrysta!
Pobłogosławi nam Panienka czysta!
(wśród wycia — i strzałów dwa tłumy uderzają
na siebie).

SALOMEA.

Ludzie! szaleni bratobójcy! stójcie!
(wchodzi pośrodek).

Tu grób przeszłości — spokój jej szanujcie —!!
(tłumy cofają się — SALOMEA zbliża się z wolna do
Księdza, utkwivszy w nim wzrok — chwila ciszy).

GŁOSY W TŁUMIE.

Widmo — mara —
Skąd się wzięła?
— Czarne na niej szaty —

— Patrzcie! księdza w słup zakłęta —
— Człek, czy duch skrzydlaty?

KSIĄDZ (pod jej wzrokiem zasłania sobie oczy,
potem klęka i krzyżem pada na stopniach)

ŚMIECH OGROMNY.

Ahahahaha!!!

— — — — —
(bicie wielu dzwonów wzrasta — wpada OJCIEC z SYN-
KIEM i kilku ludzi — niosą zemdloną kobietę)

OJCIEC.

wody!! umiera!! wyniesiona z żaru!

TŁUM.

O — o —

WYROBNIK (wpada).

Pół miasta w ogniu — drugie pół pod wodą —

DRUGI STUDENT (wpada).

Słyszycie dzwony i tę burzę gwaru?
Jacyś rycerze tłumy tutaj wiodą!

TŁUM.

O — o —

GŁOSY W TŁUMIE.

— Zamknąć bramy!
— I most zwieść!?
— Czyj głos ten sobaczy —?!
— Nie zamykać!
— A gdzie cześć!
— Zginiemy inaczej!!
(wpadają UPIORY wodne — rozbiegają się wśród ludzi).

UPIÓR I.

W proch padajcie — w proch!

UPIÓR II.

Zamykajcie oczy!

UPIÓR III.

Zduście w gardle szloch!

UPIÓR IV.

Niechaj strach was toczy!

UPIÓR I.

Idzie mocarz wód —

UPIÓR II.

Śmierć gna w jego chód —

UPIÓR III.

Za nim morze mórz!

UPIÓR IV.

Popadajcie w kurz —

(inne upiory toczą olbrzymią czaszkę trupią, na której staje NIEZNANY — czaszka świeci złotymi oczami).

GŁOSY W TŁUMIE.

Zły duch!

— Upiór!

— ledwie żywam!

NIEZNANY.

W porę, jak widzę, przybywam!

Współczuję z polskim narodem —

GŁOSY.

— Chmura nad nim —

— Ogień przodem —

NIEZNANY.

Pomocną rękę wyciągam
i głoszę życie ludowi —
kto mądry, szczęście wyłowi
z burzy — Szalonym urągam
i ofiaruję w zadatku
stryczek i nóż od przypadku...
Hahaha — słyszałem mowy
Księdza i patryjoty głos górny, stalowy...
I śmiech mię zbiera, że lud słucha bredni
i brał za prawdę humbug przepowiedni.

RAFAŁ (z drugiej strony tłumy).

W czyjem imieniu ten Nieznany gada?

NIEZNANY.

W imieniu siły, co zwyciężać rada.

GŁOSY.

— W oczach ma piorun —

— A ręce miedziane.

NIEZNAHY.

Królestwo moje wszędzie tam, gdzie stanę,

GŁOS.

Boże! — ulituj sięj

CZEŚĆ TŁUMU.

Ulituj się —

NIEZNANY.

Oto przyrzekam wam złotą beztroskę,
jeśli posłuszni będziecie
i odbuduję każde miasto, wioskę,
które żar spalił i wodne zamiecie
zabrały,
jeno niech naród odda mi się cały.
Nie ma bezemnie dróg po tej pustyni
śmierci — gdziekolwiek stąpicie,
ziemia pod wami pęknie i uczyni
loch i zasadzkę na zbłąkane życie.
Drżyciel bo słońca zgasilem w przestrzeniach
świata — i odtąd każdy świt
porodzi nową noc w bezkształtnych cieniach
i zdusi każdy blask i każdy myt.
Zgasilem światłość, ja, władca ciemności —
a kto do rządów prawa sobie rości,
niechaj tu staniel!

RAFAL.

Jam jest — i oto rękę na tej ranie
kładę, co w sercu otwarła się z bólu
i wołam — kłamiesz, samozwańczy królu!!

NIEZNANY.

Kto jesteś ty, co śmiesz mój gniew wyzywać?

RAFAL.

Jeden z tych wielu, co gotowi kośćmi
i krwią swą dać tę ziemię zaorywać,
by widmem jeszcze wstać i wołać: *kłamiesz!!*

NIEZNANY.

Dość mi!!

Do nóg mi padaj i błagaj o łaskę,

bo jeśli z twarzy zerwę tę opaskę
i wzrok utopię w tobie, niewolniku,
padniesz, jak trup — na ziemię bez krzyku —

RAFAL.

Ha! zerwie! niechaj zerwie! raz zobaczę
tę twarz, widzianą w przepaściach mej duszy —
a jeśli ciało masz takie robacze,
co się pod jasnym wzrokiem na proch kruszy,
jeśli twe oczy, jako rdza zielona,
świecą, pod którą wszelkie życie kona,
jeśliś jest ten — to znam cię! o — jak bardzo!
Ha zerwij maskę! milczysz?! tchórzem gardzą
uczciwi! milczysz?! a więc tyś jest znów
upiorze moich walk, łez, szału, snów?!
Ty, co stawałeś na rozstajnych drogach
mej duszy w ogniach zmysłów, w krwi purpurach,
ty, coś się chełpił, że władzę po bogach
odziedziczyłeś i że możesz w zawierusze
iść i z piorunów czynić struny,
by na nich wygrać hymn Polskiej Fortuny?!
Ha tyżeś jest przedemną — twarzą w twarz?!
Do gardła tobie skoczę—!! zduszę!!

(rzuca się ku niemu — tłum masek ze sztyletami
w rękach zastępuje mu drogę)

hahaha, straż—!!

GŁOSY W TLUMIE.

— Gniew na nas ściąganie —
— Zmysły postradał!
Szalony!!
— Dziwne rzeczy gadał —

NIEZNANY.

Znasz mnie—to dobrze—dziś poznasz mnie lepiej.

Nie rzucę maski—mam litość nad nimi —
 bo gdybym zrzucił, to tu będą ślepi,
 a mur i kamień płomieniem zadymi.
 Czas już najwyższy! przemawiam do ludu,
 aby się ocknął z odrętwienia —!
 Rozkaz mój, jeśli chcę, losy przemienia
 i do stóp rzuca djamenty cudu...
 Tutaj do moich nóg—!!

(część tłumu pada na kolana).

RAFAŁ.

Nędzarze — to wasz wróg,
 a wy padacie mu do nóg—?!!

GŁOSY.

Precz z nim! niech zginie!!

(tłum rzuca się ku RAFALOWI)

— Dajcie mi garść błota!
 w ślepie mu rzuć!!
 — precz z nim! precz!!
 — zabiję!! Panie, daj mi miecz!!

ROBOTNIK.

Kto precz powiada — jest nędznikiem!
 znam głód, znam mękę, ale niewolnikiem
 nie byłem jeszcze żadnym potentatom —
 precz z szarlatanem! śmierć łotrom i katom!!

GŁOS TŁUMU.

Śmierć katom—!

ROBOTNIK (rzuca się z oskardem w rękę ku NIE-
 ZNANEMU, dociera do jego nóg i pada przebity szty-
 letami masek).

GŁOS.

Trup —

TŁUM (przerażony, cofa się).

NIEZNANY.

Nowe wam państwo utworzę —
 Co było, zwali się w grób —
 Zamek ten pługiem zaorzę
 i pozasiewam chwastami —
 precz z ideami—!!

CZEŚĆ TŁUMU.

Precz z ideami—!

NIEZNANY.

Precz z wolnym duchem!!

CZEŚĆ TŁUMU.

Precz z wolnym duchem!!

NIEZNANY.

Utopje! niema ducha! niema skrzydeł!
 świat był i będzie tylko ruchem!
 wyzwalam was z tych ciemnych sideł —
 w które złapano ludzkość i narody.
 Ja dam wam życie, dam wam gody,
 ale rozwalcie w proch te mury!
 niechaj mi zniknie z oczu przeszłość wasza,
 bo mi się widma tego koń nazbyt przestrasza
 i w dal ponosi przez ten kraj ponury!

RAFAŁ (do tłumu).

Precz stąd!! nie wierźcie mu! uchodźcie!
 pustkę uczynicie między nim

a sobą — pustką się odgradźcie
i uciekajcie przed upiorem tym.
Znam go — gdy rzuci wam w piersi jady,
szał was ogarnie — szał zagłady.
Biłem się z widmem tem w otchłaniach ducha
i przewalałem w śmiertelnych uściskach
po narodowych cmentarzyskach,
gdzie noc spowiedzi mogli słucha —
i upadałem zmożony w krwi barwach,
łzy wylewając —
przeto zaklinam was, w płaczu się kając,
nie opierajcie na tych larwach
dusz waszych, padną bowiem, runą,
jak słupy zgniłe —

Precz stąd!! co stoicie,
jak głazy?! precz stąd!! cóż to — drżycie?!
czekacie, aż wam się oczy zasuną
mgłą bez pamięci?! aż ja zginę
z bólu?! szaleni!!!

NIEZNANY.

Patrzcie, jak człowiek ten wściekły się pieni —
Dalej, zadcpczcie tę gadzinę —

(tłum masek rzuca się w stronę RAFALA).

SALOMEA (zasłania go).

(MASKI cofają się i otaczają kołem NIEZNANEGO).

MASKA I.

Przeklęta bądź —

MASKA II.

Sztylet mi się zwinął
i wypadł z ręki —

MASKA III.

Ha, byłby już zginął,
gdyby nie ona —

MASKA I.

Nieśmiertelnością snąć jest poświęcona—!

KSIĄDZ (wznosi ręce).

Przyjmij, o Boże, ofiarę z żywota —
Głowy kładziemy pod moc twego młota
i kurz zjadamy, bośmy niewolnicy
Twoi, wyklęci znakiem twej prawicy.
Ulituj się —

CZEŚĆ TŁUMU.

Ulituj się —

(padają na kolana).

GŁOSY.

— Komu zawierzyć?

— Komu oddać duszę
w tych rozszalałych potęg zawierusze?

PROFESOR.

Gdzie narodowych są ognisk Westalki?

MŁODZIENIEC.

Zaiste lepsza śmierć od takiej walki.

UPIÓR (wpada).

Tłumy bezmierne otoczyły gród
i stoją —
a przodem błyska w stal zakuty ród
światlistą zbroją—!

NIEZNANY.

Dalej! wyważcie bramę tej świątyni—!
rozpedźcie cienie, co się tam panoszą!

Sfinks

podłóście ogień! Kto mi to uczyni,
tego nagrodzę złotem i rozkoszą!
Kto broni wstępu, trupem go położyć!
Ha dalej! sługi moje! niewolniki!

RAFAL.

Miałebym sromu tego dożyć
i tam, gdzie grób przeszłości, słyszeć zbirów krzyki?
i świętokradzki młot—?!!

(staje na wyższych stopniach, zagradza drogę).

KSIĄDZ.

Bóg zsyła szatana,
aby się wola dokonała Pana —
Wierni—pomóżcie zburzyć ołtarz Baala —
Bogu uczynicie pustkę — Bóg pozwala!

RAFAL

Precz! ani kroku — tutaj legnę ciałem— .
Jeżeli mózg wasz opętany szalem,
a dusza pękła i leży w skorupie —
przechodźcie, ale tylko po moim trupie!
A ze mną padnie trupem tysiąc lat
przez mnie przeżytych w dziejów nawałnicach,
padną sztandary wbite na granicach
ducha i pieśń odarta z szat!

GŁOSY W TŁUMIE.

My z tobą! z tobą
— do tchu ostatniego!
precz z zaprzańcami!!
niech się pomsty strzegą!!
(tłum gromadzi się koło niego).

RAFAL.

Wy ze mną bracia? dłonią w dłoń—?
O jakaż duma rozpiera mą skroń!
Oto stoimy tu w odmieście
i polskiej bronimy czci
i cud się spełnia niepojęcie
nowych dni!!
Nie tutaj kres nasz! Tu nasza koleba
rycerska — serca próg!
stąd nas pozywa duchowa potrzeba
na szlaki zbożnych dróg—!
Poza plugawe formy nienawiści,
poza rachunki krzywd, rozpaczy, zbrodni,
zemsty i krwi,
pójdziemy czyści,
miłością ludów głodni,
przez ogrom wód i przez śmierci drzwi,
przez szale burz
ku bezprzestrzennym polom zórz!

NIEZNANY.

Dalej! na drzazgi rozbić mi tę bramę —

CZEŚĆ TŁUMU.

Nie damy!
(tłoczą się w stronę RAFALA).

KSIĄDZ.

W Imię Pana na niebiosach!!

CZEŚĆ TŁUMU.

Śmierć! śmierć mordercom!!

CZŁOWIEK (wypada z tłumu).

Sztylet krwawą jamę
uczynił bratu --
(oszalały wybiega).

MŁODZIENIEC.

Ha — słyszę w tych głosach
Ryk zwierząt — wieczność już zda się przemijać
i ginać — śmierci przybywaj —
(pali sobie w łeb).

NIEZNANY.

Zabijać!

(Daje znak upiorom, które rzucają się w wir walki).
(Otwierają się drzwi katedry — głos organów bucha
potężny — na progu ukazuje się widmo króla STA-
NISŁAWA AUGUSTA, za nim HEROLD, KRÓL-DUCH,
rycerze, biskupi — mnóstwo światła w głębi — wszy-
scy w przerażeniu cofają się — chór kończy śpiew
„Dies irae“).

HEROLD.

Sąd uznał ciebie niegodnym tu trumny,
umarłeś bowiem w niesławie —
zatem od progów odstęp! Tu każdy próg dumny
i wstydem płonie, królu Stanisławie.

RAFAL.

Patrz! oto naród, co od krwi koloru
czerwony — ciesz się — sprzedawco honoru!

HEROLD (łamię szpadę Stanisława Augusta nad
jego głowę i rzuca ją na stopnie katedry).

NIEZNANY.

Przekleństwo!

(widmo STANISŁAWA AUGUSTA przechodzi przez roz-
stępujący się tłum obok NIEZNANEGO — CIEN zjawia
się, bierze od niego koronę i znika z nim razem).

NIEZNANY (do upiorów wodnych).

Poruszcie ziemię do wnętrza!
niech głąb na głębiach się spiętrza —
Zalejmy morzami wód
to gniazdo i jego szalony lud!
(znika razem z upiorami).

RAFAL (klęka u nóg KRÓLA-DUCHA).

Panem nam bądź!
Wyśniętem cię — ty nam rządź!

KRÓL-DUCH (kładzie miecz na jego ramieniu).

Pieśń ukochałem, co śpi w polskiej ziemi —
tę pieśń dobędę z was —
pójdziecie przed się jarami ciemnymi,
pójdziecie jako las
nad głową z wichrem Ducha,
bom oto znalazł syna, co mię słucha.

KONIEC AKTU II.

(Dokończenie nastąpi).





PIERWSZY ZJAZD NEUROLOGÓW, PSYCHJATRÓW
I PSYCHOLOGÓW POLSKICH.

W dniach 11, 12 i 13 Października r. b. zebrał się w Warszawie Pierwszy Naukowy Zjazd Polski. Po raz pierwszy w tem miejscu i w tym składzie zjechali się ze wszystkich ziem polskich i z obczyzny badacze naukowcy, w zakresie neurologji, psychjatrji i psychologii, ażeby radzić wspólnie nad interesującymi ich zagadnieniami.

Rozwój nauki, szczególnie dokonany w ostatnich kilkudziesięciu latach posunął się tak znacznie, że rozsadził granice pracy indywidualnej, stworzył potrzebę pracy zbiorowej, jako koniecznego uzupełnienia pracy jednostkowej, potrzebę spółdziałania, wzajemnej wymiany usług i myśli. Dla tego skorzystano skwapliwie z nadarzającej się sposobności urządzenia Zjazdu w Warszawie, w przeświadczeniu, że potrzeba takiej wzajemnej wymiany myśli jest potrzebą rzeczywistą, że naukowe nasze życie, jakkolwiek płynie łożyskiem zwięzonym, niemniej przeto płynie szybko i nurtem głębokim, że nauka zapuściła głęboko swe korzenie w łono życia narodowego, że wszystkie przeciwności już jej ogarnąć nie są w stanie, że gienjusz narodowy żyje nie zmniejszonym życiem i że, zawołany, zawsze stanie do apelu i da odzew: jestem.

Ale rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania.

Liczba uczestników Zjazdu sięgała 270 osób, referatów ogłoszono do 60; oprócz tego urządzono pokaz preparatów makroskopowych i mikroskopowych w liczbie kilkuset, zmieniających codziennie i zastępowanych nowymi.

Zjazd podzielono na trzy sekcje: neurologiczną, psychjatryczną i psychologiczną. Dwa posiedzenia były wspólne — w Poniedziałek przed południem i we Środę popołudniu — na otwarcie i zamknięcie Zjazdu.

Na posiedzeniu, otwierającym Zjazd, powołano Prezydjum Zjazdu, do którego weszli, jako Przewodniczący, prof. Babiński, znakomity neurolog paryski, który w pięknym przemówieniu wstępnym, witany owacyjnie, zaznaczył, że, jakkolwiek pracuje na obczyźnie, nie zatracił ścisłej łączności z krajem ojczystym i zjawia się na pierw-

sze wezwanie, ażeby wziąć udział czynny w pracy zbiorowej. Jako zastępcy Przewodniczącego: Profesorowie Wszechnic Jagiellońskiej i Lwowskiej, pp. Twardowski, Gluziński, Cybulski, Halban, Piltz, Heinrich i Rencki — jako sekretarze: Hornowski i Mikulski ze Lwowa.

Prace Zjazdu otworzył prof. Twardowski ze Lwowa pięknym przemówieniem o metodzie psychologii, której nie zamknął w ciasnych granicach metody eksperymentalnej, lecz objął pojęciem metody i metodę doświadczalną, której naczelne miejsce wyznaczył, rozumiejąc, że doświadczenie obejmuje nie tylko eksperyment, ale także i zakresy doświadczenia wewnętrznego. Oglądanie preparatów i zbiorowa fotografia dopełniły to pierwsze zebranie ogólne.

Posiedzenia następne wypełniły prace sekcyjne; posiedzeń sekcyjnych było 4 w każdej sekcji. Podstawę obrad stanowiły referaty zasadnicze, po dwa w każdej sekcji, i dyskusja nad nimi; resztę czasu zajęły odczyty oddzielne, krótsze komunikaty wraz z dyskusją. W sekcji neurologicznej zasadniczymi referatami były: O nowotworach układu nerwowego i ich leczeniu. Referenci (M. Biro, Z. Bychowski, E. Flatau i W. Męczkowski), którzy na zasadzie danych własnego doświadczenia i doświadczenia, zdobytego przez innych, dali obraz całkowity obecnego stanu klinicznego tej postaci cierpienia układu nerwowego. Biro mówił o nowotworach mózgu, Bychowski o objawach i leczeniu nowotworów mózgowych, Flatau o nowotworach rdzenia, wreszcie Męczkowski o nowotworach mózdzku. Referaty te wzbudziły znaczne zainteresowanie ogólne, wywołały ożywioną dyskusję, w której wzięli udział liczni uczestnicy Zjazdu z profesorami Babińskim i Gluzińskim na czele.

Niemniejsze zainteresowanie wzbudził drugi referat ogólny: o padaczkę i stanach pokrewnych, którego referenci: Bregman i Sterling, w sposób wyczerpujący oświetlili tę ważną dziedzinę neurologji.

Z odczytów oddzielnych, wygłoszonych w sekcji neurologicznej, należy podkreślić: prof. Bochenka z Krakowa — dotyczący badań nad centralnem zakończeniem nerwów wzrokowych, Frenkla — drogi mózdzkowe gołębia, Trzebińskiego — o przerostach endoneuralnych w nerwach obwodowych, Tura — badania nad rozwojem potworności platyneurycznej, Noiszewskiego — o czuciu włosowem i gruczołowem i o siatkówce korowej, oraz cały szereg prac

klinicznych: Goldflama z dziedziny chronienia przestankowego, Higiera o stanowisku klinicznym niektórych rzadszych chorób mózgowych rodzinno-dziedzicznych, Kopczyńskiego o postępującym połowicznym zaniku twarzy, Nusbauma, w sprawie wskazań do stosowania narkotyków w chorobach układu nerwowego, Łapińskiego ortopedyczno-chirurgiczne leczenie porażen spastycznych u dzieci, Pańskiego nerwice urazowe w świetle poglądów nowoczesnych i warunków miejscowych, Puławskiego, rokowanie i leczenie w chorobie Graves'a (Basedowa), Chłapowskiego przyczynek do powstawania napadów stenokardji i ich łagodzenia i inne.

Tematami ogólnymi sekcji psychiatrycznej były: Rozpoznanie różniczkowe psychozy manjakałno-depresyjnej i otępienia wczesnego, referenci A. Wizel i M. Bornstein, oraz klasyfikacja idjotyzmu, którą referował Higier, z nich szczególnie referat pierwszy wywołał ożywioną dyskusję, jako nastrożający najczęstsze i największe trudności rozpoznawcze, o poważnym znaczeniu praktycznym, bo z temi postaciami cierpień być może najczęściej spotyka się lekarz praktyk, a od trafności rozpoznania zależy i leczenie, i rokowanie; odczyty oddzielne wygłosili: Hornowski i Rudzki, sclerose tubereuse (Bourneville), prof. Halban o remisjach i leczeniu porażenia postępującego, Mikulski wyniki badania inteligencji chorych umysłowo za pomocą kwestjonariusza i metod Ebbinghan'sa Heilbrounera i własnej. Przychodźki obłąkani przestępcy przed sądem, Springer o wartości klinicznej odczynu Wassermann'a w chorobach nerwowych i umysłowych. Szuman diagnoza i prognoza jako suggestja i stosowanie jej psychoterapeutyczne i inni.

W sekcji psychologicznej wygłoszono tylko jeden referat ogólny: W. Dawid o badaniu inteligencji; drugi referat, o stanach podświadomych, wskutek nieprzybycia referenta E. Abramowskiego, spadł z porządku dziennego. Odczyty oddzielne wygłosili Wł. Biegański o postrzeżeniach, w którym autor zwraca uwagę na udział nieświadomego wnioskowania w procesie postrzegania, R. Radziwiłłowicz o doborze podmiotowym, odczyt stanowi próbę ujęcia biologicznej roli świadomości i w wyniku ostatecznym pracy autor dochodzi do wniosku, że formuła walki o byt, dzięki stwierdzeniu oddziaływania świadomości na proces walki, musi przeobrazić się w ten sposób, że prowadzi się walka coraz to doskonalszemi

środkami o coraz to wyższą postać bytu, o coraz to lepszy byt. L. Karpińska o przyczynkach do doświadczalnego widzenia głębi, przyczem zwraca uwagę, że rozstrzyga tu przedewszystkiem nastawienie się osoby badanej, a zatem warunki psychiczne. Wasserberg o progach pobudliwości nerwowej w świetle zasad selekcji, odczyt, który wywołał najbardziej ożywioną dyskusję. Błażek z Przemysła w sprawie badań psychologicznych nad oddziaływaniem pracy ręcznej na umysłowość pracującego, odczyt wywołał uchwałę sekcji, że uznaje się za rzecz konieczną zainaugurowanie badań nad oddziaływaniem pracy ręcznej na umysłowość pracujących i w tym celu poleca się wybranemu gronu wypracowanie wskazówek do takich badań eksperymentalnych i rozesłanie ich wszędzie, gdziekolwiek na obszarze ziem polskich istnieją warsztaty przy zakładach naukowych i wychowawczych. W skład komisji weszli, Błażek, Bandrowski, Dawid, Stefanowska i Szycówna. H. Halpern wygłosił dłuższą rzecz o zadaniach psychologii, B. Bandrowski przedstawił wyniki swych badań eksperymentalnych nad psychologją pytania, J. Segal mówił o swych spostrzeżeniach nad wyobrażeniami odwrótczemi, S. Sterling o badaniach nad reprodukcją ograniczoną. A. Mahrburg przedstawił swą teorię uczuć, w której największe znaczenie w powstawaniu uczuć przypisuje układowi społecznemu, A. Złotnicki mówił o zmianach osobowości, Lewkowicz o problemacie stosunku ducha do ciała ze stanowiska teorii poznania, A. Szycówna o rozwoju pojęć i zainteresowania u dzieci w okresie szkolnym, D. Zylberowa o badaniu inteligencji dzieci normalnych i nienormalnych podług metody Bineta, odczyt ten wywołał potrzebę wysadzenia komisji do zajęcia się sprawą opieki i wychowywania dzieci umysłowo-upośledzonych; w skład komisji weszli Dawid, Keli-chen i Zylberowa; W. Dawid o wykładzie psychologii w zastosowaniu do obecnego stanu nauki i do potrzeb wykształcenia fachowego, i J. Ochorowicz, który dzielił się z sekcją wynikami swych doświadczeń nad promieniami sztywnymi i promieniami Xx. Odczyt ten wywołał pewne poruszenie wśród uczestników sekcji, że nie przedstawia faktów dostatecznie stwierdzonych, — wobec czego zaproponowano J. Ochorowiczowi poddanie jego doświadczeń sprawdzeniu przez komisję, powołaną przez Zjazd. J. Ochorowicz propozycję odrzucił, twierdząc, że niema pośród zebranych ludzi, zajmujących się badaniami

medjumicznymi, wobec czego komisja, jako pozbawiona udziału sił fachowych, nie miałaby żadnego znaczenia. Po krótkim przemówieniu prof. Lutosławskiego—dyskusję wyczerpano. Fakty same winny być przedmiotem obrad Zjazdu naukowego, ale jako niedostatecznie jeszcze sprawdzone, notowane bez dostatecznego krytycyzmu, nie mogą stawać się przedmiotem obrad Zjazdu; Zjazd przyjmuje je do wiadomości, lecz dyskutować nad nimi, wartościować je i oświetlać, uważa za przedwczesne w chwili obecnej, aż do czasu, kiedy samo istnienie faktu zostanie niewątpliwie stwierdzone. Posiedzeniem ogólnym w d. 13 Października po południu zamknął Zjazd swe prace. Na tem posiedzeniu R. Radziwiłowicz wygłosił referat w sprawie ustalenia naszej terminologii psychologicznej, w którym przedstawił przyczyny chaosu, istniejącego u nas w zakresie terminologii psychologicznej, wskazał, że cały ten trudny węzeł gordyjski nie może być rozcięty jakimś jednym zamachem, lecz musi być rozwiązywany stopniowo, w szeregu oddzielnych usiłowań jednostek i towarzystw naukowych, że wysadzona przez komitet organizacyjny komisja mogła tylko zrobić to, że nakreśliła plan ogólny prac i wykonała pierwszy krok w tym celu, przystąpiwszy do opracowania słownika inwentarzowego terminologii psychologicznej, któryby dał obraz ogólny wszystkiego, co zostało dokonane u nas na tem polu; że dalsze kroki należą do naszych towarzystw psychologicznych, które winny terminy sporne i nastroczające wątpliwości poddać wyczerpującej dyskusji na swych posiedzeniach naukowych i tą drogą wytworzyć podstawę dla przyszłego słownika rozumowanego, który, uzyskawszy zatwierdzenie jednego ze Zjazdów następnych, da nam terminologję psychologiczną, ściśle naukową i powszechnie przyjętą. Referent przedstawił próbną arkusz opracowywanego słownika, dla zaznajomienia uczestników Zjazdu z charakterem pracy i techniką wydawnictwa. E. Flatau podniósł sprawę potrzeby istnienia specjalnego pisma, poświęconego neurologji, psychiatrii i psychologii eksperymentalnej; rzecz została przez zgromadzenie przyjęta z uznaniem; wreszcie prof. Twardowski w pięknym końcowym przemówieniu, reasumując ogólne, nad wyraz dodatnie wyniki prac podjętych, zamknął Zjazd życzeniem, ażeby następny mógł odbyć się możliwie w czasie najprędszym, t. j. już łącznie ze Zjazdem polskich lekarzy i przyrodników, zapowiedzianym na rok 1911 w Warszawie, resp. w Krakowie.

Komitet organizacyjny obecnego Zjazdu ma zająć się utworzeniem komisji, któraby podjęła zadanie organizowania perjodycznego Zjazdów następnych. Oprócz tego przyjęto przez aklamację szereg wniosków uchwalonych przez sekcje oddzielne, z których ważniejsze są: potrzeba nadania przytułkom dla przestępców nieletnich charakteru zakładów leczniczo wychowawczych, potrzebę zakładania oddzielnych zakładów dla epileptyków, potrzebę tworzenia oddziałów dla nerwowo chorych przy szpitalach ogólnych, a odnośnie organizacji Zjazdów następnych wyrażono życzenie ażeby poświęcono więcej miejsca zebraniom ogólnym, jako bardziej odpowiadającym potrzebom i zadaniom Zjazdu, oraz udzielenia większego miejsca dyskusji, większego jakościowego pogłębienia poruszanych zagadnień, nawet z uszczerbkiem ich ilościowym. Oprócz tego wyrażono życzenie, ażeby komitet organizacyjny wziął do serca potrzebę założenia w Warszawie pracowni psychologicznej, czemu komitet niezwłocznie uczynił zadość, postanawiając przewyżkę z dochodów ze Zjazdu nad rozchodem, przeznaczyć całkowicie na rzecz utworzenia takiej pracowni, dając w ten sposób pierwszą podwalinę materjalną instytucji zapoczątkowanej przez Zjazd, ufny że ofiarność publiczna uzupełni potrzebną na to kwotę ofiarami jednostkowymi. W ten sposób oprócz dużego dorobku naukowego w postaci szeregu poważnych i pięknych prac naukowych, Zjazd przyczyni się do powstania u nas nowego warsztatu naukowego.

Prof. Babiński w przemówieniu na wieczery składkowej powiedział, że jechał w przeświadczeniu, że będzie uczestniczył w małym Zjeździe prowincjonalnym, a przekonał się, że był na zupełnie poważnym, wielkim kongresie naukowym, a prof. Piltz stwierdził że jakkolwiek w Galicji są już katedry, ale niema jeszcze neurologji, to tutaj niema jeszcze katedr, ale jest już wyraźna, odrębna, posiadająca swoją wybitną fizjonomję naukową, neurologja polska. Byliśmy wszyscy u siebie, nie było ani gości ani gospodarzy, stwierdzenie tego faktu przez tak kompetentnych znawców, niech dla sceptyków będzie dowodem, że nauka polska istnieje, że potrzeba Zjazdów jest potrzebą rzeczywistą, wynikłą z bujnego rozwoju nauki polskiej.

R. RADZIWIŁOWICZ.



WITOLD WOJTKIEWICZ.

Za każdym razem, gdy pojawi się wśród nas nowy, samodzielny talent, zachodzi potrzeba powtarzania po raz setny wciąż tych samych wyjaśnień, czem jest sztuka malarska—i zachodzi potrzeba *obrony* tego talentu.

I teraz, gdy otwarto — pośmiertną już, niestety! — (i to jest czemś „jak zwykle“) wystawę prac Witolda Wojtkiewicza, wielkiego artysty, który umarł, mając lat 29 (jak Podkowiński!) — trzeba przypominać, że malarstwo, tak jak każda sztuka, jak poezja, muzyka, architektura, nie polega na naśladowaniu rzeczywistości, na jakimś dokładnym (?) rysunku wzorów, w naturze spotykanych, tylko na tem, że artysta wyraża siebie — swoją duszę—swoją wizję świata rzeczywistego, lub nierealitywnego (a tak!), swojego marzenia. A czem się ono powinno (!) wyrażać — o to pytać, o tem wygłaszać sądy jest rzeczą śmieszniejszą—bo to równa się zarzutowi, że artysta posiada inną duszę, niż być powinna...

Takie przyjacielskie klepanie po ramieniu wielkiego ducha artysty, jakie się trafia coraz częściej w prasie warszawskiej, nie jest ani krytyką, ani poważnem stanowiskiem nawet tylko z dziennikarskiego punktu widzenia. Oto n. p. typowe już niemal w Warszawie załatwienie się ze zmarłym świeżo „utalentowanym“ i „sympatycznym“ artystą. W kilkudziesięciu wierszach artykułu, pisanego zresztą z przeświadczeniem, że się daje „sympatyczną“, „cieplą“ wzmiankę o zmarłym młodzieńcu, który, jak się to daje do zrozumienia, mógłby być zostać czemś, gdyby żył dłużej, ale nie miał „wyrobienia“, nie opanował jeszcze rysunku i tworzył rzeczy „niedociągnięte“, przebija zwykle *mimowolnie* zaznaczenia, a zakorzeniony w Warszawie z siłą nałogu ton bagatelizowania artysty, co się odcina od wychwalanych miernot—poprawnych, szablonowych, pozbawionych

polotu, wyobraźni, poczucia barwy—tych wszystkich szarych, krajobrazików, miłych fotograficznych portretów, o których ze stanowiska roboty szkolnej nie złego powiedzieć nie można, ale też dobrego chyba to tylko, że żaden szczerzy artysta nie uzna ich za należące do świata sztuki, że więc można je wychwalać bezkarnie, jako poprawne, nudne rzemiosło, nie czyniąc tem ujmy prawdziwej sztuce, z ducha poczętej — że więc są to rzeczy nieszkodliwe przez swoją nicość..

Z tego powodu nie warto byłoby o tem wszystkim pisać. Sztuka istnieje tylko dla tych, którzy ją rozumieją (czyli odczuwają) i chociaż w Warszawie nazywają ludzi, zdolnych do zachwytów wobec dzieł sztuki, „snobami“, sędzę, że „snobów“ tych epitety owe nie a nie obchodzą -- i nie zmieniają ich duszy, tak jak najostrzejsza krytyka nie zmieni duszy prawdziwego artysty.

Ale chociaż takie krytyki, z piętra powagi dziennikarskiej pobłażliwe dla każdego szczerzego drgnienia w sztuce, lub wprost miażdżące owe drgnienia, nie przenikają wcale w sfery artystów i ich zwolenników, to mają one jednak swój wpływ bardzo szkodliwy, jeżeli chodzi o *być* artystów, o samo istnienie sztuki u nas. Sztuka, tak jak wszystko w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym, opierać się musi na poparciu nie estetycznie wykształconych, czujących jednostek, ale, niestety, na powodzeniu w sferach, kształcących swój smak na wzmiankach dzienników i tygodników. Sfery te, nie mając żadnych osobistych upodobań, pragną od czasu do czasu nabyć jakiś obraz, któryby miał wartość. O tej wartości mówi im — prasa — ta więc niechże popiera to, co istotnie jest dziełem natchnienia.

Smutne to, że trzeba w ten sposób propagować handel sztuką... O, jakżeby woleli artyści, aby obrazy ich wędrowały do nielicznych, czujących dusz — do skromnych mieszkank, gdzieby dzieła ich otoczyło szczerze umiłowanie, niż do złoconych komnat, gdzie nie spojrzę na dzieci ich dusz żadne oko współczujące! Ale trzeba żyć—tworzyć dalej. Nie sposób wybierać sobie nabywców. A tam, w zimnych salonach, zabłąkane dzieła mają przynajmniej zapewnione samotne istnienie na długo—szanują je, bo kosztują—tam może doczekają kiedyś dnia, w którym przewędrują do jakiejś galerji narodowej i sta-

na się tem, czem być miały — pokarmem piękna dla narodu i ludzkości.

Lecz dość o tem. Może i który z rozproszonych po świecie przepięknych sarkazmów Wojtkiewicza, może który ze znajdujących się teraz na wystawie w „Zachęcie“ przejdzie do Muzeum Narodowego, które obchodziło w tych dniach w Krakowie jubileusz swojego istnienia. Po cóż mają te zwitki przędzy tęczowej, łzami oblanej, krwią zroszonej, smętnie zgryźliwym uśmiechem opromienionej, rozświecać pustkę prywatnych mieszkań, gdzie goście witają je zdziwieniem i ironją, pełną współczucia?

Chciałem napisać o Wojtkiewiczu krytykę. Chciałem przeciwstawić ją głośnym zapewnieniom, że to rzeczy niedociągnięte, źle rysowane. Nie znajduję dowodów. Nie wiem—dzisiaj przynajmniej—czy istnieją jakie dowody, mogące każdego przekonać, że artysta stworzył arcydzieło. I wogóle, co to znaczy arcydzieło? Jakże ja kogo przekonam, że dana linja coś wyraża, jeśli ona dla niego nic nie wyraża? Toć to to samo, co gdybym kogoś, kto nie umie pisać i czytać, „przekonywał“ o znaczeniu każdego znaku pisarskiego. Malarstwo ma swoją mowę, tak jak muzyka.

Jakże ja mogę kogo przekonać np., że lalki Wojtkiewicza są żywe, że każda ma swój gryzący wyraz, bolesną siłę głębokiej ironji, mówiącej o śmieszności wszystkich rzeczy współczesnych -- a może i wszystkich zawsze — jeśli ktoś twierdzi, że to mogło być jeszcze lepiej wyrażone (ale jak?)

Przytoczę przykłady ze sztuki już uznanej. Wspomnę o prześwietlonych postaciach Botticellego, gdzie podobno istnieją jakieś poważne „błędy“ rysunkowe — błędy, stanowiące cały czar, wdzięk, boskość tych postaci?

Odpowiedzą mi na to, że gdyby tych błędów nie było, gdyby głowy jego „Wiosny“, „Venus“, „Madonny“ nie były tak przekrzywione, jak się to w rzeczywistych kobietach nie spotyka, gdyby nogi ich również nie miały tych „przesalnie“ wijących się linji—no!—toby lepiej było.

I cóż na to odpowiedzieć? Albo będę bronił „Bajki o rycerzu“ Wojtkiewicza. Wspomnę o tych nerwowych, przedelikatnych linjach, okalających rycerza i czarujące postaci około niego jakąś pieściwą, jak pajęczyna wiotką,

jak stal silną, jak promienie gwiazd czarującą siecią. Nazwę gienjalnie pomyslanym koloryt wspaniałych szat i całego obrazu. Zauważę, ile poezji jest w całym ruchu rycerza, w jego zamglonem, zamysłonem, zaświatowem spojrzeniu, w ruchach zjaw, które go otaczają. Powiem, że cały pomysł jest czemś w malarstwie nowem, oryginalnem.

Odpowiedzą mi na to lekceważącym machnięciem dłoni.

Przytoczę to, co o Wojtkiewiczu napisał André Gide?

Ach, to grzeczność francuska.

Niema sposobu!

Bronić, wyraźne dowody stawiać można tylko w sztuce ściśle realistycznej—o ile taka sztuka istnieje.

Ale dowodzić, że czyjaś wizja jest piękna—jakże to uczynić?

Na to trzeba stworzyć nieistniejącą dotychczas logikę marzenia, logikę snu, logikę uczuć. Ta byłaby może logiką twórczości.

Ależ, powiedzą mi, istnieje przecież w muzyce cała ścisła strona naukowa—będąca logiką rytmu i harmonji dźwięków. W malarstwie istnieje także logika rytmiki i harmonji linji i barw.

Prawda. Ale w muzyce ujęto ową logikę w prawa pisane, których nauka trwa latami i—które nie są dostateczne, bo każdy gienjusz wyłamuje się z praw tych, tworząc nowe, mające stać się również świętością dla całych następnych pokoleń.

W malarstwie zaś jeszcze w żadnej szkole na świecie nie uczono logiki rytmiki i harmonji barw, lecz po prostu umiejętności przerysowywania kształtu, w naturze widzianego.

Malarstwo czeka dopiero na swego prawodawcę. Tymczasem zarówno artysta, jak krytyk, odgaduje owe prawa intuicją. Tylko Leonardo próbował uczynić coś podobnego do praw pisanych dla harmonijnego malarstwa. Umarł bez następców.

Krytyk malarski i malarz są więc w terażniejszych warunkach po prostu samoukami, bez żadnej mocnej podpory tworzącymi—muszą sami tworzyć swoją własną logikę—każdy rozpoczynając od podstaw, lub rzucając się

ślepo w pracę, gnani tylko wichrami natechnień i odczuć. Artysta tworzy tak, jak mu każe jego wizja, krytyk zaś opowiada, co *dojrzał* w jego dziele. Im więcej dojrzał, tem jest lepszym krytykiem—innej krytyki jeszcze nie ma. A jeśli kto próbuje objaśniać twór malarski—to może to uczynić tylko, wskazując na przykładach żywych—na danem dziele sztuki, jak suggiestyną siłę posiada w danym obrazie taka linja, taka plama barwna. Wszystko inne będzie tylko pustą gadaniną lub pretensjonalną „naganą” czy „pochwałą”.

Wojtkiewicz jest takim właśnie nowym twórcą, którego żadnym uznanym komunałem krytycznym ogarnąć niepodobna. Jeszcze trudniej może opisywać jego dzieła. Słusznie pisał w „Czasie” p. Witold Noskowski, że „ze względu na psychologję widza” dzieła Wojtkiewicza „są raczej muzyką, niż poezją”.

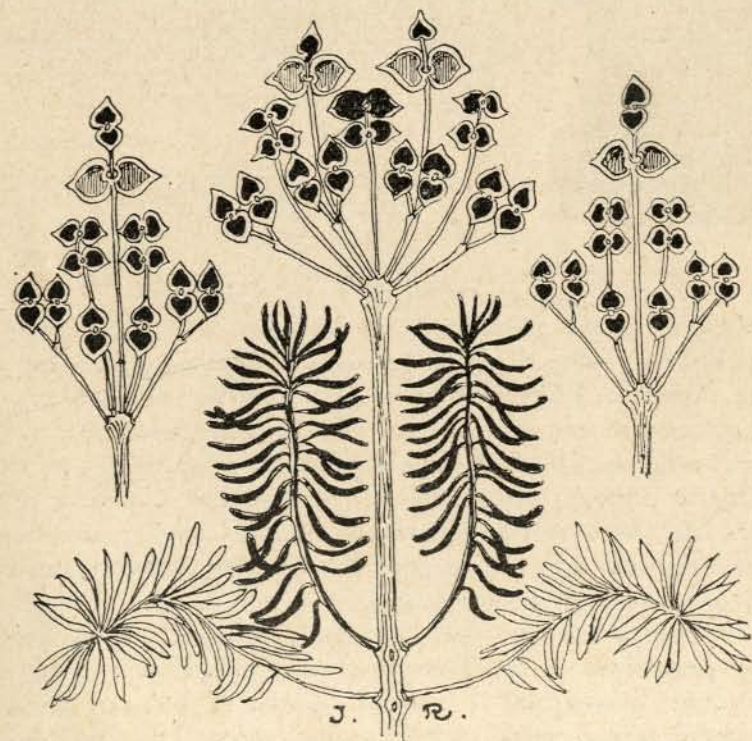
Siła ich polega na czysto malarskiej kompozycyjności, na ustosunkowaniu wartości barw i linji i na wymowie całego ściśle malarskiego pomysłu. Czy to będzie ten błazen, który orze, a pług mu ciągnie śmieszny, drewniany konik, czy ten inny błaznek na drewnianym koniu, porzucający kobietę, co ciągnie do sadzawki dwie laleczki—dzieci, czy ten koń-lalka, wznoszący się czarną swoją sylwetą nad prześlicznym krajobrazem i unoszący na grzbiecie dwoje zakochanych—czy tych trzech malców o twarzach, jakby z Goyi wyjętych, stojących pod jakimś przepysznym malowanym płotem—czy ta dziewczynka, dumnie odbywająca przegląd chłopaków na drewnianych konikach—czy która z innych postaci z rysunków i akwarel, jakby wyrwanych z jakiejś nowej eposy Cervantesa—wszędzie mamy do czynienia z obrazem widzianym, nie zaś sztucznie kombinowanym—obrazem, pomyslanym już tak logicznie, obrazem, tak malarsko skończonym w wyrazie już w samym początku, że wywiera on jednolite, pełne wrażenie, które wzrasta im więcej w nie wnikać, ale którego opowiedzieć prawie nie sposób. Chyba o każdym napisać jakiś wiersz tak mistrzowski, że oddałoby całą tę śmiertelną melancholję, będącą jednocześnie wyrazem olbrzymiej siły życiowej i delikatnej, nerwowej wrażliwości na wszystko, co dzieje się na świecie.

A ci, co nie wierzą w jego rysunek, niech spojrzą na portrety—na portret malarza Trzecińskiego z laleczki

w ręku (cóż tam za uśmiech!)—lub tej pięknej pani o błękitnych oczach i ustach, wyrażających jakąś i dumę i tęsknotę i majestat zarazem—lub tej dziewczyny o suchotniczym wyglądzie i przedelikatnym bolesnym profilu (w drugiej sali)—lub wreszcie na obrazy takie, jak „Wegietacja”, gdzie pod drzewem siedzi kilku starców znękanych, cichych, ach tak bardzo życiowo „prawdziwych”...

A kto nie wierzy w siłę jego wizyjności, niech spojrzy na „Śmierć Dziewczyny”—lub na „Idyllę”, lub na którykolwiek inny obraz—i niech wnuknie w duszę tego, co takie rzeczy widział na jawie.

JAN KLECZYŃSKI.



Sfinks.



WRAŻENIA TEATRALNE.

Ze wszystkich instytucji i ciał zbiorowych Warszawy poza prasą jednemu tylko teatrowi dane było uczcić publicznie setną rocznicę urodzin Słowackiego. Uczczono ją skromnie, jakby cichaczem. Nie dało się urządzić uroczystego wieczoru w teatrze Wielkim; nie pozwolono nawet wygłosić przed odsłonięciem kurtyny napisanego przez Or-Ota prologu; nie zaznaczono ani jednym słowem w afiszu, że pierwsze przedstawienie „Złotej Czaszki“ na pierwszej scenie polskiej odbywa się w setną rocznicę urodzin czarodzieja poezji naszej...

Ale w każdym razie sam fakt nastąpił. Poeta, który przyszłość swoją i swoje w niej pozagrobowe zwycięstwo przeczuwał i widział, poeta, o którym autor wspomnianego przed chwilą prologu mówi słusznie: „jego dziś idzie zorza—i zapłoniel“ przypomniał się sercom lu-

du, przypomniał się nieznanem prawie dziełem swoim Warszawie, która jednak, niestety, nie wywierała tego wieczoru wrażenia „serca wielkiego dzwonu“, nie umiała zewnętrznie choćby, w teatrze Letnim, przybrać fizjonomji świątecznej i bodaj strojem czarnym, obowiązującym na pierwszej lepszej wizycie, zaznaczyć, że odróżnić potrafi pierwsze przedstawienie „Złotej Czaszki“, odgrywanej, po przezwycięzeniu przeszkód przeróżnych, 4 września 1909 r., od premjery jakiejś—dajmy na to—„Madame Mouton“ lub innej „Wesołej“, czy „Szalonej Dziewczyny“.

Eleganckiej stolicy nadwiślańskiej, nawet „śmietance“ jej towarzystwa, nie zawadziłaby, jak się okazuje, od czasu do czasu mała lekcja taktu i — przyzwoitości, lub jeśli wolicie termin francuski, *savoir vivre*'u.

Mniejsza jednak o *savoir vivre* warszawiaków i warszawianek. W tych wszystkich, co wcielonego w tej sztuce ducha polskiego odczuć byli zdolni, nastrój wytworzył się prędko, jeżeli nie od scen pierwszych ze studentami, Janklem i Gwintem Koniecpolskim, to w owej kapitalnej scenie w piekarni, w domu strażnikostwa, gdy pan Strażnik Złota Czaszka w wigilję Bożego Narodzenia śpiewa z zebranymi dziewczętami swą cudną kolędę:

„Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes.
Nad sianem, nad żłobeczkiem,
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes“...

„Złotą Czaszkę“ widziałem po raz pierwszy przed kilku laty w Krakowie, gdzie ją wystawił świetnie Kotarbiński. I w Warszawie zresztą, wyreżyserowana doskonale przez Śliwickiego, przy całym swym fragmentaryzmie wywiera urok przedziwny. Od miłych, z rzadkiem u Słowackiego poczuciem rzeczywistości kreślonych scen tego fragmentu, płynie jakaś subtelna woń za-

gasłej niepowrotnie, chwytającej za serce przeszłości. „Złota Czaszka“ to jakby udratyzowany fragment „Pana Tadeusza“. To samo słońce wielkiej miłości ogrzewało oba utwory, to samo srebrne przędiwo tęsknoty opłótło oba, niby nici babiego lata, żegnające uściskiem ostatnim przed wichrami i deszczami jesieni liljowe astrы i chryzantemy złociste.

Poeta osnuł podobno ten utwór na wspomnieniach z dzieciństwa własnego, odmalował w nim „dziadunia“, „babunię“, domowników, całe swoje otoczenie w Krzemieńcu, gdzie za lat jego dziecinnych —

„kiedy w cichą noc duchowie czarni
W śniegowej korzą się burzy i wicherze,
Jasna kolęda w przyćmionej piekarni
Płakała — w rytmy ubrana najlichsze.
Z nią usypiali ludzie gospodarni,
A od serc naszych serca mieli cichsze,
A gdy się rwali z ubogiej pościeli,
To więc do szabel, albo do kądzieli!“

W innych strofach precudnej parabazy swojej, którą bardzo pięknie wygłaszał kiedyś Kotarbiński w Krakowie, a która u nas (w interpretacji najpierw p. Wostrowskiego, a potem p. Bednarczyka) miała zbyteczną zgoła koturnowość, a zamało prostoty i serdeczności, poeta mówi o dworku starego szlachcica, ubranym w chorągwie cechowe, o duchach i Bogarodzicy, która, „w promieniach zorzy trzymająca głowę, a stopy dzierżąc na srebrze księżycy, na dom jasnością piorunową biła i z ponad starych lip błogosławiła“. Mówi o jasnej enocie gospodarza dworku, o woni narcyzów, napełniających ten dom; wspomina o życiu klasztorzem, o studentach i żakach i zapowiada „las pływający rozwiniętych znaków“, oraz *nieszczęście*, które ma zapukać do bramy, gdy ją zieleń wiośniana ubierze. I na tem poeta przerywa parabazę, która, jak wszystkie dochowane sceny „Złotej Czaszki“, jest fragmentem tylko, a w ostatnich wierszach, nie wygłasza-

nych już ze sceny — ze względu na efekt żywego obrazu — prosi tylko o wyrozumiałość „dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni“ i stara się usprawiedliwić niejako coś, czego już tylko domyślać się możemy, czego autor nie napisał wcale, albo — co gorsza — napisał może, a potomność, jak parę innych dzieł jego, pozostawionych w rękopisie, zdefektowała i zatraciła.

Na piękności „Złotej Czaszki“ poznał się już Małeki, który pierwszy wydał i tytułem zaopatrzył odnalezione przez siebie ułamki dramatu. Zasłużony krytyk przypuszcza, że dzieło to mogło powstać w roku 1841 lub 1842. „Jeżeli się godzi wnosić o całości z ocalonego tejże początku — pisze dalej Antoni Małeki w tomie II swej monografji „Juljusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki“ — zdaje mi się, że „Złota Czaszka“ byłaby należała do najlepszych dzieł Słowackiego. Pozostałe w niej sceny są pełne życia i ruchu, a co najważniejsza, nawskroś narodowej fantazji.“ W dalszym ciągu swej analizy zwraca autor uwagę i na zaznaczony już przez nas realizm utworu (pokrewny niewątpliwie realizmowi „Fantazego“) i przypuszcza słusznie, że w tym dramacie spożytkowane zostały reminiscencje poety, które się wiążą z krzemieniecką jego przeszłością.

Ze scen, które ocalały ze „Złotej Czaszki“, obok sceny w piekarni, wrażenie najsilniejsze wywiera, naturalnie, przemowa pana Strażnika Krzemienieckiego, wygłoszona z mogiłki syna na cmentarzu do zgromadzonej szlachty i mieszczan. Przemową swoją stary wojak porywa serca braci szlachty i obywateli cechowych i doprowadza do zawiązania konfederacji przeciw Szwedom, do czego upoważniał go uniwersał Jana Kazimierza, a jest ta mowa jego jakby żywcem wyjęta z ust jakiegoś stojącego już nad grobem rycerza-patryjoty, których przecież miewaliśmy i w smutnej wogóle pamięci wieku XVII.

Ale obok momentów dramatycznych wrażenie niezatarte pozostawiają w tym utworze i sceny inne, opro-

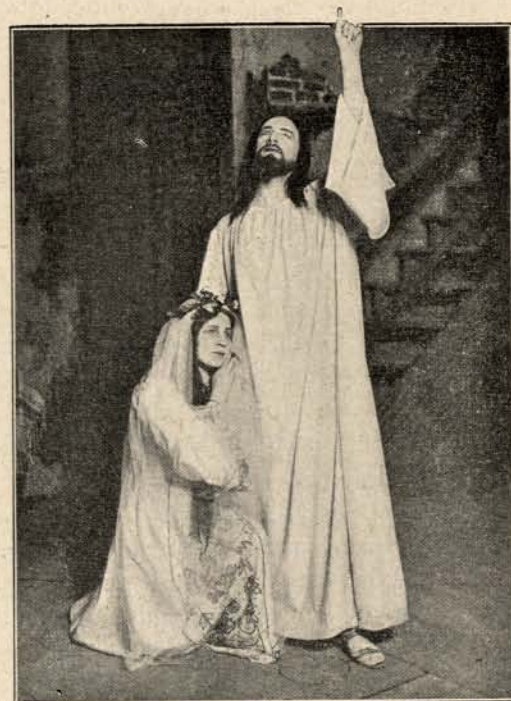
mienione blaskiem swojskiego humoru lub sielankowej prostoty. W nich właśnie odszukać by można ową niepokrewienstwa między „Złotą Czaszką“ a „Panem Tadeuszem“, nie o naśladownictwie jakimkolwiek świadcząca, lecz jedynie o tem, że i na dnie organizacji psychicznej



Rapacki i Leszczyński w swoich rolach w „Złotej Czaszce“.

Słowackiego — marzyciela i fantasty — były pierwiastki realizmu, było niezrównane poczucie rzeczywistości, było umiłowanie swojskości; że wreszcie i w jego duszy tkwiła owa wieczna tęsknota wygnańca i tułacza do „jednej już tylko dziś krainy takiej, w której jest trochę szczęścia

dla Polaka“, do kraju lat dziecińczych, który zostanie zawsze „święty i czysty, jak pierwsze kochanie“... Ta sama, dobrze nam znana tęsknota, która i Mickiewiczowi kazała kiedyś „drzwi od Europy zamykać hałasów, wyrwać się myślą do szczęśliwszych czasów i dumać, marzyć o swojej krainie“...



Tekla Trapszo i Śliwicki w II akcie „Hanusi“.

Wskutek urlopów wakacyjnych nie udało się w teatrze naszym obsadzić „Złotej Czaszki“ bez zarzutu; nie wszystkie role drugorzędne znalazły się w rękach właściwych. Ale Rapacki, jako Strażnik Krzemieniecki (rola tytułowa) i Leszczyński, jako Ksiądz Gwardjan zakonu Franciszkanów, dali wprost kreacje wspaniałe, pełne

prawdy i plastyki, przyczyniając się najwięcej do tego, że istotnie „w przeszłości błękitnie“ zobaczyliśmy na scenie „lud, co nazywał się ludem Polaków“... Jeden i drugi dowiedli znowu, że i nasza „stara gwardja“ umiera raczej, a nie poddaje się, i nieraz jeszcze rydwan sztuki tryumfalnie poprowadzić może.

W tytułowej roli „Złotej Czaszki“, występował potem i Kotarbiński, pojmując ją inaczej trochę, niż Rapacki, akcentując silniej bohaterskość starego rycerza. I jeden i drugi grali zresztą znakomicie, dając w szczegółach dwa typy odmienne, każdy w swoim rodzaju doskonały.

Z wykonawców innych podkreślić należy staranną grę p. Alojzy Żółkowskiej w roli Strażnikowej, choć warunki artystki są już niezupełnie do roli tej odpowiednie; miłą Agnieszką była p. Lubicz-Sarnowska, dobrym zakrystjanem p. Grubiński. Pp. Śliwicki i Owerłło odegrali role dwóch żaków, pierwszy z potrzebną tu uczuciowością, drugi zawiadająco i buńczucznie; wzrost jednak i wygląd zewnętrzny artystów czynił mało zrozumiałą scenę, w której Strażnik wypędza obu młodzieńców, pragnących zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, nie mogąc, jak powiada, szafować krwią *dzieci*. Nie wydobyli, jak sądzę, z ról swoich tego, co z nich wydobyć można, pp. Paliński w niewdzięcznej dosyć roli Gąski, „drewnianego człowieka w aksamicie“, i p. Janusz, który w roli Koniecpolskiego nie wznosił się ponad miarę niezłego szablonu teatralnego.

Po pierwszym przedstawieniu „Złotej Czaszki“ do tego fragmentu dramatycznego dodawać zaczęto mało znaną przedtem, jednoaktową tragedję Wyspiańskiego p. t. „Sędziowie“, grywaną zrazu na początku, a potem — słuszniej daleko, ze względu na wrażenie wywierane — na zakończenie widowiska. Utwór ten, grany wybornie, wyreżyserowany świetnie przez J. Śliwickiego, wywiera wrażenie wstrząsające, świadcząc raz jeszcze o niezrównanym poczuciu tragizmu na scenie, który podziwiać musimy w każdym dramacie Wyspiańskiego. Trzeba sa-

memu być dobrze obeznanym ze sceną, jej wymaganiami i warunkami, aby, znając „Sędziów“ z czytania tylko, móc przewidzieć tę grozę przepotężną, którą oni wywierają w teatrze. I cokolwiek mówi się dziś i pisze o Wyspiańskim, przyznać trzeba, że był on pisarzem scenicznym przede wszystkim i że tylko przedstawienie teatralne, naturalnie przedstawienie dobre, może być probierzem wartości artystycznej tego lub innego jego dzieła.

Doskonały znawca teatru, Józef Kotarbiński, spostrzegł i zaznaczył odrazu sceniczność „Sędziów“ Wyspiańskiego. „Sędziowie“ — czytamy w świeżo wydanym obszernym studjum jego o autorze „Wesela“ — powinni wywołać na scenie wrażenie głębokie, chwilami przejmujące. Ponad ułomnością wyroków sądu ludzkiego wznosi się tугłос prawd odwiecznych, zaszczipionych w głębinach duszy ludzkiej, która przez nie łączy się mistycznie z tajemnicami żywota. Kara płynie z głębin sumienia, jest oczyszczającym sądem duszy, a nie mechanicznym wyrazem sprawiedliwości przypadkowej, zewnętrznej. Posępna mistyka poety zyskuje sankcję religijną. Wyroki losu kreśli w duszach ludzkich ręka boża, która brzemieniem kary dotyka grzeszników. W duchu ideologii Wyspiańskiego dramat zamyka się tryumfem majestatu śmierci, zwycięstwem *ducha* nad *nędzą* i brudem materialnym życia ziemskiego“ (Józef Kotarbiński, „Pogrobowiec romantyzmu“, str. 270 i 271).

Pozwoliliśmy sobie na przytoczenie dłuższego wyjątku z książki Kotarbińskiego, gdyż, zdaniem naszym, mieści się w nim trafne ujęcie istoty omawianego dzieła. Zwyciężył dosyć wypadek z kroniki kryminalnej, zabójstwo dziewczyny przez jej eks-kochanka, zmienia się, pod tchnieniem olbrzymiego talentu poety i jego przeświadczenia o *konieczności* kary za czyn zły, w splot wydarzeń, nacechowanych tragizmem głębokim, przypominającym chwilami nieubłaganą *ananke* tragedji greckiej. Zły czyn starego Samuela, który przed laty skrzywdził ojca Jewdochy, rodzi szereg krzywd innych, wytwarza jakieś

okropne pasmo czynów i zamiarów fatalnych, dopóki Nemezis nie pomściła się w sposób okrutny na Samuelu samym, wtrącając jednego z jego synów do więzienia, a drugiego — dziecko jeszcze — ukochanego skrzypka o duszy jasnovidzącej, proroczej — do grobu. „Sędziowie. — woła Samuel — mojej duszy dzieło z tych moich myśli się poczęło, przeciwko mnie powstaje! Prorok się wskrzeszał w dziecka duszy, niepowstrzymaną dłonią kruszy nieprawość. Sąd wydaje“.

Trzy kategorie sędziów ukazuje nam w swej tragiedji Wyspiański. Jedna — to zwykły, omylny i ułomny sąd ludzki, który można oszukać i przekupić. Gotów uwolnić za kaucją winnego, uwięzić niewinnego, gotów się pomylić na każdym kroku, bo, jak owo pokolenie samolubów z „Ody do młodości“, takie tylko widzi „świata koło“, jakie tępemi zakreśla oczy. Sąd ten występuje na scenie, zarysowany zaledwie kilku śmiałymi linjami, kilku skrótami świetnymi, niedostatecznymi, być może, gdyby chodziło o obraz realistyczny, ale wystarczającymi zupełnie, gdy idzie o ujęcie myśli przewodniej poety.

Kategorię drugą tworzy napół-dziecko, artysta-jasnowidz Joas, ze swą miłością do oskarżonego niesłusznie brata Jewdochy, urlopnika, ze swą duszą czystą, nie wahającą się, pod wpływem jakiegoś głosu wewnętrznego, ojcu własnemu powiedzieć w oczy: „On winien!“ A kategorię trzecią, ostatnią, tworzy już tylko w pojęciu Wyspiańskiego Sędzia Najwyższy wszech rzeczy — Bóg. I On dopiero sprawiedliwość prawdziwą wymierza, On ład, w życiu zakłócony przez zbrodnię, przywraca.

„Sędziowie“ na scenie warszawskiej wywierają wrażenie potężne. Doskonale wystawiona i wyreżyserowana (przez Śliwickiego znowu), świetnie odegrana w rolach wszystkich, tragiedja ta powinna przyczynić się do modyfikacji utartych w prasie codziennej poglądów na zdolności w kierunku dramatu i tragiedji artystów naszych. Zdolności te świeżo n. p. zakwestjonował mimochodem

w „Nowej Gazecie“ (pisząc o „Bazyliście Teofanu“ Micińskiego) kolega Jan Lorentowicz. Cenię kompetencję w sprawach teatralnych i znajomość sztuki dramatycznej szanownego kolegi Lorentowicza, sądzą jednak, że zdolności i pracę artystów naszych ocenia on niekiedy zbyt pesymistycznie. I wogóle sądziłbym, że, z pedagogicznych choćby względów, nie powinno się powtarzać wciąż aktorowi: „zdolny jesteś tylko do grywania w lichych komedjach francuskich, nie tobie brać się do sztuki prawdziwej“ etc., zwłaszcza, że aktor ten — w warunkach o wiele gorszych, niż jego koledzy zagranicą, składał niejednokrotnie dowody, że posiada aspiracje szlachetniejsze, a często — i coś więcej, niż aspiracje.

Nietylko w komedjach francuskich grywają nasi artyści. Dość przypomnieć, że obecnie już teatr nasz posiada w repertuarze stałym sześć dramatów Juljusza Słowackiego, a gdy — co nam obiecuje Kotarbiński — wystawi jeszcze niezadługo „Sen srebrny Salomei“ i „Księcia Niezłomnego“, to będzie to już wszystko bez mała, co z puścizny po wielkim poecie grywać wogóle można obecnie w Warszawie. A gra artystów naszych w sztukach poważnych nie jest naogół gorsza od tego, co się widuje gdzieindziej, niekiedy zaś, jak choćby w „Sędziach“ Wyspiańskiego, bywa, jak zaznaczyłem już, świetna. Pp. Knake-Zawadzki, jako Samuel, Hryniewicz, jako Natan, Tekla Trapszo, jako Joas, Rożański, jako dziad, Mirska, jako Jewdocha, Kawalski, jako Jukli, Karpowicz, jako Urlopnik, i wszyscy inni, grający nawet drobne, kilkunastowyrazowe role, tworzą tu zespół wyborny, którego nie powstydziliby się żadna ze scen europejskich. Pan Knake-Zawadzki ma w „Sędziach“ szeroki gość tragiczny, Tekla Trapszo zdobywa się w miejscach dramatycznych na siłę i szczerłość niepospolitą, Hryniewicz i Mirska mają sceny, pełne realizmu wstrząsającego, Kawalski daje doskonale obmyślaną sylwetkę biednego a szlachetnego Jukli. Całość, choć grana w części przez młodsze siły dramatu naszego, do życzenia nie pozostawia, pragnienie chyba, aby

wszystkie dramaty na scenie naszej były reżyserowane i grane podobnie.

Wogóle — co prawda — sztuki, które widzujemy obecnie w teatrze warszawskim, reżyserowane i grywane bywają koncertowo. Jakież świetne kreacje dają n. p. Frenkiel i Wojdałowicz w dwóch starych, ale wciąż jeszcze mile widzianych na scenie komedjach Al. hr. Fredry (ojca): „Pan Geldhab“ i „Pan Benet“, którymi 8 października rozpoczęto sezon w teatrze Rozmaitości. Albo wystawiona nazajutrz trzyaktowa komedia Lotara Schmidta „Tylko sen“. Sztuka, jak sztuka.—niegorsza i nielepsza od wielu innych, które u nas grywano w ostatnich czasach. Ma akcję dosyć żywą, choć miejscami trochę ordynarną, ma kilka sytuacji bardzo dobrych, skreślonych z humorem i szczerem zacięciem satyrycznym. W owej historyjce o dwóch architektach berlińskich, których rozmarzyła wiosna, a kruszon do przygód miłosnych usposobił; w owych sylwetkach dwóch żon, płochiej wiedeńki, która nie stawiała trudności, i solidniejszej daleko berlinki, której przypadek dopomógł do wyjścia cało z imprezy; w tragi-komicznych wreszcie następstwach zapalów erotycznych pp. Sponholza i Stabrina; w sytuacji zwłaszcza, która się wytworzyła między tym ostatnim a usposobionym wielce filozoficznie profesorem Hausmanem, pragnącym jednak za wszelką cenę pozbyć się małżonki, gdyż jej erotyzm wiedeński dokuczył mu już widocznie—w całym tym splocie zdarzeń i wypadków, rozwijających się przed oczyma widza, możnaby na upartego doszukać się i myśli głębszej. Niesłusznymi znów w każdym razie wydają mi się utyskiwania pewnej części niezadowolonych stale recenzentów naszych, którzy odsyłali „Tylko sen“ do teatru „Nowego“ i obżalowywali Frenkiela, że grywać musi w rolach—„nieodpowiednich dla jego wielkiego talentu“.

Co do pierwszego, to sądziłbym, że dawanie od czasu do czasu w teatrze Rozmaitości jakiejś komedji lżejszej, jak tym razem zwłaszcza w formie intermezza mię-

dzy dwiema sztukami poważniejszymi, gdy jednocześnie w teatrze Wielkim wystawiono „Hanusię“ Hauptmanna i „Gringoire“ Banville'a, urozmaica tylko w sposób pożądanym repertuar i nikomu przeszkadzać nie powinno. A co do Frenkiela? Nie trapmy się doprawdy o niego. Żywiłowy, potężny talent jego da sobie radę z każdą rolą, w każdej pokaże nam to, co wogóle artysta dawać może (nie tylko artysta dramatyczny): kawał życia, przepuszczony przez pryzmat własnej indywidualności, skąpany w duszy własnej. Niech grywa jak najczęściej, niech z niewyczerpanych pokładów intuicji twórczej i obserwacji wydobywa jak najwięcej charakterów i typów: z tego tylko zadowoleni być możemy. A wreszcie przypomnijmy sobie, w jakich sztukach grywali w swoim czasie Żółkowski, Królikowski i cała ta wielka plejada teatralna, którą tak często za wzór stawiamy artystom dzisiejszym. Czy gieńjalny talent Żółkowskiego stracił co na tem, że nieraz rolę bląhą podnosił do wyżyn artyzmu? Unikajmy więc w sądach jednostronności i przesady i strzeżmy się w naszym stosunku do teatru jednej sztuki przedewszystkiem, której tytuł: „Zrzędnosc i przekora“.

Wracając jednak do owego „Tylko snu“ Schmidta, zaznaczyć musimy, że komedja ta miała obsadę doskonałą i odegrana została wybornie. Bardzo dobrzy byli w niej pp. Wolski (zastąpiony potem przez Nowickiego), Larys-Pawińska, Uszyński, Hertzowa; pyszną sylwetkę grobowego pedagoga dał p. Wilczyński; ale na plan pierwszy wysunęła się wspaniała para, którą tworzą Frenkiel i Ordon-Sosnowska.

Że Frenkiel jest wielkim artystą; że stale grą swoją zapominac każe widzowi, iż teatr tylko, a nie szmat najprawdziwszego życia ma w danej chwili przed oczyma; że skala jego talentu jest nader obszerna i obejmuje zarówno role wesołe i komiczne, jak poważne, dramatyczne i smutkiem przejmujące najgłębszym (rola Brukwy n. p. w „Przywódcy“ Krzywoszewskiego)—o tem wszystkim wiedzieliśmy oddawna, nie zdziwił nas więc swą



Mieczysław Frenkiel.

wspaniałą naturalnością, chwilami komizmem prześwie-
tnym, jako niefortunny kochanek figlarnej pani Gizeli.
Nie grał, ale był poprostu owym budowniczym berliń-
skim, kochającym w gruncie rzeczy swą powabną żonę,
lecz nie wyrzekającym się pewnych urozmaiceń żywo-
ta, nieszkodliwych podobno w małżeństwie, byle o nich
nikt niepotrzebny, a przede wszystkim małżonka własna—
nie wiedziała. Więc też od pierwszej sceny widz prze-
jmuje się żywo najpierw jego niespodziewanym zapałem
miłosnym, a potem wypływającymi stąd kłopotami,
i rad jest szczerze, gdy, dzięki snom grzesznym, które
niezupełnie były snami, dzięki wrodzonej dobroci przy-
wiązanej doń, choć nie pozbawionej również wrażliwości
na śpiew słowika i woń bzów wiosennych, pani Anny,
rzecz cała kończy się szczęśliwie wzajemnem przebacze-
niem win popełnionych, zamierzonych i nawet śnionych
tylko w cudowny wieczór majowy.

Znakomity artysta miał godną siebie partnerkę
w osobie pozyskanej świeżo dla sceny warszawskiej pani
Władysławy Ordon-Sosnowskiej. Już w sztuce Zapolskiej
„Ich czworo“, w której przed kilkoma tygodniami wy-
stąpiła po raz pierwszy, jako stała artystka naszego dra-
matu i komedji, mieliśmy sposobność zauważyć niezwy-
kłą prostotę i naturalność jej gry, nie ubiegającej się za
efektami tanimi, lecz podbijającej widza przede wszystkim
dyskrecją, szczerością i prawdą.

Przymioty te zarysowały się jeszcze wyraźniej w roli
Anny w komedji „Tylko sen“. I pani Ordon-Sosnowska
nie gra, lecz żyje na scenie szczerem życiem odtwarza-
nej postaci. Czy kokietuje Sponholza i pod urokiem wio-
sny całować mu się pozwala, czy się garnie do męża,
usiłując go zatrzymać, by spędzić z nim resztę majowego
wieczoru, czy daje się porwać namiętności zakochanego
architekta, czy się broni przed jego natarczywością bru-
talną, czy się odsuwa przezornie od podejrzewanego o bziaka
Hausmana; czy „sen“ swój opowiada mężowi, czy oplaku-

je jego zdradę, czy przygotowuje zemstę niewinną,—ani przez chwilę myśleć nam nie pozwala, że to gra tylko, a nie życie prawdziwe. Wciela się całkowicie w postać odtwarzaną i prostemi zupełnie środkami czyni ją pla-



Władysława Ordon-Sosnowska.

styczną niezwykle, przypominając tem trochę znakomitą artystkę rosyjską Komisarzewską, od której jest jednak bogatsza o cały wdzięk i urok — młodości.

Że zaś pani Ordon-Sosnowska, pomimo tego ostatnie-

go przymiotu, jest artystką nietylko utalentowaną naprawdę, lecz i doświadczoną i wyrobioną, że miała we Lwowie i w Krakowie repertuar bardzo rozległy, obejmujący między innymi takie role, jak Lilli Wenedy, Kraśawicy w „Bolesławie Śmiałym“, Panny Młodej w „Weselu“, Bronki w „Śniegu“, Heleny w „Dla szczęścia“, Anieli w „Ślubach panieńskich“, żony w „Małym domku“, Candidy, Nory i wiele innych, — więc możemy cieszyć się tylko z pozyskania przez teatr warszawski takiej siły artystycznej i życzyć jej na wstępie, by na scenie naszej ukazywała się równie często, jak w Krakowie, i z takim samym co najmniej powodzeniem.

Do prawdziwych tryumfów reżyserskich p. Józefa Śliwickiego, który od dłuższego już czasu przygotowuje wszystkie wartościowsze sztuki, grywane na scenach warszawskich, zaliczyć musimy wystawioną w połowie października „Hanusię“ Hauptmanna. Treść tego pięknego utworu — wizje przedśmiertne biednej, osieroconej przez matkę, dręczonej przez pijaka-ojca dziewczyny — znana jest niewątpliwie czytelnikom „Sfinks“ z wydanego przed kilku laty świetnego przekładu Konopnickiej. Sztukę, ze skróceniami pewnymi, dostosowaniami do ówczesnych, dziwacznych dosyć wymagań cenzury teatralnej, grywała już również któregoś lata jedna z trup prowincjonalnych, które w Warszawie gościły.

Szlachetne intencje poety wzruszenia czytelników i widzów niedolą takich biednych, krzywdzonych przez los dzieci, które w duszyczkach czystych mają niebo, a na ziemi znoszą męki piekielne, idzie tu w parze z pesymizmem głębokim. Dla niedoli poniewieranej i dręczonej sieroty nie widzi autor ratunku na ziemi i ukazuje go dopiero w perspektywie mytów i wierzeń pozagrobowych. Ale jest w tem wszystkim — obok założeń społecznych — czar poezji prawdziwej, i dobrze się stało, że „Hanusia“, choć z opóźnieniem — kilkunastoletniem, dostała się wreszcie na scenę teatru Wielkiego. A dane nam było zobaczyć ją, wystawioną i odegraną wspaniale, co,

jak zaznaczyliśmy już, jest znowu w znacznej części zasługą szlachetnych zabiegów reżyserskich Józefa Śliwickiego.

„Jeżeli kiedy — pisze słusznie Czesław Jankowski



Józef Śliwicki.

w „Tygodniku Ilustrowanym“ — złożył p. Śliwicki dowód nie umiejętności technicznej (która go nigdy nie zawodzi), lecz bardzo subtelnego odczucia właściwego stylu i charakteru, to wystawiając niemiłosiernie trudną „Han-

nele“. Zwłaszcza cała odsłona druga jest arcydziełem: miary, smaku i subtelności“.

Dodać musimy, że w „Hanusi“ święcił Śliwicki try-



Tekla Trapszo-Krywultowa.

umf podwójny, bo koturnową nieco, lecz zarazem piękną i poważną rolę Gotwalda, zmieniającą się następnie w marzeniach umierającego dziecka w świetlaną, promienną po-

stać Chrystusa, zaliczy artysta z pewnością do najlepszych w swoim repertuarze. Miał szlachetność linii i wyrazu, miał powagę i siłę właściwą, a uniknął szczęśliwie sentymentalizmu i okliwosci, w które w tej roli wpaść łatwo.

Tytułową rolę Hanusi odegrała p. Tekla Trapszo-Krywultowa, która już w „Sędziach“ Wyspiańskiego (jako Joas) miała sposobność przypomnieć, że jest znakomitą artystką. W sztuce Hauptmanna, jako biedne, poniewierane dziecko, jako dusza, rwąca się z mroków i nędzy rzeczywistości do promiennych światów, wymarzonych w snach najcichszych, wydobyla z głębi serca tyle tkliwości czystej i szlachetnej, że piękna jej i pełna uczucia gra potrafi chyba poruszyć nawet twarde i ostygłe dusze, przeważające, niestety, wśród publiczności dzisiejszej.

Doskonale wypadły i sceny zbiorowe w przytułku, a na ich tle wyróżniała się znowu świetna sylwetka działa w interpretacji p. Kawalskiego, który w ostatnich czasach uwydatnił w rolach charakterystycznych talent wybitny i pomysłowość dużą. Nic do życzenia nie pozostawiali również p. Rożański, jako ojciec Mattern, p. Pichorówna w roli Hety, i wogóle „Hanusia“ obok „Sędziów“ z jednej strony, a „Tylko snu“ w swoim rodzaju z drugiej — należą niewątpliwie do sztuk najlepiej odegranych i wyreżyserowanych w ciągu ostatnich lat kilku, co nawet urzędownie niejako stwierdzone zostało przez podziękowanie specjalne, otrzymane od p. Jenerał-Gubernatora przez prezesa teatrów p. Małyszewa.

Parę słów już tylko powiedzieć mogę o wystawionym razem z „Hanusią“, jednoaktowym dramacie Banville'a p. t. „Gringoire“. Sztuka ta, przestarzała dziś już i nieco rozwlekła, ma w oryginale wartość *literacką*, zatraconą w znacznym stopniu w pozbawionym barwy przekładzie. Anegdota o Ludwiku XI, przebaczącą ostrą satyrę, skierowaną przeciwko własnej osobie, wędrownemu poecie Gringoire'owi, ma jednak ustęp jeden, którego i dziś posłuchać warto. Jest nim „Ballada wisielców“,

zwrócona przeciwko królowi francuskiemu, który panował w wieku XV, mogąca jednak znaleźć zastowanie do wszystkich narodów i czasów, wytwarzających stosunki podobne do tych, które malował pełen młodzieńczego zapału, ostatni romantyk, Teodor de Banville. Ballada ta, wypowiedziana z gorącym uczuciem przez p. Rolanda, doskonałego wykonawcę roli tytułowej, zdobyła i u nas gorący poklask publiczności. Rola Ludwika XI odegrał bardzo dobrze p. Ładnowski. Niezupelnie zgodziłbym się natomiast z Fourniezem p. Bednarczyka. W roli tej tkwi niewątpliwie niewyzyskany przez artystę pierwiastek komiczny.

O wystawionych i odegranych wybornie w ostatnich dniach miesiąca „Krytykach“ Chęcińskiego, którzy dziś jaszeze — po latach tylu — zachowali, jak się zdaje, moc budzenia lekkiej irytacji w kolach arystarchów warszawskich, pomówimy już obszerniej w sprawozdaniu najbliższem, gdzie poświęcimy również słów parę zmianie kierownictwa w teatrze Małym i ostatnim nowościom, wprowadzonym na scenę w Filharmonii przez obecnego jej kierownika, p. Kazimierza Zalewskiego. Autor „Naszych zięciów“ rozpoczął swój sezon w teatrze Małym od trzyaktowej komedji Jana Aleksandra hr. Fredry p. t. „Mentor“, nie puszczanej przed laty na scenę przez warszawską cenzurę teatralną, dlatego widocznie, że taki był jej kaprys, bo innej przyczyny odnaleźć niepodobna. Sztuka jest przestarzała dziś już, naiwną, ale miłą dosyć anegdotą teatralną. Żywiol „nieprawomyślny“ stanowił w niej zapewne jeden wojskowy mundur polski i dwa czy trzy tytuły (pułkownik, majorowa etc.) — dalekie echo z przed roku 1830.

Znaczne stosunkowo powodzenie zdobyła sobie w teatrze Małym czteroaktowa komedja Alfreda Capus'a p. t. „Nasza Młodość“ z panią H. Łącką-Pawłowską, bardzo dobrą wykonawczynią najważniejszej w sztuce roli Heleny Briant. Ale o teatrze Małym, jego składzie, zasługach i zadaniach pomówimy obszerniej za miesiąc.

WŁ. BUKOWIŃSKI.

VIII-a MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA SZTUKI W WENECJI.

Świat za daleko już poszedł po swej drodze, by cofnąć go mogły uludne marzenia Ruskina. Nauczyliśmy się już odkrywać i czuć piękno pełnych kurzu i gorączkowego ruchu ulic wielkiego miasta, najeżonych kominami fabrycznymi przedmieść, ciemnych i wiejących stęchlizną zaułków. Sielanka i bukolika ustąpiły przed pieśnią wielkiego miasta, wszystkie kraszy wiejskiego pejzażu przed posępną monotonią wielkomiejskich ulic, zgrabna, przestronna budowla grecka przed olbrzymią konstrukcją z kamienia lub szkła i żelaza.

Pokryte szarym kurzem i rdzą olbrzymie hale, jak monachijski Glaspalast, lub też jak Salony Paryskie, wielkie „pałace“, lśniące nie złotawą patyną marmuru, ale plebejuszowskim, schludnym tynkiem, pomimo wszelkich wysiłków w celu złudzenia światła mroczne, lub pełne refleksów, tak, że artyści zmuszeni są niemal że na noże bić się o lepsze miejsce, stały się przybytkami Sztuki. W nich, jak na olbrzymim kiermaszu, tłok i zgłęb. Obraz, przeniesiony tu z pracowni, maleje, blednie i ginie z mnogości wielotysięcznej masy. Widz staje się przechodniem, bo sił ani czasu nie starczyłoby mu na sumienniejsze rozważenie się w tych skarbach nierównej zwykle wartości. Zatrzymuje się on więc przed płótnami, które rozgłasza reklama, szuka znanych nazwisk, czasem pozwala sobie na krótką chwilę poszukiwań na własną rękę, wnet jednak, zawiedziony i zniechęcony, przyspiesza kroku i wreszcie opuszcza wystawę z jednym, jedynym szczerem wrażeniem — przesytu i zmęczenia.

W ten sposób wielkie wystawy europejskie tracą swą swobodę artystyczne znaczenie, a oddawna straciły już z oczu wysoki wychowawczy cel, który właściwie powinien by stanowić rację ich istnienia. Stają się one rzeczywiście „wystawami“, nieco większemi od magazynów Durand-Ruel'ów i Bernheimów i dlatego więcej przyciągają ludzi i bardziej imponują, ale też coraz bardziej zacieśnia się między nimi różnica, gdyż szczytem powodzenia nie jest tu już nawet złota tabliczka z napisem „médaille d'or“, ale raczej skromny kawałek brzości z wydrukowanym na niej jednym, jedynym, ale tak słodkim słowem: „vendu“.

Bo czyż może być mowa w tym wielotysięcz-

nym i tak różnorodnym tłumie o jakimkolwiek współzawodnictwie? Każde płótno żebrze tu o spojrzenie, krzyczy, zaczepia, za jakąś cenę chce zwrócić na siebie uwagę. Więc przedewszystkiem mamy przed sobą cały szereg mocno suggiestynnych scen: tu jakieś dziewczę naciąga pończoszkę i wyciągniętą naprzód nóżką zdaje się godzić w pierś zmęczonego przechodnia, ówdzie inna dama powłóczyście rozrzuca spojrzenia, a kragłość jej nagich ramion i bioder chce budzić dokoła niepokój i tęsknotę. A dalej znów dla wykwińniejszych oczów zgotowali wytworniejsi mistrze orgje barw niewidzianych, nie-dościgłych w swej zawłości załamań i przegubów linji, bajecznych oświetleń i rozkosznych przyćmień.

Każde z tych płócien posiada niewątpliwie swą wartość, byłoby zdolne dać pewną sumę wrażeń artystycznych, tu jednak, w tym tłumie zwiększa tylko zamęt lub ginie niepostrzeżone.

Wszystkie te uwagi nasuwać się musiały inicjatorom wystaw weneckich, gdyż wystąpili oni zasadniczo przeciwko tradycyjnemu systemowi wielkich wystaw europejskich, a czysto lokalne warunki nie mała też odegrały tu rolę.

Wśród ciasnych *calli*, wąziutkich ulic Wenecji, nie było miejsca na wzniesienie odpowiedniego gmachu, w którym pomieścić by się mogła poważna, międzynarodowa wystawa. Przeniesiono ją więc na lagunę, do rozkosznego, pełnego cieniu ogrodu, który, jak zielony wieńiec, rzucony na wodę, unosić się zdaje po ametystowej fali. Tutaj, wśród zieleni drzew, rozlokowano niewielkie, zgrabne pawilony. Jest ich kilka, gdyż i pod tym względem wystawa wenecka różni się od innych, że, chcąc być międzynarodową, nie zrzeczyła jednak dziesięciu nacji pod jednym dachem, ale dla każdej zbudowała osobny przybytek. Zwiedzamy więc kolejno pawilon bawarski (wyraźnie nie wszechniemiecki), belgijski, węgierski, amerykański i doznajemy tego samego wrażenia, jak, gdy, pnąc się na góry, przebywamy różne strefy roślinności. Zaledwie kilka kroków dzieli nas od jednego pawilonu do drugiego, a jednak za każdym razem, gdy przestępujemy ich progi, czujemy, że ogarnia nas tu jakaś odmienna atmosfera, że inny duch tu panuje, spokrewniony może i licznymi cechami familijnych podobieństw związany z sąsiadami, rzadko bardzo zupełnie swoisty i samorzutny, nigdy prawie całkowicie zharmonizowany w poszczególnych swych przejawach, pomimo to jednak noszący wyraźne piętno wspólności łona macierzystego, które go wydało.

Bardzo wiele i to zupełnie sprzecznych zdań dałoby się powiedzieć o słuszności zasady dzielenia wystaw według grup narodowościowych. W obecnych czasach, gdy myśl nowa, jedno wejrzenie twórczej jednostki na dany przedmiot z odmiennego nieco punktu widzenia, obiega świat i przyjmuje się z taką szybkością, że nieraz już trudno przyznać komukolwiek prawo pierwszeństwa do nich, cechy narodowościowe zdają się wogóle coraz bardziej zacierać, ale szczególnie wśród sfer stojących wyżej pod względem kulturalnym i intelektualnym.

Jako charakterystyczny pod tym względem przykład mógłby służyć pawilon amerykański. Daremnie szukalibyśmy tu Ameryki, ale bez trudu znajdziemy w nim wszystko, co przez ostatnich lat kilka widzieliśmy w salo-



Tito Ettore: Alga.

nach paryskich. W salach tych można by bardzo wygodnie wyklądać skrócony kurs malarstwa francuskiego od Daubigny do Moneta i od Carolusa Durand do Boldiniego, a rozwieszona tu po ścianach amerykańskie płótna mogłyby od biedy zastąpić francuskie oryginały.

Wprost przeciwne natomiast wrażenie robi najbardziej ze wszystkich zharmonizowany pawilon bawarski. Rozsiadła się tu secesja monachijska i Franz von Uhde, Diez, Habermann i inni czynią honory domu. Pewną harmoniją została tu osiągnięta przez to, że mamy przed sobą przedstawicieli jednej i tej samej szkoły. Jest to je-

dnak lepsze od tej bezbarwności, która cechuje Amerykanów lub tegoroczny popis Belgijczyków. Pawilon belgijski został otwarty przed kilkoma laty z ogromnym tryumfem, ale też wtedy mieścił on w sobie wszystko, co było najciekawsze w Belgji; najwybitniejsi artyści małego królestwa zbiegli się tutaj, by uświetnić uroczystą chwilę; od tego czasu jednak co rok to skromniej przedstawia się ten pawilon, i niewielki budynek zaczyna się wydawać zbyt obszernym dla sztuki, która niegdyś wydała Memlinga, Teniersa, Rubensa, Jordansa i prze-



P. S. Kroyer: Wieczór letni na wybrzeżu w Skagen.

żyła wielką dobę Odrodzenia flamandzkiego. Jest to być może tylko chwilowe wyjąłowanie gruntu, ale bądź co bądź zbyt widoczne.

Węgrzy, którzy w tem samym są położeniu, znaleźli sobie jednak radę i sposób zapełnienia swego krzykliwego, przybranego mozaiką i ceramiką pawilonu, urządzili bowiem coś w rodzaju retrospektywnej wystawy swej sztuki, i widzimy tu obok Munkacsego i Lotza prace młodszych i najmłodszych malarzy węgierskich. A gdy i w ten sposób pozostawało jeszcze wolne miejsce, przygarnięto i Sztukę Stosowaną, zapełniono całe sale niegustownymi

wyrobami ze skóry wytłaczanej i bardzo brzydkimi koronkami, opatrzonemi w dokładne adresy firm i oznaczenie prawie przystępnych cen.

Wobec takiego urządzenia, iż każda z narodowości, biorących udział w wystawie weneckiej, otrzymała osobne pomieszczenie, byłoby słuszne, gdyby główny, środkowy pawilon był przeznaczony dla sztuki krajowej, ale i w tym wypadku gościnność włoska wzięła górę nad egoizmem, i ten więc pawilon nosi charakter międzynarodowy, a urządzone w nim bywają wystawy, które, zdaniem mojem, posiadają w obecnej chwili najwięcej racji bytu. Pstre zbiegowisko luźnych prac, jakie widzimy w salonach paryskich i wogóle na wszystkich większych wystawach europejskich, to bezcelowe gromadzenie tłumnej rzeszy, która tyleż ma sensu, co zbieranie w tom kartek, wydartych z rozmaitych książek, zastąpione zostało na wystawach weneckich przez system t. z. *mostre individuali* — wystaw, poświęconych wyłącznie jednemu artyście, ale już w sposób możliwie wyczerpujący całość jego twórczości. Każda sala zawiera tu więc całokształt pracy pewnego artysty, daje historję jego rozwoju, pozwala wnikać w tajniki stawania się talentu, badać drogi, po których chodził, pozwala rzeczywiście poznać i ocenić wartość i dorobek artystyczny pewnej indywidualności twórczej.

Los chciał, że trafiłem w tym roku na wystawy artystów, których znałem już z ich ojczyzny: spotkałem tu prace Stucka i Alberta Besnarda, na których patrzyłem przez lata całe, pomimo to jednak, gdym zobaczył cały trud dotychczasowego ich życia, zebrany tak razem i zamknięty w czterech ścianach, dało mi to, obok głębokiego artystycznego zadowolenia, rzadką i nadzwyczajnie cenną sposobność ogarnięcia jednym wejrzeniem całej ich twórczości, możność sprawdzenia dawniejszych spostrzeżeń i przypuszczeń i rozkosz właściwego ich poznania. Tutaj dopiero, gdy obok „Grzechu“, „Wojny“ i „Korowodu bachantek“ zobaczyłem najnowsze prace Stucka, jego autoportret przy staludze, portrety rodziny artysty lub „Perseusza i Andromedę“ przekonałem się dobitnie, jak okrutnie przeżył on siebie i o ile niżej stoi obecna jego twórczość w stosunku do wcześniejszych jego prac. Tutaj objawił mi się też Besnard w całej okazałości swoich bajecznych oświetleń, w całym przepychu niezrównanej gry barw, w tym głodzie światła, jak sam on określił

kiedyś całą swą twórczość. A obok nich poznałem również Andersa Zorna i P. S. Kroyera.

Zorn podobnie jak Besnard kocha się w mocnem świetle; zdrowie i siła bije z jego obrazów, jest on po męsku tęgi i ufny w sprawność swej ręki. Aby dać miarę artystycznej wartości jego portretów, dość przypomnieć jego własny portret, znajdujący się w Uffiziach. Drugi Skandynawczyk, któremu w tym roku przypadł w udziale zaszczyt posiadania w Wenecji własnej wystawy, Kroyer, wyłaniał się zwolna z posępnych, mrocznych tonów naturalizmu, ale paleta jego rozjaśnia się stopniowo, nabiera siły i rzutności, coraz bardziej zaczyna go pociągać eicha poezja nadmorskich pejzaży, i prace te obok wśmienitego portretu Biörnsona stanowią kulminacyjny punkt jego rozwoju. Z Włochów wreszcie jednemu tylko Ettore Tито dane było figurować wśród wybranych, a zebrane tu prace jego usprawiedliwiały to wyróżnienie. Wogóle jednak nad malarstwem włoskiem, które oddawna już, bo od czasu Segantiniego, nie wydało ani jednego głośniejszego imienia, widocznie zoyt jeszcze cięży wielka jego przeszłość, gdyż nie może ono dotąd wybrnąć z wielkich swych tradycji, do których jednak brak mu, niestety, wielkich talentów. Ale Włosi sami zdają sobie z tego sprawę i na wystawie weneckiej czuć było, że umyślnie trzymają się na uboczu.

Chcieli oni zresztą stworzyć wystawę międzynarodową i na słusznych oparli się zasadach. Nie faworyzowali swoich, nie szczędzili trudów, by pracę danego artysty w możliwie najkompletniejszej przedstawić formie, nadali zupełną autonomję grupom narodowościowym, rozporządzającym własnymi pawilonami, i rezultaty, do których doszli, same mówią za siebie.

Bo z jakże odmiennem wrażeniem opuszczamy wystawę wenecką i salony paryskie naprzykład. Widziałem je w tym roku prawie bezpośrednio jedną po drugich, ale, gdy z salonu wychodziłem z jakimś nieokreślonym uczuciem żalu, że wynoszę stąd tak niewiele i to jakichś dziwnie poszarpanych wspomnień, Wenecja pozostawiła mi w pamięci kilka obrazów jasnych i pełnych, więc gdy po raz ostatni z pomostu Piazzetty żegnałem tę kępę zielonych drzew, pływających po lagunie i połyskujących gdzieś niegdzie białemi czołami marmurowych pomników, żegnałem ją z wdzięcznością.

STEFAN GACKI.



KSIAŻKI NADESŁANE.

Powieści i nowele. Gabryella „Poganka”. Wyd. Książnicy Naukowej i Artystycznej. Kraków, Gebethner i Sp., Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909. — Konczyński Tadeusz „Wyspa smutku”, Wysocki Alfred „Szkice skandynawskie”, tom XXV i XXVI „Nowości Literackich”. Nakład St. Sadowskiego, Warszawa, Lwów, 1909. — de Maupassant Guy „Kulka łojowa i inne nowele”. Wybór pism I. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910. — Niemcewicz J. U. „Lejbe i Siora”. Romans, Warszawa, Nakładem „Ziarna”. 1909. — Prévost M. „Dziewuszki”. Kraków, 1909. — Srokowski Mieczysław „Jak iza”... Nowele. Nakład księgarni K. Idzikowskiego. Warszawa, 1910. — Zdziechowski Kazimierz „Łuna”. Powieść współczesna. Dwa tomy. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1910. — Zechenter Edmund „Z chłopskiej niwy”. Z przedmową K. Przerwy-Tetmajera. Kraków, Gebethner i Sp., Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909. — Żeromski Stefan „Andrzej Radek czyli Syzyfowe prace”. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, Gebethner i Sp. 1910.

Poezja. Ghil René „Oeuvre. I. Dire du mieux. IV. L'ordre altruiste”. Paris. Edit. A. Messeir, Succ. 1909. — Koszutski Stanisław „Nim słońce skończy dzień”. Poezje. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, Gebethner i Sp., 1909. — Lange Antoni „Epos Indyjskie. I. Valmiki. Ramayana”, tom III wydawnictwa „Epos”, ułożył... Nakł. księgarni Feliksa Westa w Brodach, 1909. — Pogorski Jan z Kościelca „Wybór poezji”. Kraków, Nakład W. L. Anczyca i Sp., 1909. — Staff Leopold „Sny o potędze”. Wydanie trzecie. Lwów. B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909.

Dramat. Herbaczewski B. „Don Juan Moderne” Nr 5—6 „Biblioteczki powszechnej”. Nakład K. Idzikowskiego. Warszawa, 1909. — Mutermilch Michał „Listopad”, dramat w 3 aktach. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków. G. Gebethner i Sp., 1909. — Świętochowski Aleksander „Duchy”. Dwa tomy. Części: I, II, III, IV, V i VI. Warszawa, 1909. — Słowacki Juliusz „Horsztyński” „Beatrix Cenci”, „Złota Czaszka”. NN. 1, 2, 3, 4 i 7 „Biblioteczki powszechnej” Nakł. księg. K. Idzikowskiego. Warsz., 1909.

Studja literackie. Chrzanowski Ign. „Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku”. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wendego i Sp. 1909. — Dr. Janik Michał „Juljusz Słowacki”. Próba syntezy. Lwów, 1909.

Studja naukowe. A. B. „Życie Pasteur'a”, wolny przekład według René Vallery — Radot przez... Warszawa, 1909. — Zielewi-

KSIAŻKI NADESŁANE.

189

czówna Marja „Z rozmyślań Emersona”. Warszawa, E. Wende i Sp., 1909.

Historja. Kraushar Aleksander „Spisek koronacyjny z r. 1829 w świetle prawdy historycznej”. Miscellanea historyczne XXXIII. Kraków, 1909. — Dr. Pawłowski Bronisław „Kwestja włościańska w Królestwie Polskiem 1815 — 1831”. Warszawa, E. Wende i Sp., Lwów, H. Altenberg, 1909.

Symposion. Vanvenargues „Uwagi i myśli”. Przekład Jana Kasprówicza, uzupełniony studjum Ellen Key. Lwów. B. Połoniecki, Warsz., E. Wende i Sp. 1909.

Varia. Dr. Bielecki Jan „Działalność pracowni chemicznej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie 1906—1908”. Warszawa, 1909. — L. V. J. „Szkic historyczny Lublina”. T. VIII „Biblioteczki Krajoznawczej”. Warsz., 1909. — Trampeczyński Wł. „Częstochowa”. Warszawa 1909. — „Noworocznik Literacki autorów polskich i ukraińskich” pod redakcją Edwarda Ligockiego i Tadeusza Michalskiego. I. Kijów. 1909.

Biblioteka dzieł wyborowych. Fogazzaro A. „Tajemnica poety”, 2 tomy. Charlotte Perkins Gilman „Kobieta a stan ekonomiczny”. Studja nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucji społecznej. Przekład Marji Podlewskiej, 2 tomy. — Linnankoski „Krwawy kwiat”, z fińskiego przeł. J. Klemensiewiczowa. 2 tomy. — Jacobs Monty „Maeterlinck”. Studjum krytyczne. Przekład Marji Kreczowskiej. — Pilecka Ida „Z za świata”. Nowele. — Björnsterne Björnson „Mary”. Powieść. Tłom. Br. Neufeldówna. 2 t. — Grabowski Ignacy „Pamiętniki Rupiecia”. Z przedmową A. Nowaczyńskiego. — Selma Lagerlöf „Dziwy Antychryta”. Powieść. 3 tomy. Tłomaczył Jan Bleszyński.



W ADMINISTRACJI „SFINKSA“

Hortensja 4 w Warszawie

są do nabycia następujące wydawnictwa nasze lub dzieła w większej ilości przez nas posiadane:

Cyprjan Norwid: Odczyty o Słowackim (z portretem Norwida), cena kop. 60, pocztą 75.

Henryk Heine: „Pieśni współczesne” (z portretem Heinego, przekład Wł. Nawrockiego) kop. 45, pocztą 60.

Bernard Kellerman: „Ingeborga”, powieść (przekład Br. Neufeldówny, okładka A. Gawińskiego)—kop. 75, pocztą kop. 90.

Jan Kleczyński: „Rzeźba współczesna” (z reprodukcją rzeźby Vigelanda)—kop. 60, pocztą kop. 75.

Władysław Bukowiński: „Z marzeń i życia”—rb. 1 kop. 20.

„ „ „ „Nowy Zeszyt” kop. 75.

„ „ „ „Na greckiej fali”, poemat kop. 50.

„ „ „ „Poeta melodji i głębin i poetka idei”

(rzeczą o Asnyku i Konopnickiej z portretem Asnyka i Konopnickiej, z rysunkami Malczewskiego, Wyspiańskiego i Rembowskiego), kop. 75, pocztą 90.

Portret barwny Aleksandra Świętochowskiego: (według pastelu K. Mordasewicza) kop. 60, pocztą 75.

8 portretów, odbitych na papierze welinowym in 8-o (z podobiznami podpisów) następujących pisarzy polskich: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cyprjana Norwida, Adama Asnyka, Marji Konopnickiej, Stanisława Wyspiańskiego, Stefana Żeromskiego i Jana Kasprówicza—za wszystkie razem kop. 80, pocztą rb. 1.

Znaczne stosunkowo ustępstwo dać również możemy czytelnikom na wydanym świeżo „Podręczniku historii wieków średnich” prof. M. Karejewa w przekładzie Marji Bukowińskiej (str. 254), który kosztować ich będzie wraz z atlasikiem podręcznym rb. 1 zamiast rb. 1 kop. 20. Przysyłka rekomendowana kop. 20.

Pozostałe w niewielkiej liczbie komplety „Sfinksa” od marca do końca roku 1908 — dziesięć obszernych zeszytów o nader bogatej zawartości literackiej i artystycznej—są jeszcze do nabycia w Redakcji w cenie rb. 6 w Warszawie, rb. 7 z przysyłką pocztową.

Wszyscy prenumeratorzy „Sfinksa” nabywać mogą nadto w Administracji naszej cztery wydane świeżo dzieła pierwszorzędnej wartości naukowej **po cenie o 25^o/₁₀₀ zniżonej** t. j. po rb. 1 kop. 50 zamiast rb. 2, a mianowicie: „Katechizm Historji Filozofji od Talesa aż do naszych czasów” przez d-ra **Fryderyka Kirchnera**, przekład d-ra K. Krauza (str. 486); „Życie społeczne i moralne” przez **J. M. Baldwina** (str. 592); „Filozofja pieniądza” przez **J. Simmla** przekład Leo Belmonta (str. 572) i „Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnym” **A. V. Diceya** (str. 412).

Na przesyłkę rekomendowaną każdej z tych książek dołączyć trzeba kop. 25; na przesyłkę wszystkich dzieł razem kop. 50.

„PRAWDA“

NAJSTARSZY POSTĘPOWY TYGODNIK POLSKI,

wychodzi 28 lat w Warszawie

przy stałym współudziale:

Aleksandra Świętochowskiego i Aleksandra Lednickiego.

Do komitetu redakcyjnego należą:

Stefan Gacki, Józef Lange, Wacław Łypacewicz, Iza Moszczeńska, Adam Zakrzewski, Kazimierz Życki.

W dodatku książkowym wychodzi w tym roku dzieło
KAROLA GIDA

p. t. **Rozwój instytucji społecznych XX wieku.**

Nowi prenumeratorowie dodatki za ubiegłe kwartały otrzymać mogą po połowie ceny, czyli po 20 kop. za 6 arkuszy dodatku.

Prenumerata roczna w Warszawie 8 rb., w Cesarstwie, na prowincji i za granicą 10 rb.

HÉLOUAN LES BAINS

Stacja klimatyczna dla chorych nerkowych, odległa o 30 wiorst od Kairu. Pociąg co godzina.

Pensjonat Wandy Bilińskiej

„Willa Wanda“

przyjmuje chorych od 15 października do 15 maja.

Utrzymanie całodzienne z pokojem i elektrycznością
rb. 5 dziennie.

Najpiękniejsze miesiące listopad, grudzień i styczeń.

Uprasza się o wczesne zamawianie pokoi.

KSIĘGARNIA GEBETHNERA i WOLFFA

W WARSZAWIE.

poleca:

Gliński K. Zaloty Króla Jegomości. Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta.	1 20
Górski A. Monsalwat. Rzecz o Adamie Mickiewiczu. Wyd. II-gie	1 50
Hösick Ferd. Juliusz Słowacki (1809—1849), Biografia psychologiczna. 3 tomy	6 —
— O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu, Studja historyczno-literackie. Kraków.	1 50
Kallenbach Józef. Czasy i ludzie.	2 —
Matuszewski Ign. Swoi i obcy. (Pokrewieństwo i różnice). Zarysy literacko-estetyczne. Wyd. 2-gie poprawione.	2 —
— Słowacki i nowa sztuka (Modernizm). Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej; studjum krytyczno-porównawcze. Wyd. 2-gie	1 50
— Twórczość i twórcy, studja i szkice estetyczno-literackie.	2 —
Mickiewicz Adam. Nieznane pisma (1817—1823) z Archiwum Filomatów wydał Józef Kallenbach	2 40
Mościcki Henryk. Wilno i Warszawa w „Dziadach” Mickiewicza. Tło historyczne trzeciej części „Dziadów” z 23 rycinami.	1 80
Ostrowski Nałęcz Stan. Zarzewie. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego	1 50
Prus B. Dzieci. Powieść.	1 80
Przybyszewski Stan. Dzień sądu („Synów ziemi” część wtóra)	2 —
Reymont Wł. St. Chłopi. Powieść współczesna I. Jesień, II. Zima, 2 tomy, rb. 3, w ozdobnej oprawie	3 80
III. Wiosna, IV. Lato. Cena każdego tomu w ozdobnej oprawie	1 50
Sienkiewicz H. Dwie łąki.	1 50
Sieroszewski W. Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacz.	1 80
Tetmajer-Przerwa K. Maryna z Hrubego (Na skałnem Podhalu)	1 80
Urbanowska Z. Wszechmocni. Kartka wycięta z kroniki miasta powiatowego. Wyd. IV. 2 tomy.	2 —
Warnkówna J. Wśród Skogów Szwecji i Fiordów Norwegji. Z 75 rysunkami	1 50
Weysenhoff J. Dni polityczne. Serja II (r. 1905—1906) W ogniu	1 —
Wyspiański Stan. Skałka. Dramat w 3 aktach.	1 —
— Wesele. Dramat w 3 aktach. Wyd. IV	1 60
Zapolska G. O czym się nie mówi. Powieść współczesna.	1 80
— Sezonowa miłość. Powieść współczesna. Wyd. 2-gie.	1 50
— Wodzirej. Powieść. Wydanie 2-gie.	1 50
Zbierzchowski K. Literat. Powieść.	1 20
— Malarze. Powieść.	1 20
Zdziechowski K. Przemiany. Powieść, 2 tomy.	2 —

Okuń Edward	98
Plonowska M.	10
Rembowski Jan.	139, 161, 188
Tabiński A.	39, 84
Wolman A.	106
Włodarczyk W.	9, 54, 67
Wroniecki J.	49, 50, 53, 83, 105
Złomek Teodo.	114
Złomek Teodo.	162 i 166
Sceny ze „Złotej Czaszki” Słowackiego	167
Scena z „Hanusia” Hauptmanna	175
Portret Mieczysława Frenkla	176
Portret Władysławy Ordon-Sosnowskiej	178
Portret Józefa Śliwickiego	179
Portret Tekli Trapszo-Krywulłowej	184
Tito Ettore: Alga	185
P. S. Kroyer: Wieczór letni na wybrzeżu w Skagen	185

Zwracamy uwagę na odczwę od Redakcji „SFINKSA”
na ostatniej stronie okładki.

Od dnia 1-go Listopada r. b.

wznowionem zostaje

„WOLNE SŁOWO”

Dwutygodnik polityczny, społeczny, literacki i naukowy pod redakcją

Leo Belmonta.

Kwartalnie z przesyłką rb. 1 kop. 75. Numer 25 kop.

Do nabycia w kioskach i księgarniach, oraz
w Administracji: **Marszałkowska 77.**

Telefonu Nr. 118.98.

11/05

R2; 1909

zesz 23 listopad



11/05

OD REDAKCJI „SFINKSA“.

Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników naszych, że w dwóch ostatnich zeszytach „SFINKSA“ daliśmy, obok szeregu cennych reprodukcji artystycznych, o 3¹/₂ arkusza (56 kolumn) druku więcej ponad przyrzeczoną dziesięcioarkusową normę.

W r. 1910, trzecim roku wydawnictwa naszego, zamierzamy rozszerzyć znacznie format „SFINKSA“, dawać zarówno w wydaniu tańszem, jak droższem, o wiele lepszy, specjalnie dla nas przygotowany papier, i możliwie udoskonalić stronę literacką i artystyczną miesięcznika naszego, **jedynego obecnie w tym zakresie organu**, mającego na celu odzwierciedlanie wszechstronne twórczości współczesnej.

Ulepszenia te wymagać od nas będą nakładów dużych. Mimo to pozostawiamy bez zmiany niską stosunkowo cenę prenumeracyjną „SFINKSA“, która wynosi tylko rb. 8 rocznie w Warszawie, a rb. 9 z przesyłką pocztową za wydanie na papierze tańszem, oraz rb. 10 w Warszawie, a rb. 12 z przesyłką pocztową, za wydanie wykwiłtne na droższym papierze. Półrocznie rb. 4 i 5 w Warszawie, rb. 4¹/₂ i 6 pocztą.

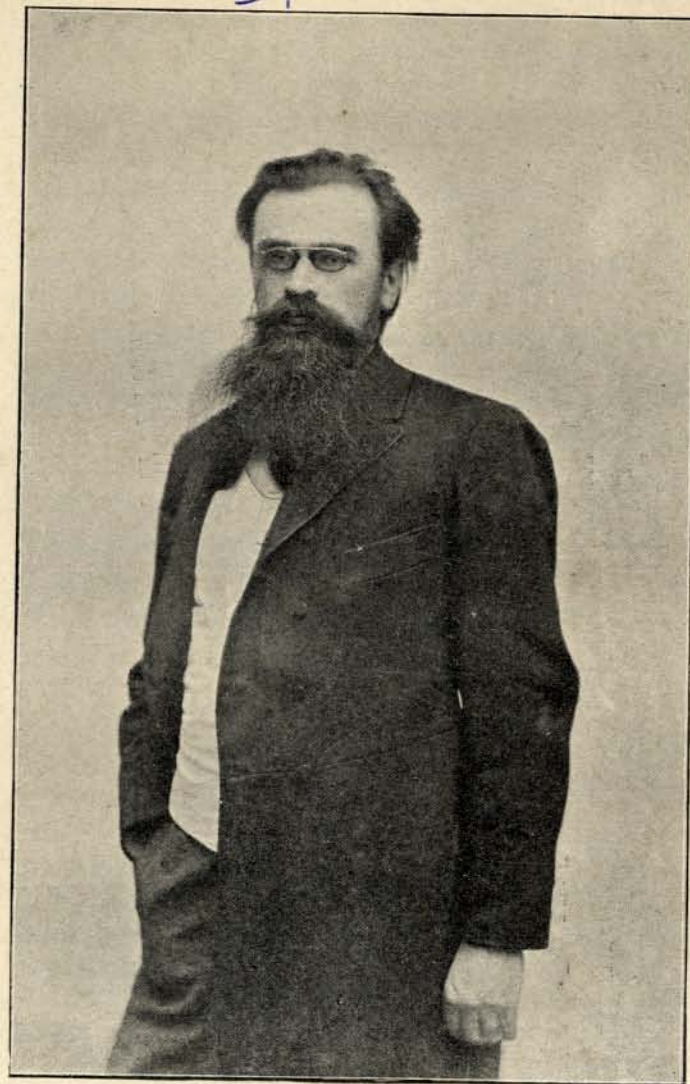
Rachujemy na dalsze poparcie inteligencji polskiej, na poparcie zwłaszcza dotychczasowych Prenumeratorów i Czytelników „SFINKSA“, którym nieobce są wysiłki nasze, mające na celu bezinteresowną służbę Ideałowi Prawdy i Piękna.

W celu ułatwienia Przyjaciołom naszym rozpowszechniania wiadomości o „SFINKSIE“, załączamy odbitą osobno dwóch ostatnich zeszytów, nadmienając, że Administracja (Hortensja 4, tel. 110.99 w Warszawie) rozporządza także pewną liczbą kompletów „SFINKSA“ od początku r. b., jak również kompletami za półrocze II (od lipca r. b.) zawierającymi, obok wielu innych utworów i rozpraw cennych, od początku dramat Konczyńskiego p. t. **Pielgrzymi**, powieść psychologiczną Kleczyńskiego p. t. **Marzanna**, powieść Orkana p. t. **Pomór**, studjum Gostomskiego o Michale Aniele, p. t. **„W kaplicy Sykstyńskiej“**, oraz osobny zeszyt, poświęcony **JULIUSZOWI SŁOWACKIEMU** i zawierający między innymi obszernie studia o wielkim Poecie naszym Wł. Bukowińskiego, W. Gomulickiego, Ign. Matuszewskiego („Król-Duch czy Królowie-Duchy“?), L. Méyeta, oraz 4 portrety Słowackiego, a w tej liczbie reprodukcje dwubarwne nieznanego dotychczas portretu E. Niewiadomskiego i rzeźby W. Szymanowskiego.

Rocznici prenumeratory „SFINKSA“, nadsyłający całkowitą przedpłatę wprost do Administracji naszej (Hortensja 4, tel. 110.99 w Warszawie), korzystają z wyszczególnionych w prospekcie premjów literackich i artystycznych.

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4



Ignacy Matuszewski

OD REDAKCJI.

Na progu nowego roku, trzeciego roku wydawnictwa naszego, zwracamy się do Przyjaciół i Zwolenników „SFINKS” z gorącą prośbą o dalszą życzliwość i pomoc.

Pomimo obojętności i apatii ogółu, przez dwa lata wytrwaliśmy na zajętem stanowisku, starając się uczynić pismo nasze wartościowym i zajmującym organem, służącym poważnie literaturze i sztuce.

W roku przyszłym, nie smieniając warunków prenumeraty, zamierzamy rozszerzyć znacznie format „SFINKS”, drukować go nowymi, piękniejszymi czcionkami, wydanie tańsze na lepszym o wiele, przygotowanym dla nas specjalnie papierze, wydanie droższe na prawdziwie wykwiartnym papierze żeberkowym większego formatu.

Zamierzamy wogóle udoskonalić wygląd zewnętrzny i stronę artystyczną „SFINKS” i wydawać go nie w dwunastu, jak dotąd, lecz **w dwudziestu zeszytach rocznie**, wychodzących regularnie, w rozmiarach od 80 do 120 kolumn druku, w pierwszym i trzecim tygodniu każdego miesiąca, z wyjątkiem lipca i sierpnia.

Reformy te i ulepszenia wymagać będą od nas nakładów i wysiłków niematych. Przystępujemy do nich z ufnością, że dotychczasowi Przyjaciele nasi nie tylko pozostaną z nami, lecz postarają się sami rozszerzyć koło Odbiorców „SFINKS”, jednając mu Prenumeratorów nowych.

Zanim w przygotowywanym już prospekcie na r. 1910 wytłuszczymy szczegółowiej zamiary i plany nasze na przyszłość najbliższą, śpieszmy podzielić się z Czytelnikami wiadomością miłą, że znakomity powieściopisarz **Wacław Sieroszewski** ofiarował nam nową powieść swoją p. t. „**Jak liść jesienny**”, której druk saczniemy już w pierwszym z zeszytów styczniowych.

Konkurs artystyczny „Sfinksa“.

Redakcja „Sfinksa“, w celu ożywienia naszego ruchu literacko-artystycznego, postanowiła ogłaszać co rok jeden przynajmniej konkurs literacki lub artystyczny. Praca sędziów konkursu poetyckiego dobiega do końca, nie czekając jednak na jego rozstrzygnięcie, ogłaszamy już obecnie:

KONKURS ARTYSTYCZNY NA WINIETĘ PIÓRKOWĄ

na następujących warunkach:

1) Winiety mają być wykonane w jednym kolorze, piórem, tak, aby reprodukowane być mogły sposobem kreskowym (bez siatki).

2) Winiety nadsyłane być mają w rozmiarach 20 centymetrów u podstawy, a 12 do 15 wysokości (20×12 do 15 ctm.), tak aby po zmniejszeniu w reprodukcji można było otrzymać normalną winietę dla „Sfinksa“ o dziesięciocentymetrowej podstawie.

3) Winiety na konkurs, odpowiednio opakowane, nadsyłać należy do Redakcji „Sfinksa“ (Hortensja 4) **bezimiennie**, zaopatrzone w godła; nazwisko Autora mieścić się powinno w zapieczętowanej kopercie, oznaczonej tem samym godłem.

4) Ostateczny termin nadsyłania winiety na konkurs oznaczony zostaje na **dzień 31 stycznia 1910 roku** (do godziny 6-ej wieczorem).

5) Za najpiękniejsze winiety Redakcja „Sfinksa“ przewiduje **trzy nagrody**, a mianowicie:

nagroda I wynosi rb. 40 (koron 100);

nagroda II „ rb. 20 (koron 50);

nagroda III „ rb. 15 (koron 37½).

Uwaga: Jeden Artysta może przysłać na konkurs najwyżej dwie winiety.

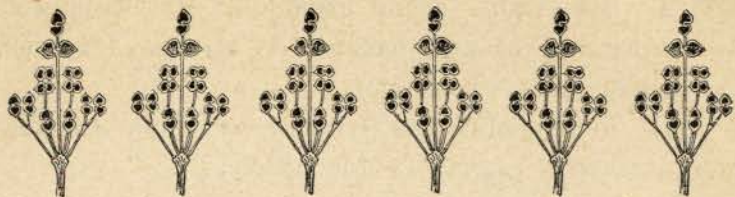
6) Uproszony przez Redakcję sąd konkursowy, do którego należeć będą pp.: *Wiktor Gomulicki, Józef Holewiński, Jan Kleczyński, Tadeusz Jaroszyński, Leopold Méyet, Stefan Popowski i Franciszek Siedlecki*, oraz Redakcja „Sfinksa“ w osobach *Władysława Bukowińskiego, Ignacego Chrzastowskiego i Ignacego Matuszewskiego*, wybierze sześć najpiękniejszych winiety, które reprodukowane zostaną w jednym zeszycie „Sfinksa“.

7) Ostateczne przyznanie nagród i odznaczeń zależy będzie od Prenumeratorów i Czytelników „Sfinksa“, którzy rozstrzygną konkurs w drodze głosowania na przygotowanych specjalnie kartkach, wyznaczając większością głosów nagrody i odznaczenia.

8) Oryginały nagrodzonych i odznaczonych winiety pozostają własnością Autorów. Redakcja „Sfinksa“ zastrzega sobie tylko prawo reprodukcji.

Warszawa, 30 listopada 1909 r.

Redakcja „Sfinksa“.



WŁ. BUKOWIŃSKI.

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO.

Zbliżający się do końca rok jubileuszowy Słowackiego nie urzeczywistnił pokładanych w nim nadziei, nie spełnił naszych marzeń i pragnień w stosunku do twórcy „Króla Ducha“. Prochy wielkiego poety spoczywają w dalszym ciągu na obczyźnie; w żadnej ze stolic Polski nie stanął dotąd pomnik, godny naprawdę jego nieśmiertelnej pamięci; piękne zamiary i projekty wybudowania w Warszawie teatru imienia Słowackiego, dokonania pomnikowej edycji jego dzieł przycichły już również — parę zjazdów, kilkadziesiąt wieczorów, na których mówiono o Słowackim i deklamowano fragmenty jego utworów, parę pamiątkowych tablic lub biustów, parę nowych wydań jego pism, kilkanaście książek i kilkadziesiąt rozpraw o jego twórczości, kilka nowych portretów wreszcie — oto cały niemal widoczny i namacalny plon tego roku jubileuszowego, po którym obiecywaliśmy sobie tak dużo...

Czy to już wszystko jednakże? I nic, nic już poza tą garścią przypadkowych niemal, niekiedy czysto-zewnętrznych objawów czci dla jednego z tytanów naszego

uczucia i naszej myśli narodowej? Dla jednego z najwspanialszych wcieleń ducha polskiego?

Twierdzić tak — znaczyłoby doprawdy zaprzeczać oczywistości. Kult dla Słowackiego, znajomość i zrozumienie jego twórczości wzrosły u nas i pogłębiły się w ciągu ostatnich lat kilku znakomicie, a chociaż daleko jeszcze do chwili, gdy „fatalna siła“ jego ducha zacznie naprawdę tłumną dziś jeszcze falangę „zjadaczy chleba“ przerabiać w aniołów, to jednak nie ulega wątpliwości, że w stosunku do Słowackiego dużo zmieniło się u nas od czasu, gdy sędziwy dziś już i w swoim czasie zasłużony niewątpliwie Antoni Małecki uważał za stosowne tłumaczyć się przed publicznością (w przedmowie do pierwszego wydania monografii swojej o Słowackim), „skąd mu przyszło na myśl pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował tylko — skromne stanowisko pisarza“...

Wśród krytyków i badaczy literatury, którzy przyczynili się najwięcej i wciąż przyczyniają się jeszcze do rozszerzenia i pogłębienia naszej wiedzy o Słowackim, którzy nauczyli nas i wciąż w dalszym ciągu uczą odnajdywać piękno i głębię przepastną w tych nawet dziełach twórcy „Króla Ducha“, które lat temu kilkanaście uchodziły jeszcze za mętne, ciemne, obłudne i nie zasługujące na poznanie, jedno z miejsc najzaszczytniejszych należy się niewątpliwie Ignacemu Matuszewskiemu. Jego dzieło „Słowacki i nowa sztuka“, wydane po raz pierwszy w roku 1902, a — jak się dowiadujemy — wyczerpane już obecnie w drugiej edycji, jest wprost epokowym w historii naszych badań nad Słowackim. I przedtem zresztą i potem poświęcił on Słowackiemu rzeczy pierwszorzędnej wartości, że przypomnimy chociażby ogłoszone w zbiorach „Swoi i obcy“ i „Twórczość i twórcy“ rozprawy o Słowackim i Schelleyu, o mistycznych pismach Słowackiego, o jego wzniosłości, lub świeżo drukowane w „Sfinksie“, a obecnie wydane i w odblasku osobnej, obszernej i głębokiej studjum o „Królu Duchu“.

Nie zajmując katedry uniwersyteckiej, która, jak jeszcze w r. 1905 zauważył Feldman, należy mu się tak słusznie, od lat paru jest jednak Matuszewski kierownikiem młodszych pokoleń, wyklada bowiem literaturę nowożytną na kursach pedagogicznych (Rudzkiej, Miłkowskiego), a w tym roku i kursa naukowe na jego prelekcjach o Słowackim gromadzą formalne tłumy słuchaczy i słuchaczek, których żywym słowem zachęcić umie do poważniejszych studjów nad ulubionym poetą i zwłaszcza mniej znanymi i zrozumiałymi dziełami jego z okresu mistycznego.

Jednym słowem Ignacy Matuszewski, którego studja z dziedziny twórczości polskiej i obcej należały od dawna do najpoważniejszych prac historyczno i krytyczno-literackich i artystycznych, w ciągu dziesięciolecia ostatniego stał się najwytrwalszym badaczem i popularyzatorem Króla-Ducha poezji naszej; młodsze zwłaszcza pokolenie poetów, artystów, krytyków i badaczy literatury zawdzięcza mu bardzo dużo. Słusznem więc wydaje nam się, aby na schyłku jubileuszowego roku Juliusza Słowackiego, zanim uda nam się zamieścić w „Sfinksie“ wyczerpującą pracę o działalności autora „Djabła w poezji“ i „Swoich i obcych“, w krótkości bodaj i pobieżnie przypomnieć jego zasługi, — zwłaszcza że rok jubileuszowy twórcy „Króla-Ducha“ kończy zarazem dwudziestopięcioletnie działalności literackiej jego sumiennego i głębokiego badacza, a piękne i wartościowe studja, któremi Matuszewski zaszczyca stale „Sfinksa“, od chwili jego powstania, stanowią niejako uwieńczenie srebrnych godów z historją i krytyką literatury jednego z jej najzasłużeńszych i najpoważniejszych badaczy.

* * *

„Djabł w poezji“, „Czarnoksiężstwo i medjumizm“, „Swoi i obcy“, „Twórczość i twórcy“, „Słowacki i nowa sztuka“ — pięć dzieł, któremi Matuszewski wzbogacił rze-

telnie a wielostronnie literaturę naszą, to część zaledwie bogatego plonu jego éwieréwiewkowej działalności, częściowe uzewnętrznienie tej bajecznej wprost, nieprzebranej studni wiedzy, którą nosi w sobie ten pierwszy bodaj u nas krytyk syntetyk i psycholog, i krytyk-estetyk zarazem, a którą studjami ciągłymi, ciągłą pracą w kraju i zagranicą, z każdym rokiem rozszerza i pogłębia. Do książek tych nie weszło mnóstwo drobniejszych artykułów i rozpraw obszerniejszych, drukowanych różnemi czasy w „Przeglądzie Tygodniowym“ i jego dodatkach (o teatrze niemieckim, o teatrze francuskim, o moralności w sztuce i inne), w „Ateneum“ („Ola Hanson i młoda Skandynawja“), w „Bibliotece Warszawskiej“ (o przekładach Byrona), w „Głosie“, „Prawdzie“, „Kurjerze Codziennym“, „Gazecie Polskiej“, w „Tygodniku Ilustrowanym“ wreszcie, którego kierownikiem literackim i współpracownikiem gorliwym pozostawał od roku 1898 do 1907. I w tem zresztą, co do książek weszło, i w tem, co pozostało w czasopismach, mieści się niewątpliwie cząstka zaledwie tego, co Matuszewski powiedzieć mógłby nam jeszcze i czego nauczyłby nas niewątpliwie, gdyby warunki pozwalały mu oddać się spokojnie pracy naukowej i literackiej, bez owej klątwy, ciężącej nad tyłu niepopolitymi duchami, bez troski o byt materialny...

I w tych warunkach zresztą, w jakich pracował, w jakich co prawda u nas pracować musi większość umysłów twórczych i badawczych, Matuszewski dzisiaj już, kiedy na szczęście jest jeszcze w pełni sił i zapału do pracy, zajął w literaturze naszej stanowisko wyjątkowe i wznosił sobie dziełami swemi pomnik piękny, który go przetrwa z pewnością.

* * *

Ignacy Matuszewski, urodzony w r. 1858 w Wilanowie, kształcił się początkowo w Warszawie, gdzie po wyjściu z gimnazjum ukończył szkołę handlową Kronen-

bérge. Towarzyszami i kolegami jego młodości byli między innymi Jan Gadomski, Maksymiljan Heilpern, Józef Hłasko, Pławiński, Mendelson i inni. W tem gronie rozpoczął on w rozpowszechnionych tak wówczas wśród młodzieży naszej kółkach samokształcenia samodzielną pracę nad sobą, którą prowadzić miał dalej w uniwersytecie lipskim, gdzie zapoznał się bliżej z filozofją i literaturą europejską, oraz w galerjach i muzeach Drezna, Berlina, Paryża, Rzymu, Florencji i Wenecji, gdzie badał gruntownie nagromadzone tam skarby sztuki. Pod wpływem tych studjów zmieniły się jego upodobania. Zamiłowany przyrodnik z ławy szkolnej został teraz poetą i estetykiem, a sprowadzania jego z literatury niemieckiej, pisywane od roku 1884 w „Przeglądzie Tygodniowym“, zwróciły prędko uwagę sfery, interesującej się u nas literaturą i sztuką, na młodego i utalentowanego krytyka.

Bo talent krytyczny wziął górę u Matuszewskiego nad twórczym w ścisłejszem tego słowa znaczeniu. Utworów poetyckich drukował niewiele, chociaż i dzisiaj jeszcze pisuje je niekiedy—dla siebie tylko. Skłonności refleksyjne przemogły. Jako krytyk, zajął u nas prędko stanowisko wybitne i wyjątkowe i zapisał się w dziejach literatury naszej głoskami niezatartymi. Po pierwszych krytykach i sprawozdaniach z bieżącego ruchu piśmienniczego w Niemczech i u nas, drukowanych z początku w „Przeglądzie Tygodniowym“, uwydatniło się prędko upodobanie Matuszewskiego do syntezy, do szerokiego, porównawczego ogarniania wzrokiem tematów bardzo rozległych. Pierwsze większe prace jego noszą właśnie taki charakter syntetyczny, historyczno-literacki, o widnokrzęgu, obejmującym całą niemal literaturę powszechną, jak znane już dziś i głośnie, przetłomaczone i na język rosyjski, studjum p. t. „Djabel w poezji“ (wydanie I w roku 1894, wydanie II przerobione i powiększone w r. 1900), zarys historyczny i psychologiczny postaci, uosabiających i wielających pojęcie zła we wszystkich literaturach świata.

W samym wyborze tematu uwydatniła się tu skłonność krytyka naszego do zagadnień niezwykłych, egzotycznych, mało zbadanych i tajemniczych, traktowanych zresztą przez autora w sposób naukowy, bez uprzedzeń i jednostronności. Zapoznawszy się jeszcze w Lipsku z teorią czwartego wymiaru Zöllera, zainteresowawszy się medjumizmem i pokrewnymi objawami, przestudjował całą niemal literaturą mistyczną, okultystyczną i spirytystyczną, a wynikiem tych badań było nowe studjum historyczno-porównawcze, wydane w r. 1906 p. t. „Czarnoksięstwo i medjumizm“, łączące znowu zamiłowanie do rzeczy nieznanych i tajemniczych z trzeźwością umysłu krytycznego, uzbrojonego w cały zasób wiedzy współczesnej.

Zbliżony w filozofji do neo-kautyzmu, nie zasklepia się Matuszewski w jednej jakiejś dziedzinie badań, nie wyłącza z dziedziny dociekań i poszukiwań swoich niczego zgoła, co człowieka dzisiejszego obchodzić może. Śmiały jednak i bezwzględny w wyborze przedmiotu badań, bywa on zwykle ostrożnym i trzeźwym w wyprowadzaniu wniosków i nie daje się uwieść pozorom.

Ta sama szerokość umysłu, którą zaznaczyliśmy przed chwilą, ta sama wielostronność, której dowody złożył Matuszewski w swych pracach o „Djable“ i o „Czarnoksięstwie i medjumizmie“, występuje i w jego studjach historyczno-literackich, zebranych w dwóch obszernych książkach: „Swoi i obcy“, oraz „Twórczość i twórcy“. Zawarte w nich prace („Subiektywizm w krytyce“, „Bolesław Prus“, „Henryk Sienkiewicz“, „Prus i Sienkiewicz (paralela)“, „Słowacki i Shelley“, „Mistyczne pisma Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu“, „Geneza i znaczenie Eloj w „Anhellim“ Słowackiego“, „Lord Byron i wpływ jego na literaturę polską“, „Ideal bohaterstwa w dramacie staroindyjskim“, „Cele sztuki“, „Psychologja krytyki“. „Mickiewicz w literaturze wszechświatowej“, „Wzniosłość u Słowackiego“, „Fantastyczność u Prusa“, „Sieroszewski“, „Reymont“, „Że-

romski“, „Weyssenhoff“, „Daniłowski“, „Berent“, „Witkiewicz“ i wiele innych) podzielić się dadzą na dwie grupy. Do pierwszej zaliczylibyśmy studia, w których przebiega coraz większa potrzeba zsyntetyzowania pisarzy i ich dzieł, zarówno polskich, jak obcych, zawsze w drodze porównawczej, na szerokim podłożu wiedzy filozoficznej i historyczno-literackiej. Grupa druga czyni zażość potrzebie syntetycznego ujęcia samej istoty sztuki i krytyki, zdania sobie sprawy, czym one są i za co uważane być winny.

Na czele pierwszego ze zbiorów swoich umieścił Matuszewski obszerną rozprawę o subiektywizmie w krytyce, ciekawą dla nas z tego względu, że znajdujemy tu w ogólnych zarysach wyniki rozmyślań autora nad istotą i znaczeniem sztuki, oraz poglądy jego na cel i zadanie krytyki. Nie wchodząc w szczegóły, z którymi bliżej zapoznać się warto, zaznaczyć pragniemy tu tylko, że autor, nie posuwając się w twierdzeniach swoich tak daleko, jak np. Anatole France, według którego jedynym probierzem do oceny dzieł sztuki jest otrzymywane od nich przyjemne lub przykre wrażenie,—przechyla się jednak stanowczo na stronę zwolenników poglądu, że krytyka nie jest nauką, lecz sztuką, a krytyk nie może być zimnym badaczem, ale uzdolnionym artystycznie pośrednikiem pomiędzy twórcą a ogółem.

„I krytyk, i artysta,—mówi autor,—muszą posiadać wybitną indywidualność duchową i muszą ją uwydatniać w swoich produktach. To fakt. Faktem jest także, że subiektywizm, stanowiąc *główny*, nie stanowi wyłącznego żywiołu sztuki, a tembardziej krytyki“. „Subiektywna metoda jest nam potrzebna do wydobywania na jaw pewnych właściwości dzieła, nie dających się wysledzić i zbadać w inny sposób —i na tem się kończy jej zadanie“.

Krytyk artystyczny powinien, według Matuszewskiego, odczuć, zrozumieć i ująć w ramy pewnej syntezy filozoficzno-psychologicznej indywidualny, wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju nastrój i koloryt ocenianego dzie-

ła. Poza tem można rozbiierać dzieło z czysto technicznego stanowiska, można badać jego stronę etyczną lub społeczną, zwalczać lub popierać jego tendencję, porównywać je z innymi pracami tego samego autora, z pracami współczesnych i poprzedników, którzy obrabiali te same lub podobne tematy, można, jak Taine i jego szkoła, doszukiwać się w dziele sztuki wpływu rasy, otoczenia, warunków przyrodniczych, historycznych i ekonomicznych, które oddziaływały na artystę. W tych i tym podobnych wypadkach krytyk nie może poprzestać na wrażeniu subiektywnem, wystarczającym częstokroć przy analizie czysto estetycznej, lecz stanąć musi na gruncie przedmiotowym, obiektywnym. Stąd krok tylko do słusznego wniosku, że „najbardziej wrażliwemu i zdolnemu krytykowi nie wolno być nieukiem“.

Za pewnego rodzaju wyznanie wiary Matuszewskiego, jako krytyka, wyznanie, w którym skrytykowały się zarazem poglądy jego na zadania i cele krytyki, można uważać inną jego rozprawę, a mianowicie „Psychologję krytyki“ (w wydanym w r. 1904 zbiorze „Twórczość i twórcy“). „Krytyk — czytamy tam — jest to człowiek, który się wsłuchuje w ową wewnętrzną muzykę, dźwięczącą w każdym rzetelnym dziele sztuki, który wydobywa na jaw ukrytą w nim poezję“. Prócz poczucia piękna, powinien on, zdaniem autora, posiadać *ciekawość intelektualną*, która go będzie popychała do zgłębiania, analizowania i porównywania z sobą najróżnorodniejszych stylów i typów twórczych. Tę ciekawość badawczą w stosunku do dzieł literackich podkreśla autor n. p. u Brunetiére'a, który, chociaż był sam gorącym wielbicielem jasnej, logiczno-architektonicznej literatury XVII wieku, zdołał, dzięki swej krytycznej kulturze, zrozumieć istotę i ocenić doniosłość ewolucyjną mglistego symbolizmu. Z krytyków naszych ciekawość tę i obiektywizm posiadał między innymi Chmielowski, który, choć wychowany i wykształcony w atmosferze pozytywistyczno-realistycznej, „nie zamykał oczu i nie zatykał uszu, lecz in-

teresował się naprawdę dziełami młodszej generacji i starał się je zrozumieć i wyjaśnić w sposób możliwie bezstronny“.

Obok tej ciekawości jednak domaga się słusznie Matuszewski od krytyka wrażliwości na piękno, rozumiejąc, że nietylko to, co krytyk zbadał i zrozumiał, ale i to, co odczuł, winno znaleźć miejsce w ocenie danego dzieła. „Krytyk—twierdzi on—musi nietylko tłumaczyć i wyklądać, ale w pewnych wypadkach pobudzać do zachwytu, wzruszać, musi przemawiać nietylko do rozumu, ale i do serca i wyobraźni“, a często nawet „przekładać na język dostępny dla ogółu zawile hieroglify piękna, rzucić światło na tajniki twórczości, dostrzegać i wskazywać, co w dziele sztuki jest potężnego, nieznikomego“ etc. Krytykę uważa on za pewnego rodzaju odrębny odłam twórczości, istniejący nie dla sztuki, nie dla artystów i poetów, lecz obok nich „Dzieła malarzy, rzeźbiarzy, poetów, muzyków—mówi on—nie powinny być dla krytyka czemś w rodzaju wypracowań szkolnych, które się czerwonym ołówkiem poprawia i za które daje się palki lub piątki z plussem. Nie, są to zjawiska, które wywołują w krytyku najpierw wzruszenie *sui generis*, następnie *potrzebę* analizy tego wzruszenia“. Słowem, zdaniem pisarza naszego, krytyka, jak wogóle nauki, sztuki i umiejętności, powstała nie z fenomenów zewnętrznych, lecz *z wewnętrznej potrzeby* ducha ludzkiego, który się owymi fenomenami interesuje, bada je, klasyfikuje, objaśnia i odtwarza. „*Non videre, non lugere, neque detestari, sed intelligere*“ powtarza Matuszewski za Spinozą, uważając, że słowa te powinny być dewizą każdego krytyka.

Rzecz oczywista, że i sam pozostaje wiernym tej dewizie, stara się zrozumieć i odczuć wszelkie objawy piękna i uczynić je zrozumiałymi dla możliwie szerokiego ogółu. Słowacki i Mickiewicz, Byron i Schelley, Prus i Sienkiewicz, Żeromski i Reymont, dramaty i bajki indyjskie i bohaterowie jasełek w równym stopniu interesują go prawie; jeżeli co budzi w nim większe zaintere-

sowanie. czy gorętszy zapal badawczy, to chyba te zjawiska, których ogół nie rozumie jeszcze i nie odczuwa, których treść istotną i piękno odsłaniać dopiero należy. Stąd zapewne wypływa to zamiłowanie badacza naszego do Słowackiego, a zwłaszcza do jego mniej znanych i popularnych, mniej zrozumiałych utworów, stąd jego zaciekawienie do tak zw. modernistów, usiłujących torować sztuce drogi nowe, albo do takich artystów, jak Botticelli lub Moreau, o których w „Twórczości i twórcach“ znajdujemy szkice obszerniejsze.

Nie trzeba zapominać, że Matuszewski w znakomitem swoim dziele o Słowackim i nowej sztuce pierwszy bodaj zapoczątkował u nas poważną analizę formy poetyckiej, dochodząc pod tym względem do wyników bardzo ciekawych, pierwszy zaczął traktować formę, jako samodzielny czynnik twórczy, niepodporządkowany, lecz równouprawniony z treścią. Ale forma nie przysłania dla niego nigdy treści dzieła. Pod jej „djamentową pianą“ umie on dostrzec i pokazać głęboki prąd uczuć i myśli, „biorący początek w sercu poety i toczący w swych kryształowych falach nektar, który miał zjadaczów chleba w aniołów przerobić“. Samoistność, oraz stosunek strony zewnętrznej utworów Słowackiego do treści ich wewnętrznej trafnie i głęboko zestawia Matuszewski z rolą, jaką w operze wagnerowskiej zajęła orkiestra, ilustrująca „nastrój“ dramatycznej akcji, odgrywanej na scenie przez śpiewaków, wypowiadając współcześnie, przy pomocy bogatych efektów symfonicznych, to, czego ograniczona potęga słowa ludzkiego wyrazić bezpośrednio nie może.

Studjum Matuszewskiego o Słowackim to niewątpliwie jedna z najgłębszych i najoryginalniejszych książek, jaką wydała kiedykolwiek nasza literatura krytyczna. Uderza w niej zresztą nietylko, że tak powiem, nowy punkt widzenia na Słowackiego i jego twórczość, ale przede wszystkim samo bogactwo treści, ta zwykła u autora „Swoich i obcych“ rozległość widnokładu, ogarnię-

tego przez krytyka i roztoczonego przed oczyma czytelników.

Czego bo tam nie znajdziemy! Zestawienie modernizmu z romantyzmem daje autorowi sposobność do mówienia o charakterze sztuki nowoczesnej wogóle, do zestawienia Słowackiego z Mickiewiczem i Krasińskim, do analizowania poglądów krytyków dawnych i nowych na twórczość Słowackiego i uwydatnienia jego stanowiska w romantyzmie, jego stosunku do rzeczywistości, jego indywidualizmu w poglądach społecznych i estetycznych, szerokości tych poglądów i ich zabarwienia mistycznego.

W rozdziałach dalszych wyjaśnia autor istotę i rolę „nastroju“ w poezji, w sztukach plastycznych i w muzyce, uważając nastrój liryczno-muzyczny za cechę zasadniczą sztuki nowoczesnej. Poglądy swoje ilustruje analizą twórczości Böcklina, Klingera, Burne-Jonesa, Wagnera i innych i przechodzi dopiero do nastrojowości u Słowackiego.

Księga trzecia, poświęcona analizie psychologiczno-estetycznej twórczości Słowackiego, uwydatnia syntetyczny charakter tej twórczości, mówi o symboliezno-nastrojowym charakterze jego kolorystyki, podkreśla oryginalność jego obrazowania, świetność barw i ich łączność z nastrojem uczuciowym, logikę i konsekwencję symboliki barw, daje wreszcie opartą na Ribocie analizę psychologiczną wyobraźni twórczej wogóle, a wyobraźni twórczej Słowackiego w szczególności, uważając tę ostatnią za mieszaną, łączącą w sobie muzyczną rozlewność z plastyką. Wyobraźnia rozlewna jest przytem — zdaniem Matuszewskiego — gruntem, z którego wyrasta u autora „Balladyny“ barwny, wonny, ale delikatny i powiewny kwiat plastyki. Zestawienie wyobraźni twórczej Mickiewicza i Słowackiego doprowadza autora do wniosku, że pierwszy daje nam przeważnie obrazy, drugi budzi w nas przeważnie nastroje. Zarys ewolucji twórczości Słowackiego od „Żmiji“ do „Króla-Ducha“ kończy tę książkę, będącą w swoim rodzaju arcydziełem analizy krytycznej.

W paru słowach przypomnimy już tylko niezmiernie bogatą i ciekawą zawartość sześciu ksiąg dalszych: zestawienie Słowackiego z Wagnerem, „Króla-Ducha“ z „Pierścieniem Nibelungów“; stosunek poety naszego do malarstwa, do Pawła Weroneza, Böcklina, Gustawa Moreau i prerafaelitów angielskich; stosunek formy do treści u Słowackiego i wzajemny ich związek organiczny; związek mistycyzmu z symbolizmem w sztuce nowoczesnej i w twórczości Słowackiego; „Król-Duch“, jako poemat symboliczny; ciekawe bardzo zestawienie Słowackiego z Nietzschem, charakterystyka wreszcie modernizmu współczesnego i rzut oka na jego ewolucję.

Ten suchy szemat dzieła, to wymienienie kilkunastu tytułów zaledwie, pozwala nam w każdym razie stwierdzić, że książka taka wyjść mogła z pod pióra badacza, dla którego nie tylko twórczość jednego genialnego poety, ale literatura i sztuka wogóle nie mają tajemnic. I takim był Matuszewski od początku niemal swej działalności literackiej, od chwili zwłaszcza, gdy w swoim „Djable w poezji“ rozwinął na szeroką skalę zamilowanie do rozległych obrazów, do chwywania myśli ludzkiej i poczucia estetycznego w ich wielowiekowej ewolucji, do odnajdywania nici pokrewieństwa i łączności między dziełami fantazji rodzimej i utworami obcymi.

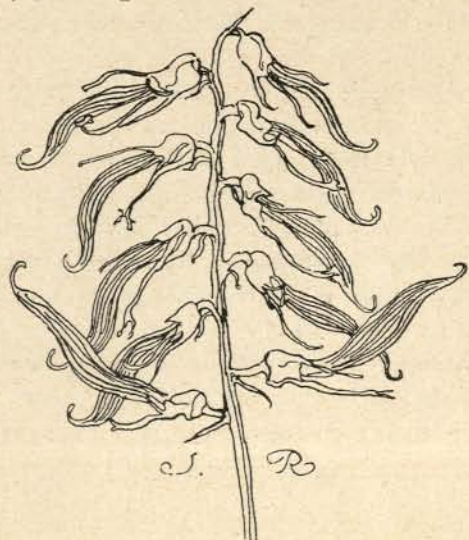
Czytając rozprawy i studia Matuszewskiego, doznajemy chwilami wrażenia, że razem z autorem wzniesliśmy się na górę wysoką, z której ukazuje on oczom naszym obrazy i widoki, roztaczające się przed nami daleko, daleko, aż na sam kraj niezwykle rozległego widnokręgu. Do celu tego dochodzi autor dwiema drogami: doborem tematów mało znanych, a ciekawych i zajmujących, i zaznaczoną przed chwilą dążnością do analizowania objawów naszej twórczości literackiej w związku z analogicznymi objawami w literaturach innych narodów kulturalnych.

Daleki od bezcelowych prób hierarchicznego podziału wytworów literackich na „dobre“ i „złe“, unikając, jak ognia, wszelkiego rodzaju rubryk i rubryczek, w jakie

wybitnych pisarzy zamknąć usiłują ci wszyscy, którzy w krytyce nawet obejść się nie mogą bez aptekarskich miarek i wazek, wartość istotną artysty i dzieł jego widzi autor we wszystkim, co nowe, oryginalne, niepodobne do istniejących już typów, motywów i wzorów, i przystępuje do rozbioru utworów sztuki z tem przeświadczeniem, że jak natura w człowieku, tak naród w poetach, artystach i myślicielach swoich dochodzi do uświadczenia tego, co się kryje w jego głębinach duchowych. „Analiza twórczości gieńjuszów, to analiza serca i inteligencji narodu, to dążenie do samopoznania“.

To też, jeżeli słusznym jest pogląd jednego z najważniejszych badaczy istoty sztuki, M. Guyau, nazywającego idealnym krytykiem człowieka, któremu dzieło sztuki najwięcej poddaje uczuć i myśli, i który dzieli się niemi z ogółem, to wśród współczesnych krytyków naszych autor „Twórczości i twórców“ jest niewątpliwie jednym z najbliższych owego ideału, umie on bowiem, jak tego wymaga wzmiankowany myśliciel francuski, i sam zachwycać się pięknem, odnajdując w niem niezwykle dużo treści, i pobudzać innych do zachwyty.

A słusznie zupełnie szczyci się przytem Matuszewski w zakończeniu pięknego studjum, napisanego w obronie Wyspiańskiego, które zamieścimy w styczniu, że, jako krytyk i pisarz, „żadnego nie kłął ruchu“...



WŁADYSŁAW ORKAN.

P O M Ó R.

II.

Dzień jeden był do drugiego podobny — jeno coraz to smutniejsze. Widziało się, że się niebo zawłóczy jednostajnymi chmurami, i okna stawały się mieszkańcom chałup z każdym dniem nowym posępniejsze.

Ludzie się coraz dłużej w dzień zadumywali. Spali długo, starali się jak najwięcej dnia urwać ku nocy. Wyzierali na niebo — odwiedzali się w milczeniu i — czekali, bojąc się słów beznadziei głośno wypowiedzieć.

Zdarzeń nijakich. Tak i w chałupie Jamrozów. Jednego dnia, prawda, zdarzyło się: wpadł do ich izby Jantaszek, prasał kapeluszem o ziemię, łapił się obiema dłońmi za głowę i już od progu zawołał:

— Cóż mie też, aj mie też nadało!..

I powtarzał w kółko to samo, jakby mu się coś w rozumie zmaćilo.

— Cóż wam to? — pytali się zdziwieni.

Jantaszek oddechnął ciężko.

— Ho, moiściewy! ani... anibyście nie uwierzyli.

— Siądźcież...

— Co ja se też, aj ja se też pocznę!

— Siądźcież i powiedzcie, co wam się to stało — rzekła Tekla.

Podjął posłusznie kapelusz, podszedł płaczącym się krokiem ku ławie i usiadł zwolna.

— Wiecie, kto mi z piwnicy ziemniaki wykradał? Tomek!

Salka drgnęła na to słowo i popatrzyła na Jantaszka przestraszonymi oczyma.

— Tak, mój Tomuś z Gabrysiem... Oba majstry... Wzięli się do tej budowy. Ja se myślę: dyć dobrze, robicie, skoro chcecie... A ci, widzicie, zmówili się i robili skrony tych ziemniaków. Robota ino na poziór, a o pieczenie szło... Tomuś nocą wynosił—i tak: jak jeden szedł do izby zagrzać się niby i zapalić fajkę, to drugi w zrębie piekł... a czasem ta ciupnął siekierą, coby się zda wało, że robi... Potem ten z izby wołał: „Wyga!“ a tamten mu odpowiadał: „wyga“ albo „nie wyga“.

— Dyć my słyszeli tę gwarę...

— Ba, i ja słyszał—a nie przyszło mi na uwagę, do czego się to odnosi... a to wiecie oznaczało: wyga-rnione, albo niewyga-rnione z watry... Coby szedł, albo nie szedł jeść... Tak moiściewy!...

Wodził po zebranych szklistemi, przekrwawionemi oczami, które nie patrzyły nijak...

— Mnie to gorzyło, co tych ziemniaków z dołu ubywa i ubywa, choć się nie je... Myszy przecie nie wielobłądy, telo nie potrafią przekieltować... Począłeh hle dać, i tak mi się odkryło. Widzę watrę we zrębie — ale myślę se: ręce grzeją przy robocie... Choć mi się to już nie podobało odrazu. I małom ta zazierał, bo ani mi się patrzeć nie chciało na tę ich mitręgę. A że raz moiściewy, zachodzę niespodzianką, bo mie ta cygańska gwara już zmierzała—a słyszę właśnie: „Wyga!“ Patrzę

bez szparę — mój Tomuś ziemniaki z watry wyga-rnuje... Ja do niego, a ten z pogrzebaczem do mnie. Wyrtnąłech się do izby, dopieroż zrobiłech tater... Ale cóż—Gabryś umknął—aci się nie boją... Wnetby człeka z chałupy wygnali... Swoje dobro kraść — powiedzcie! Co to za huncfoty... Bóg mie skarał tą Danajką. A i Gabryś... kumoter... Ale ja mu odpłacę to „wyga“! Aż mu się w oczach zaniewidni...

W tem podobieństwie ugadał, uskarżył się, uklął i trochę mu się lżej zrobiło...

Łukasz nie odzywał się. Tekla wtrąciła czasem jakie słowo: „Dejcie spokój“, abo: „Co bedzicie robić“...

— Takie mie skaranie spotkało. Kto widział, słyszał—własnego ojca kraść! No, ja mu ta nie własny, ale... powinien se uważyc! Ale to już ród taki. Niech Bóg zachowa! Z matki pobłogę ma... I, Panie święty, gazdują se. Jakbyś co pedział, to by cie ubili... we własnej chałupie! A jakże! Co mie też, aj mie też skusiło! Było telo bab inszych... Pambóg widać tak skarał człowieka za grzychy dawne. O Jezusie kochany! wglądnij-że też na ten świat i zrób jaki koniec czemu kany... Bo człek zły gorszy od największej biedy.

Gadał sobie i jęczał i kwilił. już mało uważając, czy go kto słucha, abo nie.

Skoro się Jantaszek zabrał, Łukasz zwrócił się do Salki ostremi słowy:

— Widzisz... słyszałaś... jaki to majster z Tomusia...

Salce boleścią ściągnęła się twarz; spuściwszy głowę, rzekła cicho:

— Cóż on winien... jak głodny...

— Lituj się nad nim! Wyjdiesz ty na tej litości.

Salka wybuchnęła płaczem.

— No, patrzcie się... Ej, żeby ja tak był dawniej przeczuł—dałby ja ci był tych schadzek! Zresztą djabli mie to...

Porwał się z ławy i wyszedł.

Przechodziły dni monotonne i coraz to więcej uprzykrzone.

Nareszcie wiosna niejako poczęła się rozrabiać. Po garbach i po ogrzbieciach zagonów ginał śnieg, poostawiając w bruzdach wodę albo przymarzłe szkliwo; nie spędzało go przygrzaniem słońce, które ni razu jasno nie wyjrzało, lecz jakoby sam od siebie rozrzedzał się i tajał. Coraz to więcej szarych płatów odsłaniało się, kopliny rozszerzały się i, osychając, żółkniały zgniłą ściernią, jeno po wgłębieniach, popod wysokie miedze i po potokach urwistych widniały zrudziałe zaspasy.

Ale odsłaniająca się ziemia nie przyjaznego nie miała w wyrazie; była jakoby trucizną nasiąkła — ceglasta, żółta i rdzawa. Wrogą też okazała się wszelkiemu stworzeniu, które się na czas zimy w jej ciepło schroniło — często można było napotkać na poostałych płatkach śniegu rozmokłe trupki myszy, same ich futerka, to lasice, łapkami do góry leżące — jakby je strute lub z głodu poschnięte na wierzchnie z jamek wyrzuciła.

Nic też dobrego ludzie nie mogli sobie z tego wróżyć.

Skoro jeno śnieg zszedł z garbów i kopliny się odkryły, wywarły się dzieciiska z chałup i gromadkami czerniły się po polach, szukając pożywienia. Najwięcej snuło się ich popod wysokie miedze, które patykami podgrzebały, znajdując korzenie słodkie.

Od osiedla Jamrozów, jeszcze po śniegu, który się bielil koło płotów i krzaseł wpół rozsypanych, znać było chodnik ku jaworowi, samotnie w kępie stojącemu; co rana i na odwieczarz wypadały dzieci łukaszowe i pod przewodem Józka biegły boskiem przez śnieg do jawora. Józek „żydkiem“ do skrobania ziemniaków podważał i łupił skórę na pniu, a one, przestępując z nogi na nogę, ssaly słodkość, jaka się z za skóry z miazgi dobywała. Często tę skupioną koło jawora gromadkę widać było, to znów niby biegnące po śniegu kuropatwy.

A gdy oranie się poczęło, to jak wrony chodziły dzieci za pługiem; zezadka najdowały ziemniaki przemarzłe do pieczenia, częściej korzenie słodkawe, co się dały jeść od razu nawet bez łupienia.

Aleć i orania niewiele było tym razem. Mało kto miał czem orać i co siać albo sadzić. Tu ówdzie tam coś w ziemię wrzucono, poruszano — i poorane płatki były jak grządki na pustkowiu. Większa część połowiczysk tłoczyła się na ten rok, a w owiskach i ugorach dalszych już od dwóch lat nikt ziemi nie ruszał...

Ludzie tej wiosny nie mieli co robić... Jednak nie nawidzali się, jak to przy czasie bywa — nie chcąc widokiem drugich nędzy potęgować swojej. Każdy nosił zgryz w sobie, i w czasie powszechnego głodzenia się tej karmy ludzie byli pełni: ciężyla każdemu, jakby się skali najadł. Przeto chodzili ociężali, a lekcy w sobie — słabość ich leniwiła.

Obojętnieli też ludzie dla siebie z każdym dniem bardziej. Na miejsce uczuć przyjaznych, poczał się wkraść głód. I rozprzęgały się węzły przywiązań, miłości — ciężyc sobie poczęli najbliżsi... Ponurość na serca zaszła, podobnie, jak na błękity czyste zajdzie chmura ciemna i niebo doznaku skryje od krańca do krańca. Współbytowanie przeto stało się raną bolącą i coraz to bardziej ostrymi zębami głodu rozkrawaną...

Nie ominął też zgrzyt cichej chałupy Jamrozów.

Jednego rana, po śniadaniu, które zaledwie dzieci zawróżyło, iż przestały na chwilę labiedzić, Łukasz, siedzący dotąd w ponurem schyleniu, podniósł się z ławy z ciężkim stękiem, ściągnął łoktusę z łóżka i podał Józkowi:

— Na, zaodziej się. Pódziemy...

Tekla popatrzyła nań pytającym wzrokiem. Uchylił oczu i sam się poczał zaodziewać.

— Każ on to ma iść z tobą? — spytała wreszcie lękliwie —

— Na służbę — odrzekł szorstko.

Józek wybuchnął głośnym szlochem.

— Ja nie pódę na służbę! — bełkotał.

— Citi!... — zgromił go ojciec — Zbier się wartko!

— Ja nie chcę! Tato! Ja nie chcę!

— Widzisz go? — pogroził mu rzemieniem.

— Cóż ty z dzieckiem wyprawiasz? — wtrąciła

Tekla.

Józek, widząc podporkę u matki, zbliżył się, potaczując, ku niej.

— Mamo! nie dajcie mie! — prosił i aż zachodził się od płaczu.

— No, cicho, Józus, cicho — głaskała go. Salka też nabliżyła się i zasłoniła go zapaską, w myśli, by go skryć przed ojcem.

— No widzicie wy, moi kochani... — począł zwolna Łukasz, a gniew go prędko zalewał — to ja tu będę ceregiele z wami... Zbierasz się wartko, czy nie?! — wrzasnął już ponad nim i zamierzył się rzemieniem.

Józek zaskuczał cienko i zadygotał całym ciałem. Matka stanęła między nim a ojcem.

— Czy cie rozum odszedł?

— Ustap!... — krzyknął Łukasz.

Nie ruszyła się. W oczach jej, hamujących Łukasza, zapalił się bunt.

— Ustap! padam ci, bo...

Zamierzył się powtórnie.

— Równe mam prawo do dziecka! — rzekła z mocą.

— Taak??

Uderzony tym niespodzianym argumentem, nie wiedział, co ma czynić. Tem większa złość go zapaliła.

— A kto się o to stara, by miał co jeść? kto go odziewa? Co? Ciebie o to głowa nie zaboli. Na jednym człeku cała góra — i powiada ci: równe prawo. A ty cożeś mi do domu wniesła?

— Bracie! — skoczyła Salka z wyrzutem.

Lecz Łukasz na nic nie baczył, oślepy gniewem.

Jak poprzez mgłę widział spłomienione dumą oczy Tekli.

— Ruszaj mi zaraz do ojców! — piał w złości — Niech ci dadzą to wiano, co obiecowali... Ja się tu mam sam zajadać!... Jak równe prawo, to równe.

Dzieci, złęknione krzykiem ojca, podniosły płacz. Poczęła je Tekla głaskać i uciszać, i samej lzy przeciw woli rzuciły się z oczu; jak tarki siwe, spadały na głowy dzieci. Józek przypadł ku matce.

— Nie płaczcie, mamo — prosił, obejmując kolana jej drobnymi rączkami — Ja już pódę z ochotą...

I począł się łoktusą zaodziewać, zaplątując się w jej przydługich trokach.

— Dajże, to cie opasterzę — wspomogła go Salka.

— Zrób mi węzeł na karku — radził rezolutnie.

Łukasz stał na środku izby i pozierał z poza gniewu swego na jedno, to na drugie... Coś koło serca poczęło go cliwić, i poczęło mu być wstydno słów, wyrzuconych w złości. Nijak mu przecie było cofać.

— Dyc ja go na stracenie nie prowadzę — wyrzekł łagodniej — ba na służbę, do ludzi... Nawet mu tam będzie lepiej, niż w domu. We młynie mają co jeść. Choćby ta mąka owsiana... to głodu nie będzie miał... i może się jako przewiesnuje... a zapoganiać przecie już da radę... No, gotowys? — zwrócił się do Józka ostro, zły na się za wzruszenie, jakie okazał, widziało mu się teraz, niepotrzebnie.

— Już! — skoczył Józek. Oblapił matkę za nogi. — Nie krzyczcie nic, mamo, ja tu przylecę wnet... — I potoczył się za ojcem, opatulony do ziemi w łoktusę.

Po wyjściu ich długą chwilę milczenie zaległo izbę. Dzieci już uciszyły się i, wtulone w kąć pod oknem, patrzyły dziwnie poważnie i nieruchomo w jedno miejsce, tam, gdzie ojciec stał. Salka zakolysowała dziecko, które się przebudziło, a Tekla stała przy ławie i z myślą jakąś zmagala się; na licach lzy jej przyschły, oczy suche patrzyły przed się, nic nie widząc; wreszcie posta-

nowienie stanęło w jej obliczu. Podeszła ku źerdce i pociągnęła ściągać lachy święteczne i wdziawać na się.

Salka z niepokojem szła za jej ruchami.

— Każ się to zabieracie? — spytała.

— Do ojców...

— E, miejcież zastanowienie. Przecie to ino w gniewie tak się mu powiedziało. On sam teraz musi tego żałować.

— Mojaśty... jakby ci tak ktoś... komu serce z pierśsi byś wyjęła, wszystko zdrowie oddała i... całe życie... Jakby ci tak, choćby i w gniewie, rzekł: nie-eś tu nie wniesła...

Na nowo żalność ją okrutna przejęła i łzy z oczu poczęły się staczać.

— Myślałach już zabrać dzieci te drobne, i iść ka we świat... ale... ludzie nie przyznaliby mi prawdy...

— Nie płaczcież, moi drodzy, bo aże coś się robi... I nie chowajcie żalu. Uważcie. On od wczora od rana nie nimiał w gębie... A tu zgrzyt — tu dzieciśka... i ni-jakiej porady...

— Ja wiem dobrze... bo dyć i ja sama...

— No to widzicie.

— Ale bych mu słowa gorzkiego nie dała...

— No, on chłop... zwyczajnie...

— Tem słowem tak mie odbił, jak ptaka kamieniem z gniazda...

Stała już zebrana, jeno chustkę miała zaodziać.

— To myślicie koniecznie iść? no to jakże...

— Ja tu wrócę na odwieczerz. Przecie jakżebych tak... odeszła. Powiem im, jak mi wyczytuje. Niech się postarają, niech dadzą co. Jakbych drugi raz to miała usłyszeć...

— No, nie płaczcież już... siostró...

Przybliżyła się ku niej i głaskała ją po głowie.

Tekla ustala płakać, zaodziała chustkę.

— Uważaj też tu na dzieci... Słuchajcie ciotki! — przykazała. — A jak on wróci...

Coż mu powiedzieć?

— N-nic... — rzekła po zastanowieniu. I wyszła.

Salka czuwała w izbie sama. Dzieci, skulone na ławie, pokładły na sobie główki i posnęły. I to w kolyśce spało. Słonko prosto z południa świeciło. Światło z okna spadało na ławę, z ławy na ziem.

Czuwającej przesuwaly się przez głowę myśli, pełne utrapienia i—trwogi. Smutne dni lat ostatnich, podobne sobie, olzawione, jak oplakane postokroć paciorki różańca... Codziennie ten różaniec przesuwal się w jej myślach — i ta trwoga, której bała się pomyśleć w słowach: kiedy przyjdzie ostateczne amen? Czuła sercem, miewięjącem z trwogi, że gdzieś w Wyrokach—jest już powiedziane... Jeden Bóg mógłby odmienić. Ku Niemu przeto nawracały się myśli oblakane i w Jego łasce szukały schronienia, jako te owce, przez wilka zestrachane, ku pasterzowi z ufnością przypadłe.

— Bóg nie opuści — szeptała z otuchą. Widziała potwierdzenie wiary tej i w swoim życiu. Ostała sama na świecie, sierotą, a Bóg natchnął ludzi dobrych, że ją wzięli i wychowali, jak swoją.

Pamięcią poszła do lat swych dziecięcych. Majaczą w oddaleniu, za sześcogą czasu—ledwo je znać. Wszystko w nich mgławce, wiotkie, przyszarzałe, jak różowe muśliny, wyblakłe na słońcu.

Jedno baczy wyraźnie... Raz pobiegła z Łukaszem na trześnie. Łukasz wspinał się na drzewo, rwał i ciskał jej na ziemie, a ona zbierała do podolka. Mali byli oboje. Najwięcej trześni—i najdojrzałe, prawie czarne—było na konarze, odstającym daleko od pnia, wysoko nad ziemie. Po tym konarze Łukasz się poczołgał, nie dbając nic na jej wołanie i prośby. Nagle konar się odłamał, i Łukasz zleciał na ziemie. Oczy zakryła w przerażeniu, a gdy je znowu odsłoniła — widziała, jak leżał na ziemie, zesiniały, prawie martwy z przestachu i bólu.

W zadumaniu podeszła do okna i wzrokiem poszukiwała znajomej trześni. Na pół suchymi konarami wychylała się z zaokołu, z rogu osiedla.

Jeszcze raz w jej obliczu pomyślała sobie całą tę historję z lat dziecięcych.

Chciała rozpoznać konar, który się pod Łukaszem złamał—opatrywała ją z uwagą od góry do dołu—i zdziwieniem stwierdziła jej przykrą zmarniałość. Ani jednej trzesienki na żywych kończynach. Liście poskurczone, chore, żółkłe zawczasu.

— Kwiat zaraziło...

Zesmutniała, wróciła na dawne miejsce, ku nalepie. Długo jeszcze został jej w oczach smutny obraz:—rdzawa ziemia osiedla, zczerniały róg okołu, żółkła trześnia i szare w oddaleniu ściany sąsiedowych chałup.

— Co oni też tam robią?—myślała o ludziach z poza tych ścian.— Nikto się nie pokazuje... Pewnie i tam trwoga przed ostatecznym głodem drzwi zaparła... a jak to było przed paru rokami o tym czasie... Gwaru pełno w osiedlu—ludzie do pola i z pola... ruch przez dzień cały. I słonko wtedy weselej świeciło—Nawet zieleń traw była weselsza.. Ku czemu też to idzie?—dygotało niepokojem serce.

— Boże, zlituj się, przemień...

O los swój przyszły najmniej się trwożyła. Czuli się najmniej na świecie potrzebną. Cóż ona jedna-sama może ważyć? Nic nie ubędzie, choćby ją śmierć wzięła. W strapieniu swoim miała na myśli brata i bratową, i te ich dzieci—

Popatrzyła z litością na śpiące—

I jeszcze kogoś...

Cień wysoki przemknął poza szyby. Salkę objęło wzruszenie. Z trwożnym ucieszeniem słuchała stapań znajomych i z obawą radosną patrzyła we drzwi. Te uchylły się za moment—do izby zajrzał Tomek. Poczem wszedł za próg.

— Samaś?

— Sama — z dziećmi.

— Każ poszli?

— Bratowa do ojców— a on powiódł Józka małego na służbę...

Pojrzał na zimną nalepę.

-- Nie paliłaś na obiad?

— Nie. Dzieci śniadały... Głodnys?

— Ba? Psiakr... z temi ojcami...

— Ci i... bo je zbudzisz... Nie klnij.

Podeszła do łóżka, wyjęła z pod zagłówek kawałek placka i podała mu.

— Na-ści, ukaś.

— To wy tu widzę święta macie?

Nic nie rzekła—patrzyła ku ziemi, gdy on siadł na ławie i krzepił się. A takie łaknienie ją wobec jedzącego napadło, iż ledwo ustać mogła z osłabienia. Wszystką wołą sobie nakazywała, by nie wybuchnąć łzami.

Tomek, skoro podjadł, poweselał i śmieiej patrzył po izbie.

— Rychło przyjdą? — dopytywał.

— Nie wiem.

— Klucze od sąsiedków ostawili?

— Nie zamyka się — nima co..

— Jak placki pieczenie...

Nic znowu nie odrzekła — Cóż mu powie — że to sobie od ust odjęła? Płacz ją jeszcze w piersiach dławił.

— Muszą mieć ziarno jakie — twierdził —

— Dasz mi z miarkę. Abo choć garniec. Mojaśty..

Cóż głową kręcisz? Przecie nie poznają—a choćby i poznali — to cóż? Przecie ty tu, jak swoja — wolno ci.

Salce ból serce ścisnęła.

— Idź, weź-se, jak jest.

Tomek wstał z ławy i zabierał się wyjść.

— Tomek, miej rozum! — zastąpiła mu energicznie.— Jak sie uśmiata jeszcze jaka szczypta — to przecie, widzisz, dzieci...

— Cóż ci o nie...

— Mnie o nie więcej, jak o siebie. Siądź, bo nie dam.

— Ho! ho! — roześmiał się z przymusem — przecie ja ino ze śpasu...

— Czas nie do śpasów — szepnęła.

Zbliżył się ku niej i otoczył ją ramieniem.

— Cóżżeś taka?

Patrzyła ku ziemi, nie chcąc powiek podnieść — czuła pod niemi łzy. A gdy ją mocniej jął cisnąć ku sobie, poczęła się wrywać z wysiłkiem.

— Nie opieraj się. Przecież moja...

— Czyś zgłupiał? — zatrzęsła się — Przy tych niewiniątkach...

— Śpią przecie... Saluś...

— Nie chcę! to grzech!

Szarpnęła się rozpacznie i uwolniła się z jego ramion.

— Jaka... święta — zaszydził.

— Już mnie więcej nie napastuj! — rzekła obłądnie i poczęła płakać. — Ja nie wiem, Boże!... za co ja... za co ja cie...

— Znowu te... pacierze — zaklął. — Wiedz se, żeś już ślub wzięna. Pamiętaj!

Wyszedł i łupnął drzwiami za sobą.

Salka, jak stała, osunęła się na kolana koło skrzyni i oczy ku obrazom wzniosła.

— Panie Jezusie! Matko... — szeptała w płaczu. — Darujcie to przewinienie... Nie karzcie hańbą..

I myślą dalej się modliła.

Chwile mijaly — a Salka nie podnosiła się ze ziemi. Głowę na skrzyni wsparła i trwała tak w znieruchomieniu, jakby ją sen nawiedził.

Tak ją zastała Tekla, gdy weszła do izby.

Dzieci już pobudziły się i skoczyły do matki radośnie. I to w kołysce poczęło kwilić i łapki wyciągać. Naprzód też ku niemu poszła Tekla, ledwo chustkę

zrzuciła ze siebie. Na pytające oczy Salki krótko opowiedziała:

— U ludzi źle. Ostatki już ze sąsiedków powyśmiałowali i nie wiedzą, czego się jąć. Traw się imają... Głód zaziera nawet do chałup bogaczy. Wszędzie strach i zwątpiałość. Co gorsza — choroby jakieś nieznane ludzi nawiedzają. W końcu dodała, że od ojców nic nie przyniesła. Przyniesła tylko skałe piaskowe, jakie po drodze znalazła — do zaparzenia łańców. Są w sieni, w kącie, pod progiem.

Przygniatające milczenie zapanowało odtąd w chałupie Jamrozów. Każde unikało mowy — a gdy kto słowo jakie z konieczności rzucił, to wpadało, jak kamień w głębinę. Dzieci nawet, czując ten nastrój ciężący, mało się zabawiały głośnie — szeptały jeno po kątach do siebie — a gdy je głód nasilił, ćwierkały, jak ptaszki w gnieździe, albo odzywały się zciszoną płaczem.

Przednowek szedł — zawdy chłopskiemu narodowi wrogą, a tego lata stokroć jeszcze sroższą. Dawniej, choć ziarna brakło po zasiewach, to kupić można było na jarmarku: Lachy dowozili. A w tym czasie okrutnym znikąd nikt nie dowoził — widziało się, że cały świat ta klęska przysiadła. Pieniądze ludzie mieli — ale cóż z nich było komu, kiedy chleba za nie nie kupił.

Rozgruchła wieść dnia jednego, że jakiś litościwy hrabia przysłał do wsi otręby dla dziadów. To się zlecieli wszyscy — i gazdowie — i rozebrali zasilek w gozdinę. Po kwarcie, po kapelusie, po przygarstniu... Niejednemu i to się nie dostało.

Przednowek trwał. Na polach dopiero że się zieleńiło. Ludzie, mimo to, codzien łazili po zagonach, zacierali do rządów w ziemniaki — w nadziei już bezrozumnej, że co się da ugrzyść. A ziemniaki nowe prawie się zawiązywały — były tak duże, jak okrągły groch. Żadnej potuchy ludziom zruszana z wiosną ziemia nie dawała. Wypadło bydłu się przyjrzeć — czem żyje.

W jedno rano poszła Tekla na ugór, nazbierała młacz, zaparzyła i podała na misce z warzonym mlekiem. Zjedli w milczeniu — nikto słowa nie rzekł, że gorzkie albo jakie.

Ludzie poczęli coraz więcej rozglądać się w trawach — i znaleźli, że wiele dało się jeść.

Dzieci deptały po trawnikach za zajęczą kapustą, za szczawiem, po ugorach wydłubywały osty białe, których rdzeń uważany był za smaki duże — słodkie im też były zajęcze karpiele o listkach drobnych, okrągłych, rosnące w przyłaskach wilgnych i w potoczkach — jak i główki koniczyzny o miodnych kwiatkach. Wszystko to ścinała dziatwa, jak szarańcza.

Starsi mniej byli przebiorni. Wyzbierywali po miedzach lebiodeę, chrząstkę, młacz dwojaki... Wszystko to razem, zgotowane, zwano powszechnie *giermakiem*.

Z tych traw, a zwłaszcza z młaczem ludzie puchnęli na twarzach, i w oczach okazywał się wyraz niezdrowy.

Wreszcie poczęła nawiedzać ludzi nieznana dotąd choroba, którą przezwano *łoźnica*. O tej łoźnicy rozmawiali ludzie; skąd się wzięła. To, że od Lachów przyszła, z dołu — to, że ją dziad jakiś, który nocował w izbie, gdzie ją mieli, przyniósł ze sobą w torbie — to znowu, że się załęgła w kępce kamieni pod ławą w jakiejś chałupie na zawsiu, gdzie pierwsi ludzie na nią chorowali. Istne zmieszanie.

Nawiedzony tą chorobą, leżał w gorączce strasznej, w majaczeniach, przywidy się mu zdajały, ból miał w głowie i w oczach — i po długim wytrzymaniu albo przychodził do siebie, albo zмирał.

I to miała do siebie jeszcze, że przelazła z ludzi na ludzi — jak ospa. Trafiło się tak w niektórej chałupie, że co jedno się podźwignęło, to drugie legło. W paru miejscach leżała cała izba — tak, że nie było komu bydłu dać jeść. Krowy ryczały z głodu. Sąsiedzi z dobrości swojej dochodzili i podawali jeść bydłu, a ludziom pić, bo pragnienie w tej chorobie było nie do wytrzy-

mania. Choć poniegdzie to i bali się dochodzić ku ścianom, za któremi łoźnica miała panowanie. I trafiło się: w jednym miejscu wymarła cała chałupa — z głodu więcej, niż z choroby, bo nikto się nie miał zająć ludźmi w czasie, gdy ich wszystkich wraz łoźnica przysiadła.

Nie wszystkie przecie osiedla ta choroba ciężka nawiedzała. Szła poomacku, na ślepo — mijala wiele chałup, przyczajonych w trwodze. A że głód począł zasilać się trawami, których rozpoznanie rosło, i mniej doskwierał — ludzie potuchy nieśmiało nabierali w serca i jęli krzepnąć szczątkami nadziei, że przecie jako do czasu lepszego dotrwają; jęli też ufniej ku niebu spoglądać i coraz częściej modłami do Boga nawracać. Nadzieja z wiarą wstawała...

Którzy zaś w gorzałce mieli dbę od dawna, poczęli teraz, skoro pierwszy strach minął, do karczmem naczęszczać i napijać się gęsto. Skłonień ku temu było wiele. Naprzód: czas przy szynkwasiu mniej się dłużył — zawdy się ktoś z krześcijan, a choćby i żyd znalazł do pogwary, po drugie: głód łacwo dał się gorzałką oszukać i nie tak już uparcie musiał do pamiętania o sobie — wreszcie, co najważniejsze: ciężąca myśl o przyszłości stawała się po tem mizernem półkwarcu gorzałki dużo głowie lżejsza.

Poniektórego to i kłopot — zgrzyt z chałupy wypędzał do karczmy. Jak i Jantaszka... Ten już, lem świt, zabierał się z domu, a wracał późno z wieczora albo i z północy. Słychowano go, bo na całe poblizsze osiedla głosił, i znano już te jego dróżki i stacje. Mały był, to, gdy się napił, głosem rósł w olbrzyma. Zwyk zaś miał na cały głos modlić się przez drogę, a przy chałupie już pocichu ofiarować te pacierze. Ofiarował za siebie, za krewnych, za sąsiadów, za księdza, za całą wieś, ale nigdy się nie omylił, żeby za żonę jaki pacierz ofiarować. Wspominał ją tylko raz w drodze — koło smentarza — i potem drugi raz na Działku, przy kapliczce,

gdzie zdejmował kapelusz, prał nim z mocą o ziemię i wołał:

Panie! odpuść mi grzechy! Odpuść mnie i wszystkim ludziom! Ino Danajce nie odpuszczaj!... i Gabrysio-wi — dodawał już mniej zawzięcie. Miał złość na niego o te okrawki ziemniacze, które mu przed wiesną z Tomkiem wykradał z piwnicy i pieczone w zrzebie wygarnował.

— — — — —
Właśnie nadszedł był czas Oktaw—pospólnych modleń i pieśni.

Procesja szła działkiem odludnym, drogą, rzadko jeżdżoną, pełną odarnień i zaryw. Prowadził ją ksiądz siwy, staruszek, do odległej na zawsiu kaplicy, gdzie raz do roku w Oktawy procesją z kościoła chodzono.

Naród śpiewał litanję do Serca Jezusowego. Pieśń monotonna utykała wraz z ludźmi na nierównych zadarnieniach drogi i rwała się, rozwlekała, jak cały ten procesyjny pochód. Co mocniejsi i młodszy szli w przodzie z chorągwią, za księdzem i kościelnym szła ciżba nabożnych, głównie niewiast, a dalej w tyle gromadkami, po parze i pojedynką wlekli się starzy, schorzali, zgłodzeni i zesłabieni.

Na samym ostatku, dużo w tyle, mozoliło się dwóch ludzi: Gabrys i Jantaszek.

Obaj srodze pijani. Szli, a raczej wlekli się na kolanach częściej, niż na nogach — popychając się, szarpiąc i mietając sobą. Padali przytem w zarywy, we fosę, to znowu się dzwigali na kolana i szli na klęczkach i bili się. Zawziętość nie ustajała.

— Wyga? — pytał znienačka Jantaszek i kułakiem Gabrysia pod żebro...

— Nie wyga! — odpowiadał Gabrys i odplącał kmiotrowi zarówno. To znowu:

— Wyga?... — i pięścią Gabrysia w kark.

— Wyga! — odpowiedź podobna i odpląt.

Czasem zaleciał ich śpiew procesji — wyraźniejsze

słowa—to się łączyli z modleniem żałośliwymi głosami — i znów wracali do swojego. I tak zdążali na klęczkach za procesją, pobijając się przez całą drogę, aż wreszcie i doszli, gdy procesja stała już dawno u kaplicy.

Właśnie skończono pacierze. Ksiądz-staruszek powstał, obrócił się do ludzi i począł kazać: o gniewie Pańskim, o karze, która za grzechy spadła na lud, o różnych rodzajach grzechu, o nieposłuszeństwie synów, o złem chowaniu dzieci, o rozpuszcie, o nienawiściach sąsiedzkich, o niezgodzie...

— Tu na tem miejscu — kazał — pogódźcie się, darujcie sobie urazy...

Lud buchnął płaczem skruchy. Gabrys z Jantaszkim oblapiali się za szyje, potaczając się na boki:

— Kumotrze, daruj mi!

— Ty mi, kumotrze, daruj!

A skoro ksiądz na zakończenie wspomniał o nieprzebranem miłosierdziu Pańskim, lud odetchnął głęboko i sączył tylko ciche łzy ufności.

Procesja szła z powrotem tą samą drogą. Śpiewano pieśń do Matki Boskiej. Pieśń utykała się, rwała i traciła się po drodze, jak kwiaty przydrożne. Naród się rozwlekał, co słabsi przyostawali. Na samym znowu ostatku zdążali Gabrys z Jantaszkim. Wlekli się prawie na kolanach, padając w zarywy, podźwigując się wzajem i obejmując co chwila za szyje.

— Kumotrze!

— Bracie!

I tak już na klęczkach całą tę procesję obeszli.

— — — — —
Gabrysiów Cupryn pasł krowę na powrozie w sadzie. Procesji, przez dział idącej, nie słyszał, bo kaleką był—wiadomo—tak w słuchu, jako i we wzroku. Jedną miał myśl i jedno pragnienie straszne: — odymałki... (Ronsną na śliwach — na zielonych owocach zaraza — jak spo-

rysz na życie). Wiedział, że są o tym czasie — przypominał ich smaki rozkoszne.

Pociągnął krowę ku płotowi, zadziernął powróż za kulik i poszedł pomału, macając przed się rękami, w głąb sadu... Namacał pień śliwy — zatrząsał nim i, prędko rozchylając na piersiach koszulę, słuchał... gdzie odymałka spadnie? Schylał się po nią — i zawsze trafiał na pewno. Tak czynił po wiele razy. Aż się zasycił.

(Ciąg dalszy nastąpi).



IGNACY RADLINSKI.

EWANGIELJE SYNOPTYCZNE I LOGJA JEZUSA.

Pochodzenie jednych i drugich według najstarszego historyka Chrystjanizmu.

Do poznania dziejów Jezusa, a raczej, do odtworzenia powstających pojęć o nim w przeciągu pierwszych dwóch stuleci ery naszej, posiadamy dwojaki źródła: Listy Pawła i Ewangelje.

Listy Pawła wszelako nie o życiu Jezusa nie wspominają, tylko — o najważniejszym według autora czynie jego — zmartwychwstaniu, i z tego czynu wyciągają odpowiednie co do przyszłych stosunków społecznych i losów człowieka.

Dla poznania przeto właściwych dziejów Jezusa — pozostają Ewangelje. Oparte na podaniach, przechowując szczątki tych podań, Ewangelje tworzą jedną całość, poczawszy od przełomowego wydarzenia w życiu dziaństwa Jezusa ze strony matki, to jest, jej przyjścia na świat, a kończąc na jego czynach pośmiertnych, jako to, zstąpieniu do piekieł i wzniesieniu się na niebios.

Ewangelje stanowią trzy różne grupy: pierwsza, zawierająca trzy, noszących nazwę *synoptycznych*; druga — *jedną*, zwaną Ewangelją *według Jana*; trzecia — jest ich *kilkanaście* nazwanych *apokryficznymi*.

Na czele wszystkich Ewangelji zarówno pod względem treści jak i dawności stoją *synoptyczne*.

Każda z nich nosi osobną nazwę. Mamy więc: Ewangelię według Mateusza, według Marka i według Łukasza. Przytem synoptyczne są w wyraźnym związku z Logjami Jezusa.

I.

W całości, utworzonej przez wszystkie Ewangielje—synoptyczne tworzą również osobną całość. Dla tego też tylko razem mogą—i powinny być rozważane.

Dziwny i zagmatwany zachodzi między temi Ewangieljami stosunek. I ów stosunek jeszcze dotychczas, pomimo setek ksiąg poświęconych mu, nie jest dość stanowczo rozwikłany i wyjaśniony.

Stosunek wykazany polega na tem, że trzy te Ewangielje są w swej treści ogólnej uderzająco do siebie podobne, prawie identyczne, ale zarazem, w szczegółowym przedstawieniu tej treści, różne. Przytem zaś ani identyczność, czy też tylko podobieństwo, ani różnice między nimi nie przekraczają pewnych granic. Jedne i drugie dają się wykazać naocznie, ująć w cyfry, wyrazić w proporcjach.

I tak, podobieństwo między temi Ewangieljami stanowi: tożsamość jednej trzeciej treści każdej z nich z dwiema innemi i tożsamość w układzie ogólnym treści już to we wszystkich trzech, już to tylko w dwóch; tożsamość w zwrotach mowy, w wyrażeniach i terminach używanych.

Różnice zaś uwydatniają się następujące: każda z tych Ewangielji posiada sobie tylko właściwe ustępy. Najdłuższa, według Łukasza, liczy takich ustępów 38; te ustępy wynoszą wersetów 541 na całość złożoną z 1151. Najkrótsza, według Marka, takich ustępów zawiera 5, wynoszących wersetów 68, na całość—678. Według Mateusza—ustępów 17, w 330 wersetach, na całość 981 wersetów. W taki sposób Ewangielja według Mateusza posiada $\frac{1}{3}$ treści sobie tylko właściwej; według Marka— $\frac{1}{10}$, według Łukasza—prawie w połowie.

Po odtrąceniu $\frac{1}{3}$ treści wspólnej wszystkim trzem Ewangieljom, a również w każdej z nich ustępów jej tylko właściwych, pozostała w każdej z nich treść jest wspólna bardziej z treścią jednej tylko z pozostałych dwóch, niż z treścią obu pozostałych. Tak więc: Mate-

usz ma wspólnych z Markiem do półtora, z Łukaszem—do dwustu wersetów; Marek z Łukaszem—do pięćdziesięciu.

Porządek w układzie treści wspólnej wszystkim trzem jest różny w każdej; jeśli się zgadza—to tylko z jedną z dwóch pozostałych.

Przy tożsamości w wyrażeniach zwroty mowy bywają różne.

Te same pojęcia bywają wyrażane w trzech Ewangieljach w terminach różnych. Najczęściej Mateusz z Markiem mają je jednakie, Łukasz—odmienne. Nawet przy używaniu terminów jednakich zdarza się, że, jeśli to rzeczownik, znajdzie się różnica w liczbie, jeśli to słowo—uwydatni się ona w czasach różnych lub trybach.

Wykazane właściwości co do treści, w samym układzie oraz w sposobach wyrażania się, podobnych ale zarazem i różnych, w tych trzech Ewangieljach, podały pomysł porównywania ich szczegółowego, polegającego na mieszczeniu obok siebie w osobnych kolumnach odpowiedniego ich tekstu. Takie pomieszczenie tekstu Ewangielji obok siebie w piśmie czy też w druku uwydatnia tożsamość, wykazuje podobieństwo i różnice, a zarazem, o co głównie w tym wypadku idzie, pozwala objąć ów tekst jednym rzutem oka. Tak sporządzone tablice nazywają z greckiego *synoptycznemi* *). Od nazwy takich tablic i same Ewangielje otrzymały miano *synoptycznych*.

Tablice synoptyczne ułatwiają poznanie trzech tych Ewangielji, układu ich i treści, zarówno wspólnej wszystkim trzem, jak i oryginalnej w każdej, ale tylko ze strony zewnętrznej, formalnej, architektonicznej, opartej na wyliczeniach, liczbach i proporcjach. Przyczyn atoli rzeczywistych takiego układu nie wykazują, podobieństwa treści i różnic jej nie wyjaśniają, sposobu powstania Ewangielji nie odkrywają.

Bezpośrednim wynikiem zbadanego na tej drodze

*) Nazwa ta jest grecka. Pochodzi od *syn*, razem, wspólnie, i *orao*—patrzę, widzę. Więc oznacza to, co razem da się oglądać, rozpatrywać. Synoptyczne Ewangielje należy odróżniać od *Diatessaronu*, przez Tacjana w II w. ułożonego. Tacjan bowiem do trzech synoptycznych, dołączywszy jeszcze czwartą, według Jana, ze czterech ułożył tekst jednolity, w którym teksty wszystkich wzajemnie się uzupełniają i tworzą jedną i na pozór wyczerpującą całość.

wzajemnego ku sobie stosunku Ewangelji synoptycznych mogło być jedynie postawienie szeregu różnych pytań takiego rodzaju, naprzykład: która z tych trzech Ewangelji jest najstarsza. Jednocześnie bowiem wszystkie trzy powstać nie mogły, ponieważ przypuszczano, że dwie zawsze służyć były powinny dla trzeciej jako źródła. Z pytaniem, która najstarsza i w jakiej kolei powstawały one, związane jest inne: która kiedy powstała *). Dalej, z jakich to dwóch domniemany autor każdej z nich korzystał i w jaki to też sposób tak korzystał, że mogły się okazać przy podobieństwie wykazywanem różnice uwydatnione. Z rozważania i rozwikływania tych pytań wypływały inne. Te inne się mnożyły, piętrzyły, ale do ostatecznego rezultatu nie doprowadziły. Aż na koniec stało się rzeczą łatwą do przewidzenia, że na tej drodze do zadawalniającego rozwiązania się nie dojdzie, że ono na niej nawet jest niemożliwym.

Pozostaje więc na inną wstąpić.

Pozostaje od cyfr przejść do dziejów, od statystyki—do rozwoju Ewangelji w czasie, jako utworu; od pojedynczych Ewangelji—do pisarzy, którzy o Ewangeljach pisali. Zwracając się zaś do takich pisarzy, zatrzymać się należy na jednym z najdawniejszych, który o tych trzech Ewangeljach, a mianowicie o ich pochodzeniu i powstawaniu wspomina; który, streszczając to, co przed nim o Ewangeljach mówiono, co współcześni mu twierdzą—wzmiankuje.

Tym pisarzem jest Euzebjusz, biskup Cezarejski (265—340), pierwszy historyk powstającego Chrystjanizmu. Dzieło jego, do którego z wykazanej zwracamy się konieczności, nosi tytuł: *ekkleziastike istoria* (Ecclesiasticae historiae libri decem, Historji Kościelnej ksiąg dziesięć).

Czas ów nieubłagany niszczytel wszystkich istot i wszystkiego, co człowiek dokonywa, nie inaczej postąpił z pierwotnym piśmiennictwem chrześcijańskim, jak wogóle—z grekiem, rzymskiem i tyłu innemi. Otóż Historja Kościelna Euzebjusza, oprócz tego, że jest pierwszą wogóle historją Chrystjanizmu, posiada jeszcze i to wielkie znaczenie, iż autor zebrał w niej skrzętnie i, je-

*) Jak trudną było rzeczą oznaczyć datę powstania każdej Ewangelji synoptycznej, wykażą następne wahania się dat; dla Ewangelji według Mateusza oznaczono czas pomiędzy 37 a 134 rokiem; dla Ewangelji według Marka—pomiędzy 40 a 85 i dla Ewangelji według Łukasza—pomiędzy 60 a 150.

dyny, wyjątkowo przekazał potomnym, co czas następnie zniszczył. Przechowały się w niej przeto ślady wcześniejszego piśmiennictwa i przytem urywki z zaginionych dzieł i prac pomniejszych, lecz mających zawsze swą wartość.

Euzebjusz doprowadza swą historję do 323 r. Więc w dziele jego znajdujemy wyrobione pojęcia o Ewangeljach synoptycznych, panujące w pierwszej ćwierci IV stulecia. Lecz jako historyk opiera on te pojęcia na dokumentach dziejowych i podaniach, powołując się na autorów dokumentów i zbieraczy podań, co nas doprowadza wstecz do II a nawet I stulecia.

Z jego to dzieła poznajemy skąd inąd mało znanego *Papiasa*. Autor nazywa go biskupem hieropolitańskim i przypisuje mu autorstwo dzieła w pięciu księgach, którego tytuł jest wielce mówiący: *logion kyriakon exegeseis* (De interpretatione oraculorum Dominicorum; Wykład wyrzeczeń [słów, nauki] pańskich). Samo dzieło zaginęło. Nawet urywki z niego są bardzo nieliczne. Autor tego dzieła, ów Papias żył w I połowie II stulecia.

Następująca cytata z przedmowy do tego dzieła Papiasa, przez niego samego napisana, wykazuje, w jaki to sposób autor dochodził do wiadomości, które w dziele swem przechował. „Jeśli spotkałem kogo, kto ze *starszymi* (tak zwykle zwano uczniów apostołów i ich współbiedniaków) przebywał, wnet się ciekawie dopytywałem, o czem ci *starsi* wspominali; co Andrzej, co Filip, co Tomasz, co Jakub, co Jan, co Mateusz, co inni uczniowie pańscy zwykli byli opowiadać. Ponieważ sądziłem, że z czytania ksiąg tyle korzyści nie otrzymam, ile wyciągnę z żywej mowy ludzi, dotychczas jeszcze żyjących...”

Taki Papias wcale chyba nie był podówczas wyjątkiem. Te słowa jego proste i naiwne wykazują, jak powstawały owe pierwotne opowiadania, z których następnie, jak przypuszczać należy, potworzyły się Ewangelje różne.

Dalsze cytaty z Papiasa, przechowane przez Euzebjusza, głębiej nas w rzecz samą wprowadzają.

Znał Papias też i dwie powyżej wymienione osobistości, z których imionami związane są dwie z trzech Ewangelji synoptycznych, mianowicie: Marka i Mateusza. Czytamy w Euzebjuszu: „oto, co mówił (Papias):

Marek tłumacz Piotra (może właściwiej byłoby powiedzieć: sekretarz, gdyby ten wyraz nie oznaczał pojęcia zbyt oficjalnego; w oryginale użytym jest wyraz *ermenes*, w łacińskim więc przekładzie: *interpres*), co tylko zapamiętał, co przez Pana powiedzianem lub uczynionem było, skrzętnie zapisywał, ale nie w porządku (rozumieć należy, nie według jakiegokolwiek bądź przyjętego systematu), sam bowiem ani słuchał Pana, ani mu towarzyszył; następnie zaś, gdy począł towarzyszyć Piotrowi, zapisywał, co wykladał Piotr o Jezusie. Ale Piotr wykladał stosownie do potrzeb słuchaczy, nie zaś w zamiarze utworzenia zbioru wyrzeczeń pańskich; tak więc: Marek nie ze swej winy tak niektóre opowiadania zapisywał (rozumieć należy: opowiadania pojedyncze, nie w całości, nie w związku jedne z drugimi), jak je zapamiętywał. Jedno bowiem miał na myśli: niczego nie opuszczać, co słyszał, a również niczego nie zmieniać“.

Dalej czytamy o Mateuszu: „O Mateuszu to podaje (Papias): Mateusz zaś w języku hebrajskim *zapisal wyrzeczenia* (*logia*, *oracula*); każdy je tak tłumaczył, jak mógł“ (Ecc. Hist. III. §§ 111—113).

Autor Historji Kościelnej nie ogranicza się tylko co do Ewangelji podaniem wiadomości o Papiasie i o jego o tym przedmiocie wskazówkach.

O Mateuszu czytamy: „Mateusz początkowo żydom opowiadał (o Jezusie), lecz gdy zamierzył udać się do innych narodów, Ewangelję swoją *w ojczystej napisawszy mowie*, tym, których opuszczał, pozostawił...“ Następnie Euzebjusz cytuje słowa Ireneusza: *) „Mateusz u Hebreów w ich własnym napisaną języku wydał Ewangelję, wówczas gdy Piotr i Paweł w Rzymie o Chrystusie opowiadali...“ Jeszcze dalej powołuje się na Orygenes: „Pierwsza Ewangelja jest napisana przez Mateusza, poprzednio celnika, następnie prawdziwego Jezusa Chrystusa apostoła, który ją, napisaną w języku hebrajskim żydom, nawróconym na wiarę, ogłosił (Hist. Eccl. III, 75 i V, 172 i VI, 226)“.

Czytamy dalej o Marku, że gdy Piotr w Rzymie opowiadał o Jezusie, ci, którzy go słuchali, nie zadawali się tem, że go słuchają, lecz chcieli posiadać rzecz

*) Pisarz chrześcijański żył w II stuleciu. W młodości przebywał w otoczeniu Polikarpa, który znał Jana oraz i innych uczniów Jezusa.

utrwaloną w piśmie; przeto zwrócili się z ustnemi prośbami do Marka, by to, co oni słuchają, jako pomnik piśmienny im pozostawił“. Marek uczynił zadość ich prośbom. W jakim zaś na piśmie rzecz dla Rzymian zostaje stosunku do poprzednio wzmiankowanego tegoż Marka utworu, mającego charakter Zapisek, czy też zapisanych słów Piotra o Jezusie, autor Historji nie wyjaśnia. To samo podanie w innem też miejscu lubo w nieco zmienionej znajdujemy formie (Hist. Eccl. II, 53; cf. VI, 216). Nie przeszkadza to wszakże autorowi jeszcze raz do tego przedmiotu powrócić i w cytacie z Ireneusza zaprzeczyć temu, co dwa razy powtórzył! Czytamy bowiem: „po ich (Piotra i Pawła) śmierci, Marek uczeń i tłumacz Piotra, co było opowiadaniem przez niego nam na piśmie przekazał“ (ibid. V, 172).

W tejsze samej cytacie znajdujemy wzmiankę i o Łukaszu: „Łukasz, towarzysz Pawła, Ewangelję przez niego opowiadaną w piśmie utrwalił“.

I tak, z powyższych cytat wnioskować możemy, że *Logia* Jezusa, w języku hebrajskim zebrane przez Mateusza, o których istnieniu świadczył Papias, przeszły u Euzebjusza, bez żadnego wszakże śladu dokonanej nad nimi roboty i bez żadnej wzmianki o samej robocie, w Ewangelję Mateusza, też napisaną po hebrajsku; przygodne zaś zapiski Marka—stały się Ewangelją Marka. Wystarczyło na to dwa wieki czasu.

To więc, cośmy się dowiedzieli z Euzebjusza, kwestji różnych, związanych z istnieniem Ewangelji synoptycznych, nie rozwiązuje wcale. Owszem. Nawet po części przez wprowadzenie do nich wiadomości o języku *Logjów* i Ewangelji Mateusza, rzecz można, bardziej je jeszcze gmatwa. Nie napróżno wszakżeśmy się do pierwszej Historji Chrystjanizmu zwracali. Otrzymaliśmy niektóre dane co do osobistości owych trzech ewangelistów (skąd inąd nieznanych) i— pewne wskazówki, na jakiej drodze szukać możemy pożądanego rozwiązania postawionych zagadnień.

Osobistość autora stanowi o kierunku jego pracy. Kierunek pracy różni jedną od drugiej w poświęconych temuż samemu przedmiotowi. Mamy więc niektóre wskazówki, co do przyczyny pewnych różnic pomiędzy Ewangeljami synoptycznymi, różnic, zależących już od zapamiętania się autora na osobę Jezusa.

I dalej. Jeśli istniał *wykład* nauki Jezusa w rodza-

ju dzieła Papiasa i ów wykład poprzedzał *zbiór* logiów, stanowiących naukę Jezusa, w rodzaju Mateusza, to niema żadnej podstawy utrzymywać, żeby *Wykład* Papiasa i *Zbiór Logiów* Mateusza były jedynymi w tym rodzaju pracami. Takie *Wykłady*, lecz mniejsza o nie w tym razie, takie *Zbiory* zwłaszcza niechybnie mogły się pojawiać w każdym większym ognisku pierwotnego Chrystianizmu, głównie gdzie osiadł jaki jeden naoczny świadek działalności Jezusa, kogo otaczała sława, że słuchiwał sam naukę jego, że z ust jego własnych ją zaczerpnął, że własnymi oczami oglądał jego osobę. Z natury rzeczy wypływa, że, nim takie logie mogły się pojawić w szacie piśmiennej, istniały one w ustnej, stanowiąc jądro opowiadań o Jezusie i o przechowywanych w pamięci jego wyrzeczeniach. *Zbiory ustne* logiów poprzedzały *zbiory logiów piśmienne* (w rodzaju *Zbioru* Mateusza). To przypuszczenie usprawiedliwiają, podtrzymują, a raczej—nadają mu znaczenie rzeczywistości, następne fakta niezbitę.

Coraz to głębsza, co do treści, a szersza, co do ilości dzieł znajomość pierwotnych pisarzy chrześcijańskich, oraz pilniejsze a bezstronniejsze wczytywanie się w ich prace wykazały, że nie wszystkie przez nich podawane wyrzeczenia Jezusa weszły do Ewangelji synoptycznych lub innych, zwłaszcza IV (stanowiącej osobną grupę). Takie wyrzeczenia Jezusa otrzymały jeszcze w XVII stuleciu nazwę *Agrapha* *), nadaną im przez Cotelier.

Na pytanie skąd te *agrapha* mogą pochodzić, to jest skąd je powołujący się na nie i je przytaczający pisarze chrześcijańscy zaczerpnąć mogli, łatwo się następcza odpowiedź: z takich to, o jakich mówiliśmy powyżej, przypuszczając ich istnienie, *Zbiorów logii*, zapisanych wyrzeczeń Jezusa, przechowywanych poprzednio w pamięci, układanych w ustnej formie **).

*) Ta nazwa oznacza *niezapisane*, na przykład: znajdujemy w utworach pisarzy z II i III lub późniejszych wieków jakieś wyrażenie lub zdanie, przypisywane przez autora Jezusowi. Jeśli je następnie nie znajdujemy w Ewangeljach, należą one do *agrapha*. Resch odszukał takich *agrapha* przeszło 60 (*Agrapha, aussercanonische Evangelienfragmente* 1889). E. Nestle w *Novi Testamenti supplementum* czyni z nich wybór i podaje 25 (p. 89—92).

**) Ze oprócz Logiów istniały jeszcze inne zbiory, tyczące się bądź krążących podań o Jezusie, bądź też pewnego rodzaju biografje, dowodzi wstęp do Ewangelji według Łukasza. Czyta-

II.

Istnienie takich *Zbiorów logii* lub prosto *Logiów* Jezusa w zupełności udowadniają odkrycia archeologiczne, w ostatnich paru dziesięcioleciach dokonane—w Egipcie.

Oto jak się przedstawiają i na czym polegają te odkrycia.

W 1885 r. Bickell na papirusie, pochodzącym z Fayum, z III wieku, odkrył osiem linji tekstu greckiego, znacznie uszkodzonego, zawierającego wyrażenia Jezusa, które weszły do dwóch pierwszych Ewangelji synoptycznych, ale które są w innej redakcji, niż w owych dwóch.

W 1896 r. w zwaliskach miasta Oxyrynchos, pod dzisiejszą osadą arabską Behnesa, B. Grenfell i A. Hunt na znalezionym przez siebie papirusie, także z III-go pochodzącym wieku, odkryli 42 wierszy, każdy z 15—20 głosek, greckiego, również znacznie uszkodzonego tekstu, zawierającego, jak poprzedni u Bickella, wyrażenia Jezusa, to jest *logje*.

Ciż sami poszukiwacze następnie w tejże miejscowości odnaleźli jeszcze dwa inne urywki tejże treści i pochodzenia, tylko w stanie bardziej uszkodzonym, niż poprzedni. Pierwszy urywek zawiera 41 wierszy; drugi—51. W pierwszym brak drugiej połowy każdego wiersza, licząc zaś na litery—połowy, a nawet większej ilości, niż pozostałe. W drugim z kolei—trzecim właściwie—w większości pozostały tylko ślady wierszy w postaci oddzielnych zgłosek, a nawet—głosek.

Pomimo tak uszkodzonego stanu tych urywków, sam fakt odnalezienia *logjów*, których rękopis sięga III wieku (tak zwany obecnie *textus receptus* Ewangelji opiera się na rękopisach najwyżej sięgających VI-go) wywarł wielkie wrażenie w świecie naukowym. Posypały się

my: „ponieważ wiele się ich podjęło sporządzić historję o tych sprawach, o których my pewną wiadomość mamy, tak jako nam podali ci, którzy od początku sami widzieli i sługami tego słowa byli: zdało się też i mnie, którym tego wszystkiego z początku pilnie doszedł, tobie to porządnie wypisać, zacny Teofilu“ (Łuk. I, 1—3).

więc wydania owych tekstów, uzupełnianie ich, tłumaczenia na różne języki*).

By uzupełnić—należało sięgnąć do piśmiennictwa judaistyczno chrześcijańskiego, przeszukać w niem, czy się gdzie nie znajdują zbliżone ustępy, wyczytać wyrażenia podobne do przechowanych, by za pomocą dalszego ich ciągu odrestaurować zaginione w odnalezionych tekstach. Zadanie ważne i ciekawe, lecz zważywszy warunki, do rozwiązania chyba za twarde. Tylko więc próbami, mniej więcej szczęśliwymi, możemy je nazywać.

Poznajmy niektóre, idąc w porządku chronologicznym odnajdywania.

Oto jest przekład jedyne urywka z Fayum, rozpoczynającego serję innych, mianowicie trzech z pod Behnesa. Dokonywam go według tekstu wydanego i uzupełnionego przez C. Brustona. Uzupełnienia mieszczą jak one idą właściwie w nawiasach:

(i poczęli)

mówić również wszy(sc)cy. Jezus rzekł w)

nocy będziecie zgor(szeni jako)

napisano: porażę (pasterza, a)

owce będą rozproszone (rzekł)

Piotr; jeśli wszyscy (jakie)

(Jezus rzekł) kogut dwa razy za(pieje dziś

(a ty trzy razy) zap(rzesz się mię)...

Z dających się odczytać miejsc, a następnie stosownie uzupełnić, otrzymujemy tekst zbliżony do tekstu Ewangelji Marka:

„Potem rzekł im Jezus: Wszyscy wy zgorzycie się ze mnie tej nocy; bo napisano: Uderzę pasterza i będą rozproszone owce... Ale mu Piotr powiedział: choćby się wszyscy zgorzycyli ale ja nie. I rzekł mu Jezus: Za-

*) Ważniejsze wydania i przekłady:

E. Nestle: Novi Testamenti graeci Supplementum: Fragmentum Fajjumense (p. 67). 1896

B. Grenfell and A. Hunt: Sayings of our Lord from an early greek papyrus, 1897.

A. Harnack: Über die jüngst entdeckten sprüche Jesu. 1897.

B. Grenfell and Hunt: Oxyrhynchus papyri 1904.

New sayings of Jesus, 1904.

C. Bruston: Fragments d'un ancien recueil de Paroles de Jésus: les trois fragments d'Oxyrhynque et celui du Fayoum, 1905.

I. Radliński Logja Jezusa, pismo Zbiorowe: Myśl, 1905, i Na przelomie dziejowym, 1907.

prawdę powiadam tobie, iż dziś tej nocy, pierwiej niż dwakroć kur zapieje, trzykroć się mnie zaprzesz. Ale on tem więcej mówił: bym z tobą miał i umrzeć, nie zaprzę się Ciebie. Toć też i wszyscy mówili“ (XIV, 27—31).

Również i do Mateusza:

„Tedy im rzekł Jezus: Wy wszyscy zgorzycie się ze mnie tej nocy; albowiem napisano: uderzę pasterza i będą rozproszone owce trzody... A odpowiadając Piotr, rzekł mu: choćby się wszyscy zgorzycyli z ciebie, ja się nigdy nie zgorzę. Rzekł mu Jezus: zaprawdę powiadam ci, iż tej nocy, pierwiej niż kur zapieje, trzykroć się mnie zaprzesz. Rzekł mu Piotr: choćbym z tobą miał i umrzeć, nie zaprzę się ciebie. Także i wszyscy uczniowie mówili“ (XXVI, 31—35). *)

Mamy więc urywek *logii*, z której, lub podobnej do niej treścią, czerpali następnie autorowie czy też redaktorowie dwóch Ewangelji synoptycznych. Trzeciej — z innej zaś, jak tego dowodzi tekst:

„I rzekł Pan: Symonie, Symonie! Oto szatan wyprosił was, aby was odwiedzał jako pszenicę. Ale ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja; a ty niekiedy nawróciwszy się, utwierdzaj bracię twoją. A on mu rzekł: Panie, gotowem z tobą iść i do więzienia i na śmierć. A on rzekł: powiadam ci, Piotrze, nie zapieje dziś kur, aż się pierwiej trzykroć zaprzesz, że mię znasz“ (Łuk. XXII, 31—34).

Przechodzę do pierwszego z urywków znalezionych pod Behnesa.

Oto jego przekład dokonany według tekstu odkrywców i wydawców:

I... i wtedy przejrzyś, abyś wyjął źdźbło, które jest w oku brata twego.

II. Rzekł Jezus: jeśli nie będziecie pościć... nie znajdziecie królestwa bożego; jeśli nie będziecie święcić Sabbatu, nie ujrzycie ojca.

III. Rzekł Jezus: byłem wśród świata w ciele i byłem widziany przez nich i znalazłem ich wszyckich pijanych, a żadnego nie znalazłem pragnącego między nimi; i trapi się dusza moja nad synami ludzkimi, albowiem są ślepi w sercach swych...

*) Uważne czytanie obu tych tekstów odkryje między nimi choć drobne różnice. I tak na przykład u Mateusza opuszczone *dwakroć* kur zapieje, co czytamy u Marka.

IV... ubóstwo...

V. Rzekł Jezus: tam gdzie oni są (zebrani, jestem ja) i jeśli jest jeden, jestem z nim; podnieś kamień—i tam mnie znajdziesz; rozłup drzewo—i tam ja będę.

VI. Rzekł Jezus: żaden prorok nie jest przyjęty w ojczyźnie swej; żaden lekarz nie uzdrawia wśród tych, którzy go znają.

VII. Rzekł Jezus: miasto założone na szczycie góry wyniosłej i obronne nie może spaść ani zostać ukrytem.

VIII. Rzekł Jezus: rozumiesz...

Wydawcy (Grenfell i Hunt) rozpoczęli od tekstu pomieszczonego na stronie, według nich, odwrotnej (*verso*). A. Harnack również idzie za nimi. Bruston wszakże rozpoczyna od tekstu na stronie *recto*. Inny więc w jego wydaniu znajdujemy porządek wersetów. Lecz, co więcej, w czwartym, gdzie tylko jedno słowo daje się odczytać (ubóstwo) on, z kilkudziesięciu oddzielnych głosek, uzupełniając je innymi, restauruje tekst i czyta: „Ja rozkazuję, żebyś wybrał ubóstwo tam, gdzie bezbożni są potężni i we słowie...” (o. c. p. 5).

Również odrestaurowywa werset 1-szy, według siebie 5-ty, i czyta: „Jezus rzekł: zbadasz wnętrze oka lewego, by wyjąć belkę, która tam jest, a wtedy...” i t. d.

Co się tyczy związku tych *logii* z Ewangieljami synoptycznymi, to się tak przedstawia.

Werset 1, uzupełniony przez Brustona, u Mateusza brzmi: „A czemuż widzisz źdźbło w oku brata swego, a belki, która jest w oku twojem, nie baczysz? Albo, jakoż rzeczesz bratu twemu: dopuść, iż wyjmę źdźbło z oka twego, a oto belka jest w oku twojem. Obludniku! wyjmij pierwej belkę z oka twego, tedy przejrzyś, abyś wyjął źdźbło z oka brata twego” (VII, 3—5). To samo znajdujemy i u Łukasza (VI, 41—42). Brak u Marka. Wyrażenie w *logii* jest w układzie prościejsze, więc pierwotniejsze. Zgodność pomiędzy Mateuszem i Łukaszem świadczy, że mogli oba z jednego poczerpnąć źródła. Lecz czy z tego—pytanie.

Werset 2—jest *agrapha*, jak również i następne, do 6-go. Co do tego wersetu, u Łukasza znajdujemy zbliżony: „I rzekł do nich: zaprawdę wam powiadam: żaden prorok nie jest przyjętym w ojczyźnie swej” (IV 24).

W jaki sposób Bruston uzupełnia *drugi* urywek z pod Behnesa, w którym, jak to sobie przypominamy,

brak co najmniej połowy drugiej każdego wiersza, wykażą następne parę wersetów przekładu. Oto one:

Takie są słowa (ożywiające, które)

Zwrócił Jezus; żyjący i (istniejący do Filipa)

i do Tomasza i rzekł (im: każdy kto)

tych słów (wysłucha, śmierci)

nie zazna (i rzekł Jezus)

niech nie ustaje (szukający Boga, aż)

znajdzie, kiedy znaj(dzie przerażony, prze)

rażony zapanuje (i zapanowawszy)

odpocznie... 1—9.

Do odtworzenia tego drugiego wersetu Brustonowi dopomogła cytata z Ewangielji *według Hebrów* przechowana podwakoń przez Klemensa Aleksandryjskiego w jego głównem dziele *Stromata* (II, 9, 42; V, 14, 94)*).

Stan rękopisu usprawiedliwia mię, dlaczego nad nim dłużej się nie zatrzymuję. Tembardziej, że nie do wszystkich *logii* wydawca znalazł był tak szczęśliwie klucz, jak dla drugiego wersetu.

Przechodzę do *trzeciego* urywku. I w tym razie korzystam z wydanego i odtworzonego tekstu przez Brustona.

(Nie troskajcie się jako poganie)

od poranku (do wieczora)

(ani) od wie(czora)

(aż do po)ranku ni

(o jadle waszem, co byście spo

żywali ani) o odzie

(ży waszej) którą byście odzie

(wali)... 1—8.

W tym wypadku Bruston znajduje również szczęśliwie klucz u Mateusza: „Powiadam wam: nie troszczcie się o żywot wasz, co byście jedli, albo co byście pili, ani o ciało wasze, czem byście się odziewali” (VI, 25). Ale nie zawsze mu się tak szczęści.

Jeśli uzupełnienia takiego rodzaju są konieczne dla zrozumienia tekstu, to tekst ów nie może wszelako rościć sobie prawa do nazwy autentycznego; uzupełnienia zaś—do nazwy naukowej. W większości wypadków, zwłaszcza dla drugiego i trzeciego tych urywków, uzu-

* Zob. Nestle: *Novi Testamenti graeci supplementum*, p. 80 (Ex Evangeliiis „secundum Hebraeos”).

pełnienia stanowią sztukę, a częstokroć i sztuczkę. Sztuka i sztuczka nie jest wszakże jeszcze nauką.

Pomimo tak znacznego uszkodzenia tekstu, odnalezienie tych kilku urywków Logii bez zaprzeczenia posiada doniosłe wielce znaczenie naukowe. Nie o tekst tu bowiem wyłącznie, a nawet głównie—idzie, ale o samo istnienie Logiów. A wszak to odnalezienie potwierdza świadectwa Papiasa i Euzebjusza, że takie Logie istniały, a potwierdzając bezpośrednio istnienie, pośrednio udowadnia przypisywanego im przez tych pisarzy znaczenia wśród pierwotnych chrześcijan i dla powstawania Ewangelji, zwłaszcza synoptycznych.

III.

Istnienie *Logjów* pierwotnych, jak przypuszczać należy, w formie ustnych zbiorów, a następnie — w formie piśmiennych, na co są, jak widzimy, niezaprzeczone dowody, zagadnienia o powstawaniu Ewangelji synoptycznych jeśli stanowczo, jakby tego pożądaliby wszyscy badacze, nie rozwiązuje jeszcze, to w każdym razie, wprowadzwszy na nową drogę, na niej jedynie przygotowuje możebne rozwiązanie.

Przedewszystkiem — uproszcza się robota.

Już rzecz nie może iść o to, która z tych trzech Ewangelji jest najstarsza jako źródło, gdyż wszystkie one są stosunkowo od najdawniejszych pierwotnych źródeł późniejsze. Tem zaś pierwotnym źródłem były owe Logie, których strzępy w formie strzępów do nas doszły.

A również traci swe znaczenie pytanie, który autor jednej z trzech czerpał z dwóch innych, gdyż wszyscy trzej czerpać mogli niezależnie od siebie ze źródeł, z Logji, które do nas w pierwotnej formie, z nie prawie coby do treści nieznaczącymi, jakeśmy to widzieli, wyjątkami, nie doszły.

Przytem, różnicę pomiędzy redaktorami, czy też nawet autorami, Ewangelji tych nie rozstrzyga wyłącznie ilość wspólnych wersetów i ich układ, lub właściwości stylowe i gramatyczne, ale indywidualność samych osób uwydatniona i z indywidualności tej wypływające tendencje różne.

W Ewangelji „według Mateusza“ autor, czy redaktor, stara się wciąż dowodzić, że Jezus jest zapowie-

dzianym przez proroków i oczekiwany przez Żydów Mesjaszem. Każdy przeto postępek Jezusa jest z tego punktu widzenia rozpatrywany. Jezus, co tylko robił, dokonywał tego jakby mechanicznie, gdyż tak a nie inaczej zrobić musiał. Przytem w tej Ewangelji przeważa żywioł dydaktyczny nad historycznym. Opowiadanie, noszące charakter biograficzny, jest w kilku miejscach przerywane, jakby przez wstawienie Logiów.

Ze sposobu chwiejnego i rozmaitego wyrażania się o sobie samym, wkładanego w usta Jezusa, a także i w opowiadania o nim, jest widoczne, że Jezus w Ewangelji „według Marka“ jest takim, za jakiego uchodził w otoczeniu swoim, a więc—najbardziej się zbliża do rzeczywistego o nim podówczas mniemania. Przyszłe pokolenia dopiero stanowczo miały zawyrokować, kim on był w istocie rzeczy.

Do Ewangelji „według Łukasza“ wchodzi nowe już pojęcie, przedewszystkiem jakby echo nauczania Pawła, ów uniwersalizm, który właściwie wytwarza chrystjanizm, i tendencje społeczne, które nadają powstającemu chrystjanizmowi ową siłę rozpędową, która stanowiła jego potęgę w pierwszych wiekach rozwoju. Jezus głównie obwieszcza królestwo niebieskie ubogim, głosi ich wyniesienie nad możnych i bogatych, którym przy każdej zdarzonej okoliczności zapowiada upadek i pohańbienie. Przytem Łukasz stara się zatrzeć ślady Rzymian w całej tej sprawie, które by pociągały ich do odpowiedzialności w oczach potomnych za współuczestnictwo z Żydami.

Dane, znalezione u Euzebjusza, wpływają też na wyjaśnienie owego „według“, wprowadzonego do tytułu Ewangelji, zwłaszcza synoptycznych. Były zapiski, rodzaj pamiętników, Marka, o których wspomina Papias. Była Ewangelja Marka, o której istnieniu świadczy Euzebjusz. A ponieważ autor Historji Kościelnej sam nie wykląda, jaki jest stosunek Ewangelji Marka do Zapisek Marka, więc to *według* wskazywać może, że autor, lub też redaktor naszej Ewangelji według Marka, pomijam kwestję, czy nim był sam Marek, czy też kto inny, czerpał z onych Zapisek i na nich się opierał, zarówno jak i na Ewangelji.

I również, jeśli znana dzisiaj Ewangelja według Mateusza w greckim języku nie jest oryginałem, napisanym przez samego Mateusza, jak chcą jedni badacze Ewangelji synoptycznych, lecz tłumaczeniem z hebrajskiego Ewangelji Mateusza, jak chcą drudzy, mniejsza

już o to, czy dokonaniem przez samego autora tekstu hebrajskiego, czy przez kogo innego, to owo *według* może świadczyć, że autor tekstu greckiego, czy też tłumacz na grecki tekstu hebrajskiego, za pomocą owego *według* chciał wskazać już to tekst hebrajski Ewangelji, już to tekst hebrajski *Logiów* Mateusza.

Niestety! pomimo setek dzieł, napisanych o powstaniu Ewangelji, jeszcze dla przyszłych pokoleń badaczy pozostało wiele do dociekania i rozstrzygnięcia, zwłaszcza, wobec przepuszczalnego w dalszym ciągu odnajdywania *Logiów* Jezusa, co, miejmy nadzieję, tak wnet się nie przerwie.



Wł. BUKOWIŃSKI: ECHA.

IX.

Pustynio życia! Kto po tobie
 Błądził, jak ja, przez długie lata,
 Na złudzeń tyłu był już grobie
 I patrzył w twarz obłudną świata,
 I pił z trującej jego czary,
 Temu niestraszny piach Sahary.

Pustynio życia! Później, wcześniej,
 Do kresu twego dojść wypadnie
 I zapaść w sen, w którym się nie śni
 Nic. Przyjdzie śmierć i główkę ładnie
 Podetnie, albo wprost powieki
 Przymknie na wojaż — niedaleki.

Zanim jednakże to nastąpi,
 Dopóki czarę dzierżym w dłoni,
 Nie bądźmy z niej dla siebie skapi!
 Życia — w sto koni nie dogoni,
 Dopóki trwa, niech da, co może:
 Nagrodę jakąś za obrozę,

Którą tak często gardło ściska...
 Przyszłości dni zasłona kryje,
 Nie wiem, daleka śmierć, czy bliska,
 Lecz — chciałbym żyć, dopóki żyję,
 I — nim cmentarne poznam kopce —
 Rzec: „Mnie ludzkiego nic nieobce“.

Tak myśląc, do piramid jadę
 I poza siebie mimowoli
 Spoglądam, budząc mary blade
 Przeszłości. Chociaż tam zaboli
 Coś nieraz, jednak — przyznać trzeba —
 Było w niej trochę gwiazd i nieba.

Miłości wonne kwitły róże,
 Przyjaźni pięły się powoje,
 Duch orlem skrzydłem bujał w górze
 I tytaniczne staczał boje.
 To była młodość ma z początku.
 Czas — przeszedł nad nią do porządku.

Przejdźmy i my. Na dzikim zrębie
 Pustyni — trzy kamienne góry.
 Dokoła — piasku lotne głębie,
 Nad niemi — słońce i lazury.
 Gdzieś niżej *Mena House*, a z boku
 Sfinks — wdali od piramid tłoku.

Wóz elektryczny drogę kończy.
 Wsiadam wśród turystów rzeszy...
 Wnet ku mnie, jak najszybszy gończy,
 Jeden i drugi Arab śpieszy:
 Ten proponuje mi wielbłąda,
 Tamten osiołka, inny żąda,

Bym zgodził go na przewodnika,
 Ów piasra choć chce wydrzeć ze mnie...
 Brama się ust im nie zamyka
 Od propozycji. I daremnie
 Bronić się... Niby czarne sępy,
 Gotowi porwać cię na strzepy.

Masz dosyć tych natrętnych gości:
 Zgadzasz się dosiąść dromadera,
 Kupujesz kamyk bez wartości,
 Numizmat o wartości zera,
 Nabywasz i skarabeusza...
 Tak los niekiedy zostać zmusza

Archeologiem. Mniejsza o to!
 Tą ceną spokój się wyżebrze,
 Spokój, cenniejszy, niżli złoto
 (Nie mówiąc już o marnem srebrze),
 I — wielbłąd wiezie cię ponury
 Ku stopom Cheopsowej góry.

.....
 O piramidy! Przeszły lata
 Od chwili, kiedym stał w podziwiewie
 Przed wami. Choć niejedna strata
 Bolesna pchnęła nieszczęśliwie
 Łódź życia potem między skały,
 Dotąd wasz obraz w duszy cały.

Wasz obraz, przed lat tysiącami
 Na piasku tło rzucony dumnie.
 Muzyka wspomnień o was gra mi
 Jeszcze, a grać przestanie — w trumnie.
 Ta krótka życia mego karta
 Wspomnienia jest, jak sądzę, warta.

Zamykam oczy. Na piach szary
 Słońce blask rzuca przeraźliwy.
 Arabów jeszcze brzęczą gwary, —
 Nie słucham ich i zwolna niwy
 Śmierci obchodzę — nad kołyską
 Kultury wzrosłe cmentarzysko.

Cheops i Chefren, dwa olbrzymy,
 Pomniki woli, mocy, pychy.
 Z lękiem na szczyty ich patrzymy.
 A tam — nad nimi — obłok cichy
 Zawisł i szepcze z wysokości:
 „Wszystko marnością jest marność!”

Cheops i Chefren, dwie potęgi,
 Budzące dotąd dziwną trwogę.
 A między nimi nakształt wstęgi
 Błyszczący w słońcu piach — nie mogę
 Nań patrzeć bez zmrużenia powiek —
 Zaszemrał: „Cóż ma z prac swych człowiek!”

Cheops i Chefren — sarkofagi
 Egipskich władców przed wiekami...
 Czem one dzisiaj? Głazów nagi
 Zwał na pustynię zgrzyta kłami,
 Które z tych cielsk olbrzymich sterczą,
 A może — śmieje się szyderczo.

Zostają dzieła. Człowiek znika,
 Jak garść popiołu, jak dym marny!
 I cóż mu przyjdzie dziś z pomnika,
 I cóż mu przyjdzie z sławy gwarnej,
 Gdy pamięć jego dzieł nie budzi
 Szlachetnych uczuć w sercach ludzi!

Te jedne znaczą coś i rosną,
 I bujne wciąż wydają plony,
 I świata pieśnią są miłosną,
 Przez wszystkich sere śpiewaną dzwony...
 One tym słupem są Mojżesza,
 Za którym wieki ludzka rzesza

Do obiecanej śpieszy ziemi,
 A prochem marnym wszystko inne!

 W pobliżu, tuż za olbrzymiemi,
 Trzy piramidki tkwią dziecinne,
 A z drugiej strony — Mykerina
 Grób przed Chefrenem w pół się zgina.

Zrobiłem milę, aby wkoło
 Te piramidy trzy olbrzymie
 Obejść. Lecz — nęci dumne czoło
 Cheopsa, gdzie Juljusza imię
 Inicjał wyżłobiony znaczy.
 Dotąd go każdy tam zobaczy

Z pamiętną datą listopada,
 Odległym przekazaną wiekom...
 Wnet Beduinów mnie gromada
 Otacza z krzykiem. Choć dalekom
 Był jeszcze od Cheopsa grobu,
 Już mnie i synów moich obu

Pod opiekuńcze skrzydła biorą,
 By powieść nas kamienną drogą,
 Która — pożarła głazów sporo...
 „Podróżni na szczyt iść nie mogą
 Bez przewodnika, przepis broni,
 Powierzyć masz się naszej dłoni!”

Tak mówią. Więc, oddawszy syny
 Opiece cnej ich rąk i pleców,
 Za nimi długie ćwierć godziny,
 Wśród żaru ze słonecznych pieców,
 Na piramidy szczyt się drapię.
 A z czoła pot rześisty kapie...

Pamiętam chwilę, gdym ostatni
 Krok na Świniocy czynił ostrze,
 W kolegów dwóch drużynie bratniej.
 Wiedząc, że stamtąd się rozpostrze
 Widok na Tatr krainę boską,
 Gdzie z bólem żegnasz się i z troską.

Lub chwilę inną, gdym Ateny
 U stóp miał, patrząc z Akropolu,
 Czy greckie nimfy i syleny,
 Wziąwszy na drogę po obolu,
 Z gajów i gór swych nie przybiegły
 Na Konstytucji plac rozległy,

By stąd, przybrane wedle mody —
 W coś więcej, oprócz figi listka,
 Pod rękę przejść się na plac Zgody,
 Gdzie zbiera się *sociéta* wszystka
 I gdzie — potomkom Peryklesa
 Niekiedy chudnie trochę kiesa.

Lub chwilę, gdy na Ortegalu
 Zbliżałem się ku Bosforowi,
 Pełen dziwnego w duszy żalu,
 Że już się moment ten nie wznowi,
 Gdy *po raz pierwszy* z modrej toni
 Carogród — dla mnie się wyłoni.

Że już wśród ziemskiej mej podróży,
 Wśród zmiennych wrażeń i widoków,
 Chwila się cudna nie powtórzy,
 Kiedy z porannej mgły obłoków
 Zabłysły wieże, minarety...
 Nic nie powtarza się, niestety!

Przynajmniej w życiu tem. Być może,
 Po lat miljonach i miljonach
 Przemian w wszechświata gdzieś przestworze
 Duch znajdzie się w tych samych stronach
 (Przypuścić można to od biedy),
 Ale co *z nich* zostanie wtedy!

I co zostanie z przędzy marzeń?...
 Tę duch, jedwabnik niestrudzony,
 Wśród życia różnobarwnych zdarzeń
 Snuje i zwija wciąż w kokony,
 By potem trwonić je rozrzutnie,
 Dopóki nitki — śmierć nie utnie.

.....
 I jeszcze chwila. W Wezuwjusza
 Krater spoglądam, niby w piekła
 Otwartą paszczę. Wkoło głusza
 I pustka. Tylko na dnie wściekła
 Orkiestra jakaś gra — szatanów
 Taniec, tę zwykłą pieśń wulkanów.

A gdzieś podemną — białe miasta,
 Zatoki błyszczą wciąż lazury,
 Bluszcz po ruinach się rozrasta,
 Na wszystko — słońce płaszczy z purpury
 Rozciąga przed zachodem zcicha.
 Pompeja widzi to i — wzdycha.

.....
 I jeszcze chwila. W starym Rzymie
 Patrzą przed zmierzchem z Palatynu.
 A Colosseum, swe olbrzymie
 Mury do snu już kładąc: — „Synu, —
 Zdaje się szeptać — próżna praca!
 Nie wraca przeszłość już, nie wraca...

„Daremnie łzami rościć oczy,
Daremnie wołać: „Europa!“
To, co runęło w gruzy, stoczy
Robak lub zeżre pleśń, a stopa
Ludzka ze wzdardą skopie, zdepczel
Gdy z ran krew pójdzie, wróg ją schłepcze.

„Ale nie wszystko czas zadusi,
Nie wszystko ginie i przepada.
Na gruzach życie wzejść znów musi,
I śmierci skończy się szkarada.
Lecz to, co życia wchodzi bramą,
Już nie to samo, nie to samo!“...

Com czuł na piramidy szczycie —
Nielatwo dziś już ująć w słowa.
Tam jeszcze z gruzów nowe życie
Nie wstało. Cisza trwa grobowa.
Tylko za Nilem, jak daleka
Oaza, gwarny Kair czeka.

Po jednej stronie bujne łąny,
Anglików zdobycz i Francuzów.
Po drugiej — piasku nieprzebrany
Świat i to państwo, pełne gruzów,
Gdzie za praojców ciężkie winy
Koczują śniade Beduiny.

Po jednej stronie w palm zieleni
Tych krain bóstwo — Nil prastary...
Pomarańcz w gajach się rumieni,
Na polach — mimo wściekle żary —
Plantacje życiem wrą i pracą,
Czem — nie krajowcy się bogacą.

Po drugiej — ciche państwo śmierci,
Gdzie tylko orzeł skrzydłem błyska,
Szakal na dzikiej wyje perci,
Lub z gruzów żmija wyrzy ślizka.
Za tym cmentarzem — gdzieś daleko —
Wieczności, zda się, widzisz wieko...

X.

Olbrzymi słońca krąg w purpurze
Krył się za niezmierzone piaski.
Gdy Beduini, grobów stróże,
Zbudzili mnie dzikimi wrzaski
Z zadumy: „Czas już z piramidy
Powracać!“ — krzyczą czarne gidy.

Czas wracać! Tak się kończą zawsze
Sny piękne, tak się wszystko kończy...
Słońce, od krwawej róży krwawsze,
W obłoków znikło już opończy.
Na Wschodzie szybko noc zapada...
Musimy wracać — trudna rada!

Spojrzenie tęskne rzucam jeszcze
Na Egipt, Nil, pustynię... Srodze
Serce szarpnęło coś, jak kleszcze,
I z synem starszym zwolna schodzę
Z góry, co proch Cheopsa gniecie.
Młodszego Arab niósł na grzbiecie.

I tak z powagą na dół kroczy
Wyprawa cała. Na spotkanie
Wybiegły ku nam drogie oczy...
Dostrzegł je Adry niespodzianie,
Co na Arabie drobną plamą
Błyszczał, i krzyknął z dumą: „Mamo!

Już idę, idę, czekaj na nas!“

Tak krzyczał z pleców, jak z rumaka,
Ten pięcioletni nasz ananas.

Którego kiedyś, niby ptaka,
Od Miramare na pół drogi
Chciał porwać *borra*, wicher srogi.
.

Gwieździsta, wschodnia noc zapada.

Gdzieś wdali błysły rogi złote
Miesiąca. Wkrótce — wśród gwiazd stada —

Ponad pustynią legł, tęsknotę
I melancholję budząc w duszy...
On to zapewne kapeluszy

Modnych rój szybko tak rozpędza...

Robi się ciszej u piramid:
Popłynie raźniej marzeń przędza,
Gdy strojny jedwab i aksamit
Z Baedekerami, lornetkami
Znikie — i gdy zostaniem sami.

O samotności, marzeń pani!

Jak często w dni powszednich młynie
Brak ciebie duszę dręczy, rani.

Przybywam oto na pustynię,
By w twych objęciach skąpać ducha,
Który z rozkoszą ciebie słucha.

Obrzydł mi gwar jarmarczny świata,

Gdzie się, jak liczman, duch wyciera.
Zbrzydła, obmierzła już — do kata! —
Kabaretowa atmosfera,
Gdzie brak uniesień i zapału,
Gdzie święte tchnienie Ideału

Szyderczy tylko uśmiech budzi..

Dość mam pół-pragnień i pół-celów
I dość pół-życia i pół-ludzi.

Raz jeszcze bodaj na Arjelów
Skrzydłach, co w górze już łopocą,
Wznieść się, odetchnąć z dawną mocą!

Raz jeszcze czuć, jak czują ludzie,

Raz jeszcze być naprawdę sobą!
Niech inni w miast więziennym brudzie
Pół-operetką, pół-żałobą,
Pół-prawdą, pół-udaniem żyją.
Ja — drogą nie chcę iść niczyją.

Ach, jak daleko już przebrzydła

Komedja życia i niewola!
Szumią nademną wiatru skrzydła,
Gadają do mnie piasku pola,
Zakrakał orzeł gdzieś nademną,
Z piramid lecąc w przestrzeń ciemną.

I noc, i cisza upragniona,

A w niej gwieździsto-lazurowy
Anioł wyciąga swe ramiona,
By dotknąć mej strudzonej głowy,
By zbliżyć mię i bratniem łonem
Otulić — bodaj raz przed zgonem.

O mów ty do mnie przy miesiąca

Blasku, o mów, aniele ciszy!
Jak w arfę, wiatr w tve skrzydła trąca,
Noc lazuruwa czarem dyszy,
Gwiazdy — przedwieczne złocą kości...
O mów, aniele samotności!

O mów ty do mnie wspomnień echem,
 Lecących od mej cichej wioski.
 O mów radosnym dziecka śmiechem,
 Gdym z Matką czytał pierwsze zgłoski
 I pieśni pierwsze i — w podzięce —
 Całował drogie, święte ręce...

O mów ty do mnie tym odgłosem
 Młodzieńczych marzeń i uniesień!
 Choć im nie dano złotym kłosem
 Zabłysnąć, choć je życia jesień
 Rozwiała, kirem omroczyły
 Przedwczesne druhów mych mogiły...

O mów upojeń pierwszych czarem,
 Co niosły duszę pod niebiosą...
 O mów szumiących drzew rozgwarem,
 Z których spływała srebrna rosa
 Na kołysane szczęściem głowy
 W pamiętny wieczór ów majowy.

O mów ty do mnie niepamięci
 Głosem o dni powszednich męce —
 I — niech się jeszcze dzień twój święci,
 Niech nieraz jeszcze twej piosence
 Zawdzięczam czar, co dzisiaj gości
 W duszy, aniele samotności!

.
 Lecz czas w egipskie wrócić kraje,
 Gdzie, w księżycowym blasku skapan,
 Przedemną oto cicho staje
 Sfinks, nocnych rojeń niezły kompan,
 Który (Maspero to rozstrzyga)
 Czterdzieści wieków blisko dźwiga

Na barkach. Ciężar to nielada,
 Nie dziwię się, że w piasek wrasta,
 I że mu twarz się krzywi blada
 W księżycu świetle. Pół-niewiasta,
 Pół-lew, straszycło jakieś boże,
 Lecz takich — dziś się już nie trwożę.

Niewiasty uśmiech tajemniczy
 I ten sam niby, a wciąż nowy
 Czar. Lew nie rusza się, nie ryczy,
 A jednak — bestja! — wciąż gotowy
 W sercu zatopić ci pazury.
 Na szczęście wziął je piasek bury,

Jak więźnia powróż, w swoje pęta,
 Lub, jak za dawnych dobrych czasów,
 Grzesznika inkwizycja święta.
 Inaczej uciekłby do lasów
 Palmowych — że to Egipt przecie —
 Lecz przedtem dobrze ząb w twym grzbiecie

Zanurzył, krwawą w nim pieczętkę
 Żłobiąc, co czasem i niewiasta
 Potrafi zrobić na pamiątkę...
 Lecz — uwięziony sfinks i basta!
 Więc ci tymczasem krwawe gony
 Nie grożą wcale z jego strony.

Spokojnie w jego patrz oblicze,
 Zranione w jakiejś walce wrażej.
 Kto wie! To piętno tajemnicze
 Na zagadkowej sfinksa twarzy
 Wycisnął może swymi kłami
 Jakiś ból straszny przed wiekami —

Na widok, że na pięknej ziemi
 Dzieje się pono niezbyt pięknie,
 Że brata brat szponami swemi
 Szarpie, dopóki brat choć jęknie,
 I że w ten sposób, godny kata,
 Ludzkość — tysiące lat się brata.

Nadejdzie czas — w to wierzę święcie!
 Że z tajemniczej sfinksa twarzy
 Haniebne bólu te pieczęcie
 Ustąpią. Czas, o którym marzy
 Ludzkość i który wciąż się zbliża,
 Lecz — straszną drogą mąk i krzyża.

Zabłyśnie dzień, może daleki,
 Lecz dzień ten wielki błysnąć musi,
 Gdy ci, co męki cierpią wieki,
 Ci, których szarpie kat i dusi,
 Dla których jeden Bóg obrońca,
 Dożyją strasznych mąk swych końca.

Nie będzie katów ani wrogów,
 Nie będzie braci-gnębicieli.
 Ludzkość się cała — nakształt bogów —
 Zmieni, podniesie, rozanieli...
 Szkoda, że przedtem nasze oczy
 Zje piach, a serca robak stoczy.

.....

Na tem się kończy „Ech“ część pierwsza,
 Z formy, z pomysłu rzecz nienowa,
 Ale ze szczerých — przenajszczerza.
 Jeśli nie znudzi cię osnowa
 Tych prostych strof, mój czytelniku,
 Choć w nich ci znajdą wad bez liku, —

To znowu może cię powiodę
 Przez pustyni piach, przez błękit morza,
 Może znów wspomnim lata młode
 I w marzeń wzlecim wraz przestworza,
 By czarem ich upoić dusze...
 Teraz — pożegnać cię już muszę.

Bądź zdrow! Z raz chociaż wspomnij o tem,
 Czem zabarwiałem dni mych ciszę.
 Inni do ciebie piórem złotem
 Przemówią, ja — najprostszym piszę,
 I czasem tylko w serca warze
 Stalówki koniec — trochę zmażę.

Nasławice, 14 VIII, 1909.



Pieśń IX „Ech“ drukowana była świeżo w „Kurjerze Warszawskim“, a pieśń X — w „Tygodniku Ilustrowanym“. Powtarzamy je tu jednak w całości ze względu na Czytelników „Sfinksa“, chcąc dać Im i zakończenie poematu, którego *wszystkie* poprzednie pieśni zamieszczone były na szpaltach pisma naszego. (P. A.)

MARJA GROSSEK.

D J A L O G I.

(Ciąg dalszy).



Kiedy mi pod niebiosa wysławiają te Muzy, które „zapomniały śpiewać o sobie, przejęte bólem nędzarzy” — (Aż tak dalece??)—uśmiecham się.

Wierzę w altruizm, ponieważ go widzę. Żyli na świecie Franciszek z Assyżu, Wincenty à Paulo, Baudouin de Courtenay, a kościół socjalistyczny zapisuje na swoim martyrologjum codziennie nowe nazwiska. Lecz wielcy altruści, ci właśnie, którzy kochali człowieka *aż do zapomnienia o sobie samym*, nigdy, o ile mi wiadomo, nie pisywali rymów ni powieści. Znamienne, że posiadający talent, zaniechali go z chwilą rozpoczęcia kariery „miłośnika ludzi”. Przestał być trubadurem Franciszek z Assyżu. Platon spalił swoje tragiedje z chwilą, gdy nadewszystko umiłował *dobro*. Sokrates poniechał pędzla, który dał światu Charyty. Wiera Figner w pięćdziesięciu dwóch latach wieku, po wyjściu na świat z „grobowca żywych” objawiła pisarski talent, którym *nie raczyła* zajmować się w pełni młodości, znaczenia i urody. W więziennej dopiero celi, zapewne w braku *lepszego* zajęcia, zaczęła pisywać wiersze.

Więcej jeszcze: Wiera Figner w epoce najzarliwszej swej propagandy, ignorując swój talent, *nim* właśnie, darem słowa, artystycznością natury wywierała ten nadzwyczajny

czajny czar na otoczenie, który zjednywał jej nauce neofitów z najróżnorodniejszych sfer społecznych. Komitet rewolucyjny, świadomy posiadania w niej niezmiernie niezapamiętanego skarbu, oszczędzał życie swej apostołki, usuwając ją troskliwie z pozycji niebezpiecznych. *I oto oburza się sumienie Wiery Figner*. Ona się domaga równego udziału w szansach męczeństwa i śmierci. „Uważałabym — mówiła — za podłość, popychać innych na drogę, którą nie idę sama”.

Tak, wielcy altruści — to byli wszystko twardzi ludzie czynu, a chociaż słowo jest także pewną jego formą, sam czyn jest przecież swoją własną formą najdoskonalszą i zgoła bezpośrednią, co go czyni *niezastąpionym* dla serdecznej natury „sług cierpienia”.

Piękne są te lzy brylantowe, które Poezja roni na „płowe główki” naszej dziatwy wiejskiej, ale grzebię i elementarz stanowczo więcejby im się przydały. To też, gdy kapią, jak deszcz jesienny, aż do mańjery, dziwię się, czemu ta wielka Miłość kocha ich tak „gabinetowo”. Matka chorego dziecka nie odda na opiekę pielęgniarki, aby, zamknawszy się w swoim gabinecie, zrobić z tego nieszczęścia poemat. Doumic zauważył, że ta minimalna dobroć, jaką rozporządza dzisiejszy człowiek, wyładowywa się całkowicie w utworach belletrystycznych i wsiąka w papier.

Jabym tę kosztowną essencję zostawił *dla życia*.

Przez serce poety przepływające uczucia gromadzić muszą wydawać od czasu do czasu utwory w stylu Dziadów i Wesela, w momentach szczególniejszego napięcia toku życia zbiorowego, gdy puls jego podnosi się w gorączce lub opada w marazmie, — ale *wyłączność* takiego nastroju jest *robioną*. Nawet wyjątek stanowiący w rodzinie poetów, Hiszpanie i Włosi, poeci — żołnierze, ci, których bohaterstwo nie było „gabinetowe”, którzy pobudki wojenne umieli grać nie na trąbach z papieru, nie poprzestając na łatwo-wdzięcznej roli wysyłania innych na śmierć: Calderon, De Vega, Dante i Tasso — i ci

Iwią część swej pieśni wyśpiewali u stóp Miłości. Franciszek z Assyżu, którego ręce nakarmiły tylu głodnych, jedyną swoją pieśń świętego wyśpiewał do Słońca w ogrodzie Klary. „Al, Italia“ Leopardiego jest może dlatego wierszem tak silnym, że wysoki gieńjusz poety ustrzegł go od napisania „Zbiorku poezji patrijotycznych“.

Byron, który bił się i zginął za wolność, był w poezji szczerym egotystą i sławnym autorem „Don Juana“, żadnym też holdów „wdzięcznej ludzkości“ nie odbiera. Lew Tołstoj nie wiadomo jeszcze, czy umrze za jaką zasadę, ale ponieważ napisał nie Don Juana, ale Niechludowa — odbiera cześć zupełnie taką, jak *sam Niechludow...* Tołstoj wszelako dóbr swoich chłopom nie rozdał, nie zrzekł się nawet hrabskiego tytułu na okładkach dzieł swoich, a z prostytutką — mam podejrzenie, iżby się nie ożenił. — Napisał? — no, to znowu nie jest tak trudno!

Ada Negri, powiadają, że wyszła za męża za bogatego fabrykanta. Ciekawa rzecz, jaki użytek zrobi ze złych owoców tyle przez siebie przeklinanego drzewa? — Oby tylko nie poszła na bał, ustrojona w najdroższe koronki, w te właśnie, przy których ślepną robotnice.

Panowie! — nie posądzajcie mię, na litość, że się podjąłem obrony przyjaciela w podstępny zamiarze oszkalowania poetów, a przynajmniej obniżenia ich natury! —

Miałem tylko zamiar wyjaśnić *nieporozumienie*, które was różni. Miłuję nadewszystko czystość typu i szczerść wyrazu, — wierzę bowiem, że wszelkie fałszowanie oddala od nas na nieokreśloną odległość wszystkie nasze cywilizacyjne cele.

Doprowadziwszy do karkołomnej wysokości Babel naszej kultury, dostaliśmy pomieszania nie już języków, ale pojęć samych. Wymagając od poety odwrotności jego natury, zmuszamy go do fałszu i powołujemy do życia bezpłodne hybrydy.

Instynkt każe poecie mówić tylko o sobie. Zostaw-

cie mu swobodę! Niech was nie oburza nieużyteczność takiego zatrudnienia. Mam nadzieję, że nie wytrujecie słowików dlatego, iż są niezdatne na kuchnię? Jakkolwiek w przyszłej Arkadii Kollektywizmu ziemia zamieni się w jeden nieprzerwany ogród warzywny, gwoli zaspokojenia wszystkich żołądków, żywię jednak pewną nadzieję, że zostawicie przecież choć kilka grządek dla tych *nieużytecznych róż i lilji?* Któż bowiem z was dojdzie do takiej skrajności w utylitaryzmie, ażeby piękność uważał za niepotrzebną? Kto może zakwestjonować *użyteczność szczęścia?* Czy mąż dojrzały pyta, naco mu jest potrzebna jego stara matka? Kto ma do natury żal za zmarnowanie takiej masy płynnego złota na ten przepych, ten nadmiar włosów swej kochanki?

Pocóż się doszukiwać w sztuce innej użyteczności nad tę, którą posiadają rzeczy boskie? Na tej samej zasadzie, co różę i słowika — zachowacie poetę i jego osławioną „wieżę z kości słoniowej“. Nie poto wszakże aby wam śpiewał o nędzach życia. Przeciwnie! Wy go będziecie uwielbiać dlatego, że on wam *pozwole o życiu i o jego nędzach zapomnieć!*

Zapomnienie — bytu naszego podstawa. Ażeby żyć, musimy zapominać o śmierci, — ale życie od śmierci jest sroższe, ażeby żyć musimy się odrywać od życia. Musi być zawsze jakiś święty Przybytek, wolny od kramarzy, gdzieby każdy mógł uciec od swego nieszczęścia i choć zapłakać w ciszy... U drzwi jego, zatrzaśniętych za nim, będą czatować harpje, które ścigały ofiarę aż do ich progu, i które ją u wyjścia znów pochwyca, ale tymczasem Dusza odpocznie na wysokiej wieży rozmyślenia, gdzie cisza wieczności pada na serce, a wobec gwiazd maleje nawet nieuleczalne cierpienie.

Ja przynajmniej, gdybym był tym męczennikiem fabrycznym, któremu nad uszami bije od rana do wieczora młot tysiącopudowy, jabym wpadł w rozpacz i wściekłość, gdybym jeszcze w sztuce odnalazł echo mojego piekła. Jabym od sztukmistrzów żądał *ciszy* wiejskich

południ, nad łanem kłoszącym się złoto, gdy od upału powietrze się trzęsie, jak pierś zdyszana, i tylko strzygą polne koniki. Jabym ich prosił o szklane nutki potracających się rosnych paciorek w dzbankach konwalji, gibanej wietrzykiem. Głosiki dzieci i młodziutkich dziewczyn, jak krople oliwy, goiłyby głębokie rany w mózgu moim, wyżarte hukiem piekielnym.

Na twojem miejscu—jabym *zamordował* tego, ktoby mi stworzył „Tragiedję Garbu.“

Fabryczna nędza nie jest nieszczęściem gorszem od kamieni żółciowych, raka lub wilka... Czemu nikt jeszcze nie wydał ich w pieśni? Skwar, zimno, niewyczas, cuchnienie, bolesność spracowanych członków, szturchanie i głód, zarówno jak ostre bole uszkodzonych organów—wszystkie te rozdzierające męczarnie ludzkiego bydłęcia dają taki ton bólu, wobec którego może są blade cierpienia moralne? Dowodem duchowe odrętwienie chorych i nędzarzy. Ale cierpieniom ludzkiego zwierzęcia Poezja *nie może dać u siebie miejsca*, albowiem ona jest po to, abyśmy mogli od nich się oderwać, abyśmy choć na chwilę mogli o nich zapomnieć!

Albowiem poezję stanowi *illuzja naszej czystej duchowości*.

Ja — panowie — jestem ortodoksem! — ja wierzę, jak naucza nasz marksowski katechizm, że wszystkie uczucia i myśli człowieka pochodzą z żołądka. Ośmielałam się zaproponować niewielkie tylko ograniczenie: *że tak jest niezupełnie*. Obawiam się mianowicie, że obfitość marchwi i wielkość kapusty przy matematycznie równym ich podziale wpłynie *nie tak bardzo* na poprawę naszego losu!

Pozostanie nam jeszcze chociażby taka bagatela, jak śmierć i starość! Zawsze nam będzie umierała Młodość!— Uderzy piorun z jasnego nieba w szczęścia dom! — Znajdzie się Serce zdradzieckie i przeniwiercze... Nieod-

wdzięczone Poświęcenie... Zapoznana Wielkość i Miłość, wyciągająca ramiona w próżnię...

O, puszka Pandory zawsze jeszcze będzie dość bogata! A kto wie, jakie nowe ulęgną się w niej zmije o jadach subtelniejszych, będących kwintessencją dziś znanych! — Wszak wtenczas dopiero syta i pewna dachu nad głową, cała massa ludzka pozna się *naprawdę* z cierpieniem moralnem.—Czem ono jest—zrozumiemy dopiero wtenczas syci i spokojni... Cienkie jego żądło w sercu cichem dopiero dotrze do nerwów najtkliwszych, które niem rządzą, i do najgłębszych ośrodków mózgu, którego uwagi nie oderwie już od operującego ostrza zgryzota dnia... Dusza ludzka osłupiałemi oczyma mierzyć będzie czarną otchłań: *taedium vitae*, której już nie zapełni troskai walka o byt. Jesteśmy tak szczęśliwi dzisiaj, kiedy nas nie dręczy.. Wówczas konać będziemy na pustyniach Nudy... w pragnieniu kropli szczęścia, którego sobie uświadomimy lepiej utopijność. O, jakaż to będzie tortura ta nieziszczalność wszelkiego marzenia. tego zwłaszcza, które się nazywa Miłość!

Godni zawiści wobec dzisiaj, bo *więcej cierpiący lecz wyżsi*, kto wie, czy nie jedyne szczęście znajdziemy wtenczas w poezji?—

Będzie zawsze cierpiało każde Uczucie, gdy, przekroczywszy miarę średnią, przestanie się rozumieć z ludźmi. I będzie uciekało po dźwięcznych stopniach rytmu, piętrami misternie uwiązanych strof, na Wieżę z kości słoniowej.

Świat, widziany z góry przez kolorowe jej różyce, przeobraża się w miasto djamentowe w ogrodach z koralu... Na tej fantasmagorycznej dekoracji wymajaczy Mu się jakaś Metafizyczna Tragiedja, będąca Jego kamiennej drogi po świecie wspaniałą transpozycją w sztuce. Cudne fikcyjne cierpienia oderwą Jego uwagę od tego, co *boli naprawdę*, a więc brutalnie, krwawiąco, i brzydtko, a męka Jego związana z jakimś przepięknem zmyśle-

niem, zaczepionem o gwiazdy, otrzyma stamtąd sens mi-
styczny, który ją uczyni i mądrą, i świętą.

Bo jeśli nie posiada kto daru przeobrażeń — poeta,
życia planodawca, rzeźbiarz i konstruktor dusz, upiększy-
ciel i dekorator świata, *nauczyciel uczucia*, poda mu
gotowe modele ku poematyzowaniu wypadków i heroizo-
waniu siebie.

Bez tego nie może się obejść żaden człowiek. Nikt-
by nie wytrzymał brzydoty i bezmyślności wszystkiego,
co jest, gdyby nie wierzył w piękność samego siebie
i w wielkość swoich przeznaczeń, których fikcyjny obraz,
poddany mu przez jakiegoś mistrza, w sobie nosi — a do
którego mniemając się być podobnym, *ku niemu postę-
puje*. Wieża z kości słoniowej jest więc *uczelnia uczucia*,
rzeźbiarnia, skąd na świat wychodzą wciąż nowe modele
dusz i formy życia. Tu się układa Mszał, który ujmuje
w słowa sakramentalne wszystkie wielkie momenta czło-
wieka, wedle rytuału którego odprawiają się wszystkie
Misterja Życia: miłość i śmierć, tryumf i męczeństwo.

* * *

Na chórze klasztorным zgromadziła się kapituła
mniszek, którym usta zamyka profesjonalne milczenie.

Nagle z szelestem tłum ich się rozstępuje, prze-
puszczając jedną, która staje na przedzie.

Prima otwiera boskie usta i wielka gołębia białego
sopranu wylatuje z jej piersi młodzieńczej.

Stała na powietrzu, na szeroko rozwartych skrzy-
dłach akordu, którym ją organ podtrzymał. Zagruchała
słodko przeciągłym trylem, jakby przywołując kogoś...

... kto nie przychodził.

Wtenczas ją zataczać niespokojne koła.... co raz
to szersze.... co raz to szybsze....

Szukała.

Niecierpliwie biła skrzydłami.

To się wznosiła, to znów opadała ku ziemi.

Aż nagłym porwana natchnieniem, jak srebrny grot
rozdarła powietrze i przebiła niebo!

To była nuta, której słuch się *przeraził* i spuścił od
głów po kręgach tragiczny dreszcz.

Siostry zamarły, nie odrywając od Niej modlitew-
nych oczów.

Ach, bo ta Wielka Siostra wyśpiewała to, co czują
one wszystkie.

One to wszystko tak przeczuły i przeżyły tak
samo.....

Tylko nie umiałyby nic powiedzieć....

Im nie daną jest *sztuka wyrazu*. Nie umieją czytać
w tej karcie, z której śpiewała Mądra. Niektóre tylko
cudne słowo do uszu ich dochodzi....

Pieśń była niedostępną dla ich pojmowania, ale ją
zrozumiały uczuciem.

Bo w nich jest wszystko to samo, co w Wielkiej
Siostrze. Nie tak doskonałe tylko, nie tak silne, nie tak
świadome — zwłaszcza.

Że jest w nich — nie wiedziały!

Pojedynczych momentów przeżywania pamięć ich
nie stapia w bryłę historii. Cierpiąc, nie umiałyby się
poskarżyć. Na co?... Szukały bez określenia przed-
miotu. Tkwilo to w nich w stanie boskiego embrjonu,
jak poczwarka motyla, która, na głos Przewodniczącego
lotem stada, zaczęła już dostawać skrzydeł.

Wielka Siostra dała im objawienie duszy ich wła-
snej, wypowiadając swoją Niebu i Ziemi.

* * *

Jeśli Poeta wypowiedział to, co czuje cała Fratrja
Dusz Niemych, której on jest najwyższym i skończonym
typem, — missja jego spełniona.

Głos jego, wyrывая te dusze unieściwieniu, *po-
wtórnie stworzył* je dla Wieczności. On jest przedstawi-
cielem ich skarg, ich posłem wobec Wieczności.

I taką jest jego apologja wobec Założycieli Nowego Świata.

LETUS.

Apologja zaszczyt ci przynosi, ale wymowa twoja jest straconą. Pomijam, że pogląd masz heretycki, z którym nie zgodziłaby się nigdy ortodoksja, że zapędzonoby nas niezwłocznie, jeżeli nie do szycia trzewików, to już w najlepszym razie do uczenia dzieci. Ale nawet przypuściwszy nadzwyczajny liberalizm w „Ojcach“, — ta wieża z kości słoniowej wśród nieobjętych okiem pół kapusty i buraków, a przy niej, jak sieroty u boku biednej wdowy, dwa rachityczne słowiki i kilka róż, chorych na suchoty, to jest tak śmiesznie łzawe, że na to nie można patrzeć nawet w pomysłeniu!

Nie, los poetów inaczej się rozstrzygnie w Nowym Świecie. Poeci, których heroizm nie jest „gabinetowy“, uciekną się do masowego samobójstwa, dla pozostałych zaś „dusz owczych“ „Ojcowie“ przeznaczą jakąś wyspę o łagodnym klimacie, gdzie będą trzymani ze spokojnymi melancholikami i innem kalectwem na równych prawach.

Ty jesteś heretykiem socjalizmu i obawiam się, że to na tobie potłuczone zostaną brzydkie garnki. A co o nas myśli ortodoksja, posłuchaj. „Revue des revues“ roku zeszłego ogłosiło ankietę: „Czy intelektualisci znajdą miejsce w nowym ustroju społecznym?“ Listy, powołanych do wypowiedzenia się robotników i szefów, wydrukowane zostały dosłownie. Zwracam uwagę, że spór się toczył o intelektualistów wogóle, których użyteczność, zdawałoby się, jest oczywistą. Artyści zaś zostali pokryci milczeniem. Nikt nie wspomniał nawet o poecie. Snać jego egzystencję znaleziono poniżej krytyki. Nie chodzi mi w tej chwili ani o treść, ani o wynik tej, zresztą ciekawej, ankiety, chcę tylko zwrócić uwagę, że samo postawienie takiej kwestji pod znak za-

pytania, stanowi już zjawisko wysoce charakterystyczne i o symptomacie zatrważającym! Nawet umizgi poetów społeczników widocznie są więc nadaremne.

Nie — my zginiemy pod gruzami Starego Porządku, ale niechaj drżą łydki pod każdym pracownikiem myśli.

TYMON.

Każdą naukę otacza wrzaskliwy tłum fanatyzmu: hysterycznych dewotek i ograniczonych szaleńców, szkoda jej więcej od wszystkich wrogów, ale tobie nie wypada się informować u oratorów z garkuchni. Idź lepiej posłuchać, co mówi Jaurès: „*Nie wierzę, aby człowiekowi mogło wystarczyć życie przyrodzone i życie społeczne. Jak tylko w ustroju społecznym urzeczywistni się sprawiedliwość, otworzy się przed nim wielka pustka, którą czemś trzeba zapełnić. Uważam za szkodliwe i zabójcze tłumienie aspiracji religijnych, etc.*“ Prawda, że to nie jest tak „zatrważającym symptomatem“, jak mowy oratorów ulicznych?

Chcesz, a odkryję ci tajemnicę serca, dlaczego jesteś à la figure triste rycerzem Starego Porządku, jak gdybyś był synem fabrykanta i bankierówny, albo biurokratą w którymś z państw absolutnych. Ja wiem, że to jest *lęk o tematy* — i to cię rozgrzesza. Boisz się, stare dziecko, o *rozmaitość widowiska, o poetyczność świata*, drżysz o klasyczne „kontrasty“. Żal ci jasełkowych figur: króla i żebraka, księżnej i przekupki, pana i chłopca, fabrykanta i robotnika. Co począć bez pojedynków, rewolucji i wojny? Dwudziestoletni synowie nie będą już prowadzeni na szafot. Nie otruje się piękna gryzетка, tymczasowy „konduktor“ elektryczności kształcącego się pannie. Nie umrze na suchoty student z poddasza w przeddzień otrzymania złotego medalu. Żadne dziecko nie zmarznie na ulicy w wigilję Bożego Narodzenia, żadna dziewczica nie będzie na ofiarę dla podupadłej rodziny wle-

czona przed ślubne ołtarze, żadnego więcej wypadku zdrady małżeńskiej. A nadewszystko żadnych pięknych „Desoeuvrées“! — razem z którymi cała świta snobów, kochanków par métier, „szlifierzy paznokcia“, „dyssektorów włosa na cztery części“ — wszystko to pójdzie na skład do „magazynu starych księżyków“.

Jakże tu bez nich pisać dramat, czy komedję?!

Żal ci ich?

A wszakże nas to wszystko śmiertelnie już znudziło na wieki!! Czy nie widzisz, że to jest stara garderoba prowincjonalnego teatru, szablony, które dzieci wystrzygują z papieru? Te typy i ich historie nie dają nam już absolutnie żadnych wrażeń. Cały ten świat już nam się nie podoba nawet, jako *widowisko teatralne*. *Na motyw sztuki nawet nie przydatny*.

I to jest ostatnim kamieniem jego potępienia.

Wszak Poezja, obrzydliwszy sobie życie jak nigdy przedtem, uciekła nawet z tych jego dziedzin, które po wszystkie czasy znajdowały się pod jej panowaniem. Wszakże piszemy teraz *On* i *Ona*, umieszczając ich w społecznej próżni, albo ich przenosimy do Egiptu, w Wojny Krzyżowe, w Pampasy, lub na wyspy N. Zelandji.

Czy nie widzisz, że Sztuka, czyniąc nadludzkie usiłowania, aby się odnowić, poszła do domu warjatów?

Tam jeszcze tylko leżały niedotknięte piórem charaktery i dramaty. „Pomysł chwilowo odświeżył twórczość“, „Chora dusza“ nie miała dotąd swego wyrazu w sztuce. Lecz „sztuka“ chora może zajmować tylko takie miejsce w sztuce wogóle, jakie w masie ludzkości zajmuje *ludzkość chora*. Bądź co bądź jest to pozycja wyjątku wśród reguły. Francja, która ją wynalazła dwadzieścia pięć lat temu, uczyniwszy sobie krótką rozrywkę z tego chodzenia na głowie, les pieds en air, ze zwykłą lotnością swego gieńjuszku już się ku niej zwróciła z krytyką ostrą aż do niesłuszności.

Nie mogąc odżywić sztuki jakimś prawdziwym odkryciem naturalnego źródła świeżej treści, pisarze rzu-

cili się namiętnie przynajmniej do odnawiania formy, drogą najryzykowniejszych paradoksów, sięgając po najwyższe ludzkie zdumienie.

Ale czy tak zdobyta oryginalność nie równa się czasem sławie Herostrata?

Jeżeli ktoś napisze, aby zerwać z szablonem: „Księżyc szczekał, a psy świeciły“, to wprawdzie niepodobna mu jest zakwestjonować oryginalności takiego „odczuwania“, na które bezwarunkowo nikt się jeszcze dotychczas nie zdobył, ale też i nie dobrze jest tak całkiem znów zapominać o warunku, że nowość obok samej nowości powinna jeszcze być *mądrą*...

Ach, właśnie! — — — i to, niestety, czyni z niej klejnot, który był najrzadszą rzeczą pod słońcem jeszcze za czasów Salomona, kiedyśmy byli o tyle mniej zblazowani.

Bezwarunkowo podoba się, gdy hrabina de Noailles porównywa „słodkie i białe wnętrze melona do naszego klasztoru“ i „słyszy zielony listek w gardle słowika“ na wiosnę. Niepodobna wszakże oprzeć się wrażeniu, że mówić *ciagle* tym stylem jest to samo, co chodzić *zawsze* na szczudłach. O ileż zaprawdę lżej się oddycha i pełniej przezroczystą atmosferą szczerego i prostego słowa, którym przemawia ta namiętna a czysta Héléne Picard, albo tragiczna Edmée Delebecque, jeśli już mamy się obracać wśród najmłodszego pokolenia poetów, a raczej poetek francuskich, w ręce których, zdaniem Emila Faguet, przeszła obecnie lira poezji natchnionej.

Nie, nie *to* jest Odrodzenie Sztuki. Bohaterskie i nadaremne wysiłki!

Nowego świata nowi ludzie wypowiedzą losy i uczucia nowe w formie naprawdę nowej.

Sztuka odrodzić się może tylko wtedy, gdy w kwiat jej przejdą bogate soki młodego świata. Dziś kwiat ten, bez względu na to, czy jest wyszukaną orchideą, czy zwykłą różą, *trupem trąci!* — Gdy fala Powszechnego Odro-

dzenia, zatopiwszy świat, przeleje się przez ogniste serce ludzkie, lawą jej stężeje w niewidziane dotąd formy.

Te będą normalne, szczerze i proste, bo *samorodne*. Oryginalności się nie szuka i znajduje w pocie czoła. Ona się sama nastrocza... Przychodzi świeża, naiwna, nic o sobie nie wiedząca, jak wszystko gienjalne, a narzuca się, jak *żelazny mus*. Grek, troszcząc się tylko o użyteczność domu i licząc z technicznymi środkami, stworzył wielkie style, *stworzyło je bowiem Życie*. — Mauc-laire tę samą metodę radzi dzisiejszym architektom, szarpającym się w niemocy stworzenia naprawdę stylu...

Nie bądź małodusznym. Poeto!

Patrz na ten Uśmiech Różowy, który na zachodzie roześmiany po całym niebie się rozlewał!.. Stadami czarne ptaki z żalonym krzykiem oczekiwania ku niemu lecą. Stamtąd wieją ku nam wiosenne prądy, tam już zbierają się deszcze rodzajne i lęgną święte pioruny, które zniszczą próchna. Stamtąd pójdzie po świecie Odrodzenie, Wielki Renesans życia i *twojej sztuki*.

Ja ani prorokuję, ani żądam, aby Odrodzenie dokończyło się wedle tej, czy innej formuły. Sam drwić nawykłem z karykaturalnych form, w które zakuwają Przyszłość pospolitych fanatyków umysły. Życie zapewne samo urobi dla siebie formę, o której nam się dziś nie marzy. W jakie linie układać się powinny jego fale natychmiastowe i najbliższe — to rzecz techników umiejętności społecznej i praktyki samego Życia.

Ja tylko jedno twierdzę:

Tak jak jest — nie może być.

Dusza moja zraniona w samym rdzeniu swego człowieczeństwa, pogwałcona w potrzebie, w instynkcie, w kulcie swoim: sprawiedliwości — — *protestuje!*

Ja nie wydaję żadnych dyspozycji, ja się tylko domagam, aby ta skodyfikowana, odwieczna, utrwalona obyczajem i tradycją, ulegalizowana rozumem, uświęcona moralnością i naznaczona krzyżem *zbrodnia* — uprzęta została z pod słońca.

Głos, prześladowający Maetterlincka, tak samo jak winowajcę, zagabuje znięcka i moje sumienie: „A ta niesprawiedliwość, wpośród której żyjecie, kiedyż jej wreszcie położony będzie koniec?“—

LETUS.

Melancholijny Szaleńcze, poetyczny Filozofie! Utopje twoje są dziksze od fantazji wszystkich razem wziętych wieszczów.

Istotnie Babel naszej cywilizacji doprowadziła nas do pomieszania pojęć, skoro ja, poeta, muszę filozofa nawracać na drogę logiki! Sentymentalna twoja filozofja radzi się serca, jaki ma być porządek świata. Tak jakby się o to pytały Nieśmiertelne Gwiazdy! Protestuj! — proszę cię, protestuj! Krzycz do nieba, zacisnąwszy pięście: „tak, jak jest, nie może być“. Mazur powiedziałby, że to jest kiwanie palcem w bucie. Ale jeżeli ono człowiekowi przynosi ulgę?.. Spróbuję... ja, który noszę garb na plecach, będę wołać wraz z tobą: „tak, jak jest, nie może być“. — Czy sądzisz, że to, co jest, zostało wybrane ku istnieniu z magazynu embrjonów bytu przez takich, jak ty, mędrców? — Ach, ach... mam smutne przecucie, że to, co jest, musiało być, — i dlatego przerabianie świata nie udaje się stale, jakkolwiek co roku próbują sił swoich w tym sporcie wszyscy obywatele, dochodzący lat dwudziestu.

Ach, ach... czyście pomyśleli, jaka to trudność zaprowadzenie sprawiedliwości w gromadzie ludzkiej, gdzie między człowiekiem a człowiekiem występują większe różnice, niżeli pomiędzy człowiekiem a koniem? Ależ opamiętajcie się! Równy los dany Rozumowi i Głupocie, Złej Woli i Dobrej Woli, Instynktom wyrafinowanym i Instynktom bydlęcym, czy może być bardziej krzyżująca niesprawiedliwość — podział więcej nierówny?

(Dokończenie nastąpi.)



TADEUSZ KONCZYŃSKI: PIELGRZYMI.

DRAMAT W TRZECH AKTACH.

A k t III.

(Wyżyna płaszczyna — olbrzymie głazy piętrzą się dokoła — w głębi jar głęboki, idący w górę pośród ścian skalistych, poczerniałych. Z boku chata ziemna. Słychać plusk źródła. Zachód słońca rzuca ostatnie promienie na halę — jar w głębokich cieniach. W dali bieleją szczyty lodowców).

SCENA I.

GRABARZ — SŁAWA.

GRABARZ (wchodzi — idzie ku chacie).

Hej, Sławo, przybywaj skoro—!
Sępy a kruki, w czerń zbite,
skrzydłami powietrze porą —
snać czują żery obfite.
A kij weź z sobą dębowy,
by cię nie wzięły za trupa
jak mnie,—com mało zbył głowy,
bo tych hultajów jest kupa —
(patrzy w niebo).

SŁAWA.

(wychodzi z nory — śliczna, rosta kobieta — w spódnicy trzyma mnóstwo gałązek kosodrzewiny i kwiatów polnych — w ręce zaczęty wieniec).

Dopomóż mi wyjść, bo ręce
mam obie pełne roboty —
Dzięki ci, grabarzu złoty —
patrz, co mam kwiatów w sukience.

GRABARZ.

Kwiaty! wciąż kwiaty kochanie —
na wieńce czas później będzie.
Coś niedobrego się stanie,
bo onych sępów orędzie
i kruków niezwykle — ano —

SŁAWA.

Markotny byłeś już rano.

(plecie wieniec, usiadłszy na kamieniu, nuci):

Wianuszek uplotę świeży —
rzucę na kurhan rycerzy —
w tym jarze zginęli,
na wieki posnęli —
lalala, lalala —

Chodź kwiecie biały do kwiatu,
umarłym będzie objata —
na szczyty się pięli,
na wieki posnęli —
lalala, lalala —

GRABARZ.

Oj będziesz miała co śpiewać
i komu — oj będziesz miała.
Sfinks.

Czarny mi fartuch trza wdziewać
i grzebać pomarłe ciała.

SLAWA.

Żaliż ich będzie tak mnogo?

GRABARZ.

Więcej niż grzebać nastarczę.

SLAWA.

Kto oni? czy niosą tarcze
i mieczem władają srogo?

GRABARZ.

Wciąż śpiewasz i splatasz wieńce,
a wiek zaś za wiekiem mknie
i inne idą straceńce
na góry, a tyś jak w śnie — —

SLAWA.

Kto oni zatem? lutniści?
czy pustelnicy? żołnierze?
czy zapaleńcy wieczyści,
co prawdzie niosą w ofierze
swe życie?

GRABARZ.

Nie wiem — to jeno
widziałem z Wieży Skalecznej,
że w wielkiej gromadzie żeną
przełęczą tam, gdzie próg wieczny.
Sługi mi mówią, że dzieci
i starce i białogłowy
są w tłumie — w ciągu stuleci

nie pomnę, by w Jar Grobowy
szły kiedy takie zastępy —
szaty ich padają w strzępy —
giną z pragnienia i głodu,
z mąk i utrudzenia bólów
a ponoć idą od wschodu
z kraju, co żywi trzech królów —
Kraj ten od brzegu do brzegu
stoi pod wodą, jak w śniegu.

SLAWA.

Ach, smutną przynosisz wieść —
kwiatów nie stało,
patrz, jak ich mało,
z czego mam wieńce im pleść?

GRABARZ.

Dość, gdy nad ich mogiłami
zaśpiewasz pieśń nad pieśniami.
Nie płacz — jakżeś dziecinna
Stawo! tak płakać o kwiecie —
tyś przecie temu niewinna,
że kwiat nam zżęły zamiecie.

SLAWA.

Ach tak, nad ich mogiłami
zaśpiewam pieśń nad pieśniami.

GRABARZ.

Patrz, oto Wieczność świetlista
Jarem Grobowym zstępuje.

SLAWA.

Czy ona ludzi miłuje?

GRABARZ.

Wiem jeno, że ona czysta.
Lecz chodź już — wybierz ustronie
co najpiękniejsze pod grób —
tam oni złożą swe skronie
po drodze mąk, łez i prób — —

SŁAWA (śpiewa).

Wianuszek uplotę świeży,
rzucę na kurhan rycerzy —
w tym jarze zginęli,
na wieki posnęli —

lalala, lalala —

(odchodzą).

S C E N A II.

WIECZNOŚĆ.

(WIECZNOŚĆ zstępuje powoli parowem — na głowie
jej płonie światło, które rzuca silny blask — przy-
staje na złomie kamiennym, wyniesionym nad po-
ziom hali).

WIECZNOŚĆ.

Z pałaców, utkanych z promieni,
z ogrodów, płonących od róż,
schodzę w kraj cieni
i smutnych dusz.

Z padołów zalanych żywota
wędrowcy zdążają przez krwie,
bo ich tęsknota
ku mnie się rwie.

Rzuciłam samotne komnaty
i złotych ogrodów mych woń,
ja, duch skrzydlaty,
tu chylę skroń —

i płaczę te ostre krzemienie,
tę czeluść bezduszną, ten jar,
gdzie zatracenie
zły sieje czar.

O bądźcie wędrowcy tak śmiali,
jak limby wyrosłe nad głąb —
tam w czarnej dali
Ducha jest zrab.

Kto w sercu swem mocen jak ognie
i mąk swych nie płacze ni krwi,
mąż ten zło pognie
i z pieśnią stanie u mych drzwi.

O tędy, o tędy przez złomy,
przez dzikie przełęczce i głębie
o tędy, gdzie goszczą jastrzębie
ku światłu przez śmierci ogromy—!

(odchodzi w dal jarem—światło jej gaśnie powoli).

S C E N A III.

UPIORY WODNE.

UPIÓR I.

Haha, kładka pękła w pół —
było na niej czworo ludzi —
trzask, plusk, wszystko poszło w dół,
chlup, bęc — żadne się nie zbudzi.

WSZYSTKIE.

Hahaha —

UPIÓR II.

Z śniegu kulę utoczyłem,
hop, hop, hopla — prosto z góry
po uboczu, po pochyłem,
przez lodowych pól marmury
gnałem na nich w dół z lawiną —!
jak ci ludzie marnie giną!

WSZYSTKIE.

Hahaha —

UPIÓR III.

Znacie komin czarnoskalny?
tam czyhałem, gdy się pieli,
wodospadu prąd nahalny
posłużył mi do kąpieli.
Odwróciłem jego łozę —
na łeb spadło im to morze.

WSZYSTKIE.

Hahaha —

UPIÓR I.

Ale pną się wciąż pod górę —
jeden zginie, drugi lezie.
Darmo im garbujem skórę,
darmo wszystkie gwałty, rzezie —
pną się ciągle, pną pod górę,

UPIÓR II.

Pan nam kazał wszystko czynić,
by ich wstrzymać.

UPIÓR I.

Tak się stało,
wyginęło ich niemało —
a że pną się, nie nas winić.

UPIÓR II.

Pan się wścieknie.

UPIÓR I.

Pan nas zbije.

UPIÓR III.

Pan nam poukręca szyje.

UPIÓR I.

Dalej za mną jeszcze raz —
spróbujemy czynić wstręty.
Ze Zawratu każdy głaz,
co potoczym na natręty,
śmierć poniesie, śmierć i lęk.

UPIÓR II.

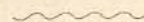
Kamień runie — zrodzi jęk — —

WSZYSTKIE.

Hahaha —

(wypadają).

(wchodzi KRÓL-DUCH z RYCERZAMI).



SCENA IV.

KRÓL-DUCH, RYCERZE.

KRÓL-DUCH.

Oto jesteśmy tutaj, gdzie drogi rozstajne
 wiodą w dwie strony — jedna prowadzi na hale,
 gdzie szumią łany kwiecica, zboża życiodajne,
 gdzie w słodkich szalach szczęścia gasną łzy i żale,
 a duch zamiera —
 druga przez ów jar czarny, kamienny, grobowy
 wiedzie na szczyty, kędy duch błyskawicowy
 lotu nabiera
 i w świat błękitów i gwiazd mirjadów,
 przez nawałnice i przez burze gradów
 wzlata — i zbliża człowieka
 ku wiekuistej Mocy.
 Oto ta droga pełna konania i nocy
 na mój lud czeka.

(idzie w głąb jaru ciemnego).

ZAWISZA CZARNY.

Żali nie złamie ich trud,
 zimno, pragnienie,
 bóle i głód?
 żali nie zniszczy ich wpierw zatracenie?

KRÓL-DUCH.

Nie wiem — tu kres mej władzy — tu miejsce roz-
 tutaj się nowy kształt ducha wyłania — [stania

(znikają w głębi wąwozu).

(Wchodzi RAFAL i SALOMEA — z przeciwnej strony
 wpada NIEZNANY).

SCENA V.

RAFAL — NIEZNANY — SALOMEA.

NIEZNANY.

Szalony wrogu — w poprzek mnie
 stanąłeś?
 i chcesz zwycięstwo, co się ku mnie gniewie,
 wyrwać mi z rąk? skąd ten bezwstyd wzięłeś?
 Chcesz, bym na ciebie rzucił błyskawice?

RAFAL.

Z krzywd się poczyna ducha lot —
 ja się tem szczycę.

NIEZNANY.

Bogdajby śmierci grot
 pierś twoją spalił!

RAFAL.

I szczęśny będę, jeśli lud ocalił.

NIEZNANY.

Niedoczekanie twoje! tu twój kres —
 Dotąd Król-Duch cię wspierał swoją mocą.
 Odtąd się żyjesz z swą dolą sierocą
 i nikt nie wesprze cię, duch ani bies —
 tutaj twój kres!
 Tu wielkie duchy cię opuszczają,
 bo im ta droga jest jak pęto —
 pójdziesz tym jarem, głązów puszcza,
 w pałacy śnieg i mróz zakłęta —
 lud będzie wody pił zatrute,
 będzie miał grady, zimno, plute,

będzie siał swoim trupem jar,
 będzie przeklinał pamięć twoją
 i będzie jako stado mar,
 lejące morze łez,
 a ty nie będziesz im ostoją!
 tutaj twój kres!!

RAFAL.

Czyni, co masz czynić — bez oręża
 potęgą wewnętrzną duch zwycięża.

NIEZNANY.

Choć jestem wściekły, ja mam litość
 dla tych nędzarzy, co tu idą.
 To już nie żadna pospolitość
 ich męka — to już jest ohydą
 ten bezmiar cierpień, jaki znoszą.
 Patrz — oto moje usta proszą.
 Stało się — tutaj na te wyże
 swój lud przywiodłeś — chociaż głębią
 zalałem drogi, domy, krzyże,
 choć się nad Polską chmury kłębią
 i leją potop — tu dotarłeś
 na nic niebaczny — oszalały —
 ja to uznaję — złudy zdarłeś
 z mych ócz — lecz dość już twojej chwały —
 odwróć zagładę od biedaków —
 wskaż im tę drogę, co w doliny
 wiedzie — niech zlecą nakształt ptaków
 na żer — ach pomnij, że dziecińcy
 małe są w tłumie, matki, starce!
 Czyż z nimi śmierć ma dzikie harce
 wyprawiać? jeśliś człek, toś łzawy
 jak i ja — wskaż im tę tu drogę —

RAFAL.

Odstąp odemnie, boś krwią krwawy —
 W piersi nie litość masz, lecz trwogę —
 ilećbo razy duch przechodzi
 przez te cmentarze niebosiężne,
 nowy się ogień z ducha rodzi,
 co w kształt zaklina sny potężne,
 a ciebie dławi—! otrzyj łzy,
 jeżeli płaczesz, bowiem psy
 na taki widok wyć gotowe.

NIEZNANY.

Ha, za to oni dadzą głowę!!
 Śmierć tobie, człeku, śmierć ludowi!!
 w waszych cierpieniach mój szął się odnowi!!!

RAFAL.

Poszedł i będzie poił swą podłotę
 zemstą, hyenie równy, co w krąg krąży —
 My chodźmy dalej — by ujrzeć Golgotę,
 kędy nasz naród ku świtom podąży.

(pośród skał czarnych znikają w oddali).

(chwila ciszy — słycać pierwszą zwrotkę pieśni
 pielgrzymów):

O pozdrowiona bądź kraino
 okrutna i nieznana nam —
 bracia i siostry w mękach giną —
 a żywi idą przez krew płam.

SCENA VI.

(kiedy pieśń cichnie, wchodzi chwiejącym się krokiem MARCIN i OJCIEC z SYNKIEM, wszyscy w podartych szatach).

MARCIN.

Nie zdzierzę — góry podobłoczne,
cudaczne — djable. Słabość czuję
w kościach i nogach. Na mchu spoczną — —
koniec przychodzi — cosik kłuje
mnie i żga w piersiach — wody, — wody —
wody choć ździebko, panie młody.

OJCIEC.

Skąd weźmiesz wody? choćby była,
pić jej nie wolno, boć zła siła
czyha tu wszędzie na nas.

MARCIN.

Wody —
w piersiach mi gore, pali — dusi —

OJCIEC.

Biedny Marcinie — pierwszy byłeś
tam, gdzie zawrotna przepaść kusi,
gdzie perć — i tak się wysiliłeś
i z sił opadłeś —?

MARCIN.

Wody, wody —
choć ździebko wody — zlitowanie
miejcie. Przynieście napój w dzbanie —

po djabła ze mną korowody
i tak tu zdechnę.

SYNEK.

Drogi Tato —
Patrz, tam jest źródło — chcę pić także.

OJCIEC.

Stój Jasiu! nie pozwolę na to!

MARCIN.

La Boga! źródło!! nie inakże
są u nas źródła!! —

(zrywa się i idzie)

wodo! wodo!

OJCIEC.

stój! stój!

MARCIN.

Zabiję kto na drodze!!

(wchodzi tłum kobiet i mężczyzn — MARCIN przy-
pada do źródła i pije)

MARCIN.

O jakie czyste, — zimne srodze! — —
ratunku —!! trza mi mrzeć tak młodo —!
źródło zatrute — — a!

(kona).

(dziewczyna przypada do źródła — pije).

OJCIEC.

Dziewczyno

umrzesz !!

DZIEWCZYNA.

Ja łaknę — !!

(tłum wrogo napiera na niego).

GŁOSY.

Nie broń jej!

— Radzę ci lepiej baczność miej,
byś żył!

(dziewczyna pada trupem—inni cisną się do źródła).

OJCIEC.

Rafale! wszyscy zginą!!!

RAFAL (wpada).

Precz stąd szaleńcy!! precz powiadam —
ja tutaj panem —! ja tu władam!

(tłum cofa się z pomrukiem).

Tu śmierć każdemu, kto pić będzie.

MAŻ.

Lepsza śmierć, niżli to konanie,
co w nasze ślady idzie wszędzie.

GŁOSY.

Lepsza śmierć — !!

MAŻ.

Daj mi wody, panie,
dla żony, — spojrzij, jak się stania.

RAFAL.

Czyliż los innych mniej ponury?
Bracia! poszłście za mną w góry
dla wielkich rzeczy dokonania.
Miałaby śmierć być naszym celem?
Zaiste trzeba było raczej
wziąć nam do ręki kij żebraczy
i iść za owym zbawicielem,
co wołał „zrzecście się swych praw,
a dam wam szczęścia pełne misy — “
trzeba nam było wybrać życie traw
i zatrzeć mułem ducha rysy
i tak, jak trawy, zmarnieć, zgnieć —
a wyście chcieli duchem żyć??
oto ja pierwszy padnę trupem,
jeżeli tutaj mamy rzec
„błogosławiona małość“ i tak lec
słabości łupem!

WÓJT.

Tyla zmarniało luda!
czyli ma zmarnieć jeszcze więcej?
trza, by mi ojcem był jagnięcy
honor, a matką zaś psia buda,
bym dał się zatłuc żywy.
Pan wszystko mierzy na porywy!
Nie pójdziem dalej!

GŁOSY W TŁUMIE LICZNE.

Nie pójdziemy —!

— — — — —
(słychać bliżej drugą zwrotkę pieśni pielgrzymów).

O pozdrowiona bądź na wieki
niepojęta i wiodąca w trud —

przez źleby, głębie i zasieki
 prowadź nas cichych w światła cud —
 (wchodzi nowy tłum—starzec staje przed RAFALEM).

STARZEC.

Oddaj mi dzieci, co pomarły
 na drodze!!

KOBIETA.

Sępy mi męża rozdarły!

RAFAL.

Rozpacz was łamie — duch jest niemy.
 (Wchodzi nowy tłum).

CHŁOP.

Było dziesięciu nas — spadła lawina —
 ja sam zostałem —

STARZEC (wskazuje na Rafała).

To jest jego wina.

MARCINOWA.

O moiściewy — wałą głowy
 z góry na głowę! kto podpadnie
 pod kamień, leci w ciemne jary
 jako ptak —!

STARZEC.

On nam życie kradnie!

MARCINOWA (sposzrzega trupa swego męża).

Jezus Marja!!

(klęka przy nim, płacze, całuje, jęczy).

WÓJT.

Dalej ani kroku!

LICZNE GŁOSY.

Nie pójdziem dalej!

STARZEC.

Niech on zginie!
 niechaj pokaże, czy w potoku,
 co grzmi jak piorun, śmierć go minie!

GŁOS.

Ze skały strącić go!

INNE GŁOSY.

Ze skały!!!

STARZEC.

Dalej!! zgotujmy mu dzień chwały!!

OJCIEC.

Precz! precz, nędznicy — wczoraj zbawcą
 był dla was, dzisiaj jest mordercą?

GŁOS.

On nas oszukał —

STARZEC (wyciąga sztylet).

O łaskawco —
 ciebie uczynim spadkobiercą
 rządów — a potem zginiesz tam, gdzie stałeś!

Sfinks.

RAFAL.

Odstąpcie wszyscy, co chcecie mnie bronić —
 starcze — na śmierć mnie dziś pozwalesz —
 ja gotów jestem pierś odłonić —
 masz sztylet w ręce — śmierć mi lekka
 uczyn — o uderz — cóż to? łzy cię pieką —?

STARZEC (odrzuca sztylet — ociera oczy — pada
 mu do nóg).

Daruj — bom z żalu pamięć wszelką
 utracił —

RAFAL.

Wstań i bądź znów wielką
 duszą — — —

(wchodzi nowy tłum pielgrzymów i śpiewa zwrotki
 pieśni — pierwszą i drugą zwrotkę w oddaleniu,
 trzecią, wchodząc na halę).

PIEŚŃ PIELGRZYMÓW.

I.

O pozdrowiona bądź kraino
 okrutna i nieznana nam —
 bracia i siostry w mękach giną,
 a żywi idą przez krew plam.

II.

O pozdrowiona bądź na wieki
 niepojęta i wiodąca w trud —
 przez żleby, głębie i zasieki
 prowadź nas cichych w światła cud.

III.

O pozdrowiona bądź i zbożna
 pielgrzymom z odległych stron —
 w przepaście, ciemnie i śmierć można
 daj nam u kresów ducha plon.

RAFAL idzie ku SALOMEI, głowę opiera na jej ra-
 mieniu, odchodzi z nią na ubocze i wybucha płą-
 czem).

(ściemnia się — łyska się).

SALOMEA.

Zagasa światło dnia.

GŁOSY.

Burza nadciąga —

— Gdzie się schronim??

— Ptak się ukryje w dziupli pnia,
 a my??

— Przez pustki dzikie gonim
 i kładziem głowy jak las święty

(łyska się).

— Patrzcie! piorunu jasne skręty
 rozdarły ciemność —

— śmierć widziałem —

— Tu pomrze wszystko, co jest ciałem —

(wchodzi GRABARZ w czarnym fartuchu, prowadzi
 MATKĘ Rafała i sadza ją na kamieniu—w drugiej
 ręce trzyma zapaloną latarkę—SŁAWA niesie wie-
 niec spleciony—tłum się skupia koło nich i słucha).

RAFAL (do Salomei).

Patrz — jestem znowu jako dziecię
 bezsilny — łzawy —

zwycięzam — padam — los mną miecie
 jak ździebłem trawy —
 Spójrz na te tłumy zbite męką —
 jaka ich dola? co jest jej poręką?
 ja — z nich najśłabszy? najmniej godny?
 ratuj nędzarzy tych —!

SALOMEA.

Zwątpiłeś?

RAFAL.

Jestem pełen myśli złych —
 Drzę z trwogi o nich.

SALOMEA.

Bądź pogodny —
 Duch drży, gdy kocha, i chociaż upada,
 znów jak ptak wzlata i na szczytach siada.

(RAFAL pada jej w ramiona — łyska się).

GRABARZ (do tłumy).

Burza nadciąga —! nad grobowym jarem
 dziś widmo białe pełzało oparem —

(piorun oświeca głąb jaru).

Tam sęp, gdy zbłądzi, to z trwogi nie krzyczy.
 Tam wasza droga! grabarz szczęścia życzy —

SŁAWA (podchodzi ku Rafałowi).

Pozwól rycerzu — splotłam świeże kwiaty.
 Na skroń ci włożę, bo idziesz w zaświaty.
 Niechaj cię chłodzi ten zielony liść,
 gdy sen cię zmorzy — i przestaniesz iść — —

GRABARZ (wyrywa jej wieniec).

Na potem kwiaty — żyje jeszcze —

SŁAWA.

O — on jest mój —
 tą myślą ja się pieścę.

GRABARZ,

Panie! ty się jej bój —!

KILKU LUDZI (przypada do Rafała na kolanach).

Ratuj nas!!

TŁUM.

O miej zmiłowanie!!

INNI.

Wyrwij nas z śmierci rąk —

INNI.

Dość naszych łez i mąk.

SŁAWA.

Jak rycerz umrzyj pięknie, panie.
 (zaczyna dąć wicher — łyska się częściej i poczyna
 grzmieć).

ŚMIECH OGROMNY.

Ahahaha —!

RAFAL (staje na kamieniu w głębi u stóp jaru).

Rodacy — nie chcę taić nic przed wami.
 Tu kres — tu przełom — tu rozstajne drogi.

Pierwsza w doliny wiedzie — tam pójdziecie sami
bezemnie — druga przez skalne rozłogi,
przez nawę męki prowadzi na szczyty.
Nie wiem, czy kto z nas dojdzie pod błękity,
ale ja idę tam —!

ŚMIECH.

Ahahaha!

GŁOS NIEZNAWEGO (w jarze).

Pójdiesz sam!!

ŚMIECH.

Ahahaha —

RAFAŁ.

Czas nam się rozstać — szliście, póki siły
ducha waszego starczyły —
dalej was nie śmiem wieść,
bo w jarze trupy trzeba grześć
co krok —
Jeno, w kim duch trwa jeszcze, niech idzie w ten mrok.
Jeślim zawinił w czemkolwiek, wybaczcie —
kochałem waszą duszę i jej lot —
chciałem ją porwać w ramion splot
i nieść na szczyty — nie płaczcie —
bracia i siostry żegnam was —

GŁOS NIEZNAWEGO.

Umrzeć ci czas.

ROBOTNIK.

Pójdę za tobą — ojcem był mi chłód —
matką łzy i nędza — a czy blask,
czy się tam w niebie robi trzask,

o to najmniejsza — choćby w piekła gród
pójdę za tobą!

GŁOS NIEZNAWEGO.

I umrzesz!!

OJCIEC.

My z tobą.

GŁOSY.

I my! i my!

GŁOS NIEZNAWEGO.

I wy umrzecie —!!

ŚMIECH.

Ahahaha —

(część tłumu skupia się koło Rafała).

MATKA.

Będę płakała moje dziecię
i będę po niem chodziła z żalobą —
synu bądź zdrów —
ja jeno łzy mam na obronę — —
duch ciebie wiedzie w tamtą stronę,
to idź, bądź zdrów —
Ja słaba jestem, nie zdążę za tobą —
Lecz mnie nawiedzaj czasem pośród snów —
o bo ja ciebie kocham tak ogromnie —
pamiętaj o mnie —
bądź zdrów — —

(całuje go i ściska).

GŁOS NIEZNAWEGO.

Na zawsze!! — na zawsze — !!

MATKA (wybucho płaczem).

ŚMIECH.

Ahahaha!!

SALOMEA (podaje obie ręce Rafałowi).

RAFAŁ.

O Salomeo — i ty żegnasz mnie?
to moje drogi będą coraz krwawsze
i coraz krótsze dni —

SALOMEA.

Na wyższe drogi idą wyższe duchy —
Jam tutaj doszła pośród zawieruchy
mojego życia — ty idź dalej —
od błyskawicy jaśniejszy i stali —
Ten pocałunek ostatni na drogę —
Żegnaj, o żegnaj mi — !!

(w głębi jaru w snopie światła ukazuje się KRÓL-
DUCH i jego rycerze).

KRÓL-DUCH.

Ja was wspomogę!!!

ŚMIECH.

Ahahaha —

(zrywa się szalona burza — zamieć śnieżna zasy-
puje jar, pioruny jeden po drugim biją w wąwóz—
wicher gwizdże i wyje rozpaczliwie).

RAFAŁ.

Dalej w drogę!!

(idzie w górę jaru—za nim część tłumu).

KRÓL-DUCH.

Idźcie zwyciężać! w tym jarze grobowym
duch wiekuiście brał trud na ramiona
na tych granitach znajdziecie znamiona
powypalane płaszczem Chrystusowym —
Tam to padając
i znów zmartwychwstając,
duch się wyzwalał z pęt ciemnego bytu
i człowieczeństwo wiódł pod dach błękitu —
tam się spełniała odwieczna objata
i z form pękniętych wstawał — nieśmiertelny czyn,
co nowe słońca prawd nad pustką świata
zapalał i w proch obracał przemoc zbrodni, win.

(Rafał z tłumem dociera do skały, na której stoi
KRÓL-DUCH).

Idźcie zwyciężać — daję wam pochodnię,
com ją przez wieki niósł przed wami godnie —
idźcie zwyciężać!!

(jeden z rycerzy podaje Rafałowi pochodnię).

(KRÓL-DUCH płomiennym mieczem wskazuje w głąb
na szczyty—tumany śniegu—jęk wichru—oślepiają-
ce blaski piorunów — tłum, który pozostał na hali,
pada na twarz — RAFAŁ idzie z tłumem w górę
jaru—śpiewają pieśń pielgrzymów).

GRABARZ.

Czuję ziemi drżenie.

Schrońmy się Sławo —

GŁOS NIEZNANEGO.

Śmierć i zatracenie!!

ŚPIEW.

I.

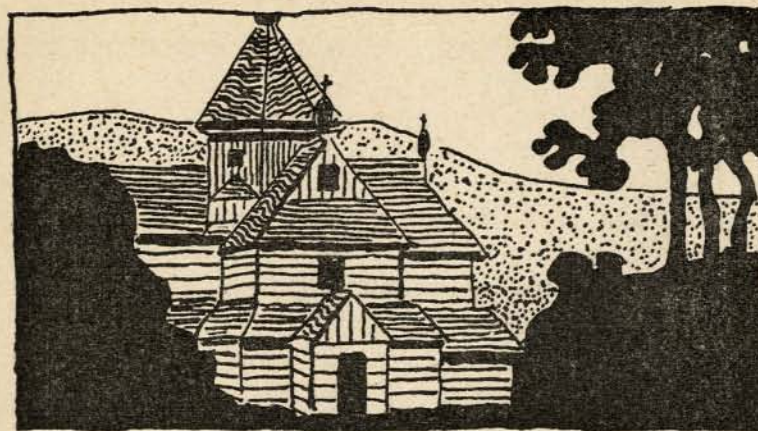
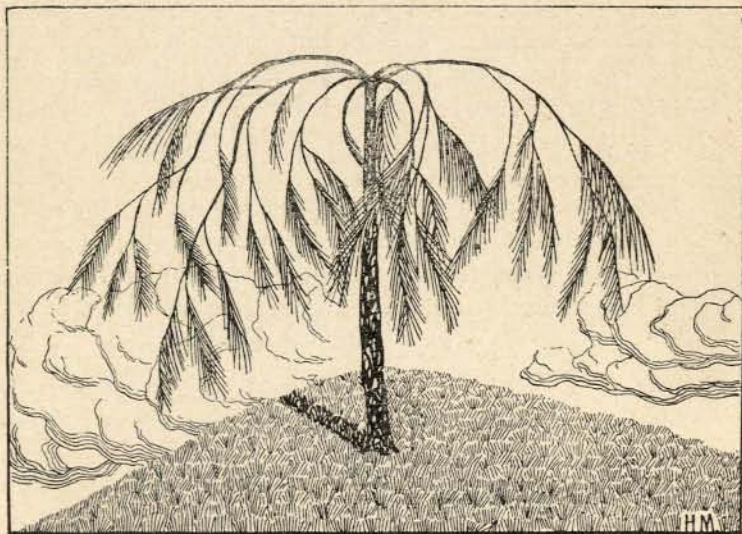
O pozdrowiona bądź kraino
okrutna i nieznana nam —
bracia i siostry w mękach giną
a żywi idą przez krew plam —

II

O pozdrowiona bądź i zbożna
pielgrzymom z dalekich stron —
w przepaście, ciemnie i śmierć można
daj nam u kresów ducha plon...

Kraków, 1906 r.

KONIEC.



BRONISŁAW PIŁSUDZKI.

NA NIEDŹWIEDZIEM ŚWIĘCIE U AJNÓW

Z WYSPY SACHALINU.

(Ciąg dalszy).

Stopniowo podniecający napój zaczyna działać. Ponurość i napięcie znika z oblicza. Niema pary, któraby nie prowadziła rozmowy. Sakie, dar bogów, robi swoje, wywołuje radość, daje zapomnienie bóleści i goryczy życia. To jeden, to drugi z amatorów tańca wyskakuje, wpada do koła i z zapalem skacze i krzyczy, zachęcając innych. Gospodarz zwykle zamawia tancerzów stałych. Oni się zobowiązują pozostawać na stanowisku przez cały czas święta i ustępują tylko chwilowo, o ile znajdą chętnego zastępcę. Co do kobiet, to ponieważ niema obawy, aby się popiły, więc specjalnie ich się nie zamawia, i koło ich częściej się zapełnia nowymi osobami. Czasami ten lub ów mężczyzna wskakuje z żartami do koła ko-

biet i, starając się przesadnie naśladować ich ruchy, wzbudza powszechną wesołość.

Obok starszyny przed narami robią możliwie dużo miejsca, i tu się przesuwa jeden za drugim podpici goście, umiający śpiewać. Przysiadają rytmicznie i opuszczają zlekka wyciągnięte naprzód ręce, defilując przed siedzącymi brodacami, którzy im w takt klaszczą w dłonie i pochylają swe uśmiechnięte, pełne błogości oblicza. Oto parę z tych prostych i krótkich piosenek:

„Jam stary już, młodzież przygotowała sakie, Naure nao e-e-e-e; Dziękując za sakie, piosenkę zaśpiewam, Naure nao e-e-e-e. Będąc już niedołężnym starcem, wyrażam swą wdzięczność, wykrzykując tę piosnkę. Naur — —“.

Albo: „Tę piosnkę sam ja ułożyłem. Od młodości nią tylko tęsknotę rozpędzam, różnemi czasy zmuszałem bogów, aby jej słuchali. By bogowie o mnie pamiętali. Tak czyniąc, żyłem. I teraz już stary wciąż piosnkę tę śpiewam. I zawsze będę się starał, aby bogowie ją usłyszeli.“

Te śpiewy zlewają się z wykrzykami tancerzy i coraz głośniejszemi rozmowami, opowiadaniem myśliwskimi i nawet klótniami setki zebranych. Klótniowych jednak starają się pogodzić, lub zawadzaków odciągają i wyprowadzają na podwórze. Sakie więcej już nie rozdają. Gospodarze starają się, by tej nocy wszyscy mieli przytomność umysłu, która będzie potrzebna przy wprowadzeniu niedźwiedzia. Starzy rzucają się na koncepty i zaczynają grać w węzelki. Przyniesiono cały pęczek suchej trawy i na jednej z nich zrobiono węzełek. Kto wyciągnął, ten miał być uraczony jeszcze jedną dodatkową czaszą. Zamiast sakie dawano gościom ryby i herbatę. Zabrakło wody i miano już iść po nią, gdy starzy zawołali, że trzeba ciągnąć losy, kto ma pójść po wodę z jedną z młodych gospodyń. Znowu wyciągano trawki i szczęśliwy wybraniec losu poszedł z cebrem w rękę aż do rzeczki. Młoda kobieta, trochę zażenowana, wyszła jednak w ciemną noc z mało znanym mężczy-

zną. Nikt, co prawda, nie mógł podejrzewać czegoś złego, bo według starych zwyczajów Ajnów, znacznie nadzarpniętych co prawda przez nowe, podczas święta obowiązywała wszystkich, a zwłaszcza gospodarzów, czystość obyczajów. Inaczej niedźwiedź przed zabiciem da dowody pobudzenia płciowego, i grzech gospodarzy zostanie w ten sposób przed zebraną publicznością ujawniony.

Z gromadką rozbawionych podrostków wyszedłem na dziedziniec i zbliżyłem się do klatki niedźwiedzia, koło której podrastające dziewczynki, pod kierunkiem jednej już dorosłej, wprawiały się w tańce i uczyły się nowych wykrzyków.

Tamkin dopędził mnie i upewniał, że mogę iść odpocząć, bo już większość gości rozchodzi się również na krótki odpoczynek, zostaną tylko tancerze. Radził i mnie się posilić i zasnąć do świtu, gdy wszystkich obudzą i zbiorą koło klatki niedźwiedzia. Wracalem do swej kwatery, zamysłony nad tą nadzwyczajną umiejętnością urządzania zabawy na tak małej przestrzeni. Cały ceremoniał podejmowania gości był tak prosty, a jednak był tam pewien ład, harmonija ruchów, czego wymagał instynkt artystyczny pierwotnego człowieka.

Po godzinie wstąpiłem znowu do jurty. Zostałem w niej tancerzów, lecz nawpół sennych, mężczyźni posuwali się leniwo, a kobiety siedziały na ziemi i, wykrzykując taneczne dźwięki, biły w takt prawą ręką po kolana. Gości było niedużo i nie znać było najmniejszego ożywienia. Część kobiet siedziała po kątach, opierając się jedną ręką o podłogę i mileząc ponuro. Skoro tylko na widnokręgu pokazało się jaśniejsze pasmo zbliżającego się świtu, usłyszałem cichy, stłumiony płacz. Dwie staruszki, zakrywając oczy, wyszły z jurty i podeszły do klatki. Upadły na ziemię i, przycisnąwszy do niej głowy, płakały coraz to głośniej. W kilka minut koło nich zebrało się kilka dziesiątków mężczyzn i kobiet. Ze wszystkich jurt wychodzili goście, przyłączali się do płaczących.

Wiedziałem, że Ajnowie skłonni są do łez, ale nigdy nie przypuszczałem, że mogą płakać, jak dzieci. Jedni siedzieli, drudzy stali przy klatce, kobiety leżały na ziemi i wszyscy wylewali potoki łez. Szlochania stawały się coraz silniejsze. Kobięce głosy w wysokich drżących nutach, pełnych smutku i rozpacz, przeszywały serce, wstrząsały i moje niczem nie wzburzone nerwy.

Gdy się przyjrzałem bliżej tej zbitej masie ludzi, zanoszących się od płaczu, zauważyłem kilka postaci, około których skupiały się inne i do których przysuwały się wciąż nowe. Byli to krewni nieszczęsnych topielców. Otaczający brali ich za ręce i, leżąc u nich na kolanach lub obok, płakali wspólnie, podnosząc rytmicznie ręce. Tak oplakiwano zmarłych, krewni wylewali swój smutek w historycznych szlochaniach, a zebrani starali się ulżyć im swem współczuciem. „Getheilte Schmerz ein halber Schmerz“.

Przez pół godziny byłem niemy świadkiem tej tragicznej sceny. Obok mnie stało kilku podrostków, chłopców i dziewczynek, którzy jeszcze nie zdolni byli odczuć cudzego smutku i więcej z ciekawością niż współczuciem patrzyli na bezgraniczną boleść ludzi, wesółych przed godziną jeszcze.

Zdawało mi się, że skargi tych dzieci przyrody szły wysoko do nieba i znajdowały tam oddźwięk współczujący. Mrok, symbol smutku i żałoby, zaczął powoli rzędnieć, ze wschodu szły słabe błyski światła, stawało się jaśniej w powietrzu, a może i w sercach znękanych ludzi. Otucha wstępowała w nich, wracała chęć życia, złota nadzieja obiecywała im, że ciężkie niezwykle próby nie powtórzą się. Powoli zaczęli odchodzić od reszty zebranych mężczyźni, wycierając oczy rękawami swych chałatów. Krzyki ustały. Ucichał i płacz. Tłum stawał się coraz rzadszym. Wkrótce zostało tylko kilka niepokieszonych staruszek, które tylko odeszły od klatki trochę na bok i długo jeszcze płakały, chociaż kilkakrotnie pod-

chodził do nich Tekunka i stanowczym głosem rozkazywał im zaprzestać. Płacz stanowiłby już dysonans ze świętem, które trwało w dalszym ciągu.

W jurcie zebrała się starszyzna i, zapijając sake, roztrząsała kwestję, kto rzuci się na głowę niedźwiedziowi, kto spotka go z „inau“ w rękę, gdy będzie wychodził z klatki, i kto powie mowę pożegnalną. Kilku dorosłych przysłuchiwało się zdaleka prowadzonym niegłośno debatom. Już nie tańczono. Tylko koło klatki kółko podrostków, prowadzone przez dwie dziewczyny, podskakiwało leniwie; niewprawne tancerki oglądały się ciągle na to, co się działo dokoła.

Więcej niż dziesięciu młodych mężczyzn usiłowało przez szczeliny między belkami klatki zarzucić na niedźwiedzia pętlicę z grubych i długich rzemieni ze skóry morskiego lwa. Niełatwą to było rzeczą, bo niedźwiedź wciąż się ruszał, biegał po klatce. Lecz wprawni Ajnowie, pomagając sobie pałeczkami, a więcej jeszcze hałasem i krzykiem, wreszcie dopięli swego. Obok klatki stały kobiety z dziećmi i stroiły je w zbutwiałe złotogłowy, japońskie i mandżurskie, i w świeże narzutki z jedwabiu nowoczesnego. Tak samo ubierano i starsze dzieci, które już mogły stać; były one bardzo zadowolone z niezwykłego ubioru i z ciężkich paciorków z kamieni różnokolorowych, które im wieszano na szyjach. Żadne nie kaprysiło i nie płakało, zdawało się, że były one przejęte swą rolą, którą i one musiały odegrać na święcie. Niedźwiedź powinien był zobaczyć przed odejściem, jak go uroczyście chciano odprowadzić. Wydobyto ze skrzyń rzeczy, które całymi latami leżą tam nietknięte bez użycia i nikt ich nie widzi. Część mężczyzn zajęta była wynoszeniem z jurty szabli, kołczanów, które zawieszano na ścianie, przyrządzonej w wigilję. Wyniesiono tam też i talizmany gospodarza, owinięte w kilkadziesiąt cienkich sznurków, skręconych z wiórów i nazywanych „inauru“. Tam też powieszono skrzynkę starą,

poczerniałą od dymu i starości, z nożami, używanymi specjalnie do krajania mięsa niedźwiedziego.

Gdy te przygotowania zostały ukończone i dowiedziano się, że i niedźwiedź jest gotów, cała publiczność wyruszyła na dziedziniec. Wszyscy spoglądali na tego, któremu wypadł zazdrości godny los chwycenia niedźwiedzia za głowę wobec tak liczego zgromadzenia i trzymania go dopóty, dopóki nie skończą go upiększać. Wśród młodzieży znalazłoby się dużo takich, którzy życzyli sobie pokazać swą zręczność i śmiałość. Lecz wola starszych jest święta, a oni postanowili zrobić przyjemność tym, którzy, nie żałując ani czasu, ani trudów, zrobili kilkaset kilometrów niełatwej drogi wzdłuż kamienistego brzegu morskiego. Obaj wybrani mężczyźni lat po 30, pleczyści i krępi, przyprowadzili do porządku swe ubrania. Przysiadając, zaciskali sobie pasy, ściągając kilka jeden na drugi włożonych chabłatów, mających ich zabezpieczyć od pazurów i zębów niedźwiedzia, gdyby on skorzystał z jakiegokolwiek ich niezręcznego ruchu. Zrzucano z wierzchu klatki belki i ciężary, z czego długo trzymany w niej więzień zaraz skorzystał, wskoczył na wierzch czworaka, zeskoczył na ziemię i oglądał się na otoczenie. Staruszek, niosąc jodełkę z przywiązaniem wiórami, podskakiwał przed nim, i uderzając nią po burem zwierzęciu, wypowiadał cicho krótkie życzenie, by ono nie robiło zła młodym ludziom, którzy chcą wyrazić mu swe uszanowanie. Rzemienie obwijały przez pół niedźwiedzia i szły w prawo i lewo od jego ciała; za koniec każdego trzymało po kilkunastu mężczyzn i uniemożliwiało jakikolwiek ruch zwierzęcia. Wokoło stało kilkudziesięciu młodych ludzi z kołami w rękach. Zaprowadzono go na placyk z boku jurty i wnet oczekujący stosownej chwili, by niedźwiedź opuścił oczy, Ajno wskoczył na głowę jego i objął rękami szyję, a brzuchem przyciskał mordę. Drugi towarzysz jego uczeplił się zwierzęciu, nie pozwalając, by niedźwiedź podrzucił śmiałka do góry. Jednocześnie rzuciła się cała banda mężczyzn

i kołami pookręcali łapy niedźwiedzia, a jedną ciężką żerdzią nacisnęli mu grzbiet, kilku usiadło na tył, nie pozwalając mu zrobić najmniejszego ruchu. Podano szeroki, długi, spleciony z trawy (nakształt ajeru) pas, do którego były dowiązane woreczki z włożoną do nich odrobiną różnego jada. Zaczęto opasywać niedźwiedzia przez pół, inni przyszywali do uszu jego kolczyki z wiórów. Cały czas gwar nie ustawał. Starzy, stojąc obok i siedząc na dachu jurty, dawali wskazówki, radzili i krzyczeli; odpowiadano im krzykiem, porozumiewano się między sobą co do możliwości utrzymania niedźwiedzia, dopóki nie skończą stroić go. A on wyteżył wszystkie siły, by się wydobyć z tego przykrego ucisku tyłu rąk i drągów. Widać to było z ciągłego przesuwania się to w tę, to w drugą stronę zbitej masy ciał ludzkich. Hałas wzrastał, trzymający głowę — nie mógł jej dłużej utrzymać, niedźwiedź wydobywał ją z uścisku i mógł go ugryźć. Trzeba więc było go puścić, i to jednocześnie wszyscy, by nie poranił nikogo. Gdy wszyscy już byli gotowi, odskoczyli z ogłuszającym krzykiem pierwi ci, co stali przed mordą niedźwiedzia, a wnet i inni, zostawiając znowu na środku placu otrząsającego się niedźwiedzia, spoglądającego już nie ze zdumieniem, ale z rozdrażnieniem na męczących go ludzi. Ponieważ trzeba było przyszyć do ucha jeszcze jeden kolczyk, więc powtórnie rzucono się na niedźwiedzia i dokończono tej ceremonii.

Gospodarz pozwolił potem pobawić się młodym i ci wyskakiwali to z jednej strony, to z drugiej, rzucali się na głowę zwierza i zaraz odskakiwali, nie dając mu możliwości schwycenia śmiałków zębami czy łapą. Obyło się bez nierzadkich w tych wypadkach poranień. Wreszcie procesja przysunęła się do miejsca, przygotowanego z wieczora do zabicia niedźwiedzia. Przed nim szedł gospodarz święta, niósł na sobie małą paczkę, zawierającą zapasy na drogę dla niedźwiedzia: w ten sposób okazywał mu swą uprzejmość. Za nim szło całe towarzystwo: starzy, dzieciaki i kobiety z dziećmi na rękach, i wresz-

cie staruszki, niosące w drewnianych misach i na płaskich półmiskach korzenie dzikich roślin, zaprawione tłuszczem fok. Gdy doprowadzono niedźwiedzia do płotu, ozdobionego i lśniącego się od słońca, które zaczęło właśnie posyłać swe jasne promienie, przywiązano go rzemieniami do dwóch wysokich słupów, twarzą ku wschodowi. Pierwszy raz zaryczało zwierzę i zaczęło ze złością kopać ziemię. Mało to jednak wzruszało otoczenie. Dano mu w długim korycie, gdzie zwykle karmiono go, ostatnie pożegnalne jedzenie, którego jednak nie dotknął prawie ziritywany i wymęczony pan lasów.

Nastąpiła najuroczystsza chwila święta. Podeszedł starzec, który miał dziś wypowiedzieć pożegnalne słowo do zwierzęcia. Wychowany przez ludzi niedźwiedź ma iść na wschód, a nie na zachód, dokąd odchodzą zmarli ludzie i dokąd idą też dusze zabitych w lesie niedźwiedzi. Dlatego też starzec był zwrócony twarzą do wschodu. W ręku trzymał on cienkie inau—oczyszczoną z gałązek jodełkę; na jej wierzchołku wisiały długie, powiewające wióry. Przysiadając, podnosząc i opuszczając inau w takt przerywanej swej mowy, drżącym głosem mówił staruszek niegłośno, lecz z powodu ciszy, która nastąpiła, słowa jego słyszeli wszyscy, stojący nawet najdalej. Oto jego mowa:

„Mój boski wnuku, my cię dobrze wykarmiliśmy. Więcej niż dwa lata przeżyliśmy wspólnie. W ten nowy dzień, uczyniwszy twe myśli lekkimi, kobiety i mężczyźni odprowadzają cię z żalem. Przygotowaliśmy dla ciebie „inau“, dla twej przyjemności rozwiesiliśmy szable. Postawiliśmy widłowaty słup, długi koniec jego jest blisko słońca, a krótki tylko trochę niżej. Twego „sinta“*)

*) Sinta — rodzaj sani, wogóle przedmiot, na którym w poematach bohaterowie czarodziejską siłą przenosili się na setki mil. Dla niedźwiedzia „sinta“ to wgłębienie w widłach słupa, na którym siedząc ma niby jechać do swych rodziców.

wierzchołki dotykają promieni słonecznych. Usiadłszy w środku, weźmiesz z sobą promienie, idące od świeżych inau i od zawieszonych klejnotów. Przywiązawszy się do „sintu“, wleć w górę. Męskim obłoczkiem podnieś się do obłoków. A w tym samym czasie z poza wysokich gór jasny obłok opuści się nadół i będzie patrzył na ciebie. A nad górami barankowaty obłoczek będzie się wznosił coraz wyżej. Patrząc na ten obraz i wzlatając na swym „sinta“, opuścisz się na spód góry, porosły lasem liściastym i pójdziesz po drodze, którą my tobie wskazujemy. Będziesz miał na karku, bliżej szyi, ciężar z inau, a bliżej ogona — z szabel. Zgiąwszy się od ciężaru, krokiem powolnym pójdziesz, potrząsając całym tułowiem. A w tym czasie ptaki - wujaszkwie *), którym ty poniesiesz traktament, ze wszystkich stron okrażą cię i krzyczeć będą. Tak ty pójdziesz, a na drodze zobaczysz ślady zwierza. Dużego śladu otwory parzyste i mniejszego też parzyste. Kierując się tym śladem, pójdziesz dalej po nowej drodze, która cię poprowadzi do wschodzącego słońca. Ta nowa droga tylko co zrobiona przed twem przyjściem przez twą matkę. Droga zaś, prowadząca ku zachodowi, kędy idą zmarli, to niebezpieczna droga. Idąc pierwszą, dojdiesz do swego domu. Gdy przyjdiesz tam, zaskaczesz od radości. Z pieśszcota spotka cię twa matka staruszka. Potem ty przypomnisz sobie to miejsce, gdzie rosłeś, gdzie ludzi dziadkowie od dawien dawna żyją i ciebie karmili. I do tej samej wsi, na drugi rok, wzamian za siebie, pošlesz podobnego sobie. Tego tylko wyczekiwać my tutaj będziemy.“

Ukończywszy mowę, stary oddał komuś z bliżej stojących inau i odszedł. Panowało wciąż głębokie milczenie. Wszyscy uważali, że stary, szanowany za swój rozum, wywiązał się ze swego zadania jak najlepiej. I niedźwiedź

*) Wrony.

był zadowolony, bo nie złamał inau, którem nad nim tak długo jednostajnie machano, z czego robiono wnioski, że na przysły rok napewno uda się złowić nowego niedźwiedzia. Gospodarz oglądał się pośród zebranych, by wybrać kogokolwiek, mającego strzelić do niedźwiedzia. Zawczasu namyślać się nad wyborem jest wzbronione. Powinien on się odbyć naprędce, bez przygotowania, w ostatniej chwili. Po kilku minutach, podczas których wszyscy czuli, że wzrok gospodarza przebiega po nich, i niektórzy się chowali za plecy innych, a inni przeciwnie starali się wysunąć, by zwrócić na siebie uwagę, gospodarz zawołał 22-letniego wysokiego chłopca, swego krewniaka. Zażenowany zarumienił się, jak dziewica, i, odszedłszy parę kroków, obrócił się plecami do publiczności, jakby protestując przeciwko wyborowi. Jednak musiał ustąpić na leganiom starszych. Podano mu łuk z twardego białego drzewa biereskletu (Evonymus), mocno naciągnięty, i strzałę. Starzy dawali rady, patyczkami wskazywali miejsce, w które trzebaby trafić, by strzała doszła do serca. Kilka razy podejmował strzelec łuk, napinał go i znów opuszczał, bo niedźwiedź wciąż się ruszał, zmieniał postawę i jakby nie chciał stanąć przed swym zabójcą lewym bokiem. Wreszcie strzała została wypuszczona i wpiła się w ciało zwierza, który ryknął groźnie i, wściekły, chwycił łapą za sterzącą w boku strzałę. Ciemna, a potem jaśniejsza krew buchnęła z rany. Niedźwiedź tracił siły i po kilku gniewnych ruchach łapą, którą kopał ziemię, członki jego wyprężyły się, oczy wywracały się boleśnie, spoglądając na otoczenie, jakby robiąc mu wyrzuty, i wreszcie osunął się bezwładnie na ziemię, cicho, spokojnie oddychając i konając. Strzelec, stojąc cały czas o cztery kroki, przyglądał się z zatajonym oddechem agoñji, chcąc się upewnić, czy dobrze trafił: czy nie trzeba będzie puścić jeszcze drugiej strzały, co byłoby przykrem i dla gospodarza, i jemu odebrałoby na dłuższy czas sławę. Kilku starców rzuciło się na drgającego jeszcze niedźwiedzia,

przyciskając jego ciało, nie dopuszczając, by ono zeszywniało, przyjąwszy jakąś wykrzywioną pozę. Potem odwiązano trupa i przyciągnięto go bliżej do ściany. Pas zdjęto, a na prawidłowo ułożonego niedźwiedzia położono parę szabel, kołczan, paczkę z pożywieniem, parę talizmanów, zawiniętych w sznureczki z wiórów. Koło głowy niedźwiedzia ustawiono w misach i talerzach jedzenie i sokie. Dokoła porozsiadali się starzy, a dalej reszta gości. Miała nastąpić uczta, którą urządzał już niedźwiedź, a nie gospodarze.

Kobiety przeważnie nie były obecne już od chwili, gdy strzelano do niedźwiedzia. One tej sceny nie lubią i po ukończonej mowie pozdejmowały stroje z dzieci, powiesiły je z jednego boku ściany i odeszły. Teraz kręciły się tylko gospodynie, które w pobliżu rozłożyły ogień i odgrzewały potrawy roślinne, przyniesione w dużych naczyniach i kotłach do uczty. Poczestunek odbył się prędko, bo wszyscy byli znużeni i woleli odpocząć. Starzy porozchodzili się, z młodzieży zostało zaledwie kilkunastu, którzy zajęli się zdzieraniem skóry z niedźwiedzia, patroszeniem i krajaniem mięsa na części.

Nie zaniebdywano i teraz zabawy. Z początku pas, zdjęty z niedźwiedzia, starano się zarzucić na słup tak, by tam zaczepił się. Gdy po wielu nieudanych próbach pas zawisł, kazano podrostkom wlaźć na słup, by porozciniali woreczki, przywiązane do pasa, i pozjadali włożone do nich korzonki. Podczas zdejmowania skóry zabawiano się również. Wycięto skórę na brzuchu na krzyż, zostawiając w środku niedużą przestrzeń. Podchodzili kolejno młodzieńcy i, uderzając prawą ręką po brzuchu niedźwiedzia, ciągnęli lewą z całej siły, chcąc „przerwać guzik“ („numa tuje“). Każdy krzyczał przytem: hu! huf! i odskakiwał. Ten, któremu się udało przerwać skórę, miał być w przyszłym sezonie wiosennym szczęśliwym w polowaniu na niedźwiedzie.

(Dokończenie nastąpi).



Michał-Anioł.

Fragment pomnika Medyceuszów we Florencji.

N. MIŁKOWSKA: „DUMA O HETMANIE“ ŻEROMSKIEGO.

(WRAŻENIA*).

Książka taka powstać mogła dopiero teraz, gdy dusza polska wyrzeźbiła się, wysubtelniła, wycierpiała i wzrosła. Dziś, gdy objąć jest zdolna *wszystko*, gdy niema dla niej rzeczy obcych, gdy w dal sięgającym spojrzeniem głębokich oczu ujrzała samą siebie w przeszłości, gdy siebie *poznała*. Z głębin takiego krwawego a dostojnego poznania *siebie i swego narodu* wyrosła książka Żeromskiego. Gdyż tu niema przegrody pomiędzy autorem a dziełem, niema jej pomiędzy dziełem a czytelnikiem. W książce tej jest Żeromski, jest Polska, jestem ja, jesteście wy.

Wszystko, co jest okrutnego w Polsce: całe jej piękno i cała brzydota. I ten szczególny, nam tylko właściwy *tragizm* uczucia, który zmorą okrutną szarpie już duszę dziecka, gdy mu się dzieje krzywda, gdy łamią mu piękno jego pierwszych ukochań, gdy bezpowrotnie ginie mu coś, czego istnienia i trwałości było pewne. Jest tragizm nagle i bezpowrotnie zapadającej ciemności nocy w chwili, gdy brzask zapowiadał wschód słońca; tragizm zamykających się na wieki drzwi, przed którymi się sta-

*) Zanim otrzymamy od Ignacego Matuszewskiego przyrzeczony nam rozbiór krytyczny „Dumy o Hetmanie“, drukujemy „wrażenia“ p. N. Miłkowskiej. „Praca ta — jak zaznacza Autorka — odczytana była (w Brukselli) na wieczorze, poświęconym „Dumie o Hetmanie“. Jest ona jedną z kilku; każdy bowiem z uczestników, zgodnie z przyjętym warunkiem, wypowiedział lub odczytał myśli, jakie wywołał w nim utwór Żeromskiego. Celem wieczoru nie był literacki i krytyczny rozbiór utworu, lecz szczere wypowiedzenie wrażeń, jakie książka Żeromskiego wywarła. Wiele z tych pierwszych wrażeń nie dało się ująć w słowa, gdyż „Duma“ działa jak boży, olśniewający miecz. Stąd więc i rzecz poniższa nie wyczerpuje tego, co o „Dumie powiedzieć można i trzeba“. (P. R.).

ło, by wyjść na jakąś wolność. Tragizm konającego nad brzegami Dniestru wojska polskiego i ścięcia hetmańskiej głowy wtedy, gdy granic Polski sięgał już wzrok.

* * *

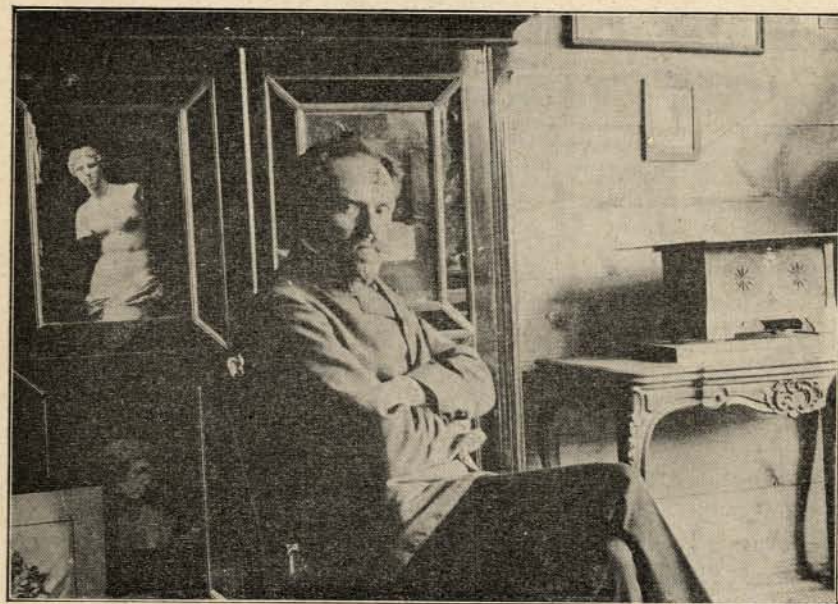
Każdy naród ma głęboką tajemnicę swej istoty, którą mu wyrywa z serca nieszczęście lub chwila uniesienia. W niej tai się jego moc lub zagłada.

Czemże jest tajemnica Polski? W zawilosciach i poplątaniach, w sprzecznościach i skrętach duszy polskiej przesuwa się ona lub kryje. I tajemnica ta u Polaka trudniejsza jest i zawilsza, niż gdzieindziej, tragiczna i straszna. Nie pozwoliła mu ona spocząć i wyrywa mu z pod nóg fundament osiadłego, normalnego żywota na wzór ludów zachodu.

Sen gnuśny, bez widzeń i marzeń, ogarnia t. zw. większość, bojącą się trudu, a obok niej do szczytów urwistych, do szalonych, krwawych i męczeńskich jazd gromadzą się bohaterowie. Nieukojoną, niepowstrzymaną jest ich tęsknota. Marzenie o mocy — upajający sen o bezgranicznej, cudownej wolności, o pięknym życiu. Przepyszne wyzwolenie własnego *ja*, wypełniającego kraj — ojczyznę, która cała, jak długa i szeroka, jest *moją dzieżiną* — czucie się w całej Polsce u siebie — i marzenie-czyn, zmierzający do uczynienia tej Polski wielką, silną i piękną, do oparcia jej na prawie szlachećnym, na podwalinach mocnych, marzenie-czyn o zanieśieniu dobrej nowiny innym ludom, wyzwalaający czyn działalności kulturalnej, otwierający wrota swobodzie, szanującej człowieka. To dwie wielkie i wieczne moce naszego narodu.

W ciemnych podziemiach Wawelu — w polskiej świątyni — spotykają się Samuel i Żółkiewski, by sobie powiedzieć całą, niezatajoną, śmiertelną prawdę. Żółkiewskiego dusza, mająca już odejść w śmierć — dusza czysta i niepokalana, udręczona pytaniem o losy swego ludu --

widzi we śnie wszystkie *ważne*, decydujące i wielkie chwile swego życia. Jest tam i wzbicie się ponad ludzi, wyniesienie wewnętrzne przez świadomość, że to, co moim jest światem, nieznaną im, zamkniętą jest i tajemniczą, własną mą świątynią. Nikt tam nie wejdzie. To moje. Broni



Stefan Żeromski w swojej „chacie“ w Nałęczowie.

(Według fotografii amatorskiej Wł. Bukowińskiego).

go zaklęta pieczęć niezrozumiałości, inszości, jaźni mej takiej, jakiej drugiej niema na świecie. To, co się nie wypowiada i nie wyjaśnia. Jest „samotny nad ziemię wzlot, junackie włamanie się w świat półbogów,—złudny, krótkotrwały byt w ich kolisku“ (str. 107). Widzi siebie i ten

dziwny naród o duszy „niełacnej, krnąbrnej — samej sobie nieznaney i nikomu niewiadomej“ — przeżywa *własne zagadnienie* polskiego ducha: „Czyli ma człowiek otworzyć tajną serca ciemnię, gdzie wieczny niezgasłego pragnienia jęk czuwa, — czyli ma wyzwolić zaczajoną żądzę swej istoty, żeby wychynęła po władzę nad światem?“ — Lecz odrzuciwszy marzenia Colleoniego, jak rzecz obcą — bierze na siebie misję Dawidową: „*nie zechciał być widzem, chce być aktorem*. Idzie Zwiastun, zwycięzca, Waleczny, Dawid“. Idzie, by stoczyć walkę o wyzwolenie tych, którzy witają w nim Wodza. Idzie — sługa rzeczypospolitej — strzec jej granic przy pomocy wyżebranych, z trudem u znajomych i druhów, przez koligacje zebranych żołnierzy. Idzie, jak apostoł wolności i sprawiedliwości, do Moskwy. Wierzy w swój czyn. Odrzuca — jak później Mickiewicz — własne swe zagadnienie, zakuwa się w pancerz woli i technię tę wolę w bierny tłum. Natchniony i mocny w swem posłannictwie, nie odwraca głowy — nie spuszcza oczu przed wzrokiem skazanego na ścięcie Samuela — sam go skazuje na śmierć.

I oto w chwili obrachunku ostatecznego *powraca* Samuel. Powraca królewski, wielki, wolny, mówi: „Moja jest ziemia polska, moja własna, Samuelowa, na wieki do mnie jedyne go należy“. Przychodzi Samuel hardy, mocny, przychodzi potęga tej olbrzymiej, nad świat wyrosłej, samowolnej i wolniejszej od ptaków *duszy polskiej* — przychodzi krwawe widmo, któremu naród pozwolił przeżyć męczeńską, oczyszczającą noc takiej wzniosłości, po której gdyby jeszcze było życie, nastąpiłby czyn szlachetności i wielkości tak olśniewającej, na jaką może zdobyć się Król, który przeszedł przez piekło samoudręczenia i dokonał Samuelowego porachunku życia. Lecz Polska zażądała głowy Sobie-Pana. Duch Samuelów spojrzat w Żółkiewskiego widzące przed śmiercią oczy. I w tej chwili zrozumiał hetman, że w prawdzie jego był jakiś kłam. Napróżno mówi: „do mnie jedyne go, tak samo jak do ciebie jedyne go należy“, — próżno tłumaczy: „bom

jest urząd ojczyzny“ — okrutnej sile cierpienia samowolnej duszy polskiej składa cześć.

* * *

A nazajutrz, gdy obóz poszedł w rozsypkę, gdy zmałał do kilkunastu rycerzy, zamkniętych za szańcem batożonych koni — gdy umknęli wszyscy, którzy żądali odeń przysięgi — hetman oddaje za Polski honor głowę.

* * *

Przeszliśmy ciężką, krwawą drogę. Jest zupełnie nie do określenia i nie do nazwania ton tej świętej i okrutnej książki. W krwawym pochodzie upiorów o płonących gorączką oczach, w pochodzie rycerstwa polskiego ku dalekiej, widziadlanej, gdzieś we snach śnionej, już nierzezywistej ojczyźnie — czujemy własną, bliską, najokrutniejszą niedolę, rozpacz zbiorowej beznadziei. Wstają wspomnienia — widma najgorszych udręczeń, czuję, że dusza nie jęczy już, lecz wyje z szalu cierpienia w daleki świat — na przestrzeń wieków — *samotna*, bez echa, zapomniana, zaprzepaszczona, skulona, zmniejszona do ziarenka piasku, jednak potężna, zapalająca świat. Czuje się kolczaste ciernie, oplatające coraz ciaśniejszym płótem jedyną, wązką, coraz węższą ścieżkę nadziei, która prowadzi ku błademu światłu. Prawie fizyczny schodzi na nas ból. Głowa schyla się przed tem męczeństwem, słowa tracą znaczenie, umykają, cofają się, — jest w nas miejsce jedynie na dźwięki pierwotnych i najgłębszych odczuć.

W odwróceniu tym potępieńczym jest wszystko: chwile usiesienia, bohaterstwa, obłądu, szyderstwa, urągowiska, nawrotów nadziei i upadków ducha, instynktów szakali, chyłkiem umykającego tchórzostwa, — rozprzężenie, chaos i — przepyszny kwiat ducha, skupienie, moc, która zdobywa się na słowa: „Muszę się schylić, muszę się zgiąć

na wzór obręczy. Pokorą moją muszę opasać ich szaleństwo. Przypatrz się, co jest polskie szaleństwo! Rozpadną się i rozsypią, jak klepki, *jeśli im się równy w podłości nie wydam*. A gdy się tak zegnę i spoję w sobie, większy się stanę, niż oni wszyscy razem. Utrzymam, synu, w obręczy *zachwyty ich dla siebie samych*, czyli polską całość.“ (str. 54).

W odwrocie tym w nagości swej występuje polska zbiorowość. Trudna do opanowania, trudno samą siebie poznająca... „Głęboko leży *polski skarb*, o dobry synu.“ Po skarb ten sięga hetman. Nie waha się ugiąć głowy. Chce, by naród jego zdobył się na wielki czyn, na wielką pieśń. Chce wzbudzić w nim zachwyty dla samego siebie.

Lecz „ziemi twojej, gdyś nocą bezgwiezdną cwałował i kupy nieprzyjaciela z jej granic uprzętał, — ciężki wyrósł brzuch. Za kusy jest pas. Brzeczot za nisko. Za krótka ręka, żeby do główki przez górę brzucha dosięgnąć.“

Naród, któremu Żółkiewski służy — potrafił go (sługę) aż na to pole. Naród polski, duchem i krwią swych bohaterów żyjący — martwy i bierny, ślepy i śpiący — a jednak o *zaklętym skarbie*, *głęboko zarytym*.

* * *

Dla mnie ta książka Żeromskiego jest dziełem natchnienia, najwyższem jego słowem. Czuję, że i On ją za taką ma; ma ją za swój testament, który synowi, narodowi, przyszłości przypisał. Powstać ta książka mogła dopiero dziś. I powstać musiała. Jest ona obrachunkiem z tego, co było dawno, z tego, co jest dziś. Bośmy spadkobiercami polskiego ducha.

Śni się ostatni hetmanowi sen: sen o rzeczy dlań cudacznej i dziwnej, do pomyślenia trudnej i okrutnej — widzenie pędzonych na Sybir polskich skazańców — przyszłość Polski. Skazańcy wyciągają ręce — szukają oczami —

duszą całą wzywają Wodza. Zrywa się hetman, chwytając za miecz, idzie mścić zniewagę.

A my?

Istnieją w nas uczucia zaniedbane, zapomniane, dziś niećwiczone: poczucie zbiorowej narodowej krzywdy, wielokrotnienie własnej istoty w swoim narodzie. W tem jest jeszcze coś innego, niż poczucie obrażonego człowieczeństwa, są domieszki uczuciowe zgoła specjalne. Krzywda, wyrządzona narodowi memu, dotyka mnie, choćbym stała z boku. „Hańba z niej (z pieśni w „Walgu. Udałym“) woła ojcyców, za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenicę“. W zbezczeszczeniu mego narodu czuję zbezczeszczenie jakiejś własnej mej części, urągawisko nad czemś, co jest we mnie istotne, śmiech z mojego „ja“, gdyż moje „ja“ jest podobne, jest obrazem jaźni mego narodu. W winach i w pięknie, w potędze i w słabości. I dlatego nie poszczególnych Polaków kocham, gdyś każdy z nich jest tylko dla mnie fragmentem, z którym mieć mogę cech wspólnych niewiele, lecz kocham Polskę, to jest całość, której jestem jednym z obrazów — i to nas łączy.





WALERY GOSTOMSKI.

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

*(Ciąg dalszy).*IV. Wieczny człowiek wobec
wiekuistej Idei.

Jeśli ogólnym rzutem oka ogarniemy całość sklepienia kaplicy, ujrzymy ogromną przestrzeń, pokrytą mnóstwem mniejszych i większych obrazów, które rozmieszczone zostały w prostokątnych i trójkątnych przedziałach, utworzonych przez nader kunsztownie namalowane naśladownictwo ozdobnie belkowanego pułapu.

Nie jest to wszakże jednolity całościowy kształt malarski. Artyście nie chodziło tu o malownicze i ornamentacyjne wrażenie, otrzymywane z określonego punktu widzenia. Jego obrazy stanowią ornamentację sklepienia, ale osobliwa to zaiste ornamentacja, w której upodobania oka, gustu, wyobraźni bardzo małe i podrzędne mają znaczenie w stosunku do potrzeb serca i duszy. Jako krańcowe przeciwieństwo sztuki używania estetycznego, mamy tu sztukę wyrazu duchowego, przepotężną i przedoskonałą w formie sztukę — mowę niezgłębionej treści duszy ludzkiej.

Jak wszystko co wielkie, dziwnie prosta i szczerą jest ta mowa artystycznego natchnienia: nie o to dba, aby się podobać, lecz o to, by się wypowiedzieć, by duszę widza poruszyć, serce jego podnieść. Nic w niej nie uczyniono dla złudzenia wzroku, dla olśnienia wyobraźni, nie dodano dla samej tylko ozdoby: każda postać jest niejako ucieleśnionym głosem duszy, każdy gość znakiem uczucia lub myśli, każda nawet na pozór czysto ornamentacyjna figura ma swe znaczenie w tym malowanym eposie ludzkości.

Składowe jego obrazy to jakby potężne pieśni ducha, głoszące dzieje jego w człowieczeństwie, dzieje czynów, idei, uczuć, którymi przejawiał się on w świecie ludzkim poprzez wieki, od zaczątków stworzenia aż do momentu najwyższej swej mocy w ucłowieczonym Słowie bożem. Przejawy tego rozwoju duchowego ukazują nam artysta w postaciach i kształtach, od wieków uświęconych w wierze i tradycji chrześcijaństwa. Zajmuje on toż samo zasadnicze stanowisko religijne, co poprzedni malarze Sykstyńscy, twórcy omawianych powyżej cyklów obrazowych z życia Mojżesza i Chrystusa, ale z jednego stanowiska jakże inaczej, jak nieskończenie głębiej i szerzej ogarnia wielkie zagadnienia ducha ludzkiego. Tam widzieliśmy je w zewnętrznych, często bardzo powierzchownych analogjach historycznych — tutaj przemawiają do nas najistotniejszą, szczeroludzką swą treścią, z nadludzkich, bożych źródeł wynikającą; tam ukazywały nam się pod osłoną malowniczych form życiowych, — tutaj uderzają nas plastycznie ukształtowaną istotą życia, bez żadnych osłon, w całej swej przeduchowionej mocy cielesnej uwidocznioną naszym oczom.

W układzie figur i obrazów bezprzykładnie widzimy tu skupienie, lapidarną iście zwięzłość. Żadnych upiększeń, dodatków, epizodów, ani śladu aluzji do współczesnych zdarzeń i osób, ani śladu dworskich pochlebstw i uwielbień, jakich pełno nietylko w dawniejszych freskach Sykstyńskich, ale także na ścianach stanc rafaelowskich.

Gieñjalny w sztuce rzecznik idei humanitarnej, dla niej tylko część żywi, ją tylko wysławia, głosi, odtwarza.

I w sykstyńskich jego freskach jeden, jedyny, wyłączny jest przedmiot: człowiek — człowiek, przedstawiony w odniesieniu do swych zadań ziemskich i nadziemskich przeznaczeń, w całej pełni swego życia duchowego i cielesnego, swej żywiołowej mocy i moralnej godności.

Poza człowiekiem jakby nic dlań nie istniało na ziemi. Przyroda, w bardzo nielicznych i ogólnikowych na jego freskach przedstawiona zarysach, obchodzi go tylko, jako tło życia ludzkiego, sama przez się nie budzi w nim żywszego zajęcia. Mniej jeszcze go zajmują powierzchowne, kulturalno-obyczajowe przejawy człowieczeństwa, które, nie należąc do wewnętrznej, wieczystej jego istoty, nieraz owszem swobodny jej przejaw i rozwój tamują. Stąd ów tak znamienity w jego dziełach brak tego wszystkiego, co zmienne, przemijające, z danej chwili dziejowej, z danego stanu społecznego wykwitłe.

Jednym słowem dla Michała Anioła istnieje tylko *człowiek wieczny*, on tylko dochodzi do głosu w jego kreacjach,—niby jakieś cudowne objawienie człowieczeństwa staje przed nami w całej wyrazistości wiekuistej swej prawdy i mocy. A trzeba było takiego mistrza sztuki i absolutnego władcy zaczarowanych jej królestw, aby zdobyć siły i środki do tak potężnej i plastycznej realizacji artystycznej tego niepochwytnego w świecie zjawiska, z najtajniejszych głębin wszechludzkiej samowiedzy wyrwanego zamysłu twórczego.

Wieczny człowiek Michała Anioła na sklepieniu Sykstyńy wciela się we wspaniałe i potężne postaci starotestamentowe. Szczególne upodobanie artysty do tych postaci, w wielu jego dziełach stwierdzone, przypisywane nieraz właściwej mu skłonności do przejawów wzniosłej mocy, takim żywiołowym tchnieniem przewiewającej karty Biblii. Skłonność ta niewątpliwie bardzo silnie i wyraźnie zawsze w nim się zaznaczała; wolno wszakże zapytać: jakie są głębsze jej przyczyny?

Tkwią one, jak miemam, w zaznaczonym powyżej chrześcijańskim humanitaryzmie Michała Anioła, w przenikającym go namiętnem pragnieniu pełnego w realnym bycie ziemskim uczłowieczenia idei chrystusowej — pragnieniu, będącem główną dźwignią życia jego i twórczości.

Gdzież miało ono szukać w świecie ludzkim wzorów i przedmiotów dla artystycznego wypowiedzenia się?

Upłyniona co tylko przeszłość średniowieczna przekazała ideę chrystusową w odosobnieniu od szorstkiej, na polu barbarzyńskiej rzeczywistości tego świata, od grubej jego cielesności; przekazała ją w życiu świętych ascetów i anachoretów, na anielskich obrazach błogosławionego brata Jana z Tivoli, w niebiańskich pieśniach dantejskiego Raju, tak różnych od brzęczych dzikim rozgwarem współczesności pieśni „Piekła“.

A cóż mówił gieñjalnemu poszukiwaczowi zrealizowanej, ucieleśnionej prawdy chrześcijańskiej otaczający go świat renesansowy? — Cóż mógł mu powiedzieć w dzieśięć lat zaledwie po męczeńskiej śmierci Savonaroli, w pięć lat niespełna po straszliwej ohydzie zbrodniczych na tronie chrześcijaństwa rządów Aleksandra VI-go? Mógł chyba stwierdzić absolutną podobnej realizacji niemożliwość, krańcowe przeciwieństwo pomiędzy duchem i ciałem chrześcijaństwa, pomiędzy niedościgłą prawdą ducha i bezdennem, potwornym kłamstwem ciała. W realnym świecie chrześcijańskim nie było miejsca dla idei chrystusowej. Naiwnie barbarzyńska przeszłość nie zdołała wznieść się do niej, dojrzewająca w świetle kultury renesansowej terażniejszość stała się bezwzględnie jej zaprzeczeniem — a gdzież pewność, gdzież nadzieja, gdzież choćby cień nadziei, że bliższa lub dalsza przyszłość stanie się jej stwierdzeniem, ucieleśnioną realizacją?

Oto pytanie, które w tej lub w innej postaci nieustannie zapewne dźwięczało w duszy Michała Anioła, jako zasadniczy, tragiczny jej ton. Zaprzeczenie idei chrześcijańskiej przez chrześcijańską rzeczywistość, czyż

to nie prawdziwa tragedia dla wielkiego artysty, którego gienjusz twórczy tylko z rzeczywistości snuć mógł swe natchnienie, a dusza tylko ideą żyć mogła?

Klaczko w swem dziele o Juljuszu II-gim, mówiąc o pomyślanym na olbrzymią skalę przez Michała Anioła projekcie nieukończonym nigdy nagrobka tego papieża, z podziwem stwierdza w nim zupełny brak jakiegokolwiek idei chrześcijańskiej. Skądże miała się wziąć ona w dziele, wznoszonem ku czci wielkiego zdobywcy, polityka, mecenasa sztuki, który z chrześcijaństwem, poza stosunkiem formalnie urzędowym, nic zgoła nie miał wspólnego? Twórca tego dzieła zbyt szczerym i głębokim był artystą, aby mu urząd miał przysłonić człowieka. Jakim go widział i czuł, takim go chciał ukazać potomności. Realna prawda życia była mu zawsze niewzruszonym prawem twórczości. A ta nigdzie w świecie współczesnym nie ukazywała mu uchrześcijanionego w pełni jego sił żywiołowych człowieczeństwa, — jak często natomiast dawała mu widzieć spogańszczałe chrześcijaństwo, zwłaszcza na najwyższych stopniach hierarchji kościelnej.

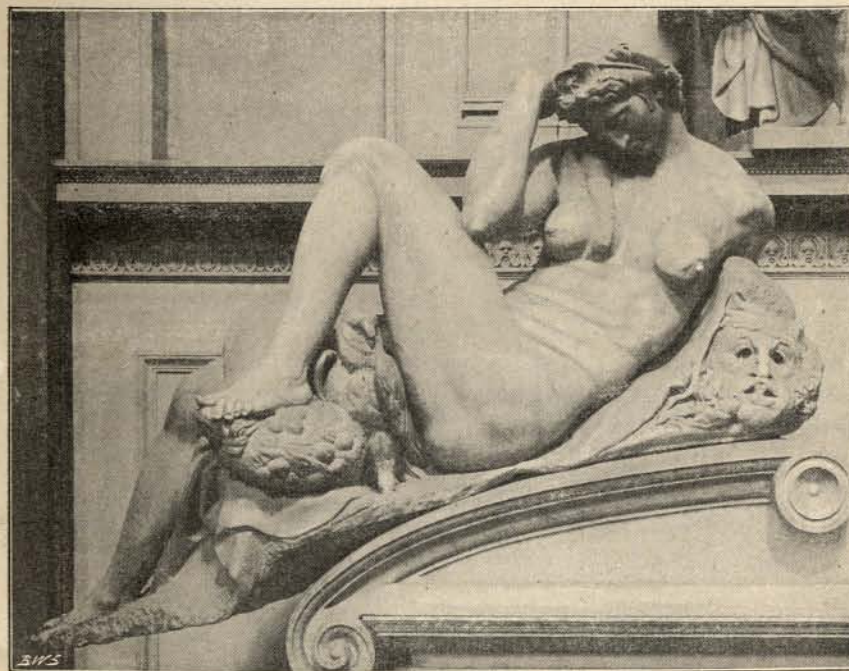
Chcąc ideę chrystusową przedstawić w pełni życia potężnych indywidualności ludzkich, musiał się zwrócić do czasów przedchrystusowych, gdy ta idea żyła i objawiała się w ludzkości, jako przeczucie, natchnienie, zwiastowanie prorocze, złączona z głównym prądem religijnego jej życia, takim głębokim i potężnym nurtem płynącego poprzez dzieje i tradycje starotestamentowe. Oto, wedle mego przekonania, istotna przyczyna właściwego Buonarrotiemu upodobania do uwiecznionych przez niego postaci i zdarzeń. Często pojawiają się one w jego tworach i zapełniają głównie przepotężną epopeę duchową, widniejącą na sklepieniu Sykstyny.

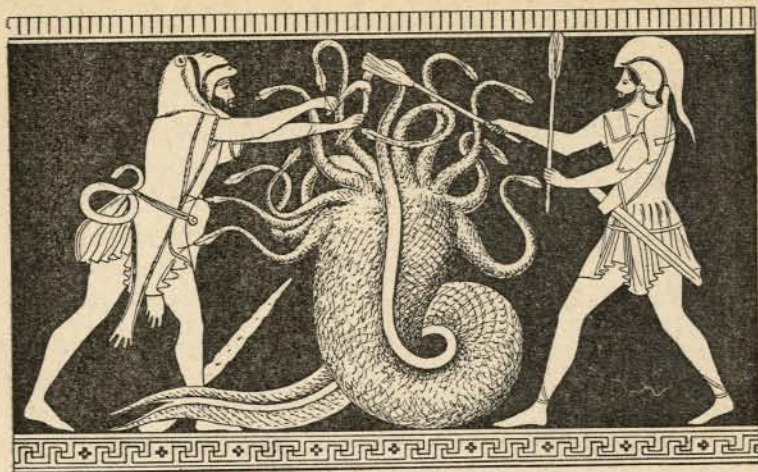
Ale pamiętajmy: niema w nich nie historycznego, nie z ducha lub nastroju danej epoki dziejowej. Kto postaci biblijne Michała Anioła, ich postawy, giesty, wyrazy oblicza usiłuje sobie wyjaśnić znaną nam rolą ich w historii, ten nigdy ich nie zrozumie. Dla artysty są

one nie portretami przeszłości, lecz znakami jego myśli twórczej. Przeszłość przemawia doń nie pozytywną, czasową swą treścią, lecz przenikającymi ją prądami wiecznych idei, które i w jego duszy potężnie nurtują. Wyowiedzieć je jak najzupełniej, unaocznic ludziom jak najplastyczniej: oto istotne jego zadanie, a na to dobry mu każdy znak, każdy kształt, zdolny obudzić w duszy widza analogiczne pojęcia i uczucia, potraćający ją swymi atrybutami zewnętrznymi, swym mianem, charakterem tradycyjnym; chodzi o to, aby, raz potraćona, odbrzmiała ona wszystkimi swymi strunami tej potężnej symfonji ducha, co grała w gienjalnym jestestwie artysty, — oczywiście, jeśli posiada istotnie struny współbrzmiające.

Sądzę, że tylko tą drogą dojść można do należytego wyrozumienia owych przedziwnych hieroglifów artystycznych, którymi zapisane zostało sklepienie Sykstyny — owego tak ludnego świata sztuki o nieprzebranem bogactwie ruchu, giestu, wyrazu.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)





JAN KLECZYŃSKI.

MARZANNA.

(Ciąg dalszy).

Wtem straszne wstrząśnienie.

Koń stanął na wszystkie cztery nogi, wrył się w ziemię. Książę prawie że zleciał z konia, chwiejnie stanął...

Ha — co to?

Ogromna, jasna przestrzeń w oczy mu świeci... Ziemia z pod nóg ucieka... Koń drży, piana zeń ciecze.

Trawy pod stopą wysokie... Kołysze się przed nim polana... szmaragdowa, bursztynowym puchem okryta... kołysze się na krawędziach nieba... a tam skała potężna płynie gdzieś w dal i powraca... i znów bieży... skała, ostrym szczytem w niebo bijąca...

Zimny dreszcz przebiegł mu ciałem. Głuchy jęk wydarł się z piersi. Patrzył w szalonej nadziei...

— To tu! — To tu!

Krajobraz uspokajał się zwolna... Książę jeszcze nie wiedział, nie śmiał wiedzieć... Z warg mu wytrysło szeptanie radosne:

— O bogowie... to już...

Ręce złożyły mu się, jak do modlitwy... Patrzył w cichym zachwycie.

Jeszcze szumiał mu w głowie wicher wściekłego cwałowania. Próbował iść ku skale, ale szedł, jak pijany, jak we śnie. Nogi mu drżały, ledwie dźwigały ciało, tak nagle ciężkie, tak rozkosznie znużone... W gardle czuł ucisk leciuchny miękkich jak puch paluszków. Jakieś żywe istoty, jak kulki żywego srebra, szły mu po szyi, po karku, drażniły żar mózgu. Świtanie świętego szczęścia lśniło w nim białym światłem. Nastawała w nim cisza — prześwieta, szeroka, przejasna...

— Tutaj... tutaj... — szeptał — tutaj ona chodziła... po tej trawie, po tych kamieniach...

Mgła przesłoniła mu oczy.

Przystanął.

— Tutaj... tutaj... oh tak o... niema jeszcze tygodnia...

Omdlewał prawie.

I wtem olbrzymie szlochanie wezbrało mu w piersi. Rzucił się na tę świętą ziemię, nurzał twarz rozpaloną w tych trawach, w tych kwiatach, przycisnął spieczone wargi do zimnych kamieni, śmiał się, płakał...

— I już dzisiaj... napewno... ona przyjdzie... oh tak!... dzisiaj... i na zawsze...

Wił się po ziemi w bólu radości, belkotał wyrazy nieprzytomne, bez związku, w niezrozumiałym dla siebie samego języku.

A potem wstał, odurzony, szczęśliwy... Śmiał się, jak dziecko, urywanymi parskaniami... Nie śmiał, nie mógł myśleć.. Rzeźwe, sycące fale napływały mu w piersi, rozpięły mu serce, dławiły rozkosznie, trzepotały się, drżały, jak stado białych gołębi, kiedy myje szumiące skrzydła w przeczystej pianie źródlanej...

I patrzył—wpijał się wzrokiem oszalałym w gęstwę traw...

Oh, spokojnie, oh, cicho tak patrzeć... oh, skupić całą duszę...

Oh, tędy, tędy szła... jeszcze trawy się chwieją, jeszcze widać w powietrzu ślad jej świętej postaci...

Oh, ostrożnie, ostrożnie... niech to powietrze śpi cicho... ostrożnie stawiać nogi w tych miejscach świętego wspomnienia... Cicho... powstrzymać oddech... niech tak serce nie bije... słyhać szmer jej leciuchnej białej szaty, słyhać bezmiernie cichy, dźwiękliwy szelest srebrnych gwiazdek jej płaszcza... o bogowie... ledwie dosłyszalny szept jej sandałów, kiedy stąpa po trawach, przygniata świeże ździebelka, rozsuwa wysokie lodyżki suchej mielicy...

O rozkoszy bezmierna!... przymknąć, przymknąć powieki... wyteńczyć wszystkie czucia, wszystkie nerwy słuchu... o bogowie... jej oddech... jej droga, cicha twarz — twarz królewskiego dziecka, wrażliwa, jak jeziora powierzchnia... jej wzrok jesiennego słońca... raz tylko tak patrzyła — oh raz... wtedy... wtedy...

Ujrzał ją... Ręce, jak skrzydła anielskie, wsparła mu o ramiona, patrzyła w oczy z świetlistą mądrością...

Włosy mu wstały na głowie. Straszliwe gorąco buchnęło pod czaszką, a potem mróz, i znowu fala krwi... Pot oblał go od stóp do głowy.

— Jesteś — jęknął — jesteś...

Podniósł powieki.

— Jesteś?! —

Zimny wicher wionął mu w oczy:

— Ha ha ha ha! —

Wzdrygnął się. Wszystko w nim ścięło się, przypadło ku ziemi. Spojrzał błędnie wokół — zaczął iść przód, przód...

— Ale ona zaraz... niedługo... tak, tak... zaraz... tylko że...

Lęk szedł ku niemu, napełniał całą jego istotę.

— Przecież naprawdę — naprawdę — dzisiaj... to już dzisiaj...

Zatrzymał się nagle. Nie mógł odetchnąć. Jakby

kość utkwiała mu w gardle. Obie ręce przycisnął do skroni...

— Nie! — parsknął śmiechem... Nie, nie! — zagłuszał się — nie...

Próbował iść... lecz tu groza niepojęta zlodowaciła mu członki, nogi mu wryła w ziemię.

Te lica, lśniące matowym blaskiem bladego miesiąca.

Nie, nie! nie patrzeć!... Nie, nie! jeszcze nie rozumiał, co one znaczą, nie, nie! Dlaczego, dlaczego?... nie, nie, nie myśleć!...

Tu się spotkali... tak... tu, na tej polanie... Oh, tak... niech mu nic nie zasłania tej chwili, nie, nie!... Oh — tak, on pamięta, jakby to było wczoraj... on widzi, widzi...

Zapatrzył się w siebie skurczony, nieruchomy. Oczy mu słupem stanęły, ręce wzniesione ku głowie skamieniały w powietrzu, w dziwnym ruchu, jakby nasłuchiwał...

Cisza wisiała na mrokach nocy pod gwiazdzistym niebem... Cisza ołowiana, dusząca, pełna niepokoju... tu... na tej samej polanie...

Tu oczekiwali hołdu od nieznannej Pani lasów... hołdu, haraczu. Oczekiwali hołdu, jaki składały im setki miast i państw...

Tak, tak... oczekiwali takiego samego hołdu...

Dlaczego wszyscy milczeli — dlaczego — dlaczego?... Dlaczego nie poruszali się jego rycerze? Żadna broń nie zabrzękała, żaden szept nie naruszył tej ciszy olbrzymiej, rozpostartej po gwiazdach rodzącej się nocy... konie stały nasłuchujące, trwożne, z rozwartymi chrapami.

I dlaczego ten nikły półksiężyc przerażał śmiertelną bladeścią?... Dlaczego tak groźnie, tak uroczyście szły ku nim zimne zwały mgieł, milczące, jak cienie umarłych?... Szły ku nim białe, skłębione, bez szelestu od tych borów dalekich, szły po olbrzymiej polanie, jak wojsko duchów z za świata... i oplątały ich wreszcie, jakby

paszami dymu, i wszyscy stali, jak zakłęci, jak z kamienia wykuci... bez oddechu... z kroplistym potem na czole...

I nagle szcęknęły miecze, szarpnęły się konie, zarżały przeraźliwie...

Tak nagle, bez sygnału, minawszy warty, tak cicho, jakby z tych mgieł białych wyrosła... ukazała się... na koniu... ach, na tym stalowo-srebrnym koniu o długiej jedwabistej sierści i wielkich, czarnych oczach, rozumnych, jak u człowieka... ach, na tym miękim i lekkim, jak sarna rumaku przybyła biała, olbrzymia, srebrem lśniąca, w perłowym hełmie na głowie, co błyszczał, jak gwiazda poranna, nad bladym dniem jej lica... przybyła na czele tłumu milczących niewolników, w czarne pancerze zakutych...

A wtedy... wtedy...

Oh, gdybyż uciec od tego wspomnienia!

Drżał, trząsał się na całym ciele, ciskał wokoło szybkie, nkośne spojrzenia.

Nikt o tem nie wie... nikt...

On, co niedbałem skinieniem dłoni trony wywraçał, on, książę, co pogardził królewską koroną, bo królom nie chciał być równy... on, rycerz... nie śmiał... oh tak!... nie śmiał słowa wykrztusić, bezradny, znieruchomiały...

Oh, te lica świetliście boskie... straszliwe, ciche, jak burza uszpięta... Oh, te czarne djamenty, lodowemi iskrami w duszę jego wplecione... Oh, te fale czarnych kędziorów, te wały czarnych stalaktytów, spływające z pod perłowego kołpaka... Oh, to światło tajemnicze, co biegło od niej po murawie i kładło mu się do stóp... te święte, białe opary...

I serce mu zamarło, krew ścięła się w żyłach... A potem jakby olbrzymie uderzenie w pierś—do zaparcia oddechu, uderzenie olbrzymiego wichru w duszę, fala nieskończoności... I twarde serce stajało w nim, wyszło z piersi...

To straszne... straszne... nikt o tem nie wie... nikt... nikt...

Tak!... on naprawdę czuł w duszy tę chęć okropną, by zejść z konia, hełm bojowy jej cisnąć pod nogi... Oh! ogarniał go płacz... święty strach... Oh! on by nie śmiał ustami dotknąć jej szaty srebrno-białej... on całował by kopyta jej czarownego rumaka...

— Ktoś jest?—spłynęło nad nim pytanie, ciche, jak szmery puchu, kiedy śnieżne latają w miękim powietrzu wieczoru...

Nie odpowiedział. Siedział jak przykuty do konia. Tylko naraz jakieś olbrzymie westchnienie, czy jęk... jakby z głębin ziemi wydarło się to westchnienie okropne i zastygło w białych mgłach, w dusznej nocy, czy w jego sercu...

Bez słowa ruszyli oboje — w jej państwo...

— Dokąd?! — Dokąd?! —

Zachwiała się pod stopami szmaragdowa polana, kołysze się, spływa w dal, spływa falami...

Gdzież to? — gdzie?!

Te lasy olbrzymie, bez słońca, idące pod niebo... Te podziemia, gdzie drżało żywe, czerwone powietrze... Te miasta wysokie, milczące, gdzie tłumy błędziły jak cienie, bez szmeru, szeptaając cicho, znikając raptownie — i znowu się pojawiając, układne, obludne, w miękich kocich ukłonach płaszcące się do ziemi — a wtedy z pod łbów kudlatych, z twarzy, stężonych w szyderstwie, szły w niego błyskawice jarzącej się nienawiści... Te ulice, niby skalne wąwozy dźwięczące, kiedy końskie kopyta burzyły skostniałą ciszę, łudziły grobowe echa, jakby pod sklepieniami...

Stał zlany potem, dygocący. Dolna szczęka mu opadła bezwładnie, otwarła zamarłe usta — i nagle —

— Nie!! — krzyknął przeraźliwie. Nie!! Nie!!

Wezbrały w nim dzikie fale krwi, dymiącym żarem zalały mózg.

Haa... tam życie! tam szczęście! —

Haa... haa... tam, w tych ulicach, wawozach — tam szły z nim razem te echa dźwięczące, grobowe—echa jego stąpanięc rycerskich... szły z nim razem, grzmiały miarowo, rytmicznie — jak marsz uroczysty, wojenny — zwycięskie kroki Życia w tem mieście tajemniczem zastygłem, tam, wśród tych tłumów kosmatych, podstępnych, nienawidzących... tam on roztrzącał je w dumnej, milczącej pogardzie, on książę, król królów, syn bogów, nietykalny od stóp do głów jaśniejącej Sławy i Mocy pancerzem, szczęścia szyszakiem świecący...

Haa... tam szczęście! — tam życie! — tam lecieć — tam! —

A on tu czeka haniebnie.

A on tu stoi w trwodze.

A tu polana ciemnieje... już słońce zachodzi... czerwienieje skała... już czas, może zapóźno?! —

Zerwał się i biegł z głuchym rykiem, czy jękiem.

Biegł na skrzydłach płomieni, jak meteor wśród gwiazd, biegł, jak strzała ognista, na wraże miasto puszczona, biegł coraz szybciej, coraz szybciej. ale drżały w nim ciche pytania, mroczne, straszliwe pytania skradały się w nim podstępnie, pęczniały nim lodowate, chwytaly za gardło, chichotały szyderczo, jak chmura tych tłumów tam — tam —

Negi mu osłabły — jeszcze próbował biegnąć. Lecz jak haki wczepiły mu się w mózg słowa straszliwe, ciągnęły ku ziemi...

— Śmierć zwyciężaj — Mnie zwyciężaj — Duchem uderzaj!

— Sługo śmierci — Panem Jej bądź!

— Czekaj na Mnie dni siedem — sama przyjdę — sama przyjdę —

-- Przysięgnij, że czekać mnie będziesz — przysięgnij — ha ha ha ha ha!

Śmiech straszliwy zazgrzytał w podziemnej świątyni, jakby wieka żelazne zapadały w otchłanie...

Runął na ziemię.

Dlaczego — dlaczego?...

Ona mrokiem okryta — nie widział jej w dzień.

Jej lica uczynione z surowego metalu — jej lica jaśnieją blado, jak światło miesiąca we mgłach.

Jej państwo w ciemniach lasów, w grotach podziemnych. Jej miasta świecą bez słońca, tępa, głucha światłością.

Tam uczono przenikać myśli i w gwiazdach czytać... tam straszne sługi szatana warzyły w tyglach tajemnicze — tam Nocy wiecznej królestwo — Ziemia Snu — kraj zimnego cierpienia...

— Gdzież to — gdzie?! —

Zerwał się —

Dlaczego on nie tam?! — Jak się to stało?! —

Nie myśleć! — nie myśleć!

Znowu biegł, biegł co sił.

To już dzisiaj, już dzisiaj... to już dziś siódmy dzień. —

Biegł aż mu tchu brakło — skała rdzawiała, szarzała. Biegł wpatrzony w tę skałę — już blisko, już blisko.

Nagle myśl, taka prosta —

— Siedem dni? — siedem dni?! —

A może to już upłynęło siedem tygodni!! —

Krzyknął, zagłuszał się krzykiem.

On tam leżał i czekał — w namiocie — tam — chory, nieprzytomny...

A może to już siedem miesięcy, siedem lat?! —

Wybuchnął straszliwym śmiechem, śmiech urywał mu się i wybuchał, biegł i śmiał się i krzyczał — biegł z pianą na ustach, z kłębem mgieł wkoło głowy. Nie widział nic i biegł i śmiał się i krzyczał.

Szaleństwo szło na niego — jakieś zimne szaleństwo. Sztydzić zapragnął nagle.

— A może to już siedem wieków?—co?—może siedem wieków?! —

Nie, nie! To już dzisiaj—hahaha—a może siedem wieków...

Śmiał się okropnym śmiechem, dławił się w śmiechu, kłęby wnętrzości mu podchodziły pod gardło — i biegł, biegł i rzęził i jęczał w dzikim śmiechu...

Wtem przypadł na jakieś stopy kamieni, runął na nie, wstał trzęsący się, zziębnięty. —

Przez krwawe mgły ujrzał przed sobą skałę olbrzymią... ta sama skała.

Oddychał ciężko, ale z ulgą. Pot lał się z niego, jak woda.

— Oblęd mnie chwytą, czy co...

Spojrzał z przestrachem na zachód.

Nie, nie, jeszcze nie pora... Słońce jeszcze widać—takie krwawe, dymiące...

Czegóż on tak? — chory jest — tak — tak — tyle noc — taki niepokój...

To przecież tutaj. Trzeba się trochę uspokoić. Nie można się tak trząść, jak małe dziecko.

Uczuł gwałtowne zmęczenie.

Oh, cóż za okropny niepokój... To zabawne — on, najtęższy z rycerzy...

Próbował uśmiechnąć się.

To bardzo, bardzo zabawne.

Szczekał zębami. Mgła przesłaniała mu oczy.

Ciągle oglądał się. Wykonywał jakieś niezgrabne ruchy rękami...

Czuł, że blednie śmiertelnie. Szło nań osłabienie—tępa senność.

Usiadł na kamieniach.

Wszystko stało mu się nagle takim obcym, dalekim. Odsuwał się od tej skały, tej polany... coraz dalej —

I ten las coraz dalszy — ten las —

Stamtąd wyszła — pomyślał.

Cichy, leniwy chłód sączył mu się w duszę. Płynęły nań drżące fale przerażenia, krew uderzała do głowy głucho, jakby tajemnie, wolno, nieśmiało...

Stamtąd wyszła — pomyślał znowu — ale było mu to jakieś obojętne, prawie nieznanne. Nie dziwiło go to wcale.

Jakieś nieznośne, ostre światło lśni w głowie. Niby nie świeci, ale jest — oślepia wszystkie myśli. Oh, to natrętne światło!

Począł się w nie wpatrywać.

Nie, to nie światło. To jakieś szkliste skośne oczy... Białkami świecą, jak oczy konających. Uporeczywie, z szatańską złośliwością patrzą te oczy niedomknięte.

Takie mu się wydały znajome te oczy — takie straszne. —

I taka dziwna rzecz — te oczy są przezroczyste. On patrzy przez nie nawskroś i widzi — widzi — siebie.

Siebie widzi—o tak—na tej skałce samotnej—na głuchej granicy życia—w ciszy śmiertelnej... Puszcami i morzami oddzielony od ojczyzny—on, nawpół obłąkany—król połowy ziemi—nędzkarz —

Nędzkarz?—król?—co?—Nędzkarz, czy król?—

Wpatrzył się z przerażeniem, ale nawpół ze śmiechem.

Co to się stało? Co on tutaj widzi?

Przymknął oczy. Trzeba pomyśleć.

Pogrążył twarz w dłonie, łokcie oparł na kolanach. — Trzeba pomyśleć — szepnął.

Ale nic nie mógł przypomnieć. Łaził mu po głowie mętny, tępy ból. Coś próbowało przejścia przez jego mózg. Coś drżało za tajemną ścianą jego mózgu, jak w zamkniętym szczelnie pokoju, za brudną błoną okna — jakby tam chodziły cienie tajemnicze — straszne wspomnienia. Ścisnął skronie rękami.

On musi wiedzieć — musi.

Ale gdy myślał, senność go ogarniała. Ciepłe, wilgotny mgły pełzały pod czaszką, ocierały się o ściany. Tylko co wiedział — pamiętał... On zaraz sobie przypomni — nie — nie. —

On, co za znużenie...

Trzeba odpędzić sen. Roztworzył oczy szeroko...

Ach co za polana olbrzymia—drzewa szumiące...

Taką łąkę już kiedyś widział, ale była inna, świeża, jasno zielona... włóczyły się po niej mgły wilgotne, pachniały mięsiste łodygi traw, kwiatów tysiące — chwiała się cicho jaskry, dziewanny, suche mietlice, czerwonawe szczawie wysmukłe, jakieś białe kity kwiatów bez nazwy, pachnące miodem... wołały go ku sobie... szły ku niemu świetlistym zagajem, oplątywały nogi, czepiały się włosów miłośnie...

Ale on uleciał od nich, uleciał... A kwiaty tęskniące pochyliły za nim ramiona jakby w podmuchu burzy— i on uleciał od nich niepowstrzymanie—daleko—daleko.—

A teraz te łąki stratowane, wbite w ziemię... tłumy barbarzyńców, tabunydzikich koni je zabijają... a tam, daleko, płonące miasta, wycia mordowanego ludu, rzeki krwi, stosy trupów, piramidy czaszek i piszczeli—a wśród nich kości jego dzieci—jego dzieci.

Więc niema już ich?—niema?—i ciała nieopgrzebane? i nigdy już ich nie ujrzy?

A któż po nim obejmie koronę? —

O bogowie—jaką koronę? jaką koronę?... tutaj pustynia... samotność... granica życia... tutaj... on czeka, czeka... tutaj...

Chciał wstać, ale nie mógł.

Chciał krzyknąć, zapytać, czy to prawda, ale ust nie mógł otworzyć.

— Jak to może być?—myślał.

Góry zwały się mu się na ramiona. Olbrzymie, leniwe góry, rozsiadłe szeroko, szczytami w chmurach tonące, cisnęły go w głąb, do ziemi, tłoczyły go coraz bardziej, miażdżyły, głuszyły wszelkie myśli. Śmiertelna cisza pełzała mu w piersiach, ślizgała się po ramionach, osunęła się do nóg, ułożyła się miękko u stóp, jak pies jakiś obcy, zdradziecki, a udający wierność, jak zły duch w cichej szacie świętego anioła smutku.

— I co? — i co? — mruzczał.

Niedosłyszalna trwoga czaiła się na dnie serca, ale zarazem zaczynało mu być jakby spokojnie...

— Jeżeli niema ratunku — to trudno — trudno...

Przymykał oczy, ale bał się. Znów je otwierał — ale tak mu ciężyły powieki—musiał przymykać—oh, jaki smutek bezdenny...

Tępy smutek, bezsilny—taka czezość okropna, taka pustka...

Nuda—nuda—ciągnąca nuda.

Taka nuda, w której się nawet ziewać nie chce, a krew omdlała krąży w ściągniętych żyłach, gęsta, leniwa, jak guma arabska, jak smoła krzepnąca, jak wysychająca rzeka w gorącym piasku rozplamionej wiecznym ogniem pustyni.

Sucho i czezo.

I cicho, jak w podziemiach, jak po strasznej katastrofie. Jeszcze słychać w powietrzu ostatnie echa gromowych łoskotów, jeszcze dzwonią mu w uszach resztki wstrząśnięć, resztki przestרחu.

W tej ciszy słychać tylko jego własny oddech, chrapliwy — czyżby on spał? Zupełnie, jakby nie jego oddech — oddalony, zmęczony...

Krótkimi, zdyszczanymi haustami wciąga powietrze — nie może spać—oczy tak pieką—ale on śpi chyba.

On się musi obudzić i iść.

On wie, że śpi, ale wstanie. Musi. Będzie się spieszył, bo tam—tam—coś na niego czekało... oh, jakże gło-wa krąży sennie, kręci się, spływa w przepaść, ciągnąc ciało za sobą.

Sam jest na świecie.

Sam — sam.

Oh, jaka straszna, senna tęsknota.

Sam — daleko — w jakiejś pustej przestrzeni.

Żeby choć jedno serce, jedna chociażby nienawistna istota, aby blisko — aby była, aby z nim rozmawiała.

Pustka bezmierna.

Śmiertelny niepokój szedł na niego z tych pól.

Podniósł się leniwie. Drżał. Zimno go przenikało.

Ach, pewno przeziął od tych kamieni.

Obejrzał się długo, dokładnie, lecz ledwie poznał, że to ta sama okolica. Las się odsunął, zmalął, polana zszarzała... biegła gdzieś het, daleko...

Dziwne, rzeźwe powietrze.

Podszedł kilka kroków. Było mu tak lekko, ale zarazem drażniąco, serce mu drżało, podnosiło się aż do gardła i znów opadało zmęczone.

— Tutaj nie mogę zostać — szeptał — nie mogę.

Oglądał się ustawicznie.

I dokąd pójdę?

Przystanął.

Nikogo! — Nikogo! —

Nie... tutaj pozostać...

Wszyscy daleko... daleko...

I nagle ujrzał ją... matkę... siwą, jak zima, z oczyma, pełnemi łez... z temi szaremi oczyma, co ciężą nadmiarem miłości i palą, jak wyrzut, i ciepłą falą jesiennego słońca pieszczą mu oczy i serce niemem pytaniem: co tobie?

Oh, teraz przypaść jej do nóg, niech złoży mu na głowie te twarde, spracowane dłonie.

Oh, żeby ją chociaż na chwilę zobaczyć, przytulić się do niej, jak wtedy, gdy jeszcze był małym chłopcem...

Wyrzała na niego... oczy jej surowe, o stalowych błyskach... z pod chusty podartej snują się na wietrze białe włosy... siedzi na koniu znękana, stępiona bólem — przez lasy się przedziera — oddala się od niego — oddala — Jeszcze raz obejrzała się z głuchym wyrzutem — i jeszcze raz woła go nawpół szydercza... znikła w olbrzymim lesie. —

Nogi zakolysały się pod nim. W mózgu dźwięczał jeden przeciągły ton, charczący, bolesny, jęk trafionego śmiertelnie.

Nie mógł płakać, nie mógł oddychać.

— Matko!! Matko!! —

Ale nie mógł zawrócić.

Szedł, szedł, nie przystając, w tej przestrzeni bezmiernej.

Dusza jego bezwładna, niby w klatce żelaznej. Rozdziera się, krwawi, patrzy weń olbrzymiami oczyma obłąkanych. A on nie może poradzić nic — nie może się oprzeć — zapóźno! — Wiedział, że tam iść musi... tam, gdzie te podziemia, te głuche miasta...

Z cyniczną rozpaczą widział, że idzie na zgubę. Nogi go niosły same, przemocą, co nie z niego była. Straszna siła porwała skrwawiony ochłap jego duszy i wlokła za sobą — tam — tam — w głębinę. Cały świat ginał. Jakaś brama zatrzaśkiwała się za nim na życie, ale ono zaczęło go wołać zdaleka, szeptać i szemrać mu koło uszu: nie idź! — nie idź! — nie idź! —

Zaludniła się za nim olbrzymia polana. Widział, choć nie oglądał się, że pełza coś w trawach wyniosłych, szeleści, chichoce zcicha. Czuł na karku leciuchne, gorące oddechy, słyszał płacze, wołania niezrozumiałe. Łan rąk podnosił się za nim błagalnie. Jak okiem sięgnąć, te ręce, rozpacznie za nim wyciągnięte, płynące nad tłumami, co padły na kolana i na kolanach suną się za nim coraz szybciej, coraz szybciej — i belkocą suchymi głosami modlitwy, i zwierzęca, wyjąca rozpacz charcze w ich szepkach zdławionych — i krew im z ran płynie po półnagich ciałach...

Dziki strach lodowatemi bryłami zmroził mu oddech. Chciał uciekać i nie mógł. Musiał iść wolno, ostrożnie, na osłabłych nogach, jeszcze przez całą, daleką polanę, dopóki nie padnie im w łakome objęcia.

Rósł za nim pomruk — coraz głośniejszy, wyraźniejszy, aż jak w podziemiach zahuczał:

— Żyj nam, żyj!! —

A potem cisza nastaje — słyhać tylko tłumione szlochania i urywane śmiechy obłąkańcze.

I znowu:

— Żyj nam, żyj!! Żyj nam, żyj!! —

Sfinks.

Dławił się z przerażenia. Dobywał ostatka sił. Jęczał zcicha, beznadziejnie, czuł, jak jego ramion czepiało się tysiące delikatnych niteczek, co go ciągnęły, szarpały, zatrzymywały... Lecz walka go podniecała. Wyrwał się i biegł, jak szalony, nawpół lecąc.

Był u progu olbrzymiego lasu. Tu był bezpieczny.

Rzucił się na ziemię. Daleko za sobą słyszał szumy dzikich krzyków, niby odgłos fal morskich, bijących o brzegi.

Był wolny—ach tak! Uspakajał się. Cichło wszystko.

Tylko raz jeszcze — zdaleka — ale wyraźnie, jakby tuż przy nim—jakby wprost w ucho—zahuczał mu głos gromowy — ach jakby w sobie samym go słyszał:

— Któż ciebie, królu, zadosyć mścić będzie, jeżeli nie ty sam!!

Zerwał się książę —

— Zbudź się z tych snów zatrutych!! —

— Idź, prowadź nas—na rzezie i pożary!! —

A potem cisza. Drzewa nad nim olbrzymie, szarobrunatne. Taka gęstwa, że niebo nawet nie prześwieca.

To sny?! — To sny?! —

Jeszcze świeciła za nim zmierzchowym światłem polana. Kręte gałęzie i potężne liście, podobne do łap rozwartych, stoją nieruchomo w powietrzu na tem jasnym tle.

Zmilkło wszystko. Nie nie woła. Tu niema nikogo. Nikt go nie śledzi, nikt nie zatrzymuje.

Odetchnął szeroko.

Straszliwe to były sny. Jakim sposobem on tak śnił na jawie?

Wszedł w las powoli, uroczyście.

Dziwny las.

Jak kolumny, stoją olbrzymie, chropawe pnie i płyną w górę, w ciemność, pod chmurne listowia sklepienie. Wierzchołków nie dojrzeć. Gałęzie wiszą milczące, mchami srebrnymi porośłe, liście z pod mchów wyzierają.

Lekko mu iść. Grunt elastyczny a miękki. Czasem

beźmiernie cicho zaszeleści pod stopą mech suchy, zatrzeszczy głucho, jak na dywanie, gałązka, żaden ptak się nie ozwie, nic liści nie poruszy. Czasami tylko, jak gdyby senne wspomnienie, coś ledwie dosłyszalnie załopoce skrzydłami—ale wysoko, ostrożnie, w czarniawej liści gęstwinie—ach, to muszą być jakieś ogromne skrzydła, bo niewyraźnie muskają głowę księcia.

Dziwny las.

Mrok coraz większy i jakiś duszny. Jakby mgły coraz gęstsze omdlewały wokoło. Ale ta duszność lekka, rozkoszna, choć męcząca i chociaż głowa od niej chwilami się zakręca.

Las idzie coraz niżej, coraz bardziej pochyło. Schodzi w bure mroki, jakby w dymy krateru.

Dziwny las.

Czasem drzewa olbrzymie jakby się nagle pochyla—ale na mgnienie oka—tak—to zapewne złudzenie—jakby się zlekka, zaledwie dostrzegalnie pochyla—i znów się wyprostują, a żaden listek nie drgnie.

(Dokończenie nastąpi).





Dr. ADOLF CHYBIŃSKI.

DWA JUBILEUSZE MUZYCZNE.

I.

Feliks Mendelssohn Bartholdy.

(ur. w roku 1809).

Z pośród wielkich muzyków XIX stulecia, Mendelssohn był jednym i jedynym, który już za życia zdobył bez żadnego trudu uznanie powszechne, równające się bezgranicznemu uwielbieniu. Obserwując dzieje losów głębszych i większych umysłów, jak Beethovena, Schuberta, Berlioza, Chopina, Wagnera, Liszta, Brucknera, Schumanna, Brahmsa i Cezara Francka—nie możemy się poniekąd dziwić, że mieli tyle strasznych trudności do zwalczania z głupotą mas, ze złośliwością i ograniczeniem krytyków i muzykantów, a przede wszystkim z zaciekłością tych, których zwie się popularnie: „laudatores temporis acti“. Mendelssohn niedarmo miał na imię „Felix“: bez najmniejszych wysiłków, bez wątpliwej i rozczarowań udało mu się porwać masy szarego tłumu, i indywidualnie bezbarwnych muzyków, i wywołać nawet szlachetną „zazdrość“ u największego z romantyków — Schumanna. A powód tego stanu rzeczy? Oto Mendelssohn nigdy nie dawał żadnych zagadek do rozwiązania, nic w nim nie

było problematycznego (prócz... wartości bardzo wielu dzieł)—owszem, wszystko u niego jest tak składowe i ładne, że nawet nie wymaga zastanawiania się lub jakiegokolwiek wysiłku intelektualnego, i prosi się, aby je brać tak, jak jest, dosłownie, bez t. zw. ubocznych myśli. Biorąc Mendelssohna pod uwagę *symetycznie* (tak jak to czynię w tym szkicu), dostrzegamy u niego absolutny brak nowych wartości, jakie przyniósł każdy niemal z wymienionych powyżej mistrzów. Wewnętrznie zaś nie doprowadza naszej uwagi, naszych uczuć do tego napięcia, które wywołuje i podziw i zachwyt. Słuchając jakiegokolwiek jego utworu, nie czujemy się ani porwanymi, zdruzgotanymi, uniesionymi w otchłań djonizyjskiej orgjanistyczności lub w krainę głębokiego ukojenia; ani wreszcie ten t. zw. „miły ton“ kompozycji Mendelssohna nie rozbija nas tak, jak to czynią Schubert, Schumann, Chopin i Liszt w niektórych swych kompozycjach. Muzyka Mendelssohna ślizga się gładko i bez dyssonansu po powierzchni naszej duszy, a jeśli w niej wywoła echo, to tylko w formie rozkosznego zadowolenia, że płynie tak gładko i wartko. Dlatego muzyka Mendelssohna od razu miała za sobą tłumy, które nie cierpią „krańcowych“ wzruszeń i nie czują potrzeby refleksji, zwłaszcza jeśli mają przed sobą sztukę, nie przynoszącą nowych a niezwykłych objawów artystycznej indywidualności, lecz nawet chętnie zwracającą się w przeszłość, której wartości w duszach artystów przestały być wartościami żywotnymi. Trafnie choć nieco przesadnie określił Fryderyk Nietzsche Mendelssohna w sarkastycznym aforyzmie: „Muzyka Mendelssohna jest muzyką dobrego smaku w tem wszystkim dobrem, co już przedtem było: zawsze wskazuje za siebie. Jakże mogłaby mieć coś „przed sobą“, wielką przyszłość?! Ale czyż *chciał* ją mieć? Posiadał rzadką między artystami cnotę, mianowicie cnotę wdzięczności bez ubocznych myśli: ta cnota również wskazuje poza siebie“. („Menschliches-Allzumenschliches“, II).

Faktem niezbitym jest, że popularność Mendelssohna niknie coraz bardziej, czego jednak nie należy brać za zły objaw współczesnej kultury muzycznej, która zgutowała tryumfalny renesans sztuki Bacha i Händla, która stara się z wielkiem powodzeniem odrodzić arcydzieła epoki Palestriny, Orlanda di Lasso, Gabrielego, Monteverdiego i Carissiniego. Jest to jeden dowód więcej, że należy wyróżniać dwa pojęcia: tego, co jest stare, od tego,

co przestarzałe — a zarazem dowód, że *przecenianie* jakiegokolwiek umysłu twórczego za jego życia może wśród szczególnych danych skończyć się jego niedocenieniem lub nawet brutalnym lekceważeniem po śmierci. Już Bülow, najgienjalniejszy z dotychczasowych dyrygentów i krytyków, wystąpił przeciw temu, choć w głębi duszy nigdy nie sympatyzował z kierunkiem Mendelssohna, którego zresztą nie przeceniali nigdy: Chopin, Wagner, Berlioz, Liszt. Bülow pisze: „Mendelssohna *przeceniano* za życia“... „Teraz po śmierci *obniża się* jego wartość, zaś niegodni ludzie poczynają zmniejszać jego zasługi i ze złośliwą nienawiścią z zazdrości dyskredytować go w opinii publicznej. I jedno i drugie jest niesłuszne; a lat wiele upłynie, nim potomność będzie mogła wydać sąd bezstronny. Mendelssohn nie był wcale człowiekiem przyszłości, tworzył dla swojego czasu, dla współczesności — co jednak nie jest jeszcze nagana. Mendelssohn nie dawał koncesji modzie panującej, lecz smak muzyczny oczyszczał i podnosił. Nie był *gienjuszem*, lecz tylko nadzwyczajnym talentem, któremu bardzo pomagały zręczność i bystry praktyczny rozum, właściwy w wysokim stopniu jego rasie. Różnica między talentem a *gienjuszem* nie polega na tem, że — jak się to często słyszy — *gienjusz* ma w udziale przedewszystkiem siłę twórczą, lecz tylko na rodzaju twórczości. Talent zyska przy swem wystąpieniu więcej powodzenia i rzeczywistej sympatji, niż *gienjusz*, często nawet odstręczający. Pomyślmy tylko o pogardzie i pośmiewisku, jakie towarzyszyły za życia Beethovenowi ze strony największej części muzyków. Dlatego jednakże *gienjusz* ma zapewnioną nieśmiertelność“ (por. „Ausgewählte Schriften“, Lipsk, 1896, str. 9—10).

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że Mendelssohn, który od pierwszych swych dzieł do ostatnich pozostał jednakim, żył w epoce, w której miał wszelkie warunki uzyskania niesłychanej popularności. Żył wtedy, gdy jeszcze nie rozumiano „ostatniego“ Beethovena, a wtedy wielcy mistrze już zabierali się do wyciągnięcia dalszych konsekwencji z beethovenowskich czynów, i gdy Berlioz, Chopin i Schumann tworzyli nowe wartości — których oczywiście nie oceniano. Mendelssohn tego nie czynił. Wszelkie zdobywanie nieznanych terytorjów w Sezamie środków i idei muzycznych było mu i obce i przeciwne jego naturze. Stąd nawiązał stosunki z kierunkiem haydn-mozartowskim, nieco stylizowanym, nieco po biederma-

jerowski przez ówczesnych kompozytorów minorum gentium, i postanowił to wszystko pogłębić i uszlachetnić kunsztem, uzyskanym przez studia nad Bachem i Händlem, ale podać popularnie, poprawnie, czysto i zrozumiale. Eksperyment ze wszech miar udatny przyniósł mu rozentuzjasmowaną czolobitność. Dziś jednakże, gdy pobeethovenoskie kierunki są hasłami ogólnej kultury muzycznej, a Mendelssohn nie zostawił żadnego wybitnego epigona, któryby jego idee poprowadził *dalej* — dziś zapaly te zbliżają się gwałtownie ku 0° ciepłoty, a już słyszy się narzekania (zresztą słusznie), że krytycy zachowują się wobec Mendelssohna bez taktu a nawet uczciwości, dyktowanej przez historyczną prawdę. Obok Bülowa podniósł tę niesprawiedliwość Antoni Rubinstein, który jednakże nie trafił w sedno, pisząc: „Nie można zaprzeczyć, że w porównaniu z innymi wielkościami brakuje Mendelssohna głębi, powagi, wielkości — ale te zastąpione są u niego tyłoma zaletami (nb. o ile głębia, powaga i wielkość dadzą się — zastąpić czem innym — przyp. autora), że zapewne wrócimy do niego z miłością i szacunkiem i będziemy jeszcze raczyli się jego twórczością“. („Die Musik und ihre Meister, Lipsk 1892 str. 70).

Jednostronnością Mendelssohna, który — jak Bülow słusznie i trafnie zauważył — „od *gienjusza* rozwinął się do talentu“, był *przesadny kult pierwiastku formalnego*, jaki również leżał w jego indywidualności, jako też był spotęgowany w nim dzięki przejęciu się idealami Mozarta, wskutek czego bardzo słusznie tenże Bülow nazwał go największym po Mozarcie *gienjuszem* formy, estetycznie czystym“ (por. op. c. 174 i 316). Mendelssohn często poświęcał swobodny lot fantazji i głębokość idei na rzecz płynnej formy, i to właśnie sprawiło, że romantyczny pierwiastek tłumilo u niego jednostronne upodobanie w klasycznych formach, które już Beethoven rozbił, gdyż były zbyt szczupłe dla jego gigantycznych rzutów myśli. „Mendelssohn wolał wprost nawiązać swą twórczość z Mozartem, mianowicie w ten sposób, że czystą i piękną formę stawiał ponad świat myśli, naczynie ponad duchową treść. Inną jednak była zasada Beethovena; u niego *idea* jest istotą tworzenia, tem, co jest „tempore et dignitate prius“ i „conditio sine qua non“. Idea tworzyła sobie u niego formę dla siebie, jako odpowiednie i zrozumiałe wyrażenie tejże idei. Nie oznacza to bynajmniej

obniżenia znaczenia formy, przeciwnie—jej spotęgowanie, wywyższenie. Możemy laika zapewnić, że potrzeba o wiele więcej wiedzy ze strony artysty, aby indywidualnej idei nadać odpowiednią, a więc stworzyć indywidualną i nową formę — aniżeli naśladować normalny i zużytkowany szablon i dla pretekstu tej rzemieślniczej czynności zapożyczyć idei, która się już stała frazą, a której można przy pewnej dozie przyzwoitości pozwolić bawić się w chowanego wraz z jej przeżytym charakterem“ (Bülow op. c. str. 77).

Mimo to właśnie forma, aretyklasycznie piękna, potoczność i dojrzałość jej, płynność formalnej logiki zastępuje u Mendelssohna brak wielu innych zalet—nie, nie brak ich, lecz wprost nieproporcjonalną ich niższość wobec potęgi formy. Obok tej jednostronności, która u tak zharmonizowanej samej w sobie indywidualności, jak Mendelssohn, jest do pewnego stopnia dziwną, występuje jedna wada, może nawet groźniejsza, niż jednostronność: jest nią, niestety, rzeczywistość i niekwestjonowana nawet przez akademickich (czy jak kto chce: uczonych a będących historykami) wielbicieli Mendelssohna skłonność do egzaltowanego sentymentalizmu, kojarzącego się bardzo często z banalnością melodyjnego materiału, tak obcego nawet mniejszym mistrzom, jak Brahms, jak Czajkowski (do pewnego stopnia) i inni. Pod tym względem Mendelssohn objawiał bardzo często zdumiewająco mały samokrytycyzm, tak surowy i imponujący u niego, jeśli chodzi o jakość opracowania, zwłaszcza w zakresie formy i polifonii. „Usprawiedliwiano“ tę wadę różnie. Najbardziej czynił to Rubinstein, twierdząc że wpłynął na to dobrobyt Mendelssohna. „Był dzieckiem bogatych rodziców, otrzymał najstaranniejsze wychowanie i wykształcenie w domu rodzicielskim, otoczony towarzystwem najwytworniejszym pod względem duchowym, zajmował się sztuką nie dla zarobku, lecz z duchowej potrzeby, nie znał życiowych trosk....., ani walki o byt, i to właśnie jest widocznym w jego twórczości — żadne łyzy, żadne walki duszy, żadna gorycz, niemal żadna skarga“ (op. c. str. 72). Każdy jednak przyzna, że „pogodny“ ton „najweselszych“ utworów Chopina musiałby chyba zdradzać... co najmniej potrójnego milionera i że Czajkowski zupełnie słusznie zauważył w liście do pani von Meck (z 13 grudnia 1878), że „nie głód i pragnienie rodzą twórczego artystę, lecz jedynie wewnętrzne pobudki do tworzenia“,

i że niemniej słusznie wyraził się Hans von Bülow (jakkolwiek nieco jednostronnie), że „wszystkie banalności świata polegają w ostatniej instancji na optymistycznym poglądzie na wszystko, co istnieje“. A Mendelssohn był tym przesadnym i zawsze utrzymującym się w tonie optymistą. Uderza nas w utworach jego i to, że po najwznioślejszych i najgłębokich, zjawiają się niesłychanie banalne i tanie pomysły, które już przez samo nadużycie stały się trywjalnymi. Nawet tak bardzo wielki wielbiciel Mendelssohna, jak Hugo Riemann, nie może powstrzymać się od nazwania niektórych dzieł twórcy „Symfonii szkockiej“ wprost „niebezpiecznymi dla smaku muzycznego, ponieważ dzięki ich niezwykłe przyjemnemu dla ucha brzmieniu... wprowadził Mendelssohn do domowego życia muzycznego i do towarzystw śpiewackich skłonność do sentymentalizmu, czemu dopiero Wagner położył kres w swej zbyt ostrej i niebardzo sprawiedliwej broszurze „Das Judentum in der Musik“ („Geschichte der Musik seit Beethoven, str. 261), choć nie można z Riemannem zgodzić się, że wiele dzieł Mendelssohna tylko dlatego zdaje nam się być trywjalnymi i banalnymi, ponieważ epigonowie jego kierunku „zamienili jego pomysły, niestety, na składy popolitości“ (tamże, str. 259), trabanci bowiem kierunku Haydna, Händla, Schumanna, Beethovena, Palestriny i innych mistrzów nie zaszkożdzili im pod żadnym względem. To miękkie i sprawiające często tylko akustyczną przyjemność brzmienie orkiestrowych, kameralnych i chóralnych utworów Mendelssohna, spowodowało Bülowa do nazwania jego epoki „zniewieścianością uszu“, przeciw której zwłaszcza utwory Wagnera, Berlioza, Liszta (do pewnego stopnia), Brahmsa, Schumanna i Brucknera stały się reakcją — jak wiadomo, skuteczną. A dziś odczuwamy skutki tej reakcji, której mimowolną pomocą stał się fakt, że kompozytor, przeceniany za życia, spotyka się po śmierci z rosnącą obojętnością a nawet niedocenianiem. Bardzo trafnie ocenił go Feliks Weingartner w swej rozprawie „Die Symphonien nach Beethoven.“ (Berlin 1898), gdzie wskazuje na to, że 17-letni Mendelssohn napisał jedno z najlepszych swych dzieł, t. j. uverturę do „Snu nocy letniej“: „Formalna doskonałość i świadoma celu pewność inwencji i faktury, jakie wykazuje kompozytor w tej uwerturze i w powstałym przed nią oktecie, będącym prawdziwym wzorem piękności brzmienia zespołu smyczkowego, zmu-

szają nas do wielkiego podziwu; tylko Mozart zdołał coś podobnego osiągnąć w tak wczesnym wieku. Skoro już Mendelssohn napisał te utwory, nie miał nic więcej do nauczenia się *z zewnątrz*. Co zaś jeszcze musiał posiadać, aby stworzyć dzieła równe co do wartości dziełom poprzedników, tego nie mógł sobie przyswoić, musiałoby w *nim samym* leżeć, — ale tego właśnie brakło. Z listów i z muzyki Mendelssohna przemawia do nas szlachetna, miła, poetyczna i pełna polotu, wybitnie wyposażona natura. Nie posiadał jednak szczerzej głębi i silnie pulsującego temperamentu. „Podstawą mistrzostwa, objawiającą się w dziełach, jako oddziaływanie, jest wielka szczerść i uczciwość artystyczna, która nie chce dać więcej, niż może. Tą rzetelność posiadał Mendelssohn w wysokim stopniu, wskutek czego objawia nam się dzięki swej istocie wprawdzie nie jako wielka, ale i na wewnątrz i na zewnątrz *skończona* postać. I dlatego dzieła jego odznaczają się mimo braku głębszego (silniejszego) duchowego życia sympatyczną doskonałością (wykończenia), uwalniającą nas od pytania, zaczynającego się od „jak“ — i tylko każą nam zastanawiać się nad treścią („Was“) jego artystycznej indywidualności“ (str. 17 i nast.) Bądź co bądź panuje między artystami i uczonymi muzycznymi zupełna zgoda w stwierdzeniu, że w twórczości Mendelssohna znajduje się wiele dowodów powierzchownej elegancji formy, sporo mańjerycznego powtarzania ulubionych zwrotów i zużytych fraz, psujących wrażenie gienjalnych pomysłów, brak głębiej poruszających nami idei, pewna stereotypowość w wyrażaniu się, nadmiar słodkawego sentymentalizmu dziwnie przeplatane klasycznym chłodem — co wszystko razem sprawia, że przeważna część jego dzieł traci wiele przy częstym ich słuchaniu. Wyznają to szczerze nawet znani pół-oficjalni wielbicieli Mendelssohna, jak Ernest Wolff, R. Hohenemser, Ricmann, nawet H. Kretzschmar. Jeśli ataki neoromantyków i ich następców na Mendelssohna były przesadne, to niepodobna oprzeć się wrażeniu tendencyjnej hypergloryfikacji, uprawianej przez nowszych „Hinterweltlerów“ muzycznych, z chęcią posługujących się anatemami przeciw współczesnej muzyce i podnoszeniem sztucznym tego, co nas zupełnie nie interesuje z artystycznego stanowiska w sztuce Mendelssohna. Bądźco bądź nie zdołali się ci ostatni uchronić przed jakąś dziwnie podejrzaną ostrożnością, akompaniowaną słowami „wszakże“, „przecież“ i „mimo tego“.

Przejdźmy pokrótce najcenniejsze dzieła Mendelssohna i starajmy się znaleźć także inne cechy jego indywidualności.

Mendelssohn nie zmieniał się w swej twórczości nigdy: pierwsze i ostatnie jego dzieła są do siebie tak podobne co do stylu, że o wewnętrznym rozwoju Mendelssohna nie może być prawie wcale mowy. U Chopina widzimy często pewne, choć mało wyraźne, fazy i metamorfozy, u Mendelssohna zupełnie nie. Każda symfonia Beethovena, każdy dramat muzyczny Wagnera, każde większe i mniejsze dzieło Chopina — to coraz nowe i inne światy! U Mendelssohna jest jeden i ten sam „światopogląd“, rozdzielony na małe i wielkie, mniejsze i większe części. Stąd rodzi się pewna jednostajność wyrazu muzycznego, jakiej nie zastąpi ani wielki polot ani różnorodność rytmu.

Szczególne upodobanie miał Mendelssohn do tego rodzaju muzyki, której najwybitniejszym reprezentantem jest uvertura do „Snu nocy letniej“, muzyka lekka, powiewna, nieco romantyczna, trochę fantazyjna, filigranowo i przejrzysto opracowana, bez nadużycia w środkach, owszem — w tym kierunku skromna, gdyż skromną jest treść tego rodzaju muzyki. Taki elfowy pierwiastek, zaczerpnięty bez wątpienia z wcześniejszego romantycznego malarstwa i poezji niemieckiej, jest charakterystycznym dla Mendelssohna. Znajdziemy go we wszystkich scherzach, w licznych „Pieśniach bez słów“, w „Perpetuum mobile“ (po części), i t. d. Często ma się wrażenie, że to nie tan elfów, nie zawrotne tańce w świetle księżyca, lecz raczej — jak Ryszard Wagner powiedział — „taniec muszek“ podczas chłodnego wieczoru pochmurnego, gdy księżyc czuje się skrępowanym powłoką szybko mknących chmur. Mimo to właściwego *nastraju* romantycznego niewiele; Mendelssohn nie lubi być zbyt subiektywnym — a mańjery dobrego muzycznego wychowania powstrzymują go w daniu upustu poetycznej rozlewności, bezwzględnej szczerści. Wszak wszelkie silniejsze akcenty w wyrazie muzycznym były mu obce, tak jak muzyka Berlioz, którą zwykł nazywać „grässlich“ — tak jak przerażała go żywiołowa erupcja beethovenowskich idei. Siła zbyt wola bywa często słabą stroną muzyki, krępując swobodę wypowiedzenia się, bezwzględnie, elementarnie silnego. U Mendelssohna lot fantazji był krępowany pedantyczną uwagą, skierowaną ku najdalej posu-

niętemu polerowaniu formy. Jeśli nie towarzyszyło tej tendencji dążenie do monumentalności, to zawsze wynikiem tej pracy, zresztą bardzo podziwu godnej, była niesympatyczna „brylantowość“, charakterystyczna epoce Mendelssohna (por. „Rondo capriccioso“ i t. p.). Gdy Mendelssohn stara się być monumentalnym, zjawia się pewna jałowość i brak głębszych myśli; jest to coś obcego jego indywidualności (t. j. monumentalności), dla której najodpowiedniejszym było tworzenie „Pieśni bez słów“; w takich razach otrzymujemy tylko wyborną formę — lecz bez treści. Dlatego trudno nie zacytować jednego z najtrafniejszych sądów, jakie dotychczas wypowiedziano o Mendelssohnie. Mianowicie Hugo Riemann orzekł w swej „Historji muzyki po Beethovenie“ (str. 258 i nast.): „Pomimo niezaprzeczenie mistrzowskiego opanowania form, muzyka Mendelssohna odznacza się w zasadzie *drzbnymi rysami*; nie opracowywanie motywów, nieśmiała linja tematycznego snucia myśli, nie potężnie porywająca duszę gradacja aż do wstrząsającego, tragicznego konfliktu (jak u Beethovena) sprawiają właściwe wrażenie, lecz głównie właściwy charakter (treść) jego tematów, ta szczególnie szczęśliwa koncepcja wstępnych motywów jego tematów i okresów. W nich szukać należy właściwego dowodu twórczości, spontanicznego natchnienia, podczas gdy dalsze ich rozwijanie jest wynikiem jego artystycznej oglady, jego dobrego wykszolenia; rzadko też wywołuje ono nowe i świeże („primäre“) wrażenia“.

Pewna zniewieściałość i miękkość łączy się u Mendelssohna z owym „brylantowym“ pierwiastkiem; „brylanty“ te jednak dziś już nie świecą silniejszymi promieniami; bardziej wyszukany szlifierzem był impresjonista Liszt. Czasem mamy wrażenie, że Mendelssohn, jakby umyślnie starał się o elegancję dla elegancji; jeśli w takich razach towarzyszy tej tendencji zbyt ni sentymentalizm, następuje nuda, zwłaszcza gdy w grę wchodzi temat bez silniejszej fizjognomji. Nie można w całej rozciągłości podpisać zdania Riemanna, że o tyle tylko owa miękkość nie robi wrażenia zniewieściałości i sentymentalności, o ile przeciwagę tworzy „das Graziöse, Capriciöse und Brillante“ (op. c. str. 261). Rzadko bowiem te cechy tworzą jeden rys, a jeśli tworzą, wtedy całość przybiera zamgloną i niepewną sylwetę. Optymizm Mendelssohna jest cłkiwy i raczej obezwładnia niż przekonują. W czasach Mozarta i Haydna byłby na miejscu.

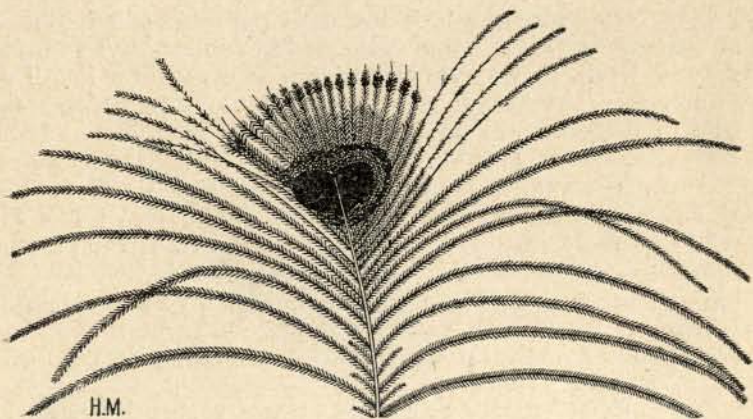
Beethoven rozpoczął cykl tragików, a co najmniej chmurnych, dramatycznych symfoników. Prawda, Schubert jest co najmniej w $\frac{1}{3}$ części swych dzieł djonizyjsko-rozpasanym; ale to nie optymizm — to tylko chwytnie na gorącym uczynku pogodnych stron życia i przetapianie ich w dźwięki, przekonywujące wszystkim. Tę samą siłę wyrazu, tylko gienjajnie spotęgowaną, objawia i Beethoven, ale Mendelssohn nigdy nie przemawia całą siłą przekonania. Jest za chłodny — i za mało wyrafinowany. Rekompensaty nie otrzymujemy żadnej ponad sposobność podziwiania doskonałej harmonji w klasycznych rysach jego mistrzowskich form. Tę cechę noszą na sobie jego słynne dzieła: symfonia a-moll (szkocka) i a-dur (włoska), koncert skrzypcowy, kilka utworów kameralnych (zwłaszcza trio op. 49, kwartet a-moll, op. 44, oktet, sonata wiolonczelowa op. 45), uwertury „Hebrydy“ i „Sen nocy letniej“, warjacje „serieuses“, i kilkanaście „Pieśni bez słów“, koncert fortepianowy g-moll, preludja i fugi fortepianowe, niektóre pieśni chórowe i pewne partje oratorjów: „Eljasz“ i „Paweł“, oraz z muzyki kościelnej kilka i psalmów kantat.

Oratorja, psalmy oraz preludja i fugi zdradzają wpływ starych mistrzów (Bacha, Händla i ich poprzedników). Rzecz dziwna—ilekroć Mendelssohn pozostawał pod wrażeniem tych mistrzów, utwory jego nabierały wielkiej siły i traciły kobiecią bezsilność i mdły sentymentalizm. Dość przejrzeć jego wspaniałe fugi fortepianowe (zwłaszcza op. 35) i kilka dzieł kościelnych. Także oratorjum „Eljasz“ posiada sporo silniejszych pod względem dramatycznym ustępów. Stąd Ryszard Wagner był jednym z tych wielkich muzyków, którzy to oratorjum cenili — mimo, że w utworach tego gatunku nie zdołał Mendelssohn uchwycić tej jednolitości stylistycznej, co Bach i Haydn, nawet Händel. Dowodem wielkiego smaku i rozumienia artystycznego jest zagłębienie się Mendelssohna w muzyce kościelnej z klasycznej epoki (XVI i XVII wiek), a choć nie osiągnął czystości nastroju i stylu kościelnego, gdyż poniekąd jest (wyszlachetnionym co prawda) kontynuatorem muzyki kościelnej z czasów Haydna i Mozarta, to jednak dzięki gienjuszowi swemu stworzył szereg dzieł o trwałej wartości. *) Że mimo to w zakre-

*) W tej kwestji objaśnia nas wyczerpująco R. Hohenemser w swej pracy „Mendelssohns geistliche Musik“ („Die Musik“, 1909, I zeszyt lutowy).

sie muzyki religijnej nie dorósł Mendelssohn do Brahmsa („Deutsches Requiem“), jest rzeczą niewątpliwą. Przy tej sposobności należy z wielkim naciskiem zaznaczyć, że Mendelssohn ponosi zasługę zapoczątkowania kultu Bacha. On pierwszy wznowił świadomość wielkości lipskiego kantora.

Mimo wszystkich słabych stron indywidualności i talentu Mendelssohna—dzieła jego pozostaną przedewszystkiem pod względem pedagogicznym czynnikiem pierwszorzędnej wartości, jako wzór nienagannej, świetnej harmonii budowy i harmonii treści i formy, oraz—jak ktoś zaznaczył—czynnikiem, tamującym wśród uczących się muzyków zbyt, w istocie przerażający sceptycyzm i dziwaczne przepojenie się realizmem. Sztuka Mendelssohna ma to do siebie, że jej najwartościowsze okazy podnoszą, uszlachetniają, idealizują. A to jest już dowodem jej wielkiej żywotności. Niestety, takich dzieł Mendelssohna jest stosunkowo niewiele. Wszak zresztą Mendelssohn żył krótko. Wpływ jego zniknął zupełnie, albowiem nie mógł wytrzymać silnego naporu nowych myśli i nowych wartości muzycznych, jakie przyniosły potężne indywidualności: Wagnera, Chopina, Berlioza i ich następców. Był... interrexem muzyki...



N A F A L I.

ODPOWIEDZ *).

I ja ci wierszem odpowiadam zaraz,
 Jeno przez pocztę. Gdy nadchodzi zima,
 Smutno jest na wsi. Ogród nasz i taras
 Nie brzmią już pieśnią, bo — śpiewaków niema!
 Jedne z nich w ciepłe kraje uleciały,
 A na ich miejsce zakrakały naraz
 Żarłoczne wrony z krwawymi oczyma;
 Inne — zamilkły, znać, że wyśpiewały
 Wszystkie swe pieśni. Tylko wróble skaczą,
 I puszczyk w dziupli zawodzi tułaczko.

*). Utwór ten otrzymaliśmy od nieznaney nam osoby Autorki w odpowiedzi na zamieszczony w zeszytach wrześniowym feljton wierszem („Na fali“). Chociaż nie wszystkie pochlebne dla mnie szczegóły odpowiadają, niestety, rzeczywistości, zamieszczamy „Odpowiedź“ tę bez zmiany, jako miłe echo pisanego przezemnie listu.

Wł. B.

Ciebie — źli ludzie, mnie — szarpie tęsknota,
 Radabym prędzej do ciebie i dzieci!
 Niech smętna jesień raj nasz w szarość mota,
 Byle nie patrzeć!... Gdy wiosna rozkwieci
 Miły zakątek — wrócimy z ptakami
 Odetchnąć w ciszy, a nie marzeń złota
 Oplecie serca nam i... znów odleci,
 Znacząc za sobą szlak — arabeskami
 Nadziei, tkanej na promyku słońca —
 I tak bez końca! Ach! Gdybyż bez końca!...

Niestety! Wszystko mija na tym świecie,
 Więc i słoneczna młodość kiedyś minie, —
 Nadejdzie starość, a potem — śmierć zmiecie
 Nas z łona ziemi... Tak kolejno ginie
 Każde istnienie, by na jego tronie
 Wzrastało nowe. W naturze, po lecie
 Nadchodzi jesień, za nią zima płynie,
 Za zimą — wiosna, czerpiąc życie w zgonie
 Swej poprzedniczki, niby wilk na tropie —
 I tak bez końca — jak w kalejdoskopie.

Bez końca! Ale tylko roku zmiany
 Jedna po drugiej śpieszą za koleją, —
 Gdybyż to życie szmat swój, przetykany
 I złem, i dobrem, zawodem, nadzieją —
 W kresy nie wiodło! Gdybyż wiecznie z tobą
 W rozbłysku wiosny wracać w raj kochany —
 Tam śnić o szczęściu — otoczona knieją
 Szemrzącą gęstą konarów ozdobą...
 I gdybyż wiecznie nieprzebrane zdroje
 Sączyły dla nas młodości napoje!

Lecz dosyć. W lecie żyjemy pełnym latem,
 Zimą — wypada gawędzić inaczej.
 Mars — śpi w swem kole snem twardym, a zatem
 Nie myślimy o nim, — chyba go zobaczy

Z wiosną — na wschodzie — może — kto zaręczy...
 Dziś — wpisy szkolne zagrażają matem
 (Mówiąc językiem szachistów i graczy);
 Dla dobra synów znijdź na moment z tęczy,
 Chociaż brak grosza, należy opłacić,
 By mieć z tem spokój i roku nie stracić.

Tyś bo — marzyciel, ja — praktyczniej patrzę
 Przez moją szybkę na życie człowieka,
 Prawda — twe szkieleto różowsze i gładsze,
 Niżeli moje, — mniej baczysz, czy czeka
 Ciebie fortuna, czy dostatek wzrasta, —
 Lecz za to tworzysz perły jak najrzadsze
 W księżnicy polskiej, ja zaś — do sąsiaka
 Zbieram zapasy na zimę do miasta,
 Obliczam zbiory, zsypane w śpichlerze,
 I ciężkie ziarna na biały chleb mierzę.

O żyj, w poezji lub w wiedzy obronie,
 Pisz wielkie dzieła, zapatrzony w dusze.
 Jam — ster domowy w swe ujęła dłoń, —
 Gdy ty szybujesz, ja — na ziemię muszę,
 By stać na straży szczęścia i spokoju
 Twojego domu, byś w rodzinnem gronie
 Goić mógł rany, zapomnieć katusze,
 Sowiec brane za — nagrodę znoju...
 Więc śpieszę kończyć jesienne roboty,
 By prędzej wracać do ciebie, mój — złoty!

Czy pomnę Capri? Pałac Tyberjusza,
 Dziś — obraz ruin w szaro-skalnej ramie?
 Zwarty, zgryźliwy oddech Wezuwjusza?
 Widoki Nilu w słońca dioramie?
 I nas oboje w dahabii wązkiej,
 Niby darbystów, których rzewnie wzrusza

Czekanie cudu, co niewiarę złamie? —
 Pomnę to wszystko, — i palmy gałązki,
 Któreś mi dawał tam zamiast wachlarza,
 I wabną ciszę małego cmentarza.

I w śnieżnej głębi — krąg Morskiego Oka,
 Zapadniętego w duczaj z skał głęboki.
 Na górskich szczytach kłęby chmur, z wysoka
 Płynące wolno. I rwące potoki,
 Z regli wysnute w pasmo, nitkę prawie,
 Potem, w nizinach, jak lawa szeroka
 W biegu szalonym... Lecz — fantazji skoki
 Należy skrócić, zatem — kropkę stawię.
 Co było, nie jest — z szybkością motyla
 Minęło, — żyjmy więc obecną chwilą.

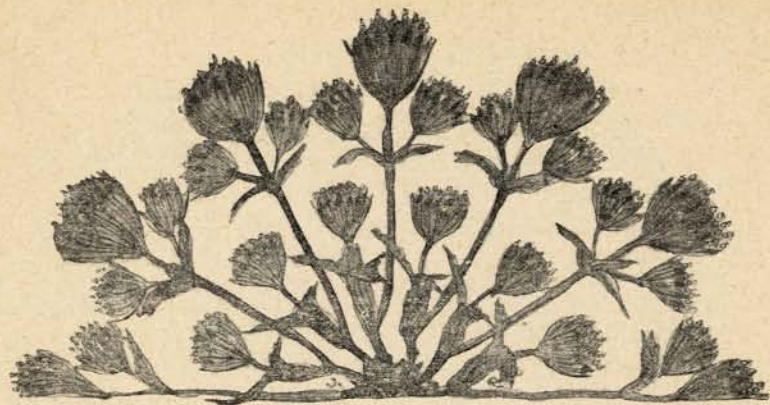
Na twe pytania w porządku odpowiem:
 Astry, zwarzone przez nocne przymrozki,
 Straciły barwę. Łozom nad sitowiem,
 U brzegów stawu wiatr zdarł liść, dar boski,
 Jedwabny. Woda pod rzęsą zakrzepła,
 Księżyc, zakryty obłoków ołowiem,
 Zatracił blaski w czarnej szacie troski.
 Karasie na dno uszły — szukać ciepła.
 Z okwitłych klombów zdejmuję nasienie,
 By na rok przyszły dać im odrodzenie.

Twa ulubiona Faworyta gniada,
 W stajni, przy żłobie, wraz z towarzyszami
 Okryta derą, złoty owies zjada —
 I strzygąc uchem, i grzebiąc nóżkami,
 Wygląda, kiedy siodło na nią włożą —
 Wszak ścigać wicher z tobą zawsze rada,
 A w biegu chłonać bujny wiew nozdrzami
 I mknąć przez niwy pod wschodzącą zorzą —
 Wciąż mądre oko ku wrotom obraca,
 I rzy żałośnie, że pan nie powraca!

Żaby ucichły, sowę co noc słyszę,
 Muszka, zajęta potomstwem, nie szczeka,
 A lip gałęzie, gdy je wiatr kołysze,
 Chrząszczą nagością, jak szkielet człowieka.
 Tęsknota drobnem, niezliczonym mrowiem
 Obsiadła duszę, więc słowa te piszę,
 Wciąż myśląc o was, gwarząc — choć zdaleka!
 Pisz, drogi, codzień, ja — co dnia odpowiem
 Na każde słowo, nim do was przyjadę...
 Żegnaj cię czule i podpis swój kładę.

EUGIENJA DOMINI.





JAN KLECZYŃSKI.

WRAŻENIA ARTYSTYCZNE.

Śmierć Cyprjana Godebskiego.—Z „Zachęty“: Męcina Krzesz—Gawiński—Paweł Renouard—Nawrocki—Masłowski—Piotrowicz—Samosiewicz—Hulewicz—Wachtel—Pilichowski—Eisenberg.

Umarł Cyprjan Godebski. W życiu był Polakiem i patryjotą, dochowującym tradycji ojca i dziada-legjonisty. W sztuce pozostał Francuzem — bo i trudno było być innym w połowie zeszłego stulecia, kiedy rzeźba istniała tylko we Francji.

Ale jeżeli już wtedy wśród rzeźbiarzy francuskich budziły się pragnienia do wydobycia się z konwencjonalizmu przeżytych form, z nieszczerych frazesów, z „idealnych“ zarysów pseudoklasycyzmu, pomieszanego ze starczym wdziękiem ornamentyki barokowej, to Godebski nie był jednym ze szturmujących do przestarzałych okopów, lecz był typowym przedstawicielem epoki, przedstawicielem kulturalnym, doskonale obeznanym z techniką swego zawodu, posiadającym nawet więcej, niż inni rozmachu, śmiałości pomysłów — i łatwości kompozycyjnej.

U nas Godebski znany jest głównie jako twórca pomnika Mickiewicza w Warszawie. Tymczasem artysta ten stworzył wiele znacznie lepszych pomników we Francji i Ameryce. Mickiewicz wymagał jakiegoś tworu wyjątkowego — frazesem patetycznym zbyć go było niepodobieństwem. Każdy pomnik wielkiego człowieka jest

rzeczą arcytrudną — a cóż dopiero tak monumentalnej postaci „człowieka wiecznego“. Tu Godebski musiał się zaledzić — pominawszy już pewne niedokładności techniczne, zapewne z powodu zbyt pośpiesznej roboty pomnika warszawskiego (figura źle stoi, jakby się przewracała w tył).

Dzieła Godebskiego porozpraszane są po świecie. Dać wyczerpujący sąd o jego twórczości jest w obecnych warunkach niemożliwością, poprzestaję więc na tych ogólnikowych uwagach.

Sprawa budowania pomników wielkim ludziom, tworzenia ich podobizn, nasuwa uwagę, że to rzecz dostępna tylko gieñjalnym twórcom rzeźby i malarstwa.

Mickiewicza oddzielić od jego wizji, od wzlotów „Improwizacji“ i „Farysa“ — i dać tylko portret człowieka, takiego, jakim znamy go z monografji, listów i nieudolnych rysunków — to znaczyłoby zrobić podobiznę kogoś innego. Na to, aby kompozycja wyraziła Mickiewicza, trzeba stworzyć taką fantazję, która potęgą swoją równałaby się „Dziadom“, oddałaby proroczą, wizyjną moc ich twórcy — ich wielki pęd w nieskończoność, zaznaczając tylko zlekka podobieństwo rysów.

Inne drogi — dostępne są tylko współczesnym. Tylko oni, o ile posiadają moc obserwacji, mogą oddać w charakterze portretowanego gieñjusza jego duszę — choćby błysk jeden tej duszy. Tylko współczesny, mając przed sobą takiego wspaniałego modela, może uchwycić jego charakterystyczną pozę, drgania twarzy, błyskania oczu, skurez ust, rodzaj przechylenia głowy — uczesania etc. etc. Istnieje w tym rodzaju gieñjalny szkic de la Croix, dający wizerunek Chopina. Wielki muzyk nie jest może tam ową lotną, orlą potęgą — ale w oczach jego lśni taki krwawy ból, cała twarz skurczyła się w takim głęboko odczutym wyrazie, że jest to najlepszy portret Chopina. Jeszcze potężniejszym dziełem jest portret Przybyszewskiego roboty Wyspiańskiego. Można się może spierać co do pewnych szczegółów wyrazu duchowego, ale jest tam teza w linjach, chwytająca charakter tej głowy z narzucającą się mocą.

Niewspółczesny — tworzący wizerunek danego artysty z niedokładnych szkiców — nie potrafi nigdy zrobić portretu — to mrzonka. Musi więc dopomagać sobie fantazją — inaczej zawsze da coś albo pretensjonalnego, albo zupełnie nieudolnego, śmiesznego. Tylko jakieś gieñjal-

ne natchnienie, jakaś twórcza wizja może zbliżyć się do duchów wielkich ludzi na tyle, aby ich przypomnieć — dać ich wizerunek duchowy, jeżeli zewnętrzność nie jest dokładnie znana. Świadczą o tej prawdzie wymownie liczne podobizny naszych poetów w rzeźbie i malarstwie.

Jednakże Chopin umierający Męciny Krzesza jest czemś dość prawdopodobnym. Jest tam pewien smętny nastrój, zrobiony wprawdzie ograniczonymi środkami — ale jest. Inne obrazy tegoż autora stoją na poziomie o wiele niższym. Królowa Jadwiga — to woskowa lalka pomalowana, ustrojona w świecidła. Scena w szynku ma pewien surogat życia i melodramatycznego układu — ale nie z bezpośredniości i szczerości — co dla takiego tematu byłoby jedynym ratunkiem. Koloryt fantastycznie zielonkawy niczem się nie usprawiedliwia.

Inne dzieła, wystawione w ostatnich czasach w „Zachęcie“, wymieniam będę kolejno, jak się pojawiały.

„Złota Dama“ Gawińskiego jest jedną z lepszych kompozycji tego malarza. Pomysł prawdziwie artystyczny. Twarz syntetycznie rysowana, żywa, piękna. Brak jakichś pośrednich barw — może jakichś dociągnięć, czyli subtelniejszych zwrotów rysunku, ale w każdym razie rzecz wyróżniająca się tem przedewszystkiem, że jest przeciw *twórczą*. Jeżeli robię tu pewne zastrzeżenia, to przykładając bezwzględna miarę krytyczną, należną talentom. Jest to pomysł ornamentacyjnie żywy — czysto malarski. Te złote pasma są wyczute, jako zdobniczość i jako prawda pewnego wrażenia.

Prawdziwą uciechę artystyczną sprawiło Warszawie Towarzystwo „Zachęty“, sprowadzając te żywe, wesołe, mistrzowskie opowiadania, nowelki i anegdoty, rylcem pisane, paryżanina z krwi i kości, Pawła Renouarda.

Jest w tych baletniczkach, scenach teatralnych i dziecięcych, tłumach paryskich i angielskich, kangurach, kociach, kaczkach, żabach, prosiętach — i mężach stanu, narówni ze światem zwierzęcym traktowanymi — taka łatwość i lotność charakterystycznego opowiadania, tyle humoru i kultury, że się nie chce od tych rysunków odejść — są tak zajmujące. Autor zabierał się do nich z zaciętkiem zamiłowaniem — gdy raz wpadł na dany temat, to mówił by nam o nim dniem i nocą — nigdy, zdaje się, nie miał dosyć studjów nad wdzięcznymi, miękkimi ruchami baletniczek, nad ich lekkością, iście kocią, powiewnością, przejrzystością ich sukien — tworzył całe

dziesiątki rysunków — a jeden od drugiego lepszy. Każde zjawisko jest równie godne jego artystycznych oczu, posiadających wesołe, jedyne w swoim rodzaju uśmiechy na widok komizmów w kształtach ludzi i zwierząt. Tak samo lekko i wesoło śmieje się Renouard z kapelmistrza Vigna i jego gwałtownych ruchów, jak z walki pomiędzy kaczką a żabą, lub z powagi ministra.

Krótką gościna wystawy obrazów p. Nawrockiego mało dała sposobności do wrażeń artystycznych. Autor dał kilka wcale żywych krajobrazów, w których było wprawdzie więcej umiejętności niż odczucia, ale w każdym razie były tam zewnętrzne efekty, wyzyskane pomysłem i z zupełnym pokonaniem trudności technicznych, koloryt świeży, prawdopodobny. Większe kompozycje — naprzykład ten człowiek, gnany przez widma — (w pomysłu przypominający Stucka) — to rzeczy słabe. Figury niecielesne, a pomimo to ciężkie, jakby wypchane. Portrety bez życia, gładkość ich nie ma nawet fotograficznych zalet dokładności.

Masłowskiemu należałoby się właściwie osobne studjum. Jest to artysta tak oryginalny, patrzy na naturę w sposób tak samodzielny, że ludzi, posiadających więcej pozycji, niż szczerości w odczuwaniu sztuki, może złudzić tą właśnie odrębnością — może ich zmusić do stawiania mu szeregu zarzutów, usprawiedliwionych względem przeciętnego pejzażysty, któremu chodzi o naśladowanie natury, ale zupełnie bezpodstawnych wobec artysty, który każde wrażenie przetapia w barwę i światło — jak Masłowski.

Wrażenia jego są czysto malarskie, zamieniają się natychmiast w kompozycję, dekoracyjnie żywą, mającą przedziwną przejrzystość, jasność — rzekłbym wesołość barw. Obrazy jego mają coś ze lśnienia drogich kamieni, wśród których jarzą się najmocniej szmaragdy i zblękitnione szafiry. Jest wielki urok w tych chłodnawych blaskach, stanowiących mistrzowski wyraz gorącej miłości artysty do natury — to jakby blaski mocnego, spokojnego ujęcia w formę kamienną dokładną.

Zarazem jest w odczuciach Masłowskiego ta bezpośredniość, naiwność, która każe mu drobiazgowo zatrzymać się nad kochanymi więcej od innych szczegółami — rzeźbić koronkowo drobne listki na drzewach i pomijać szerokimi, mistrzowskimi rzutami oddale — lub naodwrot, gdy ta oddal specjalnie wzbudzi zachwyt artysty —

wtedy widzimy ją w całej harmonijnej mocy na tle przejrzystego nieba, a pierwsze plany szkicowane.

Masłowskiemu nie chodzi bynajmniej o to, co np. Chełmońskiemu—czyli o jakąś symfonię wszelkich odgłosów, zapachów, wrażeń wzrokowych, odczuć wobec natury—ani o plastykę i perspektywę powietrzną krajobrazu—ale, powtarzam—o czysto malarską poezję przyrody. Masłowski nie chce budować natury na obrazie. A raczej—można to jaśniej jeszcze wyrazić—każde wrażenie, odczucie zamienia się u Masłowskiego w barwę. Poezją dla niego może być wdzięk delikatnej gałązki i barwny dywan pól uprawnych, i zlewające się w cudną harmoniję kolory nieba o zachodzie—i samotna sosna—i krowy na łące—i zamglone drzewa, ale nie jako poezja, lecz jako malarstwo; jest to czysto malarskie odczuwanie, pokrewne Japończykom. A im trudno czynić zarzut, że obrazy ich, będące arcydziełami, nie mają plastyki, lecz naiwnie a mistrzowsko oddają czysto malarskie wrażenia wobec natury w płaskim, dekoracyjnym sposobie ujmowania rzeczy.

Masłowski, kiedy chce, umie wydobywać bryłowatość i oddalenie—widać to chociażby w „Sośnie“. Zresztą plastyczność to rzecz dobra w rzeźbie, nie w malarstwie. Tu nie znaczy bryłowatość, tylko linja i barwa. Naśladowanie wypukłości jest sztuczka, dość łatwa zresztą, ale potrzebną malarstwu tylko w pewnych wypadkach—Japończycy się bez tego obywali—starożytni i prymitywi również—i ci właśnie mieli najsilniejszy instynkt sztuki malarskiej.

Do tej rodziny artystów zbliża się Masłowski w swych najpiękniejszych utworach—t. j. tam, gdzie zupełnie zapomina o plastycznościach.

Wspomnimy jeszcze o pięknym krajobrazie Piotrowicza (Czata), o starannej wieśniacze Samosiewicza, o technicznie dowcipnych, ale powierzchownych i niewłasnych w ujęciu, lecz paryskich pejzażach i portretach Hulewicza, wreszcie o P. Wachtlu, który wystąpił, jako artysta dojrzały i opanowany. Jego „Córeczka“,—właściwie dwa obrazy tej treści—jest zharmonizowanym, pełnym wdzięku obrazem; jego portret własny—tęgi w rysunku, moony w wyrazie. Wogóle p. Wachtel daje w swoich dziełach dużo kultury i smaku kolorystycznego. Przejdę na zakończenie do omówienia pewnej drażliwej sprawy.

A mianowicie, czy artysta, który syci swoją wyobraźnię tylko obrazami ze świata żargonowego, należy

do sztuki polskiej? Oczywiście, że jeżeli ktoś czuje w ten sposób, że najwięcej go przejmują te właściwe obrazy, ten zleby zrobił, malując inne rzeczy—to inna sprawa—ale powtarzam pytanie, czy takie malarstwo, że tak powiem, żargonowe, starające się stworzyć sztukę narodowo-żydowską—może być choć na chwilę uważane za polskie? Sądzę, że sam malarz, o narodowo-żydowskim sposobie odczuwania zaprzeczyłby mianu—malarza polskiego, bo odczuwa zbyt silnie swoją odrębność, swój separatyzm duchowy w stosunku do społeczeństwa polskiego.

A jednak to sprawa nie tak prosta. Nie to tworzy sztukę polską, że artyści malują chłopów polskich i ułanów, ale to, że po polsku odczuwają. Ten rodzaj odczuwania polskiego może się przecież przejawiać równie dobrze w portrecie Kościuszki, jak w portrecie Żyda - handlarza, równie dobrze w obrazie Raclawic, jak w opisie gry Jankiela. Są to rzeczy prawie nieuchwytnie.

A jednak nasuwają mi się pewne wątpliwości co do polskości artysty takiego, jak p. Pilichowski, który *wyłącznie* maluje obrazy z tematów z życia żydowskiego zaczerpniętych—rabinów nad księgami, rabinów modlących się tłumnie, lub takich, jak p. Eisenberg, który rzeźbi grupy Żydów - muzykantów, Żydów przy pogrzebie—i t. p. Broń Boże, nie czynię im z tego zarzutu, co zresztą byłoby śmiesznością. Szczerze ich zasługuje na najwyższy szacunek. Może nie starają się mieć duszy polskiej, kochać rzeczy polskich—zmienić dusz swoich nie mogą—i dobrze czynią, że nie tworzą rzeczy nieszczerých.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, abym nie wierzył, że artysta Żyd nie może się do głębi przejąć kulturą i tradycją polską, tą wspólną z nami dołą i niedołą, owszem, znam wielu takich, którzy są Żydami - Polakami—z głębi serca—znam takich i poetów, i krytyków, i malarzy... Ale widocznie przyszła teraz nowa jakaś fala uczuciowa na tłumy, mówiące żargonem—i odbiera nam serca Żydów. Na to niema rady. Może zresztą się myślę—niech mi to omawiani artyści wybaczą.

Rzeźby p. Eisenberga znamionują dobry kierunek. Mają dużo życia, np. „Muzykanci“, „Pogrzeb“—słabszy.

P. Pilichowski najtęższym jest w portretach. Obraz „W drodze“ ma wiele wyrazu, ale wyraz ten, nieco fotograficzny, przypomina Minkowskiego. Większe kompozycje nie wydają mi się silnymi ani charakterystycznie, ani nastrojowo, a są w kolorze ubogie. Pejzaże mają literacką nastrojowość.

Konkurs Jubileuszowy „Tygodnika Ilustrowanego“.

Otrzymaliśmy z prośbą o umieszczenie odezwę następującą:

„Dla upamiętnienia półwiekowej działalności swojej **Tygodnik Ilustrowany**, nierozzerwalnemi niemi złączony z piśmiennictwem polskim, zamierzył ogłosić nowy konkurs literacki, w nadziei, że turniej ów wzbogaci niejednym dziełem pięknym, o trwałej wartości, skarbiec beletrystyki ojczyźstej.

Ogłaszamy tedy niniejszem konkurs na nowelę, bez ograniczenia treści i objętości, nie większą jednak nad tysiąc wierszy druku naszego pisma.

Na nagrody przeznaczamy

rubli 1000.

a mianowicie:

Nagroda 1-sza 400 rubli,
Nagroda 2-ga 300 rubli,
Nagroda 3-cia 200 rubli,
Nagroda 4-ta 100 rubli,

oprócz honorarjum.

Skład sędziów stanowią uproszeni przez redakcję **Tygodnika Ilustrowanego**: pp. *Ignacy Baliński, Władysław Bukowiński, Ignacy Chrzanowski, Zdzisław Dębicki, Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), Czesław Jankowski, Józef Kotarbiński, Jan Lorentowicz, Władysław Rabski*, oraz Redakcja **Tygodnika Ilustrowanego** w osobach: *Józefa Wolffa, Artura Oppmana (Or-Ota) i Henryka Gallego*.

Termin ostateczny nadsyłania rękopisów: 1-go lutego 1910 roku, do godziny 3-ej po południu pod adresem **Tygodnika Ilustrowanego** przy ul. Zgoda Nr. 12 w Warszawie, lub księgarni Gebethnera i Sp. w Krakowie, Rynek Nr. 23.

Nazwisko autora winno być umieszczone w zapieczętowanej kopercie, opatrzonej godłem i pseudonimem; to samo godło i pseudonim powinny być powtórzone na rękopisie.

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie niniejszej odezwę“.

KSIĄŻKI NADEŚLANE.

Powieści i nowele. France Anatol „Pierścień z ametystem“. Wybór pism t. VII. Tom. Jan Sten. Polskie Towarz. Nakładowe, Lwów, B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i Sp., 1910 — Iwieński Alfred „Najwyższa droga“. Powieść. Nakład W. Wiedigera. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. 1909. — Michałowski Zygmunt „Do celu“. Luźne kartki z historii duszy. Tom XXVII „Nowości Literackich“. Wyd. St. Sadowskiego. Warszawa, 1909. — Przerwa-Tetmajer Kazimierz „Maryna z Hrubego“ (Na Skalnem Podhalu) Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, Gebethner i Sp. 1910. — Żeromski Stefan „Promień“. Powieść. Wydanie czwarte Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1910.

Poezja. Przerwa-Tetmajer Kazimierz „Poezje“ VI. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1910. — Smolik Przeclaw „Po drodze“. Poezje. Przekłady. Wyjątki z poezji Giordana Bruna. Z poezji młodych Niemiec. Kraków, G. Gebethner i Sp., Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909.

Studja literackie. Chrzanowski Ignacy „Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku“. Dzień 3 listopada r. 1771 w poezji współczesnej. — G. Piotrowski i jego Satyr. — O Satyrach Naruszewicza. — Pierwsze utwory Krasickiego. — Dwa nieznanne paszkwile Niemcewicza, Warszawa, Skład główny w księgarni E. Wendego i Sp., 1909. — Śliwiński Artur „Maurycy Mochnacki“. Żywot i dzieła. Z wizerunkiem Mochnackiego według rzeźby Wł. Oleszczyńskiego. Nakład księg. B. Połonieckiego. Lwów, 1910.

Studja historyczne. Askenazy Szymon „Książę Józef Poniatowski“ 1763—1813. Z 22 rycinami i heliografiurą według portretu Grassiego. Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i sp. 1910. — Dubiecki Marjan „Z przeszłości (1861 — 1862). „Zjazd Horodeński. Pierwsze moje wygnanie“. Kijów. Nakład księg. L. Idzikowskiego, 1910.

Studja naukowe. Bacon Fr. „Szkice polityczno etyczne”. Serja I. Z oryginału łacińskiego przełożył St. Pyrowicz. Warszawa, 1909. — Graff A. „Skojarzenia w dziedzinie idei”. Skład głów. w księg. E. Wende i Sp. Warszawa, 1909.

Biblioteka dzieł wyborowych. Blasco Ibanez „Katedra”. 2 tomy. — Jagniątkowski Wł. „Polak w Legji Cudzoziemskiej”. 2 tomy.

Książki dla wszystkich. „Adam Mickiewicz. Sonety i inne wiersze z czasów odeskich” objaśnił Henryk Galle. — „Jan Kochanowski i jego dzieła” przez Fl. Łagowskiego. Nakład M. Arcta w Warszawie.

Varia. Brzeziński Fr. „Reforma Sądów Honorowych”. Odbitka z Biblioteki Warszawskiej. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp., 1909. — Kościński K. „Początki organizacji kobiet w dzielnicach naszych”. Odbitka z „Dziennika Poznańskiego”. Poznań, 1909. — St. Poraj „Tajne zakony Honorackie”. (Nasza rodzima kabała pobożnych). Nakład autorki. Warszawa. 1910.

Wydawnictwa gwiazdkowe. Bukowiecka Zofja „Jak Polska za Jagiellonów urosła od morza do morza” Opowiadania. Warsz. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1909. — Krakowowa Paulina „Niespodzianka” Zbiór powiastek dla małych dzieci. Wydanie jedenaste. Z rysunkami K. Gorskiego. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1909. — Morawska Z. „Pod Sasowym Rogiem”. Powieść z XVII w. Z rysunkami St. Bagieńskiego. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1910. — Niewiadomska Cecylja. „O czym Zosia nie wiedziała”. 20 powiastek dla dzieci. Z rysunkami K. Gorskiego. Wydanie drugie. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1909. — Przyborowski Walery „Bitwa pod Raszynem”. Powieść historyczna dla młodzieży. Wyd. czwarte. Z 6-ma rycinami K. Gorskiego. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1909. — Teresa Jadwiga. „W słońcu”. Powieść historyczna na tle epoki saskiej. Z 7-ma rysunkami K. Gorskiego. Wyd. drugie. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1910. — Verne Juliusz: Pisma, tom VII „500 milionów Begumy” Tom VIII „Przygody na okręcie Chancellor”. Tom IX „Na około księżycy” Tom X „Pustynia lodowa”. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i Sp. 1910.

W ADMINISTRACJI „SFINKSA“

Hortensja 4 w Warszawie

są do nabycia następujące wydawnictwa nasze lub dzieła w większej ilości przez nas posiadane:

Cyprjan Norwid: Odczyty o Słowackim (z portretem Norwida), cena kop. 60, pocztą 75.

Henryk Heine: „Pieśni współczesne” (z portretem Heinego, przekład Wł. Nawrockiego) kop. 45, pocztą 60.

Bernard Kellerman: „Ingeborga”, powieść (przekład Br. Neufeldówny, okładka A. Gawińskiego) — kop. 75, pocztą kop. 90.

Jan Kleczyński: „Rzeźba współczesna” (z reprodukcją rzeźby Vigelanda) — kop. 60, pocztą kop. 75.

Władysław Bukowiński: „Z marzeń i życia” — rb. 1 kop. 20.

„Nowy Zeszyt” kop. 75.

„Na greckiej fali”, poemat kop. 50.

„Poeta melodji i głębin i poetka idei” (rzec o Asnyku i Konopnickiej z portretem Asnyka i Konopnickiej, z rysunkami Malczewskiego, Wyspiańskiego i Rembowskiego). kop. 75, pocztą 90.

Portret barwny Aleksandra Świętochowskiego: (według pastelu K. Mordasewicza) kop. 60, pocztą 75.

8 portretów, odbitych na papierze welinowym in 8-o (z podobiznami podpisów) następujących pisarzy polskich: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cyprjana Norwida, Adama Asnyka, Marji Konopnickiej, Stanisława Wyspiańskiego, Stefana Żeromskiego i Jana Kasprówicza — za wszystkie razem kop. 80, pocztą rb. 1.

Znaczne stosunkowo ustępstwo dać również możemy czytelnikom na wydanym świeżo „Podręczniku historii wieków średnich” prof. M. Karejewa w przekładzie Marji Bukowińskiej (str. 254), który kosztować ich będzie wraz z atlasikiem podręcznym rb. 1 zamiast rb. 1 kop. 20. Przesyłka rekomendowana kop. 20.

Pozostałe w niewielkiej liczbie komplety „Sfinksa” od marca do końca roku 1908 — dziesięć obszernych zeszytów o nader bogatej zawartości literackiej i artystycznej — są jeszcze do nabycia w Redakcji w cenie rb. 6 w Warszawie, rb. 7 z przesyłką pocztową.

Wszyscy prenumeratorzy „Sfinksa” nabywać mogą nadto w Administracji naszej cztery wydane świeżo dzieła pierwszorzędnej wartości naukowej **po cenie o 25% niższej** t. j. po rb. 1 kop. 50 zamiast rb. 2, a mianowicie: „Katechizm Historji Filozofji od Talesa aż do naszych czasów” przez d-ra Fryderyka Kirchnera, przekład d-ra K. Krauza (str. 486); „Życie społeczne i moralne” przez J. M. Baldwiną (str. 592); „Filozofja pieniądza” przez J. Simmla przekład Leo Belmonta (str. 572) i „Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnym” A. V. Diceya. (str. 412).

Na przesyłkę rekomendowaną każdej z tych książek dołączyć trzeba kop. 25; na przesyłkę wszystkich dzieł razem kop. 50.

50 lat istnienia.

Najstarsze, najpoczytniejsze obrazkowe pismo polskie:

TYGODNIK ILLUSTROWANY

zamieszcza w roku bieżącym najświeższy wysoce interesujący utwór **Wiktor**
Gomulickiego:

„CAR WIDMO“

z niesłychanie ciekawej epoki stosunków polsko-rosyjskich, z czasów Samozwańców, z ilustracjami **St. Bagińskiego**, **nowele oryginalne** pierwszorzędnych autorów z ilustracjami najwybitniejszych malarzy, **nowele tłumaczone** ilustrowane.

Poezje najznakomitszych poetów polskich i antologia poetów obcych w wytwornych świetnych przekładach.

Kroniki Tygodniowe Bolesława Prusa.

Mały feljeton Zdzisława Dębickiego.

Wież, obrazki K. Laskowskiego.

Staly przegląd literacki przez J. Weysenhoffa. Staly przegląd polityczno-historyczny: S. Askenazy. Kronika historyczna: H. Mościcki. Wieczory teatralne i muzyczne: Cz. Jankowski. Sztuki plastyczne: T. Jaroszyński, H. Piątkowski. Obrazy galicyjskie przez K. Srokowskiego. Profile literackie: sylwety najwybitniejszych pisarzy polskich współczesnych.

Każdy artykuł ilustrowany.

Numery specjalne.

Dodatki nadzwyczajne.

Reprodukcje barwne.

Reprodukcje dwubarwne z najznakomitszych obrazów polskich.

Tygodnik Ilustrowany w swoim roku jubileuszowym dla wszystkich swoich prenumeratorów przygotowuje

Wielkie Jubileuszowe premjum zupełnie bezpłatnie:

ALBUM GRUNWALDZKIE

cykl kolorowych kartonów Wojciecha Kossaka, jako narodową pamiątkę wielopomnego zwycięstwa pod Grunwaldem.

!!! Bez żadnej dopłaty !!! W r. 1910 jako upominek jubileuszowy ofiaruje Tygodnik Ilustrowany swym prenumeratorom nowy miesięcznik p. t.: „**CIEKAWÉ POWIEŚCI**“

który wychodzić będzie pod redakcją **Artura Oppmana (Or-Ota)**.

Ciekawe Powieści zamieszczać będą utwory powieściowe trwałej wartości, z literatury polskiej i europejskiej.

Ciekawe Powieści dawać będą co miesiąc tom conajmniej 12-o arkuszowy, oddzielnie zbroszowany, większego formatu, ozdobnie wydany.

Ciekawe Powieści kosztują rocznie Rb. 5—z przesyłką rb. 6—dla prenumeratorów Tygodnika Ilustrowanego w r. 1910 dawané będą !! Bez żadnej dopłaty !!

PRENUMERATA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO z Zeszytami Albumowymi, Dodatkiem powieściowym i Premjami artystycznymi w Warszawie: rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2; z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 3, półrocznie rb. 6, rocznie rb. 12.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ul. Zgoda Nr 12**. Telefon 414, Kraków, Rynek. Łódź, Piotrkowska 81, Lublin, Krakowskie-Przedm. 36. Agentury „Tygodnika Ilustrowanego“ we wszystkich miastach.

ROK XXXIV ISTNIENIA.

NAJTAŃSZA i NAJOBITSZA ILUSTRACJA POLSKA

„BIESIADA LITERACKA“

Z BEZPŁATNYM DODATKIEM POWIĘSCI

NAJCELNIEJSZYCH AUTORÓW POLSKICH, CO TYDZIEŃ.

Redaktor i Wydawca

Michał Synoradzki.

„Biesiada Literacka“ obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej z powieścią na czele, historję, pamiętniki, podróże, wiedzę gruntowną w formie popularnej, wychowanie, politykę, chwilę bieżącą wszechświatową, słowem wszystko, co stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej uwzględnia dzieje ojczyste i pamiątki narodowe.**

W r. 1910 drukuje powieści: **Marjana Gawalewicza „Było — nie było“**, osnutą na tle wypadków ostatniej doby; **Bolesławy „Na wschodzie“**, odsłaniająca knowania polityczne Niemców w Rosji; **Michała Synoradzkiego „Pułk Czwartaków“**, obrazująca wypadki, które poprzedziły wojnę 1831 r. Nowele: **Elzy Orzeszkowej, Zuzanny Rabskiej, Tadeusza Jaroszyńskiego, Jerzego Orwicza, Stanisława Ostrowskiego, Henryka Zbierzchowskiego, Wł. Buchnera** i innych. Poezje: **Maryli Czarkawskiej, Kazimierza Glińskiego, Jana Kasprowicza, Marji Konopnickiej, Or-Ota, Zygmunta Różyckiego, Wiktora Dzierżanowskiego, Wacława Wołskiego** i innych. Opowiadania historyczne: **Kazimierza Bartoszewicza, Marjana Dubieckiego, Aleksandra Kraushara, prof. Kazimierza Króla**. Szkice przyrodnicze i psychologiczne **prof. d-ra Ochorowicza**. Opowiadania podróżnicze **Romualda Powichrowskiego**. Feljetyony wychowawcze **Observatora**. Feljetyony krytyczno-artystyczne **Szczerego**. Feljetyony społeczne: **K. Bartoszewicza, Z. Dębickiego, M. Synoradzkiego**.

W dziale ilustrowanym: reprodukcje obrazów **Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, Kossaków, Fałata** i innych mistrzów swojskich, a także **najcelniejszych dzieł mistrzów cudzoziemskich**.

Muzeum Pamiątek Narodowych: pomniki, gmachy, miejscowości historyczne, portrety znakomitych mężów i t. p.

W bezpłatnym dodatku powieściowym — utwory najwybitniejszych autorów polskich: **J. I. Kraszewskiego, Z. Kaczkowskiego, W. Łozińskiego, L. Sowińskiego, P. J. Bykowskiego, Fr. Rawity - Gawrońskiego, W. Przyborowskiego** i innych.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		na prowincji:	
Rocznie	rb. 6	Rocznie	rb. 8
Półrocznie	3	Półrocznie	4
Kwartalnie	1 kop. 50	Kwartalnie	2
Zagranicą rocznie rb. 10.			

Na żądanie administracja wysyła numer okazowy bezpłatnie.

Adres redakcji i administracji: **Warszawa, plac Warecki 4.**

Numer telefonu 75-26.

3109

* !! NA GWIAZDKĘ !! *

KSIĘGARNIA GEBETHNERA i WOLFFA w WARSZAWIE

poleca Nowości 1909—1910.

- Askenazy Sz.** Książę Józef Poniatowski (1763—1813). Z 22 ryc. i heliograwiurą według portretu Grassiego. Wyd 2-gie 3.—
W ozdobnej oprawie 4.—
- Bukowiecka Zofja.** Jak Polska za Jagiellonów urosła od morza do morza. Opowiadania — 80 w opr. kartonowej 1.—
- Galopin Arnold.** Doktor Omega. Fantastyczne przygody na Marsie. Z 10 ilustr. Przekład Marji Słizień. karton 1.20 w opr. 1.50
- Konopnicka Marja.** Pan Balcer w Brazylii. Poemat 3.—
W ozdobnej oprawie . 4.—
- Krakowowa Paulina.** Niespodzianka. Zbiór powiastek dla małych dzieci. Wyd. 11-te popraw. z 5-ciu rys. K. Gorskiego. Karton —.75
- Morawska Zuzanna.** Pod Sasowym Rogiem. Powieść z XVII w. Z 6 rysun. St. Bagińskiego. Karton 1,20 w oprawie 1.50
- Niewiadomska Cecylja.** O czem Zosia nie wiedziała. 20 powiastek dla dzieci. Z 4-ma rys. kolorow. K. Gorskiego Wyd. 2-gie. Karton . 1.—
- Ostrowski Stanisław.** Z dziejów pułku. Pułk dwunasty piechoty Księstwa Warszawskiego. Z 10 rys. St. Bagińskiego Treść: Święcone Dąbrowszczyków.—Obrona Torunia.—Na Hibernach.—Dobosz Markowski — Rywalka. — Rewia królewska.—Pod Berezyną.—Batalion walecznych.—Las śmierci.—Ostatni z pułku. Karton 1.20 w oprawie 1.50
- Przyborowski W.** Bitwa pod Raszynem. Powieść historyczna dla młodzieży. Wyd. 4 te, z 6-ma ryc. K. Gorskiego. Karton 1.—
w oprawie 1.30
- Teresa Jadwiga.** W słońcu. Powieść historyczna, osnuta na tle epoki saskiej, dla młodzieży. Wyd. 2 gie, z 3-ma ryc. Karton 1.20, w oprawie 1.50
- Verne Juljusz.** Pisma. Wyd. nowe z rycinami:
- Tom I. Podróż naokoło świata w 80-ciu dniach. Wyd. nowe z 4 rycinami. —.75, karton —.90
 - Tom II—III. Piętnastoletni kapitan. Wyd. nowe z ilustr. 1.50
Karton 1.80
 - Tom. IV. Pięcioletnia podróż balonem nad Afryką. Wyd. nowe z ilustracjami —.75, karton —.90
 - Tom V. Czarne Indje. Pow. Wyd. nowe z illus.—.75, karton —.90
 - Tom VI. Gwiazda południa. Powieści Przekład z franc. R. G. Wyd. nowe z ilustracjami —.75, karton —.90
 - Tom VII. 500 milionów Begumy. Wyd. nowe z illus.—.75, kar. —.90
 - Tom VIII. Przygody na okręcie „Chancellor”. Notatki podróżnego J. R. Kazallon. Wyd. nowe z illus.—.75, karton —.90
 - Tom IX. Na około księżycy. Wyd. nowe z illus.—.75, karton —.90
 - Tom X. Pustynia iodowa. Wyd. nowe z illus.—.75, karton —.90
- Wells H. G.** Wejna w przestworzu. Powieść fantastyczna na tle najnowszych odkryć w dziedzinie awiatyki. Z 12 ilustr. Przekład S. Barszczewskiego. 1.— karton 1.20

JULIUSZ SŁOWACKI

P I S M A w 6-ciu tomach według układu Artura Górskiego. Cena rb. 4, w płóciennej oprawie rb. 6, w wykwintej oprawie rb. 8.

* Katalogi szczegółowe księgarnia na żądanie wysyła bezpłatnie. *



II/05